ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

1892.

TOM I.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXV.

WARSZAWA.
DRUK JANA COTTY
ulica Senatorska № 29.

1892.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 25 Февраля 1892 года.

6552
II crab.



1892, 1



Bibl. Jag.



KAMIEŃ.

Po wielkiéj ulewie czas zrobił się cudny, w salonie stało się duszno, a że pan inżynier coraz mi bardziéj dokuczał, zaproponowałam, żebyśmy poszli na łąki. Po żywéj utarczce, bo pan inżynier, trochę gniewny i zgryźliwy człowiek, zawsze chce tego, czego wszyscy nie chcą, a sprzeciwia się temu, czego inni pragną, znaleźliśmy się wreszcie na pięknéj drodze, między łąkami, które krętym nurtem przepływa Złota Lipa.

W skupieniu ducha słuchałam jak p. inżynier wykładał mi drobiazgowo system nawodnienia tych łąk i nawzajem pokazałam mu wszystkie uszkodzone w czasie tygodniowego deszczu mosty, szluzy i podmurowania szosy na przestrzeni dwóch kilometrów. Nie dał mi jednak przyjść do słowa, a uśmiechając się ironicznie nad mojemi uwagami, kładł mi jak łopatą do głowy, rozliczne sposoby wiązania przęsł mostowych, belek, palów, poprzecznic, strofując mnie co chwila:

— I czegóż się pani śmieje? tu nic śmiesznego nie ma, jeśli ta belka o jeden centymetr będzie miała mniéj średnicy, rozumié pani, to...

— No, to most runie, a odpowiedzialność spadnie na pana.

— Niechże pani nie uprzedza! jak pani nieznośnie przeskakuje porządek rzeczy! Jeśli więc ta belka...

— A niechże mi pan da święty pokój z tą belką; ja, widzi pan, nie mogę godzinami stać przy jednym palu.

— Pojęcia pani nie ma o specyalnéj rozmowie! a do tego pędzi pani tak, że nadążyć nie można.

— Bo mi pilno.

— Do czego?

— Na szerokich gościńcach, mój panie, zawsze trzeba iść prędko, wlec się nie ma czasu.

— Po co się śpieszyć, złe i tak się spotka,

— Czy pan nie czuje tego wewnętrznego odważnego motoru, który popycha naprzód, cokolwiek tam nas czeka?

— Niech pani nie fantazyuje, a lepiéj trzyma się zwykłéj, ubitéj drogi.

— Niecierpię ubitych dróg, wydeptanych żółwiemi krokami, wygładzonych przez ślimaki!

— To bardzo źle. Sondując duszę pani, zdaje mi się...

— Oho! ho! panie inżynierze, tylko się panu zdaje, że pan sonduje moją duszę. Proszę! ołowiankę pan zapuszcza w — bezdenność! i już sobie pan wyobraża, że zaczerpnąłeś złotego piasku na dnie psychicznéj prawdy. Duch — to nieskończoność, i dwie są tylko miary jakiemi rozmierzać ją można.

— Ja tylko jeden znam sposób.

— To jest?

— Nie brać się do niéj.

— Więc czegóż pan w moją duszę zagląda?

— Bo uważam ją za przedmiot możliwy do badania, a że okaz jest kapryśny i zwykłych reguł się nie trzyma, chciałbym zbadać przyczyny téj niekonsekwencyi.

— Pan mnie zawsze traktuje jako niekarny okaz, psujący panu spokój obserwacyi. Wracam jednak do tego, że nieskończoność mierzyć tylko można, albo miarą miłości albo wagą cierpienia, lecz to są teorye których pan nie uznaje.

— Oczywiście. Nie ma żadnéj nieskończoności; każdy atom żyje dla siebie i basta; każda część drogi jest dla siebie osobnym punktem, i trzeba się naginać do okoliczności tego punktu.

— Cóż-to za nudna droga! Pan drogę życia „trasuje“ pesymizmem i dlatego się pan tak wlecze; z głową zwieszoną pełni pan obowiązki jak niewolnik, i szydzi pan z tych, co płomień niosą przed sobą.

— Alboż to drogę ułatwia?

— Ależ ją oświetla, ogrzewa!

— Fantazye!

— Już nic nie powiem.

Idziemy daléj milcząc. Robotnicy, poprawiający drogę, zostawili ogromny kamień na gościńcu, tak, że ktoś jadąc w nocy lub idąc mógłby okropny mieć wypadek.

— Panie inżynierze, a cóż ten kamień tu robi na drodze.

— Alboż to do mnie należy?

— Możebyśmy go odwalili na bok?

— Ja nie jestem dróżnikiem.

— Ale jesteś pan inżynierem drogowym.

— Ja? Sto razy panią uczyłem, jakie są gatunki inżynierów, zawsze pani miesza specyalności.

— Taką, widzi pan, mam już zakutą głowę!

— Żebyż pani choć spamiętała, jakim ja jestem.

— Żeby pan nie był taki zły, tobym może...

— I cóż pani znowu wyrabia! niechże pani zostawi ten kamień... przecież to ciężar... ludzie to zrobią...

— Ludzie się o to rozbiją, jeśli my tego nie zrobimy teraz. A że pan mi nie pomaga, bo pan sam, jak głaz stoi na drodze, więc muszę sama.

— Do czego to podobne! ostatecznie i rękawiczek szkoda.

— A ludzi nie szkoda?

Kamień był rzeczywiście bardzo ciężki, témbardziéj, że wrył się głęboko w muł gościńca, lecz wytężywszy całą siłę, odwaliłam go wreszcie na bok, pot mi na czoło wystąpił i krew uderzyła do twarzy.

— Cóż pan tak wzgardliwie ramionami ruszasz? co, co? słyszałam co pan mruknął: dziwaczka jestem! niech i tak będzie. A wié pan, że czasem jedno słowo pada jak kamień?

— Czasem jedno słowo kamień odwalić może...

Spojrzałam ciekawie na tego człowieka, bo przy tych słowach, miał głos tak łagodnie smętny, o jaki go nie posądzałam. Lecz zaraz dodał ostro:

— No i cóż pani przyjdzie z tego, co pani zrobiła?

— Muszę się wcześnie przyzwyczajać do odwalania kamieni z mojéj drogi.

— Co za kamienie!

— Sądzi pan, że ich nie ma? oh! mój Boże... już niejeden odwalić trzeba było, a ciężkie były... jak płyty grobowe...

— Już się pani o tém w życiu dowiedziała i jeszcze się pani tak może śmiać!

— Śmiech, to weselne migotanie duszy, która walczy, broni się i śmieje z radości po zwycięstwie.

— Ale kamienie zostają.

— Są różne sposoby na ich usunięcie, zależy od rodzaju kamienia. Ach, to cała mineralogia psychiczna!

— Tylko niech się pani nie unosi.

— Nie, — ja także obserwuję, jak i pan, ale innym systemem

grunt życia badać przywykłam. Pan ma na wszystko swój szyderczy „Universal-Nivelir-Instrument“ i nim pan rozmierza granice szczęścia, prawdy, spokoju, wykreślając całe sumy uniesień, porywów, błysków, natchnień, i dlatego zawsze rachunek pana zawodzi, doliczyć się pan nie może sumy szczęścia, które pozostaje panu zawsze — niewiadomą. Ja całą duszę przykładam do trudnéj drogi, a że tam leżą kamienie, to dusza się czasem i porani, ale to nic, nie ma takich kamieni, którychby wyruszyć nie można, jeśli się chce, a wyruszyć je trzeba!

— Może pani zechce wszystkie odwalać? powiadam pani, niech pani da wielu rzeczom pokój, to nie do pani należy.

— To do wszystkich należy! Pragnieniem w każdy głaz uderzyćbym chciała, co drogę tamuje dalszemu postępowi. Na gościńcach ludzkości tyle ich leży! jedne utrudniają bieg rzeczy i biada tym, co je okrążać zaczną, bo prosty kierunek rzeczy wypaczą, a kamień na miejscu zostaje i wpija się w ziemię coraz głębiéj... Są inne, o które prąd naprzód płynący rozbija się, i wszystko, co z sobą przyniósł, rozsypuje się w gruzy, tworzy się na gościńcu ruina, utrudniająca pochód rzeczy nowych i koniecznych... Są i takie kamienie, co na to tylko leżą na drodze, żeby się jedno serce roztrzaskało, ale bez echa, cicho... a odwaliwszy na stronę osobisty swój głaz, żeby drugim nie przeszkodził, musi na nim zatrzéć nawet purpurowe rany swego cierpienia, aby przechodniom nie odbierać odwagi do dalszéj drogi.

— Co pani wygaduje...

— Alboż tak nie musi być? I jeszcze coś powiem, co się może panu inżynierowi przyda do nowéj teoryi dźwigni: są kamienie, słyszy pan?—są kamienie na drodze życia, które tylko życiodajném natchnieniem podźwignąć się zdoła, które się tylko weselną pieśnią odwala! Spamięta pan?

— Nie spamiętam, bo to niezrozumiałe dla mnie.

— No, to panu inżynierowi coś powiem, co mu się może przyda do nowéj teoryi—ruchu: Biada skrzydłom, co ciężko nie pracują całą swą siłą swobodnego obrotu, biada natchnieniom, co leniwo krążą na osiach obowiązku, biada pieśniom, co zatraciwszy ruch w sobie, pełzają dokoła kamieni i głazów, a iskry z nich nie dobędą, a nie uwolnią od nich szlaku ludzkości.

— Chodźmy do domu.

— Tak potocznie?

— A cóż pani myślała, że ja zaraz zapraktykuję pani teoryę, to za skrzydlate dla mnie, ja wolę zasady chodzące, których ciężar gatunkowy przewyższa rozprężliwość.

— I z szerokich szlaków umykające co prędzéj do domu. Żegnam pana. Mój dom gdzieindziéj. Wyszliśmy razem, nie możemy razem — wrócić.

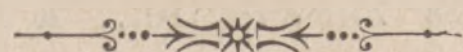
Zostawiłam inżyniera na łące i oddalać się zaczęłam. Ale po chwili żal mi się go zrobiło. Przypomniały mi się słowa łagodnym wyrzeczone głosem, że czasem jedno słowo kamień odwalić może... Kto wié, co mu tam cięży na duszy, może cierpi bardzo?—Wróciwszy, na têm samém zastałam go miejscu.—Czy pan inżynier został dozorcą łąkowym? czy pan jest strachem na ptaki? czy słupem telegraficznym? Cóż pan tak stoi jak mumia? nawet pan już nie mruczy? — Bo ja jestem kamień. — Byle nie na mojéj drodze. — A cóżby pani zrobiła?—Biłabym skrzydłami, pókiby się nie złączył z ruchem szerokich szlaków. — Nie!—rzekł szyderczo, i teraz wyraźnie w jego głosie odczułam ciężar jakiegoś kamienia. W oczach jednak p. inżyniera, z gatunku pesymistów, coś zaświeciło... a może to była tylko rosa wieczorna?...

Szczęsna.





MŁODE LATA
ZYGMUNTA STAREGO.



I.

Nad brzegami modrego Dunaju, wśród winnic, nad któremi się wznosił niezwykle warowny zamek, strzegący stołecznego grodu Węgier—Budzynia, osiadł późną jesienią 1498 roku królewicz polski z Jagiełowego rodu. Ziemię ojców swoich porzuciwszy, skazał się sam na dobrowolne wygnanie „i deptać musiał obcych ludzi łany“.

Czy zbrakło było istotnie dla niego miejsca w obszerném państwie, które tak rozległém ojciec jego był uczynił?

Okoliczności chwilowo w rzeczy saméj tak się złożyły, że młodszy syn Kazimierza Jagielończyka, pomimo że dawno już wyszedł z chłopięcego wieku, dawno już dosięgnął męskiéj dojrzałości, nawet trzydzieści z górą lat życia swojego liczył, nie miał jeszcze swojego własnego opatrzenia. Braciom nierównież lepiéj w życiu się powiodło. Najstarszy Władysław połączył nawet dwie na swojéj głowie korony, św. Wacława i św. Szczepana, i jednocześnie panował w Czechach, oraz na Węgrzech. Aleksander samodzielnie dzierżył berło wielkiego księstwa litewskiego. Jan Olbracht piastował najwyższą władzę w Polsce, a wreszcie najmłodszy Fryderyk przy boku jego, jako arcybiskup gnieźnieński i kardynał, lubo osobnéj nie posiadał dzielnicy, trzymając atoli pierwsze po królu miejsce, używał niezwykłego znaczenia i wpływu. Losy narodów i państw na rozległych, nieprzejrzanych obszarach od Adryatyku do morza Baltyckiego, do Dźwiny

i Dniepru, złożone były w rękach trzech władców, rodzonych braci z jednego ojca, z jednéj matki. Rozgłos imienia, sięgający po za dalekie krańce ich dzierżaw, tém dotkliwszém czynił upośledzenie, jakie spotkało Zygmunta, który wśród potęgi, blasku i sławy swych braci, był z konieczności zniewolonym poprzestać na gołym tylko tytule królewicza [1]).

Wprawdzie dokładano usilnych starań, aby go podnieść, wywyższyć, zabezpieczyć i odpowiednie dać mu stanowisko, ale zabiegi w tym względzie czynione okazały się daremnemi.

Przewidywania różne się nie ziszczały, zawodziły nadzieje, chybiły rozmaite kombinacye. W tych zabiegach około zapewnienia Zygmuntowi jakiéjś lepszéj i świetniejszéj przyszłości, jakiéjś władzy udzielnego księcia, przodowała sama matka, królowa wdowa Elżbieta, owa dzielna i niepospolita matrona, o któréj swojego czasu dla wielkiéj jéj powagi powtarzano wyrzeczone o niéj słowa humanisty, iż była córką króla, żoną króla i matką królów. Ale i ona także, pomimo wpływu i znaczenia, nie potrafiła wynieść syna swego na taki szczebel stanowiska i władzy, któryby zaspokoić zdołał zarówno jéj, jak i jego miłość własną.

Kiedy jeszcze za życia ojca, Kazimierza Jagielończyka, opróżnił się w 1490 roku po śmierci Macieja Korwina tron węgierski i kiedy obranemu już Władysławowi, królowi czeskiemu, usiłował wytrącić z rąk władzę i berło młodszy brat Olbracht, to matka Elżbieta najusilniéj popierała go w tych zabiegach, jak gdyby sądziła, że Władysław powinien był poprzestać na jednéj koronie, aby młodszym braciom nie zagradzać drogi. Według jéj mniemania, na tronie węgierskim należało osadzić Olbrachta, Aleksander byłby w Polsce objął władzę po ojcu, a Zygmuntowi dostałoby się berło książęce w Litwie. Tym sposobem każdy z czterech braci byłby zabezpieczony na przyszłość, miałby odpowiednie wysokie stanowisko. Żadnemu nie stałaby się krzywda, żaden nie byłby upośledzony. Nie ziściły się atoli, jako wiadomo, pragnienia matki i ukochany syn, prawdopodobnie Beniaminek, pozostał ostatecznie na łasce braci. Po długim szeregu niepowodzeń, Zygmunt postanowił porzucić kraj ojczysty, gdzie nie miał dla siebie żadnych widoków, gdzie go z trudnością nawet dochodziło roczne opatrzenie w pieniądzach, zapewnione mu przez Olbrachta, gdzie wreszcie ciężkie z tego powodu wynikały kłopoty. Przyjął więc chętnie gościnność ofiarowaną sobie przez Władysława, króla węgierskiego i czeskiego, który najwięcéj z po-

[1]) Jedyny znany mi dyplomat z r. 1494 (Metr. 15, f. 67) zachował ciekawy ślad tego tytułu: „*Sigismundus, Dei gracia dux „regis Polonie natus.*“

między braci okazywał dla niego serca i szczerze obiecywał zająć się urządzeniem jego przyszłego losu.

Tak się przeto złożyło, że królewicz porzucił ziemię rodzinną, przeniósł się za Karpaty, osiadł w Budzyniu, jak rzucony na zieloną wyspę przez nieprzyjazne fale żeglarz, który czeka spokojnie i cierpliwie pomyślniejszego wiatru, nim go łódź poniesie do zamierzonéj przystani. Trzy całe lata tam spędził, prowadząc żywot bez troski, szczęśliwy, może najszczęśliwszy z całego swojego długiego życia, o ile naturalnie spokój, dostatki mogą zadowolić duszę, któraby nie wzdychała do czynów na szerszéj widowni działalności. Żył tam u brata swego najstarszego w obfitości i świetnie, jak wzmiankuje kronikarz, który następnie dzieje jego królowania spisywał. Prócz téj wiarogodnéj wiadomości z lakonicznym dodatkiem o dostatkach, świetności życia na dworze węgierskim, żadna inna, obfitsza w szczegóły, nie dochowała się o pobycie królewicza Zygmunta w Budzyniu. O dalszych jego losach, o rządach w księstwie głogowskiém, któróm go opatrzył brat Władysław, o dziejach jego na Śląsku wogóle, pozostały w kronikach lub w aktach urzędowych również tylko treściwe, ubogie, suche wzmianki. Dopiéro ze wstąpieniem na tron polski, właściwie zaś zaledwie w kilka lat późniéj po objęciu rządów, w piśmiennych zabytkach, zwłaszcza w Tomicyanach, otwiéra się bogate źródło światła, które ukazuje nam w niejakiéj pełni postać króla, jeżeli nie sprawy jego domowe, to przynajmniéj jego pracę około wielkich zadań publicznych. Ale młodsze lata królewicza giną w każdym razie całkowicie w pomroku. Pierwszego ich zarania, ani wiosny życia nie znamy wcale. Zygmunt król występuje na widownię dziejową Polski, jak to słońce południowe, które wynurza się z za chmur wtedy, gdy domierzyło już połowy swego kresu. Przystępując do steru władzy najwyższéj, ma za sobą już czterdzieści lat życia, a jakkolwiek drugie czterdzieści jeszcze kierował nawą państwa, to w téj drugiéj dobie, która się chyli ku zachodowi, niewątpliwie zachował w głównych zarysach swoje dawne usposobienie, właściwości woli i charakteru, swoje poprzednie upodobania i nawyknienia. W wieku dojrzałym, kiedy piąty krzyżyk przybywa, już niespodzianek nie czekać. Co się rozwinąć miało, to się rozwinęło, złe lub dobre skłonności zapuściły głęboko korzenie, charakter w swych różnorodnych odcieniach i objawach nabrał stałości, jak twardy kryształ, który z luźnych, nieokreślonych cząsteczek ułożył się w pewne kształty.

Do skreślenia postaci Zygmunta w okresie lat młodszych, w dobie przedkrólewskiéj, która z następną łączy się tak ściśle, jak owoc na drzewie z jego kwieciem, posłużyćby mogła księga wydatków w cza-

sie pobytu w Budzyniu, w Głogowie, Opawie, w czasie podróży do Krakowa raz i drugi przedsiębranéj, wydatków, które dotyczą wprawdzie życia domowego, ale tém niemniéj rzucają obfite światło na samego królewicza. Pozwalają one podpatrzéć niejakie szczegóły, uchwycić ciekawe rysy, wyrozumiéć pewne strony charakteru i podciągnąć tło rzeczywiste pod obraz życia wśród czterech ścian domowych. Mozaika, która się z takich drobnych, powszednich szczegółów złoży, nie zastąpi, co prawda, portretu. Z Van-Dykiem nie może się nigdy równać robota artysty byzantyńskiego, który z kamyków różnobarwnych mozolnie odtwarza postać Justyniana W., — ale gdzie mistrzowskiego pędzla brak, gdzie nie masz utworu malarskiego wogóle, tam i mozaika w oczach historyka nie traci swéj wartości. Wielkich ludzi sprawy codzienne, pospolite, powszednie, zawsze budzą w czytelniku oraz w badaczu taką ciekawość, że pociągają ku sobie swą treścią, choćby im brakło, jak u Swetoniusza lub Einharda, oprawy artystycznéj. O ileż więcéj w nas zaostrzyć zdołają smak i upodobanie nieznane rysy znanych tak dobrze z widowni dziejowéj postaci królów, zwłaszcza z odległéj, tak mało zrozumianéj epoki średniowiecznéj. Im daléj od XVI wieku wstecz się cofamy w głąb' wieków, tém gęstsza mgła niewiadomości zasłania nam widoki, któréj przeniknąć nie zdoła najbystrzejsze oko wyobraźni, tém kruchszym staje się wątek do wysnucia wzorzystéj tkaniny, która się zamienia w szare jednostajne tło, jak pochmurne niebo jesiennéj nocy, gdzieniegdzie świécące bladém światłem drobnych gwiazdek. Historyk zaś chciałby bohatérów dziejowych sprowadzić z widowni, jak z desek teatralnych, na grunt życia rzeczywistego, blade ich kształty przyodziać w ciało i postawić na tle otoczenia społecznego, aby wymiarkować różnicę poziomu, jaka dzieli jednych od drugich. Nim zstąpimy do kopalni szczegółów, które z księgi wydatków pozwolą nam postać królewicza Zygmunta z krainy cieniów powołać na świat ludzi żyjących i odtworzyć jéj rysy w niejakiéj pełni, poznajmy wprzód losy, które poprzedziły jego pobyt w Budzyniu.

II.

Kiedy umarł w roku 1492-im Kazimierz Jagielończyk, trzech jego synów mogło się ubiegać o wielkie dziedzictwo ojca: Jan Wojciech zwany zwykle Olbrachtem, Aleksander i najmłodszy z nich Zygmunt. Nim jednak przyszło do wspólnéj elekcyi w Polsce, Litwa się pośpieszyła i obrała oddzielnie na tron wielkoksiążęcy Aleksandra. Pozostało zatém dwóch tylko braci, którzy dobijać się mogli

o władzę królewską w Koronie, Olbracht starszy i młodszy Zygmunt. Miał wprawdzie Zygmunt, jak zapewnia współczesny Miechowita, swoich popleczników, którzy go w zabiegach o berło wspierali. Po jego stanęli stronie arcybiskup gnieźnieński, dwaj książęta mazowieccy, oraz cały ród możnych i wpływowych Toporczyków, ale Olbracht wzmocniony zbrojną siłą matki Elżbiety wziął nad nim górę. Zygmunt, jako młodszy, musiał ustąpić pierwszeństwa starszemu. Tak więc zbrakło dla niego miejsca i prędko rozwiały się nadzieje pozyskania najwyższéj władzy, jeżeli Zygmunt wogóle mógł się niemi choćby chwilowo łudzić.

Aleksander przy pierwszych zaraz zabiegach o tron książęcy, powoływał się na przedśmiertną wolę ojca ustnie przed skonaniem wypowiedzianą, który podobno życzył sobie, aby w Litwie samoistnie i odrębnie rządził Aleksander, a w Polsce aby obrany był Olbracht. Jeżeliby nawet pewnéj wątpliwości podpadało takie rozporządzenie, które w sprzeczności stawało z długoletnią unifikacyjną polityką Kazimierza Jagielończyka, to w każdym razie, gdzie trzech braci dobijać się mogło o połączone lub rozdzielone na dwoje dziedzictwo, najmniéj zawsze widoków powodzenia miał z pomiędzy nich najmłodszy.

Skończyło się więc na tém, że Zygmunt pozostał na łasce braci. Matka, królowa Elżbieta, miała swoję oprawę wdowią, królewne otrzymały jakie takie opatrzenie, dla królewicza należało było także obmyśléć odpowiednie utrzymanie, zwłaszcza, że w chwili zgonu ojca, licząc lat dwadzieścia pięć wieku, samoistnego potrzebował dworu. Tymczasem ustalenie losu przez wyznaczenie odpowiedniego pieniężnego opatrzenia, napotykało nieprzezwyciężone trudności. Po ojcu Kazimierzu Jagielończyku pozostały same pustki w skarbie. Dobra stołu królewskiego obdłużone, żupy solne w zastawie, cła w zastawie, gotowizny żadnéj. Tylko długi niepomierne, — pisze Olbracht w liście do brata Aleksandra—otrzymałem w spadku, zasiadłszy na tronie królewskim. Dzięki atoli wpływom matki, król Olbracht zaopiekował się młodszym królewiczem i miał go w swéj łasce, „jako brata, pamiętając, że są jednego ojca i matki.“ Wyznaczył mu rocznéj płacy ośm tysięcy złotych, zabezpieczywszy ją na cłach poznańskich, na żupach krakowskich i innych stałych dochodach [1]).

---

[1]) Ślady wypłat ze skarbu nadwornego dochowały się w rachunkach stołu królewskiego, ks. 20. Jednorazowe wypłaty gotowizną na rzecz Zygmunta wynoszą niekiedy 1,000 zł. węg., np. 8 grudnia 1493 roku, czasem zaś mniejsze sumy—np. 500 i 700 flor. w 1496 r. O podnoszeniu zaś pieniędzy z żup królewskich, z ceł lub ze starostw świadczą rachunki królewicza, ks. 21. Dochód z ceł poznań-

Było to jednak chwilowe tylko załatwienie sprawy wzajemnego stosunku między braćmi. Na razie nie znaleziono innego sposobu zapewnienia Zygmuntowi utrzymania. Samo jednak opatrzenie pieniężne mogło się królewiczowi wydawać niedostatecznem, a zresztą wywołało ono, o ile się zdaje, w gronie senatorów polskich pewne niezadowolenie z powodu, iż na wycieńczony skarb królewski spadał ciężar, do ponoszenia którego, może w ciągu bardzo długiego czasu, nie czuło się zobowiązanem państwo nie dziedziczne, lecz elekcyjne. Ojcowizną i dziedzictwem Jagielonów, tak prawdopodobnie rozumono w kole radnych panów, jest Litwa. Tam powinien królewicz szukać i dobijać się udziału w spadku. Co innego królewne, dla tych znajdzie się opatrzenie w Koronie, choćby po królowéj-wdowie. Ale brata królewskiego utrzymywać, łożyć na jego dwór, aż się doczeka nieprzewidywanego tak prędko, a zresztą wątpliwego obioru na króla, nie masz żadnéj słusznéj zasady. Do Aleksandra więc, do wielkiego księcia litewskiego, należałoby się udać z żądaniem zadośćuczynienia uroszczeniom Zygmunta.

Tak się téż stało. Królowa-matka i kardynał Fryderyk, pojechawszy w 1495 roku do Wilna, rozpoczęli dość pomyślnie rokowania, w skutku których Aleksander przyjął na siebie pewne, dokładniéj nam nie znane zobowiązania. Królewicz Zygmunt zagaił zatém z bratem w dalszym ciągu stosunki listowne, poczém w imieniu swojém posłał na Litwę wojewodzica rawskiego, Hieronima Radziejowskiego. W odpowiedzi przybył poseł litewski, marszałek Petraszkowicz z niezbyt wyraźném oświadczeniem w sprawie bardzo dla Aleksandra drażliwéj, Zygmunt bowiem żądał, nie mniéj ani więcéj, tylko, żeby mu brat wyznaczył udzielne księstwo w litewskiéj ojcowiznie, prawdopodobnie Kijów z przyległemi powiatami. Miało więc być tak, jak było za czasów Jagieły i jego braci.

Wobec przydługiego nieco namysłu Aleksandra, zresztą zupeł-

---

skich i kościańskich zabezpieczony zapisem króla Olbrachta z r. 1495. Zob. „Wzory pism dawnych", Warsz., 1839, str. 78. Co do dóbr nieruchomych, na których były zabezpieczone dochody królewicza, mamy wiadomość o starostwie Lubaczowskiém, oraz o wsi Lisiatyczach. — Wieś Lisiatycze na Rusi, w powiecie stryjskim, należącą do dóbr królewskich, zastawia Zygmunt za zgodą króla Olbrachta niejakiemu Abrahamowi Czechowi, w sumie 1,100 zł. na dziewięć miesięcy w roku 1494 (Metr. 15, f. 67). Zapewnie w terminie uiścił się z długu, a przynajmniéj znów wrócił do posiadania Lisiatycz, skoro w jakiéjś sprawie aż do Głogowa w 1503 r. przybyli do niego „Rusaki de Lisiatycze". Rachunki ze starostwa Lubaczowskiego (w ziemi bełzkiéj) odbierał Zygmunt zarówno w Budzyniu, jak i późniéj jeszcze w Głogowie.

nie usprawiedliwionego, nad tak trudnym przedmiotem, wystosował zniecierpliwiony Zygmunt żądanie, domagając się natychmiastowéj odpowiedzi i w tym celu na początku stycznia 1496 r. wysłał z Sandomierza swojego powiernika, Krzysztofa Szydłowieckiego.

Brat, wielki książę litewski, przerażony stanowczym tonem listu, wziął to za rodzaj pogróżki, lub wypowiedzenia nieprzyjaźni czyli wojny, albo tamtoczesnym mówiąc językiem prawnym, za rodzaj „odpowiedzi“ (na poły so otpowiediju), po któréj mogło nastąpić zbrojne wtargnienie Zygmunta do Litwy i orężne dobijanie się udziału, czyli książęcéj dzielnicy. Dla zapobieżenia więc krwawym zatargom rozwinął Aleksander natychmiast niezwykłą czynność korespondencyjną, obsyłając swemi listami wszystkich z rodziny, których sprawa ta obchodzić mogła, a więc króla Olbrachta, matkę-królowę, brata-kardynała, a wreszcie i samego Zygmunta [1]).

Obawy swe względem gwałtownego kroku, jakiby mógł uczynić brat-królewicz, wypowiada Aleksander w piśmie swém do Olbrachta, prosząc go zarazem o skuteczną w danym razie pomoc. „Racz sobie Twoja Miłość przypomnieć, jakeśmy to czasu potrzeby posyłali swych posłów do panów rady korony polskiéj i zalecaliśmy im, aby wedle woli i rozkazania dobréj pamięci ojca naszego, króla jmości, wzięli sobie Twoję Miłość, brata naszego za pana, a gdyby tego uczynić nie chcieli, oświadczyliśmy im przez tychże posłów, jaka jest nasza myśl i nasza wola, iż chcieliśmy Twojéj Miłości, bratu naszemu, być pomocą zarówno radą, jak i naszemi środkami, sługami i poddanemi naszemi i to dopótąd, dopókiby się nie spełniła ostatnia wola jmości ojca naszego. Dlatego téż, gdyby brat nasz, królewicz Zygmunt chciał się rzucić na nasze państwo, żądamy, aby Twoja miłość, brat nasz, także według tego raczył być nam radą i pomocą we wszystkiém“ („Akty Zap. Rosyi“, I, 157).

Co zaś do udzielnego księstwa, którego żądał Zygmunt, Aleksander nadmienia w tymże liście, „wiadomo jest, że państwo nasze, wielkie księstwo, nigdy nie było dzieloném oddawna, za naszych przodków. Choćbyśmy to sami uczynić pragnęli dla brata naszego, to panowie rady nasze i cała ziemia nie chcą tego dozwolić i dopuścić, choćby życiem przypłacić mieli, i nam zawsze to prawią, że nie zwykli miewać dwóch panów, że tego nigdy dawniéj nie bywało.“

Matkę-królowę zawiadomił także jednocześnie Aleksander o naglących uroszczeniach Zygmunta i również ją prosił, wprawdzie nie

[1]) Zob. „Akty k'istorii Zapadnoj Rossii.“ T. I. Petersb., 1846, N. 138, I, II, III, IV, rok 1496 w kwietniu.

o pomoc zbrojną, ale o wdanie się w tę sprawę, żeby z niéj coś gorszego nie wynikło, wreszcie o radę, coby daléj czynić wypadało. Do królewicza zaś Zygmunta na jego zapytanie, dopókąd miałby czekać, aż się naradzi matka ze swemi synami, odpowiedział, iż już do nich napisał, a co mu przez nich wskazaném będzie, tego, według sił i słuszności, spełnić nie omieszka i przez posła o tém zawiadomi.

Nieporozumienie, które w swych skutkach tak groźném wydało się wystraszonemu Aleksandrowi, niebawem przybierać poczęło postać łagodniejszą. Zygmunt, zawezwany przez matkę i przez braci, oświadczył co do przypisywanéj mu pogróżki, że się do niéj zupełnie nie przyznaje. Na dowód zaś swojego zachowania, przedstawił kopię poselstwa, które w imieniu jego sprawował Krzysztof Szydłowiecki do wielkiego księcia litewskiego. Szydłowiecki zaś swój odpis pokazał, a po porównaniu obu pism, żadnéj nie znaleziono między niemi różnicy i żadnéj nie dopatrzono w nich pogróżki lub wyzwania.

Wytłómaczył więc król Aleksandrowi w swojéj odpowiedzi, że obawy jego co do Zygmunta były płonne. O wyznaczenie mu udzielnego księstwa nie nalegała teraz ani matka, ani kardynał, w imieniu których Olbracht w swym liście przemawiał, bo zrozumiano widocznie trudność położenia, zwłaszcza że na wiadomość o pożądaniu przez Zygmunta Kijowa, odezwał się wnet wielki książę moskiewski, Iwan, przez usta swéj córki a żony Aleksandra, dość niedwuznacznie o szkodliwości dzielenia księstwa. Ale tém silniéj natomiast domagano się pieniężnego opatrzenia w ilości 5,000 złotych rocznéj pensyi. „Niech rada wielkiego księstwa litewskiego, tak w dalszym ciągu pisano do Aleksandra przyczyni się za królewiczem, żeby go wielki książę nie opuszczał, tak jak nas o to samo prosili na sejmie w Piotrkowie panowie korony polskiéj przez pamięć na łaski i dobrodziejstwa pana swego, a ojca naszego.“ Dla skuteczniejszego zaś skruszenia twardego Aleksandra, napomknięto w sposób dość dziwny i dla nas obecnie niezrozumiały, iż ten ciężar wypadnie dźwigać może w ciągu lat niezbyt długich — otworzy się bowiem wkrótce spadek po Maksymilianie, królu niemieckim. „Sądzimy bowiem, że on dłużéj nad dwa lata nie pociągnie, a wtedy nikt bliższych praw do dziedziczenia w rakuskiéj ziemi nie ma, okrom matki naszéj i my już tę sprawę prowadzimy przez pana Tyrnkę i Letnisza Tonara, pana rakuskiego“ („Akty...“, N. 135, str. 158).

Więc upatrzono dla Zygmunta, królewicza — Habsburgów ojcowiznę. Nie dziwią te świetne nadzieje, któremi się łudziła królowa-matka i jéj synowie, co do widoków spadku, bo te *fata morgana* wyrosłe w bujnéj wyobraźni, więcéj ich pragnieniom, aniżeli rzeczywi-

stości odpowiadły; nie dziwi, sposób, w jaki chciano skłonić Aleksandra do przyjęcia zobowiązania, które niezbyt długo trwać miało; ale zastanawia przedewszystkiém okoliczność, skąd powzięto tę pewność, że Maksymilian dłużéj nad dwa lata nie pożyje i jakim sposobem się ośmielono za jego życia, pełnego zresztą młodzieńczéj siły, tak jawnie i otwarcie przez wzmiankowanych panów czynić starania. Chyba to w gwiazdach wyczytali astrologowie, których przepowiednie znajdowały, jak wiadomo, powszechną wiarę. Albo téż samo zachowanie się Maksymiliana, który miał dziwaczny zwyczaj wożenia ze sobą trumny własnéj, dawało pohop do wysnuwania takich domysłów [1]).

Aleksander jednak nie podzielał, o ile się zdaje, tych różowych nadziei względem spadku po Habsburgach i widokami, które się rychle otworzyć miały dla Zygmunta, wedle przepowiedni kalendarzowych proroków, nie dał się ująć, ani zmiękczyć. Uspokoiły go wprawdzie zapewnienia co do zamiarów brata-królewicza, o udzielném księstwie widocznie już na radzie familijnéj nie mówiono, myśli téj zaniechano wobec blisko spodziéwanego dziedzictwa po matce, ale Aleksander tém nie mniéj po dawnemu był twardym i nieugiętym. Przedewszystkiém, odpowiadając na powyższe przedstawienia matki i braci, zastrzegał się silnie, jako nikomu nie ma obowiązku dawać rocznego w pieniądzach opatrzenia, że jeżeli cośkolwiek uczyni, to zrobi to nie z powinności, ale za radą matki oraz braci, z dobréj swéj woli i z miłości braterskiéj. Wreszcie co do najważniejszéj rzeczy, czyli co do opatrzenia Zygmunta, dodał, iż przeznacza dla niego trzy tysiące złotych. Czy stale, rok rocznie czy jednorazowo? tego z listu wyrozumiéć nie można, ale zdaje się, że ostrożny Aleksander nie chciał do większych i długotrwałych zobowiązywać się ciężarów, gdyż w swém piśmie nie omieszkał i tego dołożyć, że na przyszłość z matką i braćmi radzić będzie, aby bratu-królewiczowi coś dobrego zrobić i z opieki go swéj nie wypuszczać.

Nowe więc tedy i dalsze snuć się zaczęły rokowania oraz targi z Aleksandrem na rzecz Zygmunta. Na radzie familijnéj w Krakowie ułożono znaglić księcia litewskiego do większéj ofiary. Brat Władysław, który zawsze chętnym się okazywał, kiedy szło o upośledzonego przez los królewicza, dał znać, że dziesięc tysięcy złotych rocznéj pensyi wypłacać będzie Zygmuntowi. Tyleż zobowiązał się dawać król polski. Uwiadamiając o tém Aleksandra, chciano mu wyraźnie wskazać, iż on „z ojczyzny swéj, dziedzictwa“, powinien

---

[1]) Zob. Ulmann, „Kaiser Maximilian I, 1884“, pierwszy z nowszych historyków zwrócił uwagę na tę okoliczność, która tak dosadnie znamionuje usposobienie dziwaczne Maksymiliana.

może nawet większym zasiłkiem rocznym wesprzéć młodszego brata, skoro król węgierski i czeski, jako władca elekcyjnego państwa a nie pan dziedziczny, tak szczodrą otworzył rękę. Obawiać się jednak należy, dodano w końcu wreszcie, żeby się Władysław nie cofnął zupełnie, gdyby brat Aleksander uchylił się od opatrzenia Zygmunta. W takim bowiem razie wziąłby on na siebie ciężką odpowiedzialność za niedojście do skutku zabiegów około zapewnienia królewiczowi odpowiedniego utrzymania. „Jakbyśmy się usprawiedliwili przed Panem Bogiem i przed ludźmi — tak kończy swój list król Olbracht— iżeśmy sami panowali, a brat nasz nic nie posiadał?“.

Wśród takiego toku piśmiennych rokowań, nagle wątek korespondencyi się urywa i dalsze ich koleje już nie są nam znane. Z pierwszego ich atoli przebiegu sądząc, wnosić należy, że Aleksander, pomimo zręcznie użytych sposobów łudzenia go widokami bliskiego dla Zygmunta spadku rakuskiego, wywierania nacisku przez warunkową ofiarę Władysława węgierskiego, nie okazał się zbyt pohopnym do dawania rok rocznie pieniężnego zasiłku na rzecz młodszego brata. Sprawa jednak nie zasnęła, owszem rozwinęła się daléj i wywołała nawet, jak się zdaje, potrzebę osobistego między braćmi porozumienia, które niebawem po wymianie tylu listów i poselstw przyszło do skutku na zjeździe w Parczowie, odbytym jesienią w 1496 roku. Z jakim skutkiem dla Zygmunta? tego dociec niepodobna z powodu milczenia kronik, z których jedna wzmiankuje, iż treść rokowań między braćmi, a w liczbie ich był także Aleksander, trzymaną była w ścisłéj tajemnicy.

Nie sama jednak sprawa uposażenia Zygmunta mogła stanowić przedmiot obrad familijnych, skoro jawnie przez poselstwa toczyła się poprzednio rzecz o zasiłek dla niego pieniężny. Była zapewne jeszcze inna, mająca związek bezpośredni z osobą i przyszłością Zygmunta, która tajemnicy wymagała. Szło tam bowiem o ułożenie wyprawy przeciwko Turkom, a właściwie przeciwko hospodarowi mołdawskiemu celem wyzucia go z tronu i osadzenia na nim właśnie młodszego z braci jagielończyków.

Nie pierwszy to był zresztą zjazd familijny. Już poprzednio na wiosnę 1494 roku odbył się podobny w Lewoczy na Węgrzech, dokąd się udali król Olbracht, kardynał Fryderyk, Zygmunt królewicz, oraz szwagier, mąż siostry, margrabia Fryderyk brandeburski, ale o treści tych narad, które się prawdopodobnie tyczyły także przyszłości królewicza, również tylko głuche dochowały się wiadomości [1]).

[1]) Zjazd odbył się prawdopodobnie na początku kwietnia 1494 r., król wraz z Zygmuntem bawi w Krakowie jeszcze 24 marca, a święta wielkanocne wypadały

Tyle jednak zdaje się być pewném, że chodziło tam o porozumienie się co do zamierzonego osadzenia Zygmunta na hospodarskim tronie. Jeżeli już tak wcześnie powstała myśl wyprawienia się na Turka, czyli raczéj na Mołdawię, którą urzeczywistniono dopiéro w 1497 roku, a podtenczas poruszano sprawę wyjednania u Aleksandra dla Zygmunta jakiegoś udzielnego księstwa na Litwie, to te podwójne zabiegi, któreby się krzyżować na pozór zdawały, rozumiéć i pogodzić tak należy, iż w razie osadzenia królewicza na księstwie kijowskiém, tém skuteczniejszéj od niego z powodu bliskości miejsca spodziewać się można było pomocy w sprawie mołdawskiéj. Gdy przeto chybiły nadzieje, z tym większym zapałem wzięto się do wykonania planu wielkiéj wyprawy, do któréj powołano całe ruszenie pospolite szlachty polskiéj.

Zygmunt, któremu zdobyta Mołdawia miała się dostać w udziale, osobiście, jak się łatwo domyśléć, pociągnął na wojnę, na czele hufca w 40 koni, porzuciwszy Sandomierz, gdzie chwilowo bawił, w końcu marca 1497 roku, czas niejaki (maj i czerwiec) spędziwszy we Lwowie na koniecznych przygotowaniach. Wiadomo, jak się to wielkie i śmiałe przedsięwzięcie skończyło. Po daremném obleganiu stołecznéj Soczawy, nastąpił odwrót polskiéj siły zbrojnéj przez lasy bukowińskie, w których niespodziewany napad nieprzyjaciół sprowadził przerażającą klęskę.

Około połowy listopada tegoż roku przyciągnął do Lwowa Zygmunt z rozbitkami... Jak za podmuchem wiatru runął odrazu cały gmach świetnych nadziei—Zygmunt osiadł na mieliźnie.

Czy nadpłyną rychło inne fale, które go znów poniosą na pełne morze zawodnego losu?

Królewicz rozbitek postanowił w spokojniejszéj i bezpieczniejszéj przystani wyglądać pogodnéj pory, nimby swą przyszłość powierzył rozbujałym nurtom. U brata Władysława na Węgrzech spodziéwał się znaleść wygodne dla siebie schronienie. Pod skrzydła jego opieki udać się zamyślił w tém słuszném mniemaniu, że u najstarszego brata najwięcéj dla siebie znajdzie serca. Znany ze swéj dobrotliwości król Czech i Węgier, który proszącym nigdy odmówić nie potrafił, który u jednych zjednał sobie przydomek *rex dobre*, u Węgrów zaś *rex bene*, tak bowiem zwykł był owdzie po czesku a tam po łacinie odpowiadać, ofiarował Zygmuntowi, zapewnie wkrótce po rozchwianiu się mołdawskich planów, gościnność na Budzyniu

---

30 marca. Właśnie przed samym wyjazdem pożyczył Zygmunt na drogę, o ile się zdaje, 1100 duk., zastawiając wieś Lisiatycze (Metr. 15, f. 67).

z obietnicą utrwalenia jako tako jego przyszłości. Jakoż w kilka miesięcy po klęsce bukowińskiéj, już królewicz rozpoczął przygotowywania do przeniesienia się z dworem i taborem po za Karpaty. W początkach sierpnia 1498 roku stanowcze poczyniono kroki celem urzeczywistnienia myśli, która początkiem swym sięga zapewnie końca nieszczęśliwéj wyprawy mołdawskiéj. Tylko téj a nie innéj okoliczności, nie jakimś nieporozumieniom rodzinnym, nie oziębieniu stosunku do kardynała Fryderyka lub króla Olbrachta przypisać należy, że królewicz powziął zamiar porzucenia ojczystéj ziemi i przeniesienia się na obczyznę, jakby na dobrowolne wygnanie.

Owszem, w ciągu całego dotychczasowego okresu panowania króla w Polsce, Zygmunt był i pozostał nadal przedmiotem jego troskliwości. Łączyły ich wzajem uczucia szczerego braterskiego przywiązania, które królowa Elżbieta matczynem swém sercem podtrzymywać nie przestawała. Fryderyk do tego związku także należał. Kiedy w 1493 roku został kardynałem i kiedy jako wysoki dostojnik kościoła miał odprawić pierwszą mszę kardynalską, Zygmunt, który w owym czasie na stałe przebywał w Poznaniu, puścił się w drogę do Krakowa, żeby podążyć, „*ad novam missam*“ aby być obecnym prawdopodobnie podczas Bożego Narodzenia na téj wielkiéj i niezwykłéj uroczystości. Przy boku zaś Olbrachta królewicz prawie ciągle bawił, kiedy niekiedy tylko odłączając się od jego osoby, udając się w inne strony obszernego państwa, jakby z poruczeniami politycznéj natury, które jednak dokładniéj nie są nam znane. Na wielkich i głośnych owych sejmach prawodawczych w 1493 i w 1496 roku, odbytych w Piotrkowie, obecnym był Zygmunt. Przed wyprawą mołdawską na zjeździe korczyńskim w Małopolsce, również o ile wnosić należy z pobytu królewicza w Sandomierzu, znajdował się Zygmunt w otoczeniu Olbrachta. Po skończonéj nieszczęśliwéj wojnie na najbliższym sejmie piotrkowskim, który się odbył w lutym 1498 roku, spotykamy Zygmunta podobnież obok króla radzącego z panami i ze szlachtą o zapobieżeniu smutnym następstwom chybionego przedsięwzięcia.

Widzimy Zygmunta i na zjeździe w Poznaniu w 1493 roku, dokąd przybyły poselstwa od Turków, od Wenecyi, od króla węgierskiego i od cesarza niemieckiego i gdzie poruszono myśl wielkiéj wyprawy krzyżowéj przeciwko coraz groźniejszéj sile zdobywczego państwa muzułmańskiego. Kiedy król przybywa do Torunia w 1495 r. hołd odbierać od Prus, podąża ku niemu bawiący wtedy od pewnego czasu w Malborgu brat Zygmunt i wraz z Olbrachtem poświęca niemało czasu rozbiorowi spraw prowincyonalnych. W téj właśnie po-

rze zaszła ważna bardzo na niedalekiém Mazowszu zmiana. Umarł bowiem bezdzietny Janusz, książę na Ciechanowie, Zakroczymiu i Płocku, i nastręczała się sposobność wcielenia tych ziem do korony, jak to uczyniono poprzednio z Rawą, Sochaczewem i Gostyninem, albo osadzenia w nich właśnie Zygmunta, jako lennego księcia mazowieckiego. Okoliczności tak się szczęśliwie złożyły, że łatwo mogła w głowach braci zrodzić się myśl wyposażenia gołego królewicza cząstką piastowskiego dziedzictwa. Wśród przypuszczeń i domysłów, któreby się wątpliwemi mogły nam wydać, mamy jednak jeden fakt niewątpliwy, że Zygmunt po powrocie z Torunia, bawiąc wraz z królem w Rawie w końcu lipca 1495 roku, podążył stamtąd jakby na rozkaz Olbrachta do Płocka, i tam w ciągu kilkunastu dni w początkach sierpnia bawił. Zbyt to wyraźny ślad wątku, żeby go nie wpleść do téj szerokiéj osnowy sprawy, która jako nieukończona, niezałatwiona, wysuwała się ustawicznie na porządek dzienny przy każdéj sposobności. Wiadomo jednak, że rzeczy inny wzięły obrót, że jedynemu po śmierci Janusza pozostałemu bratu Konradowi, księciu czerskiemu udało się nareszcie kosztem znacznéj ofiary uzyskać tytułem dożywotniego lennego posiadania pomienione ziemie. Ale nastąpiło to wskutku dość długich rokowań, których bieg powolny poniekąd dałby się objaśnić współzawodnictwem, jakie się nasuwało w osobie Zygmunta. Wśród chwiejących się postanowień zaważyły przecież na szalach inne względy, może najmniéj nadzieja ciągle przyświecająca zdobycia korony hospodara mołdawskiego. Bo te różne, na pozór sprzeczne zamiary i zabiegi godziły się wzajem pod hasłem, aby jakkolwiekbądź, byle coprędzéj znaleść dla królewicza odpowiednie opatrzenie i stanowisko. Ciągle powstawały jakieś projekty, nowe ukazywały się jak w kalejdoskopie tęczowe widoki. I puszczano się wnet w pogoń za błędnym ognikiem, za temi mamidłami. Jak piłkę rzucano z rąk do rąk przyszłe losy Zygmunta: to Kijów, to Mołdawia, to rakuski spadek, to może Mazowsze, a do téj gry śmiałéj, fantastycznéj zawsze wciągano królewicza. Nawet nie pominięto korony szwedzkiéj. Z instrukcyi poselskiéj przesłanéj do Sten-Stura, zawiadującego osierociałem królestwem, wyrozumiéć można, że między 1492 a 1497 rokiem wielki mistrz krzyżacki powziął myśl popierania królewicza polskiego na tron Szwecyi w razie przyłączenia do posiadłości zakonu pruskiego prowincyi Prus królewskich [1]).

---

[1]) Zob. Dr. J. Caro. Gesch. Polens V. II. str. 688, który powołuje dokument u Napierskiego, Index II. Nr. 2224.

Nie szczędzono więc, jak się okazuje z powyższego, pracy, zabiegów, usiłowań. Tylko, że wszystko daremnie, bo syzyfowy kamień ciągle wracał na dawne miejsce.

Może więc na obcéj ziemi znajdzie się więcéj szczęścia, niżeli na własnéj, rodzinnéj, gdzie się tylu doznało zawodów. Widoków dla siebie w Polsce nie miał królewicz żadnych, choćby w odleglejszéj przyszłości. Liczyć na zmianę tronu w Koronie lub na Litwie, kiedy dwaj bracia, nie o wiele co starsi wiekiem, tylko co władzę objęli w pełni sił męskiego wieku, czerstwego zdrowia, i kiedy prócz tego, jeden i drugi doczekać się mogli licznego potomstwa, byłoby to samo, co napowietrzne stawiać zamki. Najstarszy zaś brat Władysław, daléj już w latach posunięty, ciągle jeszcze bezdzietny, władca na dwóch królestwach elekcyjnych, stanowił przedmiot, o który się mogła łatwiéj zaczepić pajęcza przędza śmiałych przewidywań. Bo żeby jedynie tylko nadzieja otrzymania drobnego księstwa głogowskiego na Śląsku, względem czego rokowania między braćmi, jak się zdaje, były w biegu, skłoniła Zygmunta do przeniesienia się na Węgry, to nie zdaje się być prawdopodobném, tém więcéj, że nawet po pomyślném ich zakończeniu, królewicz, jak wiadomo, pozostał nadal jeszcze dłuższy czas w Budzyniu, bynajmniéj nie śpiesząc do swego karłowatego państewka. Ale rzecz to podrzędna, z jakich pobudek Zygmunt Polskę porzucił, dość, że przeniósł się na obcą ziemię, pod opiekę gościnnego brata i osiadł, jak się na czele nadmieniło, późną jesienią 1498 roku w Budzyniu, nad brzegami Dunaju.

III.

Trzyletni królewicza pobyt w Budzyniu upłynął wśród spokoju i bezczynności, jak czas tego żeglarza, którego łódź w pełnym biegu zatrzyma i uwięzi zacisze morskie. Wlecze się leniwo dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Na gładkiéj powierzchni życia powszedniego nie toczą się fale, nie kołyszą się nurty oceanu. Próżnię wypełnia tylko senne oczekiwanie, przerywane kiedy niekiedy jakimś podmuchem łagodnego wiatru. Gdy wśród tego spoczynku losy Zygmunta nie posuwają się naprzód i nie zapisują się w księdze jego dziejów wyraźniejszemi zmianami, korzystajmy z téj sposobnéj pory, żeby rzucić na pustą kartę jego żywota kilka rysów, które pozwolą choć w części stan i usposobienie bezczynnego żeglarza zrozumieć, oraz ocenić wpływy, jakie wywrzeć nań mogła doba długotrwałego zacisza.

Na zamku węgierskim w Budzyniu, dwór królewicza polskiego stanowi poniekąd odrębną, samoistną całość, jakby żywcem przeniesioną z Krakowa lub Poznania do naddunajskiego grodu z całém otoczeniem, służbą, z rojem dworzan, z pocztem orężnym, z ciżbą pokojowych, pachołków, woźniców, forytarzy, oficyalistów dworskich, kucharzy i kuchcików, z taborem wozów, sprzętów, ze stajnią, z końmi „rycerskiemi i kolebczanemi“. Jestto mały światek, sam w sobie, odgrodzony i odosobniony, nie skrępowany w swym ruchu i rozwoju, niby osada polska na obcym gruncie, ulegająca zewnętrznym wpływom, zależna w części od szafarzy węgierskich, zaopatrujących w żywność śpiżarnię królewicza. Takiem bogactwem szczegółów w tym względzie rozporządza nasze źródło piśmienne, że nam ów dwór, ów światek oddzielny ukazuje w całéj pełni jego wewnętrznego układu ze wszystkiemi drobiazgami potocznego życia, uchyla zasłony, z po za któréj dadzą się podpatrzéć rysy znamionujące samego gospodarza.

Przedewszystkiém więc z nim się poznajmy bliżéj.

Gdyby współczesny Dürer lub Burkmair miał odmalować królewicza portret naturalnéj wielkości, musiałby był użyć płótna niemało na przedstawienie okazałéj i wyniosłéj jego postaci, która dla swéj plastyki może mniéj nadawała się do pędzla, a więcéj do śpiżowego odlewu z ręki jakiego Vischera.

To istny dąb litewski o rdzennym pniu i rozłożystych konarach. Budowa kostna rozwinięta wzdłuż i wszerz jak mocne rusztowanie. Wzrok się wysila, żeby jednym rzutem ogarnąć tę całość. W wąskiém gotyckiém oknie nie pomieściłyby się te szerokie, barczyste ramiona. Renesans budzący się z téj i z tamtéj strony Karpat byłby sobie łatwiéj poradził z tą harmonijną pełnią dwóch wymiarów. Plastykę bogatéj powłoki ciała znamionują wyrobione muskuły, układające się na obliczu w miękkie, pulchne prawie kształty. Królewicz Zygmunt jest w dobie skończonego już rozwoju fizycznego. Ma nieco więcéj jak trzydzieści lat życia. Z twarzy i z budowy ciała wyziéra czerstwe zdrowie w całéj swéj sile i jędrności męskiéj. Pierś wydatna, jakby ze stali ukuta, ręce niby żelazne, co potrafią łamać podkowy, rwać liny, grę kart rozdziérać.

Więc w ciężką zbroję przyodziać tę iście rycerską postać, miecz długi przypasać do boku i osadzić ją jak u Velazqueza książe Olivares—na ognistym rumaku.

Nie—w rynsztunku bojowym, w rycerskim stroju, nie byłoby do twarzy Zygmuntowi. Malarz, któryby mu się pilniéj przypatrzył, dostrzegłby łatwo, że z dużych nieporuszonych oczu wynurza się spokój łagodnéj niewojowniczéj duszy, że w okrągłéj, nieco pełnéj twa-

rzy, zakończonéj szerokim podbródkiem, pokrytym krótko strzyżoną brodą, odbija się raczéj błogie zadowolenie, niżeli marsowa surowość. Nos orli, wypukły, o szerokiéj podstawie, wskazywałby także pewną przewagę usposobienia pokojowego nad porywczym, krwistym temperamentem. Szczególniéj zaś te długie ciemne włosy, które bujnie spływały na ramiona, a w części z przodu zakrywały wydatne czoło, nie harmonizowałyby ze stalowym hełmem, którymby trzeba było głowę pokryć. Zresztą szyszak choćby płytki i lekki ugniatałby skronie, na których ze szczególném upodobaniem nosi królewicz włoski aksamitny czepiec, albo — co jeszcze sprzeczniejsze z rycerską postawą— wieńce z róż lub fijołków. Tak — a nie inaczéj—wieniec z kwiatów.

Kto czoło swe z takiém zamiłowaniem zdobił wonném kwieciem, temuby najmniéj przypadał do twarzy ciężki kołpak stalowy, najmniéj wojenny rynsztunek.

Artyście malarzowi wypadłoby więc portretowanéj postaci nadać wyraz i układ, któryby w zgodzie był z wewnętrznym jéj stanem i z duchowym jéj nastrojem. Z okazałą postawą, którą natura obdarzyła królewicza, łączy się nie wyzywająca zuchwałość, nie wojownicza żołnierska zamaszystość, ale powaga rzymskiego senatora, pewien spokój kontemplacyjnego umysłu. Gdyby to z klasycznego świata była figura, toby jéj najwięcéj odpowiadała długa fałdzista toga. Ale na schyłku XV wieku, przytém pod surowém niebem Polski w tak rozwiewny strój, jak staro rzymski, ubraćby nie było można syna rycerskiéj jeszcze, bądźcobądź, epoki. Trzeba więc rzucić na jego ramiona bogatą szubę sobolami podbitą, z czarnego adamaszku wzorzystego, złotem haftowaną. Z po za jéj szeroko odrzuconych przodów, wyziera błękitny, jak niebo włoskie, aksamitny kabat, który sięga aż do kolan, przystający szczelnie do ciała, zapięty na piersi długim szeregiem złotych knawlików, wokoło szyi osuty bogato perłami. Z po za kołnierza wygląda rąbek białéj koszuli, lśniący złotą, gęsto przeszywaną przędzą. Na piersi spływa ciężki, w duże ogniwa spojony łańcuch, również ze złota. Biodra opasuje wąski rzemień, nabijany srebrem i złotem, zamykający się na klamrę pozłocistą. U lewego boku na dwóch paskach, przyczepionych do pochwy, krótki kord w niéj schowany. Jestto jedyny, bardzo skromny znak rycerskiéj godności, bez którego Zygmunt nigdy się nie ukazuje. Zawsze go ma przy sobie. Wyobraża on niejako szczątkową pozostałość, symbolizującą przejściową epokę społeczności polskiéj—od krwawych bojów do majestatu pokoju. Wreszcie na portrecie naturalnéj wielkości należałoby uwydatnić i ten szczegół, że stopy i nogi aż do ko-

lan ujęte są w „pończochy“ z płowego zamszu, oblamowane zachodzącym z pod podeszwy wąskim paskiem czerwonego safianu.

Jeżeliby artyście potrzeba było jakichś dodatków, któreby ożywiły samotny portret, to nie wadziłoby, aby jako Van Dyck umieścił u boku wizerunku przy nogach ulubionego pokojowego psa królewicza. Zjedna sobie tém niewątpliwie uznanie malowanéj osoby. Zygmunt rozmiłowany jest w swoim kudłatym, o białéj śnieżystéj sierści „Bieliku“ albo „Bieliczku“, który mu ustawicznie, nieodłącznie towarzyszy na wszystkich jego wycieczkach pieszych i jest przedmiotem szczególniejszéj jego troskliwości.

Zwolnijmy już jednak królewicza od pozowania malarzowi. Zachowajmy tylko w pamięci rysy jego oblicza rumianego, jego głowę ubraną w wieniec z róż wonnych, jego majestatyczną postawę, jego dobrotliwy wyraz twarzy. Postawmy tę postać teraz na tle życia powszedniego i zobaczmy, jak w otoczeniu spraw codziennych, upływają tygodnie, miesiące, nawet lata całe.

Wśród ścian przybytku domowego, który zajmuje Zygmunt wraz z ludnym swym dworem z łaski i gościnności brata Władysława króla, panuje prostota niemal klasztorna, w niczém nie przypominająca przepychu książęcych pałaców w miastach włoskich. Na ścianach nie wiszą makaty lub gobeliny, nie zdobią ich płótna mistrzów malarskich, nie lśni marmur na posadzce, nie łamią się promienie światła w różnobarwnych szybach weneckich. Ściany gołe, wapnem pociągnięte, w sypialnéj komnacie pokryte oponami wschodniego wyrobu, piece kaflowe malowane, podłoga z desek, do któréj zamiatania niższa służba, czyli orosze, używają zwyczajnych mioteł, zamki przy drzwiach słabe, rdzą strawione, które często naprawiać wypada. Komnat sporo na dole i na piętrze, które zajmują dworzanie, ale Zygmunt sam poprzestaje na kilku najniezbędniejszych. Nie byłoby czego w nich rozstawiać. Przywiozło się z Polski — to co było nieodzowne, co stanowiło własność niezbyt bogatego królewicza. Nieliczna zaś część sprzętów pozostała w Krakowie na dalsze przechowanie. Sypialnia, jadalnia i skarbiec czyli schowanie, może jeszcze jedna i druga komnata, oto i wszystko.

Pomimo skromnego pozoru, wszędzie widać czystość, wszędzie ład przebija. Królewicz lubi nadzwyczaj porządek. Jest systematyczny. Pragnie, aby pewne sprzęty lub przedmioty stały zawsze na tém samém miejscu. Łóżko przy ścianie osłonięte ciemną adamaszkową kołdrą, lekkim mchem powiewnym wypełnione poduszki, pokryte jedwabnemi powłoczkami. O wczesnéj porze wiosen-

nėj, kiedy zakwitną róże i fiołki, zdobią je rozrzucone tu i ówdzie wiązki żywych kwiatów.

Przy łóżku stoi miecz duży w pochwie, oprawny w kosztowną rękojeść. To nieodłączny świadek wieczornych marzeń. Nad łóżkiem zawieszona długa „helbarta“, turecka szabla, ciężka kusza, kołczan najeżony strzałami. Na widok tėj różnorodnėj broni możnaby przypuścić, że w otoczeniu tych zabójczych narzędzi spoczywa chciwy krwi ludzkiėj lub zwierzęcėj, wojownik albo myśliwy. Ale to złudne pozory tylko, to raczėj ozdoby, składowe części rycerskiego stroju, który był ogólny, powszechny, nieodzowny. Królewicz nie kocha się w rycerskich ćwiczeniach, nie zapala się do łowów. To nie Stefan Batory...

Nie dostrzeżesz na ścianach myśliwskich łupów, żubrzych rogów, wilczych kłów, niedźwiedziėj skóry, na stole wypchanych nie ujrzysz orłów, sępów lub innych drapieżnych ptaków. Zdawałoby się, że natura darząc królewicza polskiego taką postawą i siłą, stworzyła w nim Nemroda, albo Bayarda. Tymczasem ani jedno — ani drugie. Ojciec, król Kazimierz, był w młodszych swych latach takim zapalonym myśliwym, że tygodnie całe, szczególniėj zimowe, spędzał na łowach w litewskich puszczach. Sam Zygmunt, może nawet i jego bracia tėj żyłki nie odziedziczyli. Zamiast psów medyolańskich, ogarów, legawych lub sfory chartów, których Batory zewsząd sprowadzał, zamiast kreczotów, sokołów, rarogów, królewicz ma jednego psa pokojowego, pieszczonego „Bielika“.

Tylko dworski myśliwy chowa przy sobie psy legawe i z niemi poluje na ptaki i zwierzynę dla kuchni książęcėj.

W skarbcu czyli schowaniu daremnieby szukać było zbrojowni. Tam raczėj szaty, bielizna, srebro stołowe, naczynia, skrzynie, puzdra i szkatuły — a zbroje i rynsztunki w całym niebogatym składzie w sypialnėj komnacie, z wyjątkiem chyba wielkiėj, ciężkiėj rusznicy i kilku samostrzałów.

Więc gdy ani rycerskie rynsztunki, ani myśliwskie przybory nie stanowią przedmiotów upodobania królewicza polskiego, to jakież inne, pytamy, znaleśćby się mogły w jego komnatach, z których wnosićby należało o zajęciach, wypełniających wielką próżnię życia — życia bez obowiązków, bez stanowiska, bez określonego celu?

Może tygle alchemiczne, tablice gwiaździarskie, może wymiana listów z humanistami, upominki wędrownych artystów, więc szukanie kamienia filozoficznego, badanie przyszłości, upodobanie w swywolnėj muzie odrodzenia lub zatopienie się w świecie piękna artystycznego?

Nic zgoła z alchemii, z astrologii, z nauki i literatury.

Spójrzmy na stolik stojący w sypialnéj komnacie.

Na nim lustro stalowe, gładzone, w którém się przegląda królewicz, kiedy balwierz dworski, żółtkiem od jajka wytarłszy długie włosy, aby się nie lepiły, układa je do harmonijnéj równowagi. Obok leży „instrument“ w złoto oprawny do czyszczenia zębów, zwykły kościany grzebień, szkatułka drewniana z głowienkami, trociczkami i bursztynem dla napełniania przyjemniejszą wonią sypialnéj komnaty. Zmysł powonienia dość silnie rozwinięty. Daléj znów inna, mała, srebrna szkatułka z drobnemi klejnotami — między innemi, pamiątkowy pierścień z brylantem, pochodzący w darze od matki królowéj.

Na drugim stoliku również ład i porządek, o który dba królewicz w najdrobniejszych szczegółach. Tam leży książka do nabożeństwa, modlitewnik łaciński — owoc pracy węgierskiego pisarza, pięknie na pergaminie iluminowany przez jakiegoś opata, starannie oprawny, zamknięty w woreczku zamszowym, żeby na nim pył nie osiadał i by go wygodniéj nosić było można. Obok—szkatułki umyślnie zakupione dla chowania listów, osobna dla korespodencyi prywatnéj i osobna dla spraw publicznych i przywilejów, dotyczących księstwa głogowskiego. Kałamarz do inkaustu, piaseczniczka do zasypywania świeżego pisma, kilka arkuszy papieru, pargaminu do zapisywania na nim wydatków, uzupełniają obraz szczegółów piśmienniczych.

Z zakresu wiedzy ludzkiéj bardzo nieliczne pomniki. Jakieś zasady arytmetyki czyli nauki rachunków ułożone przez Włocha Filipa, ofiarowane królewiczowi w rękopisie w czasie, kiedy królewicz zabierał się do zgłębiania prawd elementarnéj matematyki. Wreszcie jakieś architektoniczne wizerunki różnych gmachów, nabyte od wędrownego Włocha, a nakoniec kilka okazów tak zwanych *Indicia anni..*, czyli czterokartkowych, niekiedy obszerniejszych kalendarzy, w których się mieszczą prócz tabeli dni, świąt i t. d., przepowiednie astrologiczne, wiadomości o konstelacyach politycznych i wojennych, a co najważniejsza, wskazówki, którego dnia najlepiéj brać na przeczyszczenie, spędzać humory, krew puszczać i t. p.

Zródło więc rozrywek umysłowych, jak widać, niezbyt obfite, niezbyt bogate, owszem, nawet niezmiernie ubogie, nie odpowiadające poziomowi ówczesnego stanu umysłowego w Polsce lub na Węgrzech, zwłaszcza w takiém siedlisku ożywionego ruchu humanistycznego, jakiém był Budzyń, wyniesiony staraniem niedawno zmarłego Macieja Korwina do rzędu wielkich ognisk myśli europejskiéj. Zre-

sztą Zygmunt nie kierował się na kleryka, nie sposobił się do stanu duchownego. Co innego brat-kardynał Fryderyk. Ale i ten wolał młode lutnistki i lekkie tanecznice, niżeli stare rękopisy i ciężkie księgi.

Do tego stolika przysiada się często królewicz i rad przegląda kalendarze. Przyszłość nieokreślona, niepewna, oczekiwanie ciągłe, bez końca, wieczne. Może zajdzie jaka zmiana w Polsce, na Litwie? Kiedy do Krakowa przybędzie Zygmunt około Nowego roku, w czasie gdy kalendarze się ukazują, zaraz jeden z pierwszych wydatków idzie na nabycie egzemplarza tych przepowiedni. Ale i modlitewnik nie leży na stole dla samej tylko ozdoby. Owszem, królewicz często go używa. Jest on uczniem Długosza i wiernie przechował przez całe swe życie zaszczepione przez mistrza zasady głębokiéj i gorącéj wiary. Może je ugruntował jeszcze więcéj, po śmierci kanonika dziejopisa mistrz Jan Vels, proboszcz parafii św. Szczepana w Krakowie, któremu powierzoném było wychowanie i kształcenie królewiczów. Religijność stała się wybitną cechą charakteru Zygmunta.

Rano codzień msza, którą odprawia kapelan i spowiednik Mikołaj. W razie przygodnéj słabości zastępuje go inny ksiądz z sąsiedniego klasztoru lub kościoła w Budzyniu. Bez nabożeństwa w kaplicy Zygmunt dnia nie rozpoczyna. Kiedy przybędzie na chwilowy pobyt do Krakowa, spowiada się u OO. Franciszkanów, pieszo odbywa pielgrzymkę do grobu św. Stanisława na Skałce. Królem zostawszy, składa Bogu w kościołach bogate wota po każdém świetniejszém zwycięstwie nad wrogami. Z duchowieństwem węgierskiém łączą go ożywione i serdeczne stosunki. Ze szkatuły królewicza, która niekiedy podsycha, płyną jednak obfite dary i jałmużny dla kościołów, klasztorów, na szpitale, do rąk żebraków, kalek, z niewoli wracających współziomków. Zawsze hojność, ożywiona przeświadczeniem o konieczności dobrych uczynków. Ten rys religijności zbliża go do starszego brata, Kazimierza, który w 1521 r. dostąpił zaszczytu kanonizowania.

Przy tym samym stoliku, na którym Zygmunt po odbyciu nabożeństwa swój modlitewnik składa, zabiera się do przeglądania „liczby“, czyli rachunków. Lubi także w tym względzie porządek i ścisłość. Chociaż ochmistrz dworu, Krzysztof Szydłowiecki, sam co tydzień sprawdza wydatki, które spisuje „bakałarz“, szafujący szkatułą na bieżące wydatki, jednakże królewicz wgląda w szczegóły, rozważa i kombinuje. Bez jego wyraźnego zlecenia żaden denar wydanym być nie może. Kiedy przygodnie jaki lichszy, spodlony pieniądz się nawinie, to bakałarzowi każe go zachować, żeby wydać go

później bez straty przy sposobnéj porze. Sam zewnętrzny pozór pięknie, starannie notowanych rozchodów i przychodów, zachowanych po dzień dzisiejszy we współczesnéj ozdobnéj oprawie, świadczy wymownie, że dbano o ład, porządek, o dobre gospodarstwo. Wogóle drobne rysy składają się na wyraźny obraz natury królewicza. Mimo wzrost i siłę—nie jest-to rycerz, nie myśliwy, nie krew gorąca a ruchliwe ramię, ale natura spokojna, temperamt łagodny, uczucie miękkie, religijne, umysł refleksyjny, zamiłowany w systematyczności i porządku.

Życie spokojne, wygodne, prawidłowe, jak w klasztorze, sprzyjało zdrowiu téj silnéj i jędrnéj organizacyi.

Królewicz o rumianém obliczu, nigdy nie choruje. Raz tylko lekko zaniemógł. Zaraz mu téż cyrulik krew z ręki puścił i przechował ją w szklanném naczyniu, żeby się przypatrzéć, czyli skrzepy na powierzchni płynu nie zapowiedzą jakiéj groźnéj gorączki. Obawy atoli okazały się, na szczęście, płonnemi. Odporność organizmu była silna, nie łatwo czepiała go się choroba. Ale bo też królewicz wielkie ma o swe zdrowie staranie, przynajmniéj w przestrzeganiu czystości ciała, która, jak wiadomo, tak ważnym jest warunkiem. Trzyma się ściśle starego, ale rozumnego zwyczaju — używania łaźni i kąpieli.

Już to co tydzień bez wyjątku, zwykle w sobotę, Zygmunt chodzi latem czy zimą do ciepłéj kąpieli. Sobota—dzień przed niedzielą uprzywilejowany, nie minie bez lawacyi. W drodze nawet, choćby w miasteczku lub we wsi, każe odszukać sobie łaźnią i w niéj ciało swe wystawia na działanie pary. Ten hygieniczny środek należy u Zygmunta do potrzeb zwyczajnych, nieodzownych. Ale Budzyń nastręczał nawet sposobność używania naturalnych cieplic, które w różnych stronach miasta z rozmaitych tryskały źródeł. Już Rzymianom, podczas ich nad Dunajem w Panonii pobytu, znane były pod Budzyniem siarczane kąpiele, oraz źródła ciepłéj wody. Jedno z nich wydobywające się z pod zamkowéj góry, na któréj zbudowany był gród warowny Budzynia, było wspaniale urządzone przez króla Macieja Korwina i połączone krużgankiem z komnatami zamkowemi. Źródło to nazywa się obecnie Raczfürdo po węgiersku i obfituje w wodę, która mierzy 37 stopni Celsiusza ciepła. Zdaje się, że królewicz Zygmunt, korzystając z bliskości miejsca, najczęściéj używał téj obojętnéj termy, tych cieplic naturalnych, które wyraźnie, jako cieplice (*in calidis*), zaznaczone są w naszéj księdze wydatków nadwornych. Kiedy niekiedy bywa tam także wzmianka o zimnéj kąpieli, którą Zygmunt każe urządzać sobie latem z wody rzecznéj, czerpanéj

umyślnie z Dunaju. Do kąpieli towarzyszy zwykle królewiczowi balwierz, który po drodze kupuje świeże jajko do włosów, idą razem orosze, co niosą ścierki do wycierania, prześcieradła do zasłonienia okien, drzwi i wstępują za każdym razem po gwoździe do sklepiku. A i Bielik, prowadzony przez Sidora sługę, używa w łaźni mycia i czesania. Zawsze kilka denarów kosztuje mydło dla utrzymania w czystości jego białych kudłów. Niekiedy i błazen nadworny, o ile się nie upije, idzie razem, żeby się maczać w wodzie. Wreszcie często gęsto wpadnie pachołek do apteki i kupi trociczek i główienek do zakadzenia w łaźni, bo snadź królewicz nie znosi wyziewów pary z rozgrzanych i rozpalonych kamieni.

Podniecana kąpielą skóra przyśpiesza zmianę materyi i przyczynia się tą drogą do zaostrzenia apetytu. Królewicz wśród spokoju, wygód i wytchnienia nerwów niezbyt natężanych, dobrze trawi obfity pokarm, którego spożywanie, będąc potrzebą zdrowego i silnego organizmu, stanowi miłe urozmaicenie wśród wielkiéj próżni jednostajnego życia. Trzykrotny posiłek, o stałéj porze podawany w oznaczonych ściśle godzinach, dzieli przyjemnie długi dzień na trzy okresy. Rano piwo grzane, o ile się zdaje,—gramatką (dziś gramatyka) je zwano — w południe obiad, przed zachodem słońca latem, a przy świecach zimą wieczerza.

Zajrzyjmy do sali jadalnéj.

Nim z odległéj kuchni, którą szlachetny pan Chlewicki zarządza, przyniosą półmiski, rzućmy okiem na zastawę stołową. Jest ona własnością osobistą królewicza, przywiezioną z Krakowa. Niepodobna nadużywać gościnności brata Władysława i być na łasce kredencerza węgierskiego. Trzeba miéć swoję bieliznę stołową i swoje nakrycia. Więc oto talérze, miski, półmiski, pokrywy, przystawki, dzbany do piwa, wody i wina, czasze i puchary — wszystko ze srebra, to i owo pozłacane, drogiemi kamieniami ozdobione. Srebrną faskę, w któréj przynoszą z kuchni do stołu, pozłacane talérze kazał Zygmunt jakiemuś Włochowi złotnikowi „przedziałać“ i dodać trzy grzywny srebra, aby jéj nadać postać ozdobniejszą. Widełki i noże stalowe z trzonkami srebrnemi. Od złota i srebra aż blask bije — wszystko szczere, prawdziwe, z „*fainu*“ zrobione. Umyślnie kupiona jest waga, żeby złotnik każdą sztukę odważył i u spodu, lub na odwrotnéj stronie, wagę jéj wyrył. Nim pan krajczy Chroberski poleci pokojowym przynieść zastawę ze skarbca, nim ci nakryją do stołu, musi im dać klucze od futerałów, w których się ona mieści. Puchary, które w podarunku otrzymał królewicz od brata Władysława, schowane są w puzdrach, na których przytwierdzono umyślnie ze srebra wycięte

herby jagielońskie. Talérze, półmiski, pokrywy, spoczywają w wielkim „brotfasie“ [1]), który stoi zawsze tuż przy stole jadalnym. Jestto robota miejscowego złotnika — jakiegoś Niemca. W białe płótno każda sztuka jest owinięta. Pedantyczny wszędzie panuje porządek. Jak przyjdzie w drogę zabierać zastawę, to puchary otrzymują powłoczki, brotfasy spinają rzemieniami, a na to jeszcze raz grube płócienne pokrowce.

Ale skończmy już niedyskretny przegląd. Waza podana. Królewicz wchodzi powolnym miarowym krokiem, jak gdyby się uginał pod ciężarem swego ciała, choć przecież lekki strój domowy nie krępował żywszego ruchu. Ale ten spokój w posuwaniu się naprzód znamionuje powagę, która jest jakby przyrodzoną Zygmunta własnością. Wdzięk i elegancya łączy się z powagą. Królewicz lubi być starannie i pięknie ubranym. Głowę pokrywa jedwabna gęsta siatka, która trzyma w skupieniu jego ciemne bujne włosy. Aksamitną suknię błękitnego koloru, przystającą do ciała, obcisłą niby żupanik, sięgającą do kolan, spina około stanu pas srebrem nabijany, ze srebrném na przedzie „zakowaniem“ (klamrą). Niewielkie złote knawliki (guziczki), które w gęstym rzędzie długim sznurem od szyi się snują, odbijają blaskiem jak gwiazdki od sklepienia niebios. Nagolenniki obcisłe z płowego aksamitu sięgają od kolan aż na stopę, którą od spodu ujmują lekkie zamszowe ciżemki.

IV.

Ponieważ wszystkiego na stół książęcy dostarczała śpiżarnia zamku królewskiego, i wydatki na kuchnię nie obciążały szkatuły Zygmunta, niepodobna więc z brakujących w księdze rachunkowéj rozchodów odtworzyć obrazu ze stanowiska gastronomicznego. Historyk z późniejszéj epoki, Wapowski, który znał dobrze królewicza już jako króla i przy dworze jego bawił, wspomina o przymiotach Zygmunta, że zalecała go w 1492 r. do tronu w oczach wielu senatorów wstrzemięźliwość i trzeźwość, bo zwykł był, wzorem ojca swego, czystą wodą gasić pragnienie. Świadectwa tego w wątpliwość podawać,

[1]) Brotfas v. brothphasz, wyraz oczywiście niemiecki, nie znajduje się w słowniku Grimma. Z kilkakrotnych o nim wzmianek w księdze wydatków widać, że to był rodzaj kredensu, które w tamtym właśnie wieku, mianowicie w XV, weszły w użycie we Włoszech, we Francyi i w Niemczech. Pod wpływem sztuki renesansowéj pokrywano zewnętrzną ścianę pięknemi srebrnemi ozdobami. W innym wypadku wzmianka jest w téj saméj księdze o kredensie „z językami smoków“.

nie masz żadnéj zasady. Owszem, polegać na niém można. Ale między opilstwem, smakoszostwem a spartańską prostotą jest przedział wielki. W środkowém miejscu należałoby pomieścić sposób życia Zygmunta w Budzyniu, którego Wapowski nie widział, a które nam wiarogodniéj i prawdziwiéj odsłania księga wydatków. Z tych różnych darów, jakie przysyłano królewiczowi, płyną wskazówki, pozwalające wyrozumiéć, czém chciano lub potrafiono mu dogodzić, albo zjednać sobie jego życzliwość. Więc nie ujmowano go sobie tyle końmi, zbroją, szablą, rusznicą, parą sokołów, sforą chartów, ile raczéj jakim przysmakiem kuchennym albo piwnicznym podarunkiem. Znoszą mu tedy mnisi owoce, „wielkie brzoskinie", jabłka i gruszki w porze zimowéj, orzechy włoskie. Biskupi węgierscy i opaci nadsyłają ryby, szczupaka, żywego łososia—rzadkość wielką, — przepiórki, bażanty. Kucharz Wenetów, pewnie poselstwa weneckiego, ofiaruje jakąś potrawę, przez siebie sporządzoną. Pan Komorowski przysyła pstrągi z górskich strumieni karpackich, Bonar z Krakowa łososia, brat Aleksander z Litwy zą̨brzyny (fol. 71) ćwierć (z żubra). Z różnych stron nadchodzą beczułki z oliwą, beczki wina węgierskiego, małmazyi i t. p. Królewicz sam zresztą z własnéj szkatuły zaopatruje swą piwnicę. Piwo również często ukazuje się na stole. Latem i lód bywa do chłodzenia przy obiedzie napojów — wydobywają go z głębokiéj studni na dziedzińcu zamkowym, lub w klasztorze św. Jana.

Jak tam nie pić, nie spłukać gardła po tych ostrych, przyprawnych potrawach, po tych korzennych przysmakach, które przywożone z dalekich Indyj, stały się taką powszechną ozdobą wielkopańskich stołów. Kiedy królewicz wybiera się w podróż do Krakowa, która kilka dni, najwyżéj tydzień trwać mogła, ekonom zakupuje całe wory, po kilkadziesiąt funtów ważące, słodyczy i korzeni, pieprzu, cynamonu, kaparów, szafranu, rodzynków, migdałów, kwiatu muszkatołowego, gwoździków i cukru „fainu." Nie świadczy to jeszcze bynajmniéj o sybaryckim smaku królewicza Zygmunta, ani o lukulusowych zbytkach jego stołu, ale z drugiéj strony, takie specyały nie przypominają także anachorety, który zwykł czerstwy chléb w czystéj wodzie maczać.

Jędrne zdrowie, brak zajęcia określonego, próżnia życia nie wypełniona choćby ćwiczeniem rycerskiém lub myśliwską zabawą, wpływały prawdopodobnie na zaostrzoną chęć dogadzania podniebieniu. To też z czasem wystąpią na oblicze jeszcze żywsze, jak za lat młodych rumieńce, muskuły zaczną tłuszczem przerastać, twarz się zaokrągli, podbródek obwiśnie, zleniwieje zmiana materyi, zaczną się tworzyć w dolnych kończynach złogi wapieniste, wystąpią bóle w wiel-

kim palcu u nogi. Król około 60 roku życia zacznie się uskarżać na podagrę, która obezwładni niekiedy na całe miesiące jego ruchy, przykuje do miejsca, do łóżka, sprowadzi bezsenne noce i zgotuje mu ociężałą, dolegliwą starość.

Przy swych codziennych posiłkach, spożywanych samotnie, w obecności usługujących dworzan, albo też panny Katarzyny, która się zresztą starannie ukrywała, królewicz, jak wogóle, mówił nie wiele. Ale miał natomiast rozrywek nie mało, które głaskały ucho, bawiły oko i rozweselały umysł, nie pozwalając oddawać się szkodliwym przy obiedzie lub wieczerzy głębokim i posępnym rozmyślaniom. W rannéj i południowéj porze, najczęściéj zaś podczas obiadu, zgłaszają się chodzący po jałmużnie kwestarze z klasztorów, zakonnicy, świeccy księża, ubodzy, kaleki z miasta, ze wsi sąsiednich i ze stron bardzo nieraz dalekich. Coś się zawsze od nich zasłyszy. To mnich z Etyopii, to Bernardyn z Moraw lub Polski, to pielgrzym z Rzymu wracający do kraju, to szlachcic z Mazur lub z Rusi, któremu się udało wydostać z niewoli tureckiéj, jeszcze z czasów wyprawy mołdawskiéj, smutnéj pamięci, to jeńcy z Chorwacyi, nawet jakiś książę zagórski Jerzy, który po dwakroć wyciąga rękę o wsparcie. Żacy i bakałarze ze wszystkich szkół, organiści, dzwonnicy się przewijają często gęsto, jedni ze śpiewem chóralnym, inni z muzyką, z dzwonkami, wieżowi stróże od Panny Maryi z trąbami, na których hejnał otrębują. A niech przyjdzie jakie święto większe, uroczyste, — to już od samego rana drzwi się nie zamykają. Królewicz nie zwykł odpychać i odtrącać od siebie nawet maluczkich. Kiedy na tronie zasiądzie, będzie jako król tak samo dla wszystkich przystępnym. Drzwi zamkowe staną otworem dla tych, co się doń zgłaszać będą.

Zygmunt lubi harmonią tonów. Raz i drugi organista króla węgierskiego grał na organie przy obiedzie, lub przy wieczerzy.

Świecką muzyką lub śpiewem nie gardzi królewicz. Owszem, podczas siesty poobiedniéj,—rzadko drzémki używając,—przysłuchuje się z upodobaniem, z lubością elegijnym lub wesołym dźwiękom i głosom fletu, harfy, lutni lub gęślarza. Gdy wędrowny harfiarz z krainy minnesängerów „pieśń o miłości“ zanuci, albo nadworny lutnista Czuryło, stary pieśniarz, po rusku o Litwie zaśpiewa, gdy cyganie na cytarach uderzą w smętną strunę, to Zygmunt się rozpływa w zadowoleniu. Wolno płynące harmonijne fale kołyszą łagodnie jego spokojną zadumę. Wrażliwość na rytm muzyczny, na dźwięk melodyi — to niemal rys znamienny, dziedziczny wszystkich Jagielonów. Dziad Władysław nabawił się choroby, a pono i śmierci, kiedy mimo zimna kwietniowéj nocy poszedł do lasu dla słuchania słowika i ucieszenia

się jego słodkiém pieniem. Brat Aleksander trzymał na swym dworze fletnistów, a u Fryderyka, kardynała, — tém mniéj — ich nie brakowało.

Lecz i pospolitsze zabawy mile bawią oko. Przyjdą żaki „z cesarzem czy z królem“ i przy śpiewie pląsają. Przyjdzie Włoch linoskok z psem tańczącym, albo Niemiec z harfiarką, która zwinnie skacze, chłopi węgierscy, ująwszy za boki dziewczynę, w namiętnym czardaszu wyrażą różne stopnie, przez jakie miłość przechodzi, „Rusaki“ z niedźwiedziakiem, który przy odgłosie trąby tańczy. Znajdą się i inne rozrywki o rycerskim charakterze. „Lancnachci“ (*Landsknechty*), wędrowni z żołnierskiego rzemiosła, złożą się na kopie i siekiery, szermierkę urządzą, zaiskrzy się stal przy skrzyżowaniu ciosów, czasem i krew popłynie. Niekiedy i turniéj na dziedzińcu zamkowym rozweseli królewicza, chociaż, o ile miarkować można, w tych krwawych przedstawieniach teatralnych, Zygmunt nie znajduje szczególniejszego upodobania.

W zwykłym biegu poobiednich chwil, kiedy przygodnych nie masz rozrywek, nadworny błazen wesołością i dowcipami, lub komiczną mimiką, figlami rozprasza nudy. Nicpoń to wielki, ladaco, upija się czasami dla lepszego animuszu, wyłudza ciągle grosze z kalety swego pana to na upranie koszuli, to na parę butów. Nazywa się „doktór“. Chyba tak dla farsy? Ale wesół, krotofilny i do śmiechu pobudza. Raz się tak rozochocił, że aż piec w komnacie Zygmunta uszkodził. Do pomocy lub na zmianę przychodzą błaznowie od króla, albo od innych panów.

Ale oto zmrok zapada, wieczór się zbliża.

Wieczór jesienią lub w zimowéj porze — długi, jak bezdenna przepaść, nieskończony jak wieczność. Czas wlecze się leniwo, zégar jakby spał.

Podają kości. Ale skąd towarzysza wziąć? Jest błazen. Wydobywa więc królewicz denary ze szkatuły i zasiada z nim do gry. Gdy błaznowi służy szczęście, bierze stawkę; kiedy przegrywa, a gotówki nie ma, odpowiadają za to nos lub uszy jego. Są i szachy w użyciu. Czuryło sposobniejszy od błazna, grywa z królewiczem. Ukazuje się i inna rozrywka. Gra ta nazywa się *alca* (?) po łacinie. Używa się do niéj drewnianych pionków w liczbie 33-ch, z drzewa laurowego pomalowanego na różne kolory.

Najczęściéj zasiada jednak królewicz do kart. Już to karty czasami są stale na porządku dziennym. Dzień za dniem w ciągu zimowych miesięcy, Zygmunt szuka w kartach rozrywki, a zawsze każe sobie dukata w złocie dawać. Czyżby ciągle przegrywał? Może

więc za to w miłości był szczęśliwszy. Kto to wié! W domu u siebie, w gościnie u brata, w podróży nawet, karty stanowią ulubioną rozrywkę. Z królem Władysławem grywa Zygmunt stale w kryzołki. Co to oznaczać ma? nie umiem objaśnić. Kiedy później na tronie polskim zasiądzie, a przyjdą długie wieczory jesienne lub zimowe, to w kółku rodzinném chętnie spędzi jakąś godzinę przy kartach. Zwłaszcza kiedy podagra nawiedzi i do łóżka albo krzesła przykuje jak Prometeusza, to się w nich znajdzie środek na zabicie czasu.

Biskup Kremer w pogrzebowéj mowie będzie wychwalał starego króla zalety i będzie wspominał, że za lat młodszych niechętnie przypatrywał się maszkarom, linoskokom, śmieszkom i błazeńskim zabawom, że więc dopiéro na schyłku życia więcéj sobie w nich upodobał. Zdaje się, że chciał tém usprawiedliwić tę skłonność, mniemając, że była tylko przygodną. Lecz krasomówca pogrzebowy tych lat młodych królewicza, spędzonych w Budzyniu, nie widział. Ale tę drobną pominąwszy okoliczność, trzeba mu przyznać, że zresztą potrafił nawet nie zamilczéć o pewnych zdrożnościach, wystawiając obraz zmarłego króla, jakkolwiek starał się je niejako w sądzie swym złagodzić.

A panna Katarzyna? że nareszcie o niéj dorzucę słówko, dla uzupełnienia tego pośpiesznego przeglądu życia domowego. Panna Katarzyna trzyma się tak w ukryciu, że pomimo chęci nie wiele o niéj powiedziéć można. Księga wydatków zachowuje tak dyskretne milczenie, jak gdyby miała przechodzić przez kontrolę zazdrosnéj żony, ktoréj przecież królewicz jeszcze nie był pojął, ani pojąć zamierzał. Jakieś tylko słabe poszlaki naprowadzają na domysł, że Kasia istotnie towarzyszyła Zygmuntowi i dzieliła z nim nierozłącznie losy dobrowolnego wygnania [1]). A jednak tę tajemniczą dla nas w téj chwili osobę wszak znał niemal cały Kraków jeszcze przed wyjazdem królewicza do Węgier i panie wojewodziny i kasztelanowe zapewnie często ją brały na swe uszczypliwe języczki. Z Krakowa atoli nie pochodziła,—to rzecz, która nie ulega wątpliwości. Zwano ją Telni-

---

[1]) W wydatkach z r. 1500 w Budzyniu mieści się 10 zł. na trzy sztuki płótna, przeznaczone na obrusy, serwety i serwetki, i sprawunek ten załatwiła „Kaśka.“ Czyżby nie było prawdopodobném, iż właśnie panna Katarzyna miała dozór nad bielizną stołową? Inna jeszcze ważniejsza i niewątpliwa wskazówka. Pod dn. 23 stycznia 1500 r. w Budzyniu zapisany jest wydatek 30 dukatów bez wskazania celu z nadmienieniem, iż uczyniony na zlecenie królewicza. Dodany obok zaś znak . i litery E. R., jak to niżéj wyjaśnione będzie, oznacza ukrywaną tak starannie osobę KathERina.

czanką, prawdopodobnie od wsi Telnicz w Morawach, skąd ród swój wywodziła. Ślązaczką, jak twierdzili nowsi nasi historycy, przypuszczając, że się z nią Zygmunt poznał, jako książę głogowski i opawski, także być nie mogła. Królewicz na Śląsko pojechał dopiéro w 1502 roku, porzuciwszy Budzyń, a tymczasem już przedtém chował się w Krakowie mały synek, owoc miłości wcześniejszéj Zygmunta i Katarzyny. Jéj imię „Katriny“ w niemieckim kształcie prawie zawsze podawane, wskazuje jéj niemieckie pochodzenie. Może należała do fraucymeru matki-królowéj, Elżbiety austryaczki. Może tam wpadła w oko Zygmuntowi i stała się przedmiotem jego młodzieńczéj, ale niezmiennéj długotrwałéj miłości. Ten mały chłopczyna—Januszem go nazwano—będzie się późniéj szczycił troskliwą opieką ojca-króla i poświęci się, jak to dorywczy synowie czynili niekiedy, stanowi duchownemu. Jako zaś „pochodzący z książąt litewskich“, przebiegnie prędko niższe stopnie i w młodym bardzo wieku, dzięki poparciu króla-ojca, jako biskup zasiądzie na stolicy wileńskiéj, a późniéj poznańskiéj i w poczet senatorów wejdzie. I o pannie Katarzynie królewicz także nie zapomni. I ona również zostanie senatorową, kiedy Zygmunt nareszcie korony dostąpi. Dla utrwalenia dynastyi w Polsce wypadnie ją porzucić, żeby w trwałe związki wstąpić, stanąwszy na kobiercu ślubnym przed ołtarzem. Dla Barbary Zapolanki z Węgier, do któréj zachęci i nakłoni brat Władysław, trzeba się będzie rozstać z Telniczanką. Weźmie ją za żonę, bez wielkiego skrupułu, Andrzéj Kościelecki, kasztelan wojnicki i podskarbi koronny, oburzą się na ten krok Ogończykowie, do których rodu należy Kościelecki; krzywém okiem spoglądają na senatora, który nałożnicę królewską bierze za żonę, ale z czasem udobrucha ich szczodrobliwa ręka Zygmunta. Reginę, siostrę Janusza, która z tego samego pochodziła związku, weźmie za żonę Hieronim Szafraniec z Piaskowéj Skały, starosta chęciński.

Kiedy więc, jak widać, Pan Bóg błogosławił potomstwem kochającą się parę, królewicza i pannę Katarzynę, niepodobna ich rozłączać i chcąc nie chcąc, musimy Telniczankę pomieścić w Budzyniu obok królewicza. Nie skazujmy tedy Zygmunta, owego dobrowolnego na Węgrzech wygnańca na samotność klasztorną. Może te róże i fiołki, które mu znoszono tak często, nie jego wyłącznie skroń zdobiły. Miłość tkliwa, gorąca,idealna, lubi się stroić w kwiaty. Może te głosy lutnistów, gęślarzy, którzy o minnie śpiewali, pieściły nietylko ucho Zygmunta, a znał on dobrze język niemiecki, ale wzbudzały tkliwy nastrój w miękkiém sercu jasnowłoséj, modrookiéj Kasieńki. Może te tańce niedźwiedzi, linoskoków, kuglarzy i błaznów, bawiły oko osamotnionéj bogini,

nieuznawanéj przez świat wyższy magnatek węgierskich, a gwoli któréj na rzecz jéj smaku niezbyt wytwornego, pewne ustępstwa czynić wypadało. Może ten ład i porządek, który panował w otoczeniu Zygmunta, w jego komnatach, sprzętach, w jego szatach, ubraniach, w bieliźnie stołowéj, może ta schludność była w części dziełem rączek panny Katriny i owocem jéj dziedzicznego, rasowego upodobania, może te długie włosy, które królewicz tak starannie pielęgnował, spływały na ramiona tak harmonijnie, dlatego że je gładziła ręka pieszczotliwa, może... ale dość tego.

Surowy biskup warmiński w mowie swéj nad grobem starego króla wytknie mu grzeszki młodości. Wspomni o tém, że za lat młodych było się płochym i żyło się trochę wolniéj, ale nie omieszka téż dodać, że innym w szkodę się nie wchodziło, że się zakazanych owoców z cudzego drzewa nie zrywało. Mogło być i bywało u innych gorzéj i—bywało,—tak daje do zrozumienia słuchaczom swym mówca duchowny i bierze stąd pobudkę do głoszenia zalet zmarłego. Prawdomówność Kromera, złagodzona pobłażliwością, podejrzaną być nie może w tym wypadku.

Więc i z tego powodu umieścimy Telniczankę przy boku królewicza w Budzyniu. Może to ona właśnie ustrzegła Zygmunta od losu, który spotkał kardynała Fryderyka, może to jéj królewicz zawdzięcza, że przeżył wszystkich braci i tak sędziwéj doczekał się starości. I w tym stosunku, który przypuścimy, że był nieunikniony w położeniu księcia, wyczekującego jakiéjś lepszéj, pewniejszéj przyszłości, odbija się wyraźnie jego statek, jego roztropność, uczucie głębsze, trwalsze, szlachetniejsze. Takim stałym w miłości, takim statecznym i rozważnym nie będzie syn jego, z Włoszki zrodzony, gorący, namiętny, lubieżny. On w towarzystwie płochych, wietrznych, a coraz innych kobiet strawi ostatki swojéj bogatéj natury i swego pięknego życia, bezpotomnie zejdzie i osieroci Polskę, i wystawi ją na burze elekcyjnych rządów.

V.

Lubo w słodkiéj bezczynności czas upływał, życie Zygmunta nie zamykało się jednak wyłącznie w murach domowych larów i penatów. Był wprawdzie dobrowolnym wygnańcem, ale ani kraty więzienne, ani furta klasztorna nie odgradzały go od świata. Nie odznaczał się galską wielomównością, nie miał atoli téż potrzeby i skłonności krępować się milczących Trapistów regułą. Nie znajdował w myśliwstwie szczególnego upodobania, ale nie zamieniał téż

swego spokoju na kontemplacyjny kwietyzm buddyjskiego pustelnika. Stanowisko samo, które zajmował, jako brat króla węgierskiego, otwierało szerokie podwoje życia i prowadziło do stosunków z otaczającym go wyższym światem. Jeżeliby sam nie wydeptywał nawet ścieżek do komnat magnatów, to inni znajdowali i torowali drogę, która wiodła do dworu królewicza polskiego.

Z księgi wydatków, prowadzonéj ściśle dzień za dniem, nie widać, aby Zygmunt, prócz trzy lub czterokrotnych wyjazdów do brata Władysława, przedsiębrał jakieś dalsze wycieczki. Trzyma się prawie stale samego Budzynia. Budzyń na Węgrzech należał do tych miast, w których ogniskowało się życie polityczne z powodu częstych sejmów i przyległego tuż pola elekcyjnego, które się Rakoszem zwało. Stamtąd płynęła téż pobudka do towarzyskich stosunków. Miał zresztą Zygmunt swoje własne otoczenie z ziomków złożone, którzy, należąc do znakomitszych polskich rodów, przyczyniać się mogli do łączenia się ze światem węgierskim. Krzysztof Szydłowiecki, ze starego i możnego gniazda Odrowążów pochodzący, pełnił obowiązki ochmistrza przy dworze Zygmunta i sprawował ważniejsze poselstwa. Od lat już najmłodszych przy boku królewicza się znajdował. Rafał Leszczyński, do sekretarskiéj czynności był przeznaczony i pisywał listy. W orszaku dworskim był Bernat Potocki, Mikołaj Ocieski i inni.

Królewicz sam lub z nimi, w większym lub mniejszym poczcie dworzan, pachołków i giermków pieszo, konno lub w „kolebkach“ odbywa po mieście lub za miastem przechadzki. W dni uroczyste udaje się na mszę do zamkowego kościoła św. Jana, gdzie spoczywają zwłoki ostatniego króla z rodu Arpadów, Andrzeja III, albo do Panny Maryi lub do kaplicy św. Zygmunta. W wielkim tygodniu odwiedza i inne kościoły, odbywa pielgrzymkę i zawsze ubogim sam lub przez kogo z otoczenia rozdaje jałmużnę. Niech tylko wyprowadzą przed podwoje dworu książęcego siwego inochodnika, którego Zygmunt dosiędzie, już się u drzwi wnet zbiorą roje żebraków. W przedsionkach kościelnych także ich pełno. Szeregiem stoją przy łaźni i wyciągają rękę po jałmużnę, któréj królewicz nie odmawia. Nie tylko u nas ale na Węgrzech, w zachodniéj Europie to tłumne nieprzeliczone żebractwo w wiekach średnich, zwłaszcza w początkach XVI-go wieku, tak znamiennie ukazuje się na tle obrazu życia ulicznego.

Nastanie wiosna z powabem wonnych róż i fijołków, królewicz idzie napawać się zapachem kwiatów do „zagrady“ czyli do ogrodu królewskiego. Wyjedzie za miasto na naddunajskie błonia. Tam ujrzy odstręczający tłum nieszczęśliwych „Francuzów“, jak nazywano złośliwie choć charakterystycznie tych chorych, dotkniętych cierpie-

niem, co byli z miasta wypędzeni i obozem leżeli w polu. Straszna choroba, co zjada skórę i wżera się do szpiku kości z niesłychaną szybkością, z całą siłą świeżego naówczas jadu, szerząc się od Neapolu, Paryża do wschodnich krańców Europy, straszne wśród ludności czyni spustoszenia. Brat, kardynał Fryderyk, w Krakowie niebawem padnie jéj ofiarą. Trapi ona i dworzan Zygmunta. Na widok nieszczęśliwych, pozbawionych opieki i pomocy, dobywa królewicz z kalety pieniędzy i rzuca im garść denarów.

To o pogodnym majowym ranku pojedzie się konno na jarmark, co się odbywa w ciągu dni kilku około kościoła podmiejskiego św. Pawła, pojedzie się dla rozrywki, dla przyjrzenia się targowicy węgierskiéj, boć się tam żadnego zakupna robić nie będzie. Dość okiem rzucić na tę długą szkarłatną hazukę, osutą perłami, w któréj się na siwym rumaku ukazuje królewicz, żeby się przekonać, iż ten dostojny gość raczéj ciekawością wiedzion niżeli potrzebą, przejeżdża się między tłumem przybyłych na targ wieśniaków. To jesienną porą popłynie się łódką po Dunaju, żeby zobaczyć zielone winnice z dojrzewającą złotawą jagodą, to się wyruszy w pole na równinę, gdzie zapowiedziane są na czas oznaczony gonitwy rycerskie, szermierki landsknechtów, lub turniéj miejscowéj szlachty. Wtedy królewicz, choć widzem tylko pozostanie i czynnego udziału nie weźmie w popisie turniejowym, dosiądzie jednak ognistego rumaka, którego otrzymał w darze od wojewody mołdawskiego, srebrne każe sobie przypiąć ostrogi, przypasze do boku miecz turecki ze złoconą rękojeścią, giermek—czy panosza Wolgang powiezie za nim na biegunie ciężką kuszę, ruszy obok niego i za nim orszak zbrojny w trzydzieści kilka koni i królewicz przed węgrami nie powstydzi się swego okazałego dworu.

Latem zaprosi do siebie biskup waczowski. Vacz węgierski, po polsku Waczów (niem. Waitzen), stolica jego dyecezyi leży na przeciwległym, czyli na lewym brzegu Dunaju, na samém zgięciu kolankowém rzeki powyżéj Budzynia, na dość znacznéj nawet od stolicy odległości. Możnaby sobie drogę skrócić, przyjąwszy zaproszenie i puścić się łodzią, ale pod wodę trudno płynąć. Z powrotem — to co innego. Jedzie się więc w końcu lipca do Waczowa na kołach. Bogaty biskup,—a który z nich na Węgrzech nie opływał w dostatkach? zwłaszcza, skoro nim był podówczas Mikołaj Batory, jeden z tego świetnego i wielkiego rodu magnatów węgierskich,—przyjmuje okazale, wystawnie i w upominku składa dostojnemu swemu gościowi węgierskiego rumaka i puhar srebrny. Zwiedza się wraz znim wspaniałą jego katedrę i jedzie się daléj, nieco wyżéj, dla obejrzenia Wyszogradu z jego warownym zamkiem królewskim. Stamtąd robi się wycie-

czkę do bliskiego tuż obok klasztoru czy opactwa św. Andrzeja i po dwóch tygodniach przyjemnie spędzonych, wraca się do domu; ale wraca się teraz nie na kołach, lecz „okrętem“. Na łodzi, choć ją dość szybko niosły wartkie nurty Dunaju, rozrywki nie wiele. Brzegi rzeki przy zbliżaniu się do Budzynia coraz niższe, nawet płaskie, gołe i monotonne. Co tu robić?

Podają karty. Więc królewicz do gry zasiada dla zabicia nudów.

Już to z biskupami, czyli z wyższém duchowieństwem węgierskiém wogóle, królewicz polski utrzymuje dość żywe stosunki. Zdaje się nawet, że częściéj przyjmuje zaproszenia do kościelnych dostojników, aniżeli do świeckich, a wywzajemniając się im za gościnność, częściéj ich u siebie przyjmuje w domu. Jeżeli to nie próżny z naszéj strony domysł, to owe ścisłe związki Zygmunta ze światem duchownym, dałyby się objaśnić po części powinowactwem dusz, ożywionych jedną dążnością. Religijny jego nastrój tam mianowicie znajdował silniejszy oddźwięk, aniżeli w kole rycerskich magnatów. Zygmunt miał za lat młodszych, jak wzmiankuje Kromer w mowie pogrzebowéj, pamięć nadzwyczajną, tak, iż potrafił w każdéj okoliczności przytaczać ustępy z pisma św. i różne sentencye moralne. Takie kształcenie pamięci było we zwyczaju szkolnym, którego się trzymał i Długosz w stosunku do swoich wychowańców królewskich. Dla swoich cytacyj pamięciowych, któremi Zygmunt okraszał rozmowę towarzyską, znajdował w gronie dostojników duchownych chętniejszych słuchaczy. Na tym więc gruncie mogła powstać wzajemna i żywsza sympatya. Nie sam tylko biskup waczowski ofiaruje swą gościnę królewiczowi polskiemu i inni zapewnie do siebie go zapraszają. Ślady tych serdecznych stosunków dochowały się w darach, jakie Zygmunt ustawicznie od duchowieństwa otrzymywał. Kardynał arcybiskup strzygomski bawi na obiedzie u Zygmunta i nawzajem Zygmunt u niego — arcybiskup z Bacii obdarza go kilku beczkami wina, biskup zagrabski, czyli dzisiejszy zagrzebski, przysyła mu parę kubków kryształowych, od biskupa nitrzańskiego taki sam odbiéra podarek, podobnyż od biskupa weszprymskiego, od kardynała i prymasa dwa roztruchany — a proboszcz białogrodzko-królewski (*Alba Regalis*) obsypuje go ciągle swojemi upominkami, jak gdyby matka swojego pieszczocha jedynaka. Czego on nie przysyła — a zawsze tylko pamięta o kuchni i o piwnicy królewicza To żywe szczupaki, to beczkę małmazyi, to przepiórki, bażanty, to znowu szczupaki i znowu wino, beczułkę oliwy i znowu wino, i jeszcze przepiórki, i znów łososia i tak ciągle na zmianę. Któż to był ów hojny, gościnny i serdeczny opat? Zdaje się,

bo w księdze rachunków nie jest z nazwiska wymieniony, że to był Grzegorz hrabia Frangipani ze starego rodu rzymskiego, który następnie w Węgrzech potężne i wpływowe zajął stanowisko.

Serdeczne związki, jakie łączą Zygmunta z duchowieństwem, wyrażają się jeszcze i w innéj postaci. Oto królewicz żywi gorące, pełne nabożeństwa uczucie do Kartuzyi na Spiżu w Węgrzech. Przeor klasztoru w Lewoldzie, brat Jerzy, utrzymuje z Zygmuntem stosunki, który zapewnie świadczy im jakieś dobrodziejstwa, skoro zebrana kapituła postanawia przyjąć królewicza polskiego do swojéj społeczności i uczynić go uczestnikiem wszelkich pomocy duchowych, jakie na nich przez modlitwy, posty i inne ćwiczenia spływają [1]).

Rzadziéj się ukazują na dworze królewicza wielcy magnaci węgierscy. Są i od nich dary, ale nie tak częste. Są ślady stosunków z arystokracyą, jednak więcéj ze średnią. Od wojewody siedmiogrodzkiego przybywa koń do stajni Zygmunta, przybywają rumaki w darze od innych panów, których nazwiska nie należą wszakże do możnowładców. Wzmianka jest o panu Rystharczy, o Charłackim staroście z Taty, o Harast Ferenczu, Iirzyku, Burianie—i oto wszystko. Świat urzędny kiedyniekiedy się przesuwa, książę lignicki — raz i drugi Czesi, kanclerz czeski, pan Kolowrat, pan Kostka i prawie nikt więcéj. Koło znajomości i stosunków nie zamyka się oczywiście tylko w gronie osób, bywających na obiadach lub wieczerzach u Zygmunta. Tłumy magnatów węgierskich mogły się w ciągu trzech lat przewinąć, nie zostawiwszy śladu w księdze rozchodów królewicza. Mogły to być znajomości nietyle serdeczne ile ceremonialne. W każdym jednak razie widać, że były one raczéj przygodne, aniżeli trwałe, oparte na stosunku zażyłości. Zresztą środki, jakiemi rozporządzał Zygmunt, nie pozwalały mu prawdopodobnie prowadzić i utrzymywać dworu na wielką stopę. Miał zresztą pod bokiem brata. Na zamku królewskim nie brakło mu sposobności obcowania z czołem, z kwiatem magnateryi węgierskiéj. Wprawdzie Władysław zmieniał miejsce pobytu. Tygodnie, miesiące całe bawił po za Budzyniem na swoich zamkach czy to w Węgrzech, czy w Czechach, ale na sejmy i narady zjeżdżał do Budzynia, a wtedy, co było znakomitszego w kraju, gromadziło się około osoby króla i przewijało się przed oczyma Zygmunta.

Między braćmi istniał stosunek szczeréj, prawdziwéj miłości. Żygmunt kochał najstarszego brata — jak ojca i synowskiém przywiązaniem płacił za jego czułe serce. Wdzięczność za dobrodziejstwa,

[1]) W r. 1502. Apr. 25. Cod. dipl. Pol. T. IV. Vars. 1887, str. 200.

które mu świadczył, zachował dla niego aż do śmierci. W listach swych późniejszych, już jako król polski, odsłaniał tę piękną stronę swego charakteru, niekiedy nawet za piękną, bo uległość względem Władysława często zamieniała się na ślepe posłuszeństwo ku szkodzie sprawy publicznéj państwa, na którego stał czele. W czasie pobytu swego w Węgrzech, otrzymywał ciągłe dowody łaski brata najstarszego, który mu w darze przysyłał nietylko konie, roztruchany, szuby, pierścienie, nietylko zaopatrywał śpiżarnię, ale i szkatułę obficie zasilał. Ofiarowawszy mu w swém królestwie gościnę, dokładał wszelkich starań, aby przyszły jego los zabezpieczyć. Nic więc dziwnego, że Zygmunt często odwiedzał Władysława, gdy ten ze swym dworem w Budzyniu bawił, nieraz téż na dłuższy pobyt udawał się do niego do odleglejszych nawet zamków, w których król węgierski gościł. Więc w końcu 1499 r. zimową porą, wybrał się do niego do miasta Posony czyli Preszburga i stamtąd, jeśli nie mylą pewne wskazówki, zajrzał także za granicę do nieopodal lażącego Wiednia. Późniéj w następnym roku wyjeżdżał na krótko do Bacii w południowych Węgrzech i w powrotnéj drodze zwiedził miasto Szegedyn, którego mieszkańcy zaopatrzyli następnie jego piwnicę w Budzyniu wytwornem winem. Przed samym zaś wyjazdem do Polski w 1501 r. prawie całe dwa miesiące przebył u króla Władysława, bawiącego naówczas w Tolnie, na prawym brzegu Dunaju opodal miasta Pięciu Kościołów. Wycieczki te, które stanowiły miłe urozmaicenie jednostajnego życia królewicza, nastręczały sposobność porozumiewania się w sprawach rodzinnych, które obu braci obchodziły.

VI.

Wyjazdy wymagały zwykle pewnego czasu do przygotowania się w odleglejszą podróż. Każda z takich wycieczek — to była istna wyprawa, prawdziwe ruszenie pospolite, które za sobą pociągało uruchomienie dworu i taboru. Bez orszaku, bez dworzan, bez służby, bez kuchni nie podobna było puszczać się w podróż. Brało się w drogę wszystko — dla wygody i dla okazałości. Na królewskim dworze bywały przyjęcia, zjazdy, zabawy, polowania, rycerskie ćwiczenia, turnieje, więc, żeby się nie powstydzić, wiozło się ze sobą i skrzynie srebrne, rynsztunek rycerski, szaty odświętne, kuchcików, kucharzy, stajennych, pokojowych, strzelców, lutnistów, bębnistów — jednem słowem—dwór cały.

Bez zbrojnego orszaku nie wypadało królewiczowi się ukazywać.

Nietyle potrzeba go było dla bezpieczeństwa osobistego w drodze, ile dla pewnéj niezbędnéj okazałości i ostentacyi zarówno w Budzyniu, w miejscu stałego pobytu, jak podczas bawienia na dworze królewskim, poza głównem miastem. Więc Krzysztof Szydłowiecki, który pełni obowiązki ochmistrza, służy w ośm koni, Rafał Leszczyński, powołany do czynności sekretarskich, w pięć koni, w tyleż Mikołaj Ocieski, Bernat Potocki, Chroberski, Chlewicki, a w cztery konie Pszonka. Chroberski jest krajczym, dogląda skarbcu i srebra stołowego, Chlewicki kuchni, Potocki może stajnią zawiaduje jako koniuszy. Orszak tym sposobem królewicza składa się co najmniéj z 30 do 35 koni kopijniczych lub strzelczych.

Ksiądz kapelan zwykle nie dosiaduje konia, ale jedzie na rydwanie. Z dworzan jednak wielu konno służy w dwa konie lub jednego. Mają oni różne nazwy stosownie do czynności. W poczcie pokojowych, stołowych, łożniczych, spotykamy takie nazwiska, jak Koniuszecki, Swiderski, Ożarowski, Lipnicki, Niszewski, bakałarz Zalewski, Kisiel, Szymbork, Zelicz, Czuryłko, po większéj części wskazujące szlacheckie pochodzenie, z wyjątkiem chyba ostatniego, które nosi lutnista, geślarz nadworny, towarzysz zabaw i gry królewicza w karty lub szachy. Jest inny jeszcze rodzaj dworzan, którzy się nazywają bykowie (?), w téj liczbie są: Balicki, Międzyrzecki, Wolfgang, Krzycki i inni. W gronie „paniąt“ lub panoszów spotykamy giermków, młodzież prawdopodobnie szlachecką — Starościca, Nieszkowskiego i innych, którzy zapewnie do rycerskich posług byli używani. Jeden z nich za królewiczem konno woził ciężką kuszę albo strzelbę. Brano ze sobą w drogę również trębaczy i bębnistów, a było ich kilku. Towarzyszyli im nadworni rzemieślnicy, między nimi niezbędny kowal, szewc Mikołaj i inni oficyaliści, jak dozorca wozów Drya, Szymek obroczny, chlebny Krzysztof Chwioł, balwierz, łaziebnik Sidor, kuśnierz Mikołaj, cały szereg kuchcików, wreszcie liczny poczet oroszów do posług inszego rzędu, forytarzy, woźniczych, stajennych, kotczych i „stangredów“ — jak ich księga rozchodów nazywa. Praczka zostawała na miejscu—w drodze w razie potrzeby wyręczano się najemną kobiétą.

Nim taki tabor, który najmniéj z 15 wozów się składał, ruszył w odleglejszą drogę, trzeba było najściślejszy odbyć przegląd wszystkich szczegółów, odnoszących do wozów i uprzęży, aby niczego nie brakowało, a każdy przedmiot i każda rzecz w należytym była porządku. Zarządzenia czynił wprawdzie ochmistrz dworu, doglądał koniuszy, dozorca obozu, ale i Zygmuntowi nie były obce te przygotowania, bo on sam przezierał ściśle wszystkie wydatki, jakie z tego powodu wy-

nikały. Więc brano ze sobą koła zapasowe do „kolebki“ czyli rydwanu, w którym królewicz jechał, do wozów skarbnych, kuchennych i innych, postronki, sprzączki, rzemienie do troków, smary w maźnicach. Dla koni kolebczanych jak i dla inochodników (wierzchowców) brano gunie i opony, podkłady do siodeł poduszczanych, strzemieńczyska, uzdy, uzdzienice i „lece“ (lejce). Ze wszystkich tych szczegółów, które w takiéj rozmaitości przechodzą przez księgę wydatków z powodu téj lub innéj podróży, wyziera obraz przezornego, rządnego i porządnego gospodarza, który lubi ład, ścisłość i systematyczność. Bo trzeba dodać, że na tém się nie kończy dbałość o porządek. Obejmuje ona wszystkie inne sprzęty i przyrządy, potrzebne w podróży. Puzdra, w których się mieści srebro stołowe, otrzymują nowe pokrowce z grubego płótna. Do pokrowców kupują się sznury dla mocniejszego ich opasania i t. p. Skrzynie, w których się mieszczą szaty, opatrzone mocnemi zamkami, pokryte są szerokiemi na wozach oponami.

Na dzień przed wyjazdem królewicza puszczają się naprzód we wskazanym kierunku drogi forytarze i zamawiają dla dworu i taboru noclegi, sprowadzają żywność dla ludzi i dla koni. Rusza nareszcie królewicz z miejsca. Dosiada rumaka, przez miasto aż do bramy lub nieco daléj w orężnym jedzie orszaku — a późniéj przesiada się do wygodnego rydwanu czyli kolebki, za nim zaś ciągnie długim sznurem tabor podróżny. Tym razem nie będziemy mu towarzyszyli w wycieczce do króla, nie będziemy opisywali stacyj węgierskich lub noclegów, wygód lub niewygód, rozrywek, używanych na popasach. Wyobraźmy sobie odrazu, że po kilku dniach Zygmunt szczęśliwie przybywa do zamierzonego kresu, do Bacii czy do Tolny, bawi tam u brata, prowadzi z nim poufne rozmowy, w wolnych chwilach jesienną porą poluje z chartami, wieczorami często gęsto grywa z królem w „kryzołki“ i po pewnym czasie znów wraca do Budzynia, do którego, gdy nadciągnie z lewéj strony rzeki, przeprawia się na promie albo raczéj na łodziach, bo na Dunaju pod Pesztem stałego mostu nie masz.

Wycieczki te do króla nietylko wypełniają próżnię bezczynności i stanowią miłe urozmaicenie wśród szarego tła życia powszedniego, ale mają niekiedy znaczenie ważniejsze, polityczne i wiążą się ze sprawą stanowiska Zygmunta w danéj chwili lub w odleglejszéj przyszłości. Władysław nie stygnął w miłości ku najmłodszemu bratu, owszem, dawał dowody prawdziwie ojcowskiego opiekowania się jego losem. Po zwalczeniu licznych trudności on to nareszcie wyjednał mu księstwo głogowskie, którém rozporządzał jako król czeski. Od

roku 1491 znajdowało się ono w ręku Jana Olbrachta i było mu danem przez Władysława, jako zaspokojenie za uroszczenie do korony węgierskiéj, któréj się Olbracht orężnie dobijał. Miał je trzymać aż do czasu, dopókiby nie został królem polskim. Gdy to nastąpiło, księstwa głogowskiego zrzec się jednak nie chciał, ale Władysławowi udało się w końcu skłonić Olbrachta, że podczas pobytu Zygmunta w Węgrzech odstąpił księstwa, aby niém opatrzéć młodszego brata, który żadnego nie otrzymał dziedzictwa. W dniu 29 listopada 1499 r. a więc w rok po osiedleniu się Zygmunta w Budzyniu, dostało mu się przeto księstwo głogowskie na Śląsku. Nie skłoniło to atoli królewicza do porzucenia Węgier i przeniesienia się do stolicy tego arcymaleńkiego i ubożuchnego państewka. Zygmunt, jako książę Głogowa i przyległych włości, pozostał nadal w Budzyniu. Przez pisma, posłańców i pełnomocników załatwiono sprawę wprowadzenia w posiadanie nowego władcy. Rafał Leszczyński, sekretarz królewicza, zaczął odtąd częściéj brać pióro do ręki, załatwiając dość ożywioną korespondencyą między Budzyniem a Głogowem. Zmieniono dawnego rządcę królewskiego, Jana Karnkowskiego [1]), zwanego Polakiem, który weresowém podobno zdzierstwem i drakońską surowością wywoływał zbrojny opór podwładnych i do jawnych buntów z ich strony stawał się podnietą. Na miejsce jego mianował Zygmunt, o ile się zdaje, Wojciecha Sobka [2]), który raz i drugi przybywszy do Budzynia, osobiście zdawał sprawę swojemu zwierzchniemu księciu z zarządzanego przez siebie księstwa i składał rachunki z przypadających dochodów. Zresztą za pośrednictwem gońców załatwiano piśmiennie bieżące sprawy Głogowa.

Zygmuntowi przybyło z tego tytułu nieco zajęcia. Miłośnikiem będąc porządku, starał się zapewnie choć z oddalenia zaprowadzić jaki taki ład w księstwie, które karłowaty, co prawda, zajmowało obszar, ale w olbrzymim jednak tonęło chaosie... Dowodem téj dbałości zewnętrznym, wymownym, była owa szkatuła, którą królewicz umyślnie kazał przygotować i na swoim umieścił stoliku dla przechowywa-

---

[1]) Nie Czarnkowski, jak go nazywa Caro V. str. 871, ale Karnkowski. W r. 1498 jest starostą głogowskim (Metr. 16). f. 153, 154. i n. „Joannes Polak de Carnkow capit. generalis ducatus Glogov“. Akt następny tegoż nazywa Dadzbogius Jan Polak de Carnkow... zob. Paprocki, f. 320.

[2]) Wojciech Sobek, który następnie (1503 r.) pojął za żonę siostrę Krzysztofa Szydłowieckiego, zapewnie pochodził ze Śląska. Zostawszy następnie starostą księstwa opawskiego, tytułował się w aktach niemieckich „Albrecht Sobke von Saul uff Hirnstain“ (w innych „auf Herrenstadt“).

nia w niéj przywilejów i aktów, tyczących się głogowskiego państewka. Powoli zaczęło się zanosić na podniesienie stanowiska politycznego, Zygmunta. Zagajono rokowania z Janem Korwinem, synem zmarłego poprzednio króla węgierskiego Macieja o odstąpienie księstwa opawskiego. Były trudności nie małe, z powodu stosunku, w jakim zostawały do królestwa węgierskiego posiadłości różnych księstw na Śląsku, złączonych z koroną czeską, ale przeszkody nareszcie zdołano usunąć, kiedy Jan Korwin tytułem zamiany na inne dobra w Węgrzech, zrzekł się Opawy, którą król Władysław bratu swemu Zygmuntowi, jako darowiznę odstąpił z zupełném prawem własności, z prawem sprzedania, zamienienia lub zastawienia, po uzyskaniu atoli przyzwolenia zwierzchniego władzcy, króla węgierskiego. W akcie, sporządzonym z tego powodu, określono z dokładnością drobiazgową wszystkie wypadki, w których księstwo opawskie mogło jako dziedzictwo przechodzić na prawnych spadkobierców zstępnych Zygmunta, lub powinno było wrócić znów do korony węgierskiéj. Z licznych bardzo ograniczeń, któremi skrępowano dziedzictwo, widać, że, dając mu księstwo opawskie, miano przedewszystkiém na względzie opatrzéć go, jako królewicza wraz z potomstwem, pozbawionego w danéj chwili lub i nadal korony. Że przy bezpotomném jego zejściu miała Opawa znów przypaść królowi węgierskiemu, to takie zastrzeżenie było dość zgodném z naturą podobnych darowizn w zakresie ówczesnego prawa publicznego. Że córki księcia opawskiego — dziedziczyć nie mogły, tylko powinny były poprzestać na podwójnym posagu, to płynęło również z ducha i zwyczaju prawnego tamtych wieków. I innych kilka podobnych zastrzeżeń i ograniczeń nie ma powodu tu podnosić, należy jednak uwydatnić jedno mianowicie, które znamionuje naturę téj darowizny. W akcie nadmieniono, że gdyby książę Zygmunt miał nie więcéj jak jednego lub dwóch synów i jeden z nich został królem, to i wtedy księstwo wrócić powinno do korony węgierskiéj, bo król opatrzy wtedy drugiego swojego brata.

Akt darowizny nosi datę 8 grudnia 1501 roku. W kilka dni późniéj nastąpił wyjazd Zygmunta do Krakowa po rozwianiu się nadziei uzyskania korony polskiéj dla siebie, lub dla brata Władysława. Dało to istotnie powód i dawaćby jeszcze mogło do nietrafnego oceniania stosunku między najstarszym a młodszym bratem. Zdaje się jednak, że darowizna, którą dopiéro 8-go grudnia przed samém rozstaniem się obu braci ujęto w kształt piśmiennego, urzędowego aktu, była uczyniona znacznie wcześniéj, bo już w dniu 29 czerwca tegoż roku Rafał Leszczyński, sekretarz królewicza, wyjeżdżał z Bu-

dzynia, aby ustanowić w imieniu jego starostę w Opawie (Wojciecha Sobka?). Podobne opóźnienie nastąpiło również i co do wręczenia Zygmuntowi aktu darowizny księstwa głogowskiego, które otrzymał był już w końcu 1499-go roku, gdy tymczasem piśmienne nadanie, sporządzono dopiéro we wrześniu następnego roku, za co, nawiasem mówiąc, królewicz kazał 10 dukatów dać pisarzowi arcybiskupa strzegomskiego, kanclerza korony węgierskiéj.

Wreszcie Władysław nietylko dopomagał tak skutecznie Zygmuntowi do wyniesienia się na jakieś wyższe stanowisko, ale dawał mu nadto pieniężne zaopatrzenie. W jakiéj ilości? — tego wymiarkować dokładnie z księgi rachunkowéj nie ma sposobu. Prawdopodobnie istniało jakieś zobowiązanie, które przyjęli na siebie starsi bracia względem młodszego. W jakiéj wysokości uiszczali się Aleksander i Olbracht?— tego również dojść nie możemy.

W 1500-ym roku ogólna suma pieniędzy, która w Budzyniu wpłynęła od Władysława w różnych, zwykle miesięcznych ratach, wynosiła 3,000 zł. węg., czyli dukatów. W następnym z górą dwa razy tyle, bo sześć tysięcy kilkaset dukatów. Tę znaczną różnicę objaśniają wypadki polityczne i zmiana stosunków rodzinnych, wywołane śmiercią brata Olbrachta. Wezwany wtedy Zygmunt do Tolny do bawiącego tam Władysława, otrzymał 1,000 zł. na drogę, a przy wyjeździe z powrotem do Budzynia, następnie zaś do Polski znów dwa tysiące zł. Roczna więc pensya, którą od siebie wyznaczył Władysław, mogła, o ile się zdaje, 3 tysiące dukatów wynosić. Od króla Olbrachta pobierał Zygmunt, jak domyślać się wolno, również tyle i miał sobie, między innemi, wyznaczone dochody ze starostwa lubaczowskiego, które, w Budzyniu bawiąc, za pośrednictwem posłów kilkakrotnie wysyłanych wybierał. Rządny królewicz, zamiłowany w ładzie, dbał bardzo wiele o porządek w swoich stosunkach pieniężnych. Oczywiście, będąc w zależności od braci oraz ich położenia skarbowego, nie zawsze mógł liczyć na ścisłość dotrzymywania terminów wypłat. Starał się jednak widocznie zabezpieczyć sobie dochodzenie rat pieniężnych we właściwym czasie. Bonar, bankier krakowski, pośredniczył, o ile się zdaje, między Olbrachtem a Zygmuntem, regulując wzajemne ich rachunki. Raz i drugi i trzeci bowiem bawił w Budzyniu jego sekretarz i pełnomocnik, Hanusz Both, i od królewicza otrzymywał zlecenia, a może pokwitowania z doręczonych mu pieniędzy.

Takim pośrednikiem w Węgrzech był bankier budzyński, znany z rozległych górniczych przedsiębierstw „pan Thurzy“, nazywany

niekiedy sekretarzem, o ile się zdaje, królewskim. Przez jego ręce szły wszelkie wpływy od króla Władysława w ratach miesięcznych, niekiedy częściéj, co dwa tygodnie, za pośrednictwem jego pełnomocników, niejakich panów Milnera, a późniéj Jakóba Melicha. Dzięki ścisłości bankiera w dotrzymywaniu terminów wypłat, budżet domowy pozostawał prawie zawsze z nielicznemi wyjątkami w równowadze. Już to przyznać trzeba, że w podobnych warunkach niełatwo było końce z sobą związać, a jednak Zygmunt oględny, baczny, przezorny, nawet oszczędny, potrafił przez swoje rozumne gospodarstwo domowe, uchronić się od ciężkich powikłań pieniężnych. Nad wydatkami czuwa on bacznie. Każe sobie podawać likwidacye rzemieślników za zlecone im roboty i sam je sprawdza. Kiedy raz się zdarzyło, że nie chciano w Budzyniu bez straty przyjmować niemieckich groszy,— zwanych lichtyszycami, — a było ich w szkatule królewicza za 43 złote, kazał je zatrzymać i czekać z ich wydaniem, dopókąd nie osiągną swéj zwykłéj nominalnéj wartości. W pomyślnym wypadku może na tém najwyżéj zyskano 2—3%, więc drobiazg. Ale w każdym razie to istotnie godny uwagi rys znamienny.

Księga wydatków prowadzoną jest przez cały czas pięciu czy sześciu lat, wielce starannie i szczegółowo. W ciągu pierwszych lat co dwa tygodnie, a późniéj już nie tak często, co miesiąc jednak, aż do samego końca w 1506 r., rachunki sprawdza ochmistrz dworu, pan Krzysztof Szydłowiecki i pod koniec okresu rachunkowego, za każdym razem stwierdza rzetelność rozchodów własnoręcznym podpisem z wyraźném nadmienieniem, iż przedstawione sobie wydatki znalazł zgodne z prawdą. Oto jeden z takich dowodów kontroli:

1502
Ista superior suma est vera per me probata
Cristoff Schidlowyeczky manu propria subscripsit [1]

Gdzie się przypadkowo jaki błąd przy wpisywaniu wydatków lub przy ich dodawaniu zakradł, tam zwykle odpowiednią u spodu robiono uwagę.

O ile zaś w samych wydatkach, czynionych przez królewicza, przebija się rządność i oszczędność, tego ocenić niepodobna.

---

[1] W transkrypcyi znaczy: *Ista superior suma est vera per me probata. Cristoff Schidlowyeczky manu propria subscripsit.* Czyli po polsku: Ta powyższa suma jest rzetelna, przeze mnie sprawdzona. Krzysztof Szydlowiecki ręką swą podpisał.

Trudno powiedzieć, czy Zygmunt stale trzymał się zasady starego Rzymianina Katona, który radził kupować nie to, co jest potrzebném, ale tylko co nieodzownem i koniecznem. Jak tu bowiem dziś wymiarkować, czy w rozchodach panowała hojność lub rozrzutność, kiedy brak środka porównania albo oznaczenia stopnia potrzeby? Czy królewicz, płacąc za kąpiel po dukacie, zbyt szczodrze postępował? czy kupując jeden sorok (miechy liczono na soroki, czyli 40 sztuk) soboli za 90 dukatów, albo opony ścienne (gobeliny) za 200 duk., nie dopuścił się zbytku,—to stąd wniosków wyprowadzać nie można. Ale są jednak pewne szczegóły drobne, lecz znamienne, które jak błyski światła głębię duszy odsłaniają.

Zygmunt każe dość często sobie naprawiać koszule, kołnierzyki. To ciekawe, charakterystyczne...

(*Dok. nast.*) *A. Pawiński.*





Z GALICYI.

10 grudnia 1891.

Sprawa decentrelizacyi kolei skarbowych w Galicyi. — Ile kraj na tém zarobił. — Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń i tak zwana sprawa podhajecka. — Z tego powodu fałszywe alarmy. — Nasza własność ziemska w oświetleniu statystyczném dra Pilata. — Projektowana reforma nauki języków klasycznych w szkołach średnich. — Fakultet medyczny we Lwowie.

I.

Nie da się zaprzeczyć, że w ciągu ostatniego dziesięciolecia, prowincya nasza wielce spoważniała i zrobiła się praktyczniejszą. Przedewszystkiém przestaliśmy się bawić w szeroką politykę i dziś już żaden z nas nie przekształca po swojemu karty Europy; wyrzekliśmy się także starych mrzonek i spokojniéj niż dawniéj zastanawiamy się nad naszém położeniem. A że w obecnych stosunkach wolno nam zajmować się skutecznie tylko sprawą oświaty i sprawą materyalnego dobrobytu, przeto na nie zwróciliśmy głównie naszą uwagę i w obu kierunkach robimy co można.

Dzięki temu zwrotowi, dawniejsze krzykactwo, znane niegdyś pod nazwą galicyjskiéj „tromtadracyi", ucichło zupełnie i ledwie gdzie niegdzie jeszcze jaka wrzaskliwa żabka przypomina nam owe czasy, kiedy to jedynie ten miał u nas racyę, kto dobrze wrzeszczał i dzielnie pałką wywijał. Gdyby nie to uspokojenie się namiętności, sprawa decentralizacyi kolei skarbowych, którą w jesieni z wielką gorliwością zajmowało się Koło w Wiedniu, nie byłaby miała ani przebiegu poważnego, ani, co nierównie ważniejsze, jéj wynik nie byłby z pewnością tak korzystny dla kraju, jak to dziś widać po jéj ostatecznem załatwieniu.

Kiedy w ciągu lata ubiegłego nie ulegało już żadnéj wątpliwości, że wszystkie linie kolejowe w Galicyi z dniem 1-go stycznia roku 1892 przejdą na własność państwa, wtedy reprezentacya nasza w Wiedniu postanowiła dołożyć wszelkich starań, iżby w organizacyi kolei skarbowych nastąpiła decentralizacya, poczém dla Przedlitawii musiałyby powstać trzy oddzielne dyrekcye: w Wiedniu, Pradze i we Lwowie. Z planem tym wiązano piękne nadzieje. Tak w sejmie, jak w radzie państwa mamy posłów, którzy nad tém gorliwie pracują, aby Galicyę dźwignąć z materyalnego upadku; że zaś w tym kierunku koleje mogą dziś zdziałać bardzo wiele dobrego, przeto usiłowali oni zdobyć je dla kraju wstępnym bojem. Bo oto jakie z decentralizacyi mogliśmy osiągnąć korzyści: Najpierw z obcych prowincyi nie przysyłaliby nam urzędników, bo wszystkie posady obsadzalibyśmy własnemi siłami. Następnie zaś rzemieślnicy i dostawcy mieliby znaczny zarobek; gdyż coroczne potrzeby tylu linii kolejowych obliczane są na miliony; nakoniec, i tu leży rdzeń naszych potrzeb, my sami regulowalibyśmy taryfy. Ktokolwiek spojrzy na Galicyę, przekona się, że bez niskich taryf przewozowych, my nie możemy ani zboża ani nafty korzystnie eksportować, wywóz nasz bowiem jest zwrócony głównie ku zachodowi, a w tym kierunku linia komunikacyjna jest najdłuższa. Dopóki więc będzie ona droga, a dziś, niestety, jest aż nadto droga, dopóty nie wyciągniemy tych korzyści z naszych bogactw domowych, jakie nas niewątpliwie czekają po zniżeniu taryfy.

Mając to wszystko na względzie, Koło d. 12 października przedłożyło hr. Taafemu memorandum, w którém znajdowały się następujące żądania:

I. Dla wszystkich skarbowych linii kolejowych w Galicyi, ma być utworzona jedyna dyrekcya *we Lwowie*.

II. *Dla spraw handlowych i rozkładu jazdy*, ma istniéć przy dyrekcyi lwowskiéj krajowa rada kolejowa, utworzona na wzór państwowéj rady kolejowéj.

III. Zamiast projektowanych przez rząd, a niewystarczających organów dla kontroli ruchu, mają być w odpowiednich miejscowościach ustanowione stałe *inspektoraty ruchu*, podlegające dyrekcyi we Lwowie. Inspektoraty owe miałyby również działać jako organy konserwacyi i kontroli pociągów.

IV. Przy dyrekcyi we Lwowie ma być utworzone biuro handlowe.

V. Lwowskiéj dyrekcyi ruchu mają przysługiwać następujące prawa: *a*) mianowanie, przenoszenie, urlopowanie, karanie dyscyplinarne i pensyonowanie wszystkich sług i urzędników kolejowych do

IX klasy rangi włącznie; *b*) zaopatrywanie się we wszelkie potrzebne artykuły, z wyjątkiem wagonów, szyn i maszyn; *c*) załatwianie wszelkich reklamacyi, z wyjątkiem zagranicznych; *d*) rekonstrukcye i budowy; *e*) budżetowanie wydatków i bezpośredni rozrachunek z najwyższym trybunałem rachunkowym; *f*) większy wpływ na taryfy.

VI. W sprawach organizacyjnych, osobistych i taryfowych zajmować ma namiestnik wobec dyrekcyi takie stanowisko, jakie ma dziś wobec krajowéj dyrekcyi skarbu.

VII. Powyższa organizacya ma być ogłoszona wyraźnie jako stała, a nie jako tymczasowa.

VIII. Z chwilą upaństwowienia kolei Karola Ludwika (Kraków, Lwów, Brody) a więc z dniem 1-go stycznia r. 1892, ma być na téjże zaprowadzona taryfa strefowa, obliczona na podstawie najkrótszych odległości geograficznych.

Na te żądania kraju, rada ministrów, któréj sam cesarz przewodniczył, dała Kołu d. 12 listopada odpowiedź następującą:

I. Na utworzenie jedynéj dyrekcyi we Lwowie rząd nie może się zgodzić. Sytuacya polityczna jest poważna i przez wzgląd na nią, dyrekcya krakowska musi nadal istnieć obok lwowskiéj.

II. Osobnéj rady kolejowéj rząd nie może przyznać.

III. Na zaprowadzenie inspektoratów zgadza się rząd i pierwszy z nich będzie ustanowiony w Przemyślu.

IV. Przy obu dyrekcyach ruchu utworzone będą biura handlowe, które stosownie do potrzeb kraju, przedkładać będą jeneralnéj dyrekcyi wnioski o zmiany taryfowe.

V. Rząd zgadza się na przyznanie dyrekcyom prerogatyw żądanych w memorandum pod *a*) *b*) *c*) *d*) *e*) *f*) z tém jedynie zastrzeżeniem, że mianowania urzędników i ich awansowanie, odbywać się będzie na zasadach wydać się mającéj pragmatyki służbowéj.

VI. W sprawach organizacyi, taryfy i personalnych, zasięgać będzie minister opinii namiestnika. Mianowania zamierzone przez dyrekcye we własnym zakresie działania, jako téż wnioski, tyczące się mianowaniu urzędników od VIII klasy rangi począwszy, muszą być przedewszystkiém przedłożone namiestnikowi do zatwierdzenia. O wszelkich dostawach, rozstrzygać będzie wyłącznie dyrekcya ruchu.

VII. Rząd ogłasza niniejszą organizacyę, jako stałą i obowiązuje się utrzymać te prawa dyrekcyi galicyjskich także w razie upaństwowienia kolei północnéj (Kraków—Wiedeń).

VIII. Taryfa strefowa dla przewozu osób wchodzi w życie na kolei Karola-Ludwika z dniem 1-go stycznia r. 1892, taryfa frachtowa najpóźniéj d. 1-go lipca r. 1892. Stosownie do życzeń Koła

ułożoną ona zostanie na podstawie najmniejszéj odległości geograficznéj. Objęte przez rząd fundusze kolei Karola-Ludwika, użyte zostaną w celach inwestycyi na téjże linii, a przedewszystkiém na pomnożenie taboru nowego, następnie na przebudowę starszych dworców, przedewszystkiém zaś na rekonstrukcyę dworca lwowskiego.

Tyle dał rząd.

Jak tylko powyższe szczegóły doszły do wiadomości kraju, natychmiast opinia podzieliła się na dwa odłamy. Jedni powiedzieli: dzięki Bogu, żeśmy choć coś uzyskali; przeciwnie, drudzy zaczęli wołać, że nam nic nie dano, a to jedynie dlatego, że Koło nie dość energicznie broniło swego memorandum. Sprawiedliwość nakazuje nam tu jednak wyznać, że tych drugich stosunkowo niewielu. Znaczna większość kraju, wiedząc bardzo dobrze, że stokroć lepsze coś niż nic, i że Koło miało z niesłychanemi trudnościami do walczenia, pochwaliło naszą reprezentacyę, ponieważ jéj zdobycze na tém polu mają wartość nieprzemijającą.

Nie da się zaprzeczyć, że teraz na kolejach galicyjskich wszystkie posady będą krajowcami obsadzane. Rękojmię tego mamy w tym ustępie, który namiestnikowi poddaje do zatwierdzenia wszystkie nominacye. Fakt to jest wielkiéj doniosłości i tylko ten będzie mu przeczył, kto rozmyślnie na prawdę oczy zamyka.

To, że dyrekcye będą w kraju wszystko kupowały, z wyjątkiem szyn, wagonów i maszyn, których nie mamy, przyczyni się do podniesienia naszego handlu i przemysłu, a powierzanie wszelkich rekonstrukcyi siłom miejscowym, położy kres zagranicznéj spekulacyi.

Niezmiernéj doniosłości jest przeniesienie biur handlowych z Wiednia do kraju i powierzenie ich rękom krajowców. Odtąd przestaną zarabiać krocie niemieccy spekulanci, którzy korzystali na naszych kolejach z obniżek taryfowych, czyli tak zwanych refakcyi.

W ogólności zdobycze są znaczne i obyśmy tylko umieli odpowiednio z nich skorzystać!... Dlaczego zaś nie otrzymaliśmy więcéj, to zaraz opowiem.

Być może, że powyższe szczegóły, w których z konieczności musiałem być drobiazgowym, nie jednego czytelnika znudzą; mniemam atoli, że w sprawie, mającéj dla nas doniosłość pierwszorzędną, powinno się być dokładnym. Zresztą niech ci, którzy naszych stosunków wcale nie znają, przekonają się, azali mają racyę owi politycy, którzy w Galicyi zawsze wołają: albo wszystko, albo nic! Ważny krok w kierunku decentralizacyi kolei skarbowych został już uczyniony,—teraz dalszym zabiegom pozostawmy resztę.

Szowiniści mówią: dostaliśmy mało, tymczasem i to mało jak

trudno było uzyskać. Koło miało od samego początku z dwiema potęgami do walczenia: z wojskowością, która lęka się, żeby decentralizacya na przypadek wojny nie wyszła na jéj niekorzyść, i z partyą niemiecką, czyli tak zwaną centralistyczną, która we wszystkiém wietrzy federacyą. A tego boi się ona najbardziéj. Układy z rządem trwały długo, gdy zaś Koło od swoich żądań żadną miarą nie chciało ustąpić, hr. Taaffe odwołał się do Korony. Uczynił to z dobrym skutkiem cztery lata temu w sprawie wódczanéj, dlaczego więc teraz nie miałby także szczęścia spróbować. I wcale się nie zawiódł. Po powrocie cesarza z Węgier, prezes Koła, p. Apolinary Jaworski, był u niego natychmiast na posłuchaniu, a gdy z Burgu wrócił, nie było więcéj mowy o opozycyi. Projekt rządowy przyjęto bez dyskusyi.

Ledwie wieść o tém rozeszła się po Wiedniu, natychmiast zaczęto rozgłaszać, że cesarz miał Jaworskiemu odmalować teraźniejsze położenie w barwach niezmiernie czarnych i dlatego delegacya galicyjska zaniechała opozycyi. *Wiener Tagblatt*, pismo żyjące tylko z kaczek sensacyjnych, nie wahało się nawet wydrukować, że monarcha miał powiedzieć, iż w o j n a j e s t n i e u n i k n i o n ą. Na giełdzie wszczął się szalony popłoch, papiery zaczęły spadać, masa ludzi straciła grube pieniądze. Ponieważ wyglądało to zupełnie tak, jak gdyby któryś z członków Koła zdradził *Tagblattowi* tajemnicę, zarządził prezes dochodzenie, a prócz tego w izbie interpelowano prezydenta gabinetu, jakie środki przedsięwziął przeciw dziennikowi, który ośmiela się rozsiewać wieści tak niepokojące, bez względu na żywotny interes państwa. Do chwili, gdy list niniejszy piszę, dochodzenie przeciw *Tagblattowi* nie jest ukończone, więc téż nie wiadomo, azali go spotka jaka kara. Za to o Kole można już powiedzieć, że wlazło tu ono jak Piłat w *Credo*, gdyż żaden z jego członków nie zdradził tajemnicy.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, cesarz nie mówił panu Jaworskiemu, że wojna jest nieunikniona i bliska, tylko musiał jego uwagę zwrócić na tę ważną okoliczność, że w mieście otwartém, jak Lwów, którego w razie wojny nie możnaby bronić, generalna dyrekcya kolei galicyjskich znajdowałaby się w wielkiém niebezpieczeństwie, bo gdyby armii wkraczającéj miasto w ręce wpadło, a z niém papiery i mapy dyrekcyi, natenczas ruch kolejowy w całym kraju byłby niezmiernie narażony. I ten argument trafił lepiéj, niż długie wywody ministrów, do przekonania członków Koła. O położeniu politycznem cesarz wyraził się tylko ogólnikowo, że jest bardzo poważne. (*Sehr ernst, ich wiederhole sehr ernst*).

Jeżeli wojskowość sprzeciwiała się decentralizacyi kolei ze względów militarnych, a więc ogólno-państwowych, to opozycya Niemców miała charakter bardziéj partykularny. Nie tyle może strach przed federacyą, z którą przecie ta sprawa nie wiele ma wspólnego, zachęcał ich do walki, ile raczéj myśl, że ich Wiedeń ukochany, po utracie generalnéj dyrekcyi wszystkich kolei skarbowych, byłby rocznie znów o kilka milionów uboższym. Nie da się zaprzeczyć, że w ostatniém dwudziestoleciu, Wiedeń niezmiernie wiele stracił tak na znaczeniu, jak i pod względem materyalnym. Niegdyś cała monarchia składała się na jego egzystencyę, dziś żyje on tylko z kilku prowincyi. Odkąd w Austryi zaprowadzono federalistyczną formę rządu, Peszt został stolicą krajów, należących do korony św. Szczepana, a odkąd znów naród czeski zaczął dźwigać się i sił nabierać, cicha przedtém Praga zamieniła się w dawną Złotą Pragę. Dowód tego mieliśmy podczas wystawy praskiéj, która stosunkowo większe miała powodzenie, niż wiedeńska z r. 1873. Gdyby więc teraz ze Lwowa zrobiono stolicę trzecią, coby się wtedy z Wiedniem stało?

Podczas kampanii kolejowéj, w największym strachu był Kraków, głośno bowiem mówiono, że jego dyrekcya ruchu zostanie zwinięta. A jakkolwiek nie jest tam ona zbyt wielką, zatrudnia jednak około 200 urzędników, którzy z rodzinami swemi dają miastu niemało zarabiać. Rada gminna wysłała czemprędzéj deputacyę do Wiednia, by ta wytłómaczyła nietylko rządowi, ale i Kołu, w jak przykrém położeniu znalazłby się gród podwawelski, gdyby mu dyrekcyę kolei zabrano. — Na jego szczęście, rzeczy nie zaszły tak daleko i wszystko zostanie po dawnemu.

II.

Lat temu trzydzieści powstało w Krakowie towarzystwo ubezpieczeń na wzajemności oparte. Pesymiści nie wróżyli z początku nowéj instytucyi długiego żywota, tymczasem ona z dniem każdym nabierała siły i dziś należy do pierwszych tak w państwie, jak w Europie. Są wprawdzie od niéj bogatsze, ale mało jest tak dobrze, a przedewszystkiém uczciwie prowadzonych, jak krakowska. W dodatku ma ona charakter prawdziwie obywatelski i w tém leży jéj główna siła.

Kiedy towarzystwo krakowskie zaczęło się rozrastać, wtedy zmarły namiestnik, hr. Agenor Gołuchowski, mąż równie biegły w polityce, jak w sprawach finansowych, postanowił we Lwowie utworzyć instytucyę konkurencyjną i pozyskawszy dla swych planów kilku

magnatów, myśl swą w rzeczy saméj urzeczywistnił. Ale cóż się stało? Po niedługim żywocie pełnym udręczeń i strat materyalnych, asekuracya Gołuchowskiego, jak ją nazywano, musiała likwidować i Towarzystwo krakowskie objęło po niéj spuściznę z dobrodziejstwem inwentarza. Po tém wielkiém zwycięstwie rośnie ono jak na drożdżach i mimo namiętnego współzawodnictwa rozmaitych tego rodzaju instytucyi tak austryackich, jak węgierskich, czeskich, nawet amerykańskich — dotarło do najdalszych zakątków Galicyi. We Lwowie ma swoją filię, urzędnikow i agentów liczy na setki.

Następujące krótkie zestawienie przekona ciekawego, jak ono wzrastało.

W dziale ogniowym:

W roku	Wydano polis	na wartość ubezpiecz. w gulden.	zebrano zaliczek w guldenach
1861	8,111	31,793,570	272,953
1870	62,616	170,112,813	1,215,273
1880	135,855	277,683,353	2,000,190
1890	275,658	459,434,458	3,080,521

„W dziale gradowym, jak mówi sprawozdanie dyrekcyi z r. b., nie możemy poszczycić się rezultatami tak świetnemi, jak w ogniowym. Tutaj straty następują prawie peryodycznie, a rok miniony, od czasu istnienia tego działu, jest już jedenastym rokiem naszéj operacyi gradowéj, w którym mamy niedobór. Ale pocieszać się możemy chyba tém, że w tak niekorzystnéj operacyi na tém polu nie jesteśmy odosobnieni. W ciągu bowiem lat 13-tu, od r. 1877 do 1889-go, wynosi suma strat poniesionych w tym dziale przez same tylko towarzystwa austryackie kwotę 7,045,811 guldenów. Ale mimo że w dziale gradowym straciliśmy w roku ubiegłym 153,354 guldenów, mamy fundusz rezerwowy wynoszący 579,155 guld., z którego powyższa strata pokrytą została."

Dział gradowy dlatego słabo się rozwija, że w Galicyi ludność wieśniacza od gradu wcale się nie ubezpiecza. Co do większéj własności, ta także się wykręca. Szczególnie w Galicyi zachodniéj obywatelstwo nie lubi płacić za zboże, które tylko w czerwcu i lipcu jest na niezpieczeństwo narażone. Ognia boi się każdy, ale od gradu myśli brat-szlachcic, może Bóg da, że się uchronię. Ponieważ zastęp ubezpieczających się jest mały, więc i polisa nie może być niska, za czém idzie słaby rozwój tego działu.

W dziale ubezpieczeń na życie należy zapisać stały rozwój. Członków należy już do niego 10,417, a wysokość kapitału zabezpieczonego wzrosła z końcem r. 1890 do 22,048,000 guldenów.

Rezerwy premii osiągnęły poważną kwotę 4,229,404 guld., a fundusze nadobowiązkowe, jak fundusz rezerwowy, rezerwy zysków, rezerwy specyalne i inne, gwarantujące bezpieczeństwo działu życiowego we wszystkich kierunkach, przedstawiają kwotę przeszło 700,000 guld., tak, że dział życiowy rozporządza już przeszło pięciomilionowym majątkiem, zapewniającym nietylko wszelkie jego zobowiązania, ale nadto mieści w sobie zapasy na ciężkie chwile, gdyby one nadeszły. Mimo influenzy, która niekorzystnie wpłynęła na śmiertelność członków działu życiowego, wypłacono uprawnionym członkom w oddziale ubezpieczeń pośmiertnych 15%, a zaś w oddziale dożywotnim 6% dywidendy.

Obok powyższych trzech działów, w Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń istnieje jeszcze czwarty, nazywający się Towarzystwem wzajemnego kredytu. Należéć mogą do niego tylko członkowie krakowskiéj instytucyi, a umożliwia ono zaciąganie pożyczek, ułatwia nabywanie majątków i współdziała przy uporządkokowaniu hypotek. W ciągu 16-toletniego swego istnienia udzieliło członkom swoim kredytu wekslowego, bez uwzględnienia kredytu w rachunku bieżącym, na olbrzymią kwotę 123,508,204 guld. Zysk w tym dziale przyniósł w roku ubiegłym 51,983 guld.

Wypada tu nadmienić, że Towarzystwo wzajemnego kredytu wpłynęło w kraju na ogólne obniżenie stopy procentowéj, ponieważ zawsze o kilka miesięcy wyprzedza inne finansowe instytucye w obniżaniu stopy procentowéj i działa zawsze w tym duchu, tak samo, jak bank krajowy, założony nie dla zysków, lecz dla ekonomicznych interesów kraju.

Dałem krótki obraz wzrostu i rozwoju Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń. Ponieważ w ciągu ostatniego trzydziestolecia widzieliśmy tu niemało powstających i padających instytucyi finansowych, więc mimowoli nasuwa się pytanie, komu właściwie Towarzystwo krakowskie swoje powodzenie zawdzięcza. Na to opinia kraju jednogłośnie odpowiada: Henrykowi Kieszkowskiemu. Pod tym względem nie ma dwóch zdań. Pan H. Kieszkowski jest dyrektorem od pierwszego dnia założenia Towarzystwa i on przez ten czas był owym mistrzem, który tak znakomicie gmach postawił, że w nim aż do roku bieżącego nie było widać skazy najmniejszéj. Bywały w tém trzydziestoleciu rozmaite dyrekcye i rozmaite rady nadzorcze, — on jeden nie opuścił na chwilę zajętego posterunku i choć pod ciężarem lat pochylił się nieco, duchem jest jeszcze krzepki i daléj pragnie służyć instytucyi, a przez nią krajowi.

Wspomniałem na początku niniejszego rozdziału, że Towarzy-

stwo krakowskie jest bardzo uczciwe. Pochwałę tę rozciągam nietylko do dyrekcyi saméj, stojącéj ponad wszelkiemi zarzutami, ale także do urzędników téj instytucyi. Na dowód niech posłuży fakt następujący, zaczerpnięty z mego własnego życia.

Lat temu kilka, gdym jeszcze na Rusi mieszkał, pewien mój sąsiad, Niemiec z rodu, z mowy i przekonań, spalił się doszczętnie. Szkoda, wynosząca 14,000 guldenów, była ubezpieczona w Towarzystwie krakowskiém. Zjechał likwidator, p. S., człowiek niezamożny, liczną rodziną obarczony, i ten po trzechdniowéj pracy przyznał pogorzelcowi pełne wynagrodzenie. Niemiec nie posiadał się z radości, przyzwyczajony bowiem do niemieckich asekuracyi, był pewny, że mu likwidator najmniéj 10% odtrąci. Aby więc swoją wdzięczność okazać wsuwał mu na odjezdném w rękę kilkaset guldenów. Choć działo się to na osobności, p. S., który wtedy u mnie mieszkał, niezmiernie się obraził i natychmiast przyszedł do mnie, by się na Niemca poskarżyć. Ledwiem go uspokoił, tłómacząc, że Niemiec prawdopodobnie był przyzwyczajony do tego rodzaju duserów, więc za grzech mu tego brać nie można, zwłaszcza że nie tak źle myślał, jak czynił.

Fakt ten jest jednym z tysiąca jemu podobnych.

Ponieważ cała Galicya ma o Towarzystwie krakowskiém jak najlepsze wyobrażenie, przeto niemile musiała każdego dotknąć wiadomość, rozsiewana na Podolu we wrześniu r. b., iż dyrekcya tegoż Towarzystwa, postąpiła sobie w pewnym wypadku nieprawidłowo, nawet nie po obywatelsku. Szło tu zaś o sprawę następującą:

Księżna Marcelina Czartoryska, właścicielka prześlicznego majątku Podhajce, położonego na Podolu galicyjskiém odstąpiła go Towarzystwu krak. za rentę dożywotnią, którą jéj mąż, mający dziś lat 50, do końca życia będzie pobierał. Podhajce obejmują 11,600 morgów pszennéj ziemi, 3,000 morgów lasu, w tych 600 morgów dębiny materyałowéj, młyny, stawy, domy czynszowe i rozmaite inne dochody. Obliczono, że jeśli książę pożyje jeszcze lat 20, to Towarzystwo po wypłaceniu renty i pokryciu wszystkich ciężarów, zarobi milion guldenów, może nawet więcéj, gdyż w ciągu dwudziestu lat wartość ziemi podniesie się u nas najmniéj o 30%. I musiał to być interes pod każdym względem świetny, skoro, jak wieść niesie, jeden z magnatów naszych chciał go także zrobić, a nowojorska asekuracya ofiarowała, w razie przejścia Podhajec na jéj własność, znacznie wyższą rentę dożywotnią niż Towarzystwo krakowskie. Jeśli mimo to utrzymała się oferta krakowska, przypisać to należy głównie zabiegom p. Henryka Kieszkowskiego i jego syna, Czesława, naczelnika

oddziału życiowego. Zdawało się, że po zawarciu tak świetnego interesu dokoła zabrzmią hymny pochwalne, tymczasem stało się coś wręcz przeciwnego.

Oto, gdy się tego najmniéj spodziewano, dało się słyszéć w okolicy Podhajec wołanie licznie zgromadzonego obywatelstwa, że dyrekcya krak. Towarzystwa postąpiła nielojalnie, ponieważ po za plecyma swojéj rady nadzorczéj, dobra Podhajce wydzierżawiła żydom Lilienfeldom na lat 20. W oskarżeniu owych obywateli czytam między innemi:

„Nie chcemy pozwolić i nie możemy pozwolić, aby kilku, chcemy wierzyć, źle poinformowanych panów dyrektorów Towarzystwa wraz z kierownikiem oddziału życiowego, powodowało upadek zacnych wpływów w całym powiecie, aby narażało lud na wyzyski, aby uniemożliwiało dodatni wpływ dworu na ten lud i aby pozwalało na utrwalenie się jęków ludu Podhajeckiego, który płacząc narzeka, nie wiedząc komu to ma do zawdzięczenia, że „księżna zaprzedała nas żydom.“

Gdym te słowa czytał, nie mogłem własnym oczom wierzyć. Skąd się wziął taki antysemityzm naszym podolanom, skoro oni sami swoje majątki żydom wydzierżawiają, a niektórzy z nich ojcowiznę nawet na wieczność im sprzedają? Mimo to gorący ich manifest powitałem jako zwrot ku lepszemu, boć nie da się zaprzeczyć, że żyd-rolnik nie jest jeszcze w Galicyi siłą dodatnią i korzystnym materyałem na przyszłość, więc téż dobrze ten robi, kto swojéj ziemi przed niemi broni.

Szlachta podhajecka odezwała się do całego kraju, aby poparł jéj protest. Głos ten nie przebrzmiał bez echa. Ze wszystkich stron, z rad powiatowych i oddziałów gospodarskich zaczęły sypać się uchwały, pochwalające wystąpienie podolan i w koło zabrzmiał okrzyk: „Hejże na Kieszkowskich!“ Niestety, taki a nie inny charakter miała od początku ta manifestacya. Wobec tego, prezes rady nadzorczéj Towarzystwa, p. Dembowski, uznał za niezbędne zwołać pełną radę do Krakowa na dzień 5 października.

Do rady wchodzi 25 osób, wybieranych okręgami przez członków, t. j. przez tych, którzy ubezpieczają się w Towarzystwie krakowskiém. Gdy rada się zebrała, okazało się, że postępowanie dyrekcyi nie było całkiem bez zarzutu. Zgrzeszyła ona wprawdzie nie złą wolą, ale arbitralnością w każdym razie zawiniła. W sprawie tak doniosłéj, gdzie tyle interesów w grę wchodziło, nie powinna była działać na własną rękę. Obowiązek nakazywał jéj odnieść się do rady nadzorczéj. Wprawdzie dyrekcya zasłaniała się tym waż-

nym argumentem, że dopóki nie miała kontraktu Lilienfeldów w ręku, dopóty nie mogła z ks. Czartoryską do układu przystąpić, a to z téj przyczyny, że przez dłuższy czas dochody z Podhajec nie pokryją renty, więc trzeba było mieć na lat 20 zabezpieczonego dzierżawcę, ale ta obrona nie trafiała jakoś do przekonania rady i większość jéj przemawiała za potrzebą rozwiązania kontraktu z Lilienfeldami. Sprawa zaczęła się wikłać, przechodziła w stan zapalny. Nagle sytuacyę ratują sami Lilienfeldowie, oświadczając, że od kontraktu odstąpią, za zwrotem tylko poniesionych kosztów, które uczyniły 11,000 guldenów. Równocześnie zapewnili radę, że gdyby się nie znaleźli inni, lepsi od nich dzierżawcy, natenczas oni sami poczuwaliby się do obowiązku dotrzymania kontraktu.

Postępowanie Lilienfeldów było niezmiernie zręczne i na znajomości naszéj natury oparte. Z jednéj strony ratowali dyrekcyę, z drugiéj liczyli na pewne, że u nas nie znajdzie się przedsiębiorca, któryby tak duży majątek chciał ryczałtem wziąć w dzierżawę. Tymczasem spotkał ich zawód. Choć między nami trudno o solidarność, zebrało się jednak 17 obywateli, mających razem kilka milionów majątku i ci, zawiązawszy się w konsorcyum przedłożyli radzie nadzorczéj własną ofertę. Rada przed kilku dniami zastanawiała się nad nią bardzo gruntownie, ale nie musiała jéj uznać za tak korzystną, jak była oferta Lilienfeldów, skoro zażądała w niéj pewnych zmian i rozstrzygnięcie sprawy do maja roku przyszłego odłożyła. Lilienfeldowie znów na to powiedzieli: „Poczekamy do maja, a jeśli nie będzie od nas lepszych, my się utrzymamy.“ Tak więc bawimy się w ślepą babkę i nie sposób przewidzieć, kto kogo złapie.

Przy sprawie podhajeckiéj wypłynęła na powierzchnię naszego życia społecznego sprawa dzierżawców-chrześcian. Rasa tych ludzi, niegdyś bardzo liczna, dziś prawie doszczętnie wyginęła. Znaleść ich jeszcze można tylko w dobrach magnackich, gdzie tenuta nie jest wyciągnięta i gdzie siedzą oni z dziada pradziada. Wioski szlacheckie dzierżawią natomiast u nas tylko żydzi, bo ci, mając małe wydatki, łatwiéj mogą więcéj zapłacić. Ktoś, znając dobrze stosunki na Podolu, tak mi mówił o Podhajcach:

— Jeżeli Lilienfeldowie przy dzierżawie się utrzymują, natenczas w każdym folwarku, a jest ich tam 7, posadzą wiernika, któremu będą płacili rocznie 300 guldenów; cała zatém administracya będzie ich kosztowała 2,100 guld. Przeciwnie, jeśli chrześcianie wezmą owe folwarki w dzierżawę, to powstanie 7 dworów, z których każdy będzie na rok wydawał 6,000 guldenów, co razem uczyni 42,000

guldenów. Kto więc może lepszą złożyć ofertę, żyd czyli chrześcianin?

Smutne niestety, ale prawdziwe.

Zapyta teraz może niejeden, dlaczego nagle powstała opozycya nietylko w kraju, lecz nawet w łonie saméj rady nadzorczéj przeciw twórcy krakowskiego Towarzystwa, p. Henrykowi Kieszkowskiemu. Na to pytanie odpowiedział już jeden z członków rady, p. Gostkowski, właściciel Tomic, majątku znanego z hodowli ryb, który w liście otwartym, dołączonym do wszystkich dzienników, nazwał p. Kieszkowskiego Bismarckiem, nie uznającym niczyjéj woli krom własnéj. Jest w tém dużo racyi, ale zdaje mi się, nie cała. Zasada *ôte toi que je m'y mette* odgrywa tu także rolę niepoślednią. Wprawdzie nie chcę przez to powiedzieć, żeby p. Gostkowski jéj hołdował, ale to żadnéj nie ulega wątpliwości, że w kraju są osoby, które po panu Kieszkowskim radeby objąć spuściznę. Stanowisko jego należy do najbardziéj wpływowych. On trzęsie Towarzystwem, a przez nie całém obywatelstwem, pukającém dość często do kasy wzajemnego kredytu. Ilekroć na wysokim urzędzie stoi człowiek już niemłody, zawsze dają się słyszéć głosy: „Czemu nie idzie na emeryturę, czemu młodszym od siebie miejsca nie ustąpi?“ Te same słowa brzmią i dziś w powietrzu, chociaż nikt ich głośno nie wypowiada, i to właśnie w wysokim stopniu zmniejsza doniosłość ataków wymierzonych przeciw p. Kieszkowskiemu.

List otwarty p. Gostkowskiego był przedmiotem rozpraw na ostatniém posiedzeniu rady nadzorczéj. Do żadnego jednak zerwania nie przyszło, gdyż zwaśnione strony przeprosiły się i pogodziły. Pan Gostkowski cofnął wszystkie zarzuty.

Kiedy dokoła Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w ostatnich trzech miesiącach zacięta wrzała walka, ktoś rozpuścił pogłoskę, że jest-to zamach podolaków na krakowian, którym chcą zabrać ich bogatą instytucyę, aby ją przenieść do Lwowa. Wieści te były z gruntu fałszywe i niepotrzebnie poważnym mieszczanom podwawelskim, mającym czynszowe kamienice, sen z powiek płoszyły. O czémś podobném nikt nigdy nie myślał.

III.

D-r Tadeusz Pilat, naczelnik biura statystycznego w Wydziale krajowym, opracował dla „Wiadomości statystycznych“ bardzo su-

miennie sprawę naszéj własności ziemskiéj. — Z ważną tą pracą radbym, bodaj pobieżnie, zapoznać moich czytelników.

Autor w pierwszym rozdziale swéj pracy z naciskiem podnosi, że kraj nasz, jak dawniéj tak i teraz pozostał nawskroś rolniczym. Ani zajęcia przemysłowe, ani życie miejskie nie rozwinęło się u nas o tyle, iżby mogło zaważyć na szali stosunków ekonomicznych i społecznych; rolnictwo wraz z ubocznemi gałęźmi gospodarstwa wiejskiego pozostało głównem zajęciem ludności; ludzie zaś zajęci uprawą ziemi i żyjący z jéj produkcyi, głównym żywiołem w życiu społeczném i politycznem.

Ta ludność rolnicza naszego kraju, którą w przeszłości stanowili ziemianie, szlachta i włościanie, odrabiający powinności poddańcze, lub czynsze płacący, składa się jeszcze z dwóch głównych warstw, odpowiadających owym dawnym kategoryom, jednakowoż nie bez znacznych zmian, spowodowanych przejściami polityczno-społecznemi i odmiennemi stosunkami na polu ekonomiczném. Dziś mamy w kraju bardzo ważną warstwę rolników drobnych, obejmującą wraz z rodzinami przeszło 4 miliony ludności i kategoryą posiadaczy dóbr niegdyś dominikalnych. Ten drugi odłam własności rolniczéj obejmuje nietylko własność wielką, lecz, obok posiadłości drobnych, mnożących się obecnie wskutek parcelacyi, warstwę posiadłości średniéj, któréj właściciele, jak za czasów Rzeczypospolitéj stanowili sami politycznie uprawniony stan średni, tak dziś, wobec niedostatecznego rozwoju miast, tworzą ekonomicznie i politycznie ważną część stanu średniego w naszym kraju.

Przechodzimy teraz do cyfr, wprawdzie niezabawnych, zato wielce pouczających.

Cały obszar Galicyi, po zestawieniu najnowszych dat katastralnych, wynosi morgów 13,640,646 i 275 sążni kw. Z tego obszaru zajmuje własność tabularna 5,362,245 morgów i 262 sążnie kw. Pozostały obszar 8,278,400 morgów 1,593 sążnie kw. obejmuje własność ziemską mniejszą, daléj nieruchomości w 15-tu największych miastach a wreszcie, nie będące przedmiotem ksiąg hypotecznych dobra publiczne, jakiemi są publiczne wody i drogi wszelkiéj kategoryi.

Lasy należą przeważnie do własności tabularnéj, t. j. większéj. Z ogólnego obszaru lasów przypada na własność tabularną 2,937,399 morgów. Obszar, składający własność tabularną, dzieli się między poszczególne rodzaje uprawy roli w sposób następujący: las zajmuje 54,78% całéj własności tabularnéj, role 32,13%, ogrody 0,52%, łąki 6,40%, pastwiska 3,99%, stawy i moczary 0,94%, nieużytki 0,99%, place pod budowlami 0,25%.

W ostatniém trzydziestoleciu obszar ról własności tabularnéj wzrósł o 8,72%, a nietabularnéj o 4,99%. Dowód to niezbity, że się gospodarstwa poprawiają.

W czyich ręku znajduje się własność tabularna? Państwo jest jeszcze dziś największym właścicielem tabularnym w Galicyi, ponieważ posiada 384,057 morgów. Jeżeli doliczymy do powyższych dóbr rządowych dobra, należące do funduszu religijnego, oraz parcele tabularne, nabyte dla celów wojskowych, wówczas okaże się, że ogółem posiada państwo i fundusze, pod jego zarządem zostające, 374 ciała tabularne, które zajmują 411,139 morgów. Z tego obszaru przypada na lasy 379,532 morgów, na inne grunta 31,606 morgów.

Własność tabularna, należąca do państwa, była dawniéj znacznie rozleglejsza. Rząd austryacki, zająwszy Galicyę, ogłosił uniwersałem z 28 stycznia 1773 r. wszystkie dobra stołowe i koronne zawłasność monarchy, jako przedstawiciela państwa. W późniejszych latach przeprowadził rząd przeważnie przed r. 1800 cały szereg zamian dóbr koronnych na dobra prywatne, w których znajdowały się źródła solne i warzelnie soli, ważne dla rządu ze względu na monopol soli. W tym samym czasie zaczął rząd nadawać grunta, po większéj części należące poprzednio do wójtostw, kolonistom niemieckiego pochodzenia, którzy potworzyli w dobrach koronnych liczne osady, po dziśdzień istniejące. Między rokiem 1800 a 1870 sprzedał rząd z dóbr koronnych 843,043 morgi za kwotę 12,501,388 guldenów. Prócz tego w drodze wykupna służebnictw oddano na własność włościanom 42,602 morgi. Wynika zatém z tego, że pierwotny obszar dóbr koronnych w Galicyi wynosił w przybliżeniu morgów 1,269,702.

Duchowieństwo posiada: metropolita lwowski gr.-kat. 64,800 morgów, lwowski arcybiskup łaciński 26,341 morgów, biskup łaciński w Przemyślu 14,379 morgów, biskup gr.-kat. przemyślski 1,836 morgów. Biskupstwo krakowskie posiada obecnie tylko 134 morgi, 1,238 sążni kw. Kapituły posiadają także piękne dobra, a między innemi lwowska obrządku łac. ma 11,000 morgów.

Klasztory mają razem 65,070 morgów. Między niemi najbogatszy zakon dominikański, gdyż do niego należy 26,132 morgi.

Dalszą część własności tabularnéj stanowią dobra fundacyjne. Majątki te obejmują 89 ciał tabularnych z obszarem 80,246 morgów, z których 55,532 morgi przypada na las. Pierwsze miejsce między majątkami fundacyjnemi zajmuje fundacya Stanisława hr. Skarbka, do któréj należy ciał tabularnych 44, z obszarem 58,228 morgów. Drugie miejsce zajmuje biblioteka Ossolińskich z obszarem 8,595 mor-

gów. Poza temi fundacyami pozosłały obszar 13,423 morgi rozdziela się między 9 fundacyi stypendyjnych i 8 zakładów humanitarnych.

Miasta i gminy posiadają razem 30,569 morgów. Najwięcéj ma Lwów, bo 7,825 morgów. Po nim idzie spółka siedmiu gmin z dawnego klucza Czarny Dunajec, która nabyła i posiada 5,619 morgów, prawie wyłącznie leśnych.

W Galicyi mamy następujące ordynacye: hr. Mieroszowskich, hr. Potockich, ks. Lubomirskich, hr. Borkowskich, hr. Baworowskich, hr. Gołuchowskich, hr. Siemieńskich-Lewickich, Czarkowskich i hr. Stadyonów. Razem mają one 68,466 morgów. Najwięcéj, bo 14,000 morgów posiada między niemi ordynacya hr. Potockich w Łańcucie.

Arcyksiążę Albrecht posiada w Galicyi 80,000 morgów, a zaś arcyksiążę Rainer 5,039 mogów.

D-r Pilat przychodzi z kolei do wykazania, ile ziemi dzierżą w Galicyi żydzi w swym ręku. Ustęp to jest nader ważny, więc warto mu się bliżéj przypatrzéć.

Autor zaznacza, że ludność żydowska wciąż jeszcze różni się u nas wielce od reszty społeczeństwa, mając inne, niż ona, zwyczaje, wyobrażenia, zajęcia i sposób życia. Znaczenie téj odrębności jest wielce przez to spotęgowane, że ludność żydowska stanowi bardzo znaczną część ludności krajowéj, albowiem spis ostatni, w r. 1890 dokonany, wykazał w Galicyi 772,213 osób wyznania mojżeszowego, czyli 11.69% całéj ludności kraju.

Z tych względów ważną jest rzeczą wiedziéć, jaki udział ta masa, złączona z resztą ludności wiekowym pobytem, interesami i rozlicznemi stosunkami, a przecie od niéj odrębna, ma we własności tabularnéj, t. j. w téj własności, która z przyczyn historycznych i ekonomicznych zajmuje w Galicyi ważniejsze niż gdzieindziéj stanowisko. Dla zrozumienia całości obrazu, należy tu się zastanowić, że dopiéro wskutek ustawy zasadniczéj z d. 21 grudnia 1867 r. o powszechnych prawach obywateli w Austryi, ustały wszelkie ograniczenia żydów w nabywaniu i posiadaniu dóbr nieruchomych, więc też właściwie dopiéro od tego czasu zaczęli żydzi w większéj liczbie nabywać dobra tabularne w Galicyi. Ich liczba i obszar przez nich nabyty, dają miarę ruchu własności tabularnéj w ostatnich 24 leciech.

Ogólny obszar własności tabularnéj, należący do żydów, wynosi 591,693 morgi 1,041 sążni kw., co czyni 13,26% własności tabularnéj prywatnéj.

W jednym powiecie stryjskim posiadają oni więcéj niż połowę, bo 97,244 morgi czyli 63,77% całego obszaru tabularnego.

Pięć powiatów wykazuje ponad 20% własności tabularnéj w posiadaniu żydów, mianowicie: Brody 41,909 morgów czyli 28,23%, Skałat 14,478 morgów czyli 24,86%, Drohobycz 21,189 morgów czyli 22,34%, Nisko 16,727 morgów czyli 22,22%, Dolina 58,811 morgów czyli 22,15%.

W ośmnastu powiatach żydzi dzierżą 10 do 20% własności tabularnéj. Nie ma ich wcale tylko w dwóch powiatach: żywieckim i kossowskim.

Jeżeli się weźmie na uwagę stosunek obszaru tabularnego posiadanego przez żydów, nie do całéj własności tabularnéj, lecz tylko prywatnéj, to otrzymamy wyższe cyfry procentowe. Dziewięć powiatów jest takich, w których ponad 20% obszaru prywatnéj własności tabularnéj należy do żydów; między temi zaś dwa, w których więcéj niż połowa prywatnéj własności tabularnéj jest żydowska.

Ogółem w całym kraju jest 4,265 prywatnych właścicieli tabularnych, między nimi 557 żydów. Żydzi stanowią tedy 13,39% wszystkich właścicieli tabularnych. Cyfry te są tak wymowne, że chyba komentarza nie potrzebują. A w chwili, gdy to piszę, nie są już one całkiem dokładne. Taki stan był pod koniec r. 1890. W roku bieżącym nabyli oni znów sporo dóbr, więc téż można wziąć za fakt, nieulegający żadnéj wątpliwości, że każda siódma posiadłość ziemska znajduje się już w ręku żydów.

Jeżeli tyle dokazali w ciągu 24 lat, to co będzie za lat 50?

Właścicieli, posiadających ponad 10,000 morgów, t. j. więcéj, niż jedną milę kwadratową, jest w Galicyi 54. W obrębie téj kategoryi jest 8 właścicieli publicznych a 46 prywatnych. Są to fortuny magnackie. Oto ich nazwiska:

Jan br. Liebig (niemiec) posiada 113,400 morgów, Roman hr. Potocki 84,885 morgów, arcyksiążę Albrecht (niemiec) 79,967 morgów, Groedl (żyd) 68,726 morgów, br. Popper (żyd) 58,468 morgów, Jakób hr. Potocki 45,239 morgów, Włodzimierz hr. Dzieduszycki 42,829 morgów, Stanisław hr. Badeni 40,745 morgów, Władysław hr. Baworowski 36,246 morgów, Karol hr. Lanckoroński 35,186 morgów, Lazarus (żyd) 35,012 morgów, Wilhelm hr. Siemieński-Lewicki 32,402 morgów, Andrzéj hr. Potocki 31,658 morgów, Adam ks. Sapieha 30,904 morgi, Olivier hr. Rességuier (niemiec) 25,053 morgi, Zuzanna Skrzyńska 21,700 morgów, Eustachy ks. Sanguszko 22,818 morgów, Kalikst hr. Poniński 21,569 morgów, Schindlerowie (niemcy) 20,811 morgów, Hieronim ks. Lubomirski 20,328 morgów, Kazimierz hr. Badeni (namiestnik) 19,403 morgi, księżna de Ligne (francuska) 17,761 morgów, Kazimierz Młodecki 17,444 morgów, Agenor hr. Gołuchow-

ski 15,955 morgów, Helena hr. Mierowa 15,350 morgów, Jerzy ks. Czartoryski 14,857 morgów, Emil hr. Baworowski 14,650 morgów, Ludwik hr. Wodzicki (gubernator Laenderbanku) 14,680 morgów, Tomasz hr. Zamojski 14,326 morgów, Albin Słonecki 13,309 morgów, Florentyna ks. Czartoryska 12,859 morgów, Władysław hr. Branicki 12,591 morgów, Lejzor Gartenberg (żyd) 12,797 morgów, Józef Laufer (żyd) 12,007 morgów, Władysław ks. Czartoryski 11,858 morgów, Andrzej ks. Lubomirski 11,803 morgi, Ferdynand hr. Hompesch 11,650 morgów, Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń, przedtém Marcelina ks. Czartoryska 11,534 morgi, Jan hr. Tarnowski 11,526 morgów, Józef Kolischer (żyd) 11,426 morgów, Władysław hr. Zamojski 11.279 morgów, Karolina Weissmann 10,704 morgi, Jan br. Brunicki 10,603 morgi, gwarectwo jaworznickie 10,532 morgi, ks. Panua (niemiec) 10,458 morgów, Albina Włodkowa 10,114 morgów.

Właścicieli posiadających ponad 1,000 morgów aż do 5,000 morgów jest ogółem 946.

D-r Pilat rozdziela własność tabularną na cztery kategorye:

I. Największa własność tabularna, t. j. ponad 5,000 morgów obejmuje 163 właścicieli.

II. Wielka własność tabularna, t. j. niżéj 5,000 a nad 1,000 morgów obejmuje 946 właścicieli.

III. Średnia własność tabularna nad 200 do 1,000 morgów wykazuje 1,611 właścicieli.

IV. Mała własność tabularna do 200 morgów liczy 1,775 posiadaczy.

Autor dochodzi do następujących konkluzyi:

Trzecią część powierzchni kraju zajmują wielkie posiadłości ziemskie z obszarem nad 1,000 morgów; więcéj niż połowę téj powierzchni zajmują posiadłości drobne, z obszarem kilku lub kilkunastu morgów, a nieznaczna stosunkowo część przypada na posiadłości ziemskie rozmiarów pośrednich t. j. od 200 do 1000 morgów, zatem na tę kategoryę własności ziemskiéj, która ze względów ekonomicznych i społecznych jest niezmiernie ważną dla naszego kraju. Ruch własności ziemskiéj w całéj Galicyi jest nadzwyczaj szybki, zmiany stąd wynikające nie wzmacniają owéj pośredniéj kategoryi własności ziemskiéj, lecz raczéj ją osłabiają. Wielkie majątki rozszerzają się i zaokrąglają przez dokupna, ku czemu wynagrodzenia za propinacyę dostarczyły znacznych funduszów, drobna (chłopska) własność zajmuje coraz dalsze obszary z owéj pośredniéj kategoryi przez parcelacyę folwarków dworskich, mianowicie na zachodzie, tak iż prawie można się obawiać, że z czasem właściciele posiadający od 200—1000

morgów całkiem znikną. Dr. Pilat upatrując w téj ewentualności bardzo doniosłe niekorzyści tak ekonomiczne, jak społeczne, uważa za jedno z ważnych zadań polityki krajowéj, obmyślenie sposobów zachowania i wzmocnienia téj pośredniéj kategoryi własności ziemskiéj. Należałoby rozważyć, czy reforma prawa spadkowego, reforma stosunków kredytowych, poparcie usiłowań, zmierzających ku podniesieniu gospodarstwa rolnego i chowu bydła na gospodarstwach średniéj wielkości, czy téż jeszcze inne środki tak ustawodawcze, jak administracyjne nie byłyby wstanie celu tego osiągnąć. Parcelacya w celu powiększenia drobnych gospodarstw musi się daléj odbywać, lecz należałoby ją skierować ku wschodowi, gdzie większa własność o wiele rozleglejszy obszar zajmuje, niż na zachodzie, — gdzie kolonizacya wielkich obszarów mogłaby pomnożyć liczbę rąk potrzebnych do pracy rolniczéj i podnieść gospodarstwo, a zarazem przynieść korzyść właścicielom przez sprzedaż ziemi po odpowiednich cenach.

Konkluzya pracy dra Pilata schodzi się z tém, co od lat 15 na różny ton powtarzamy. Potrzebujemy wielkiéj instytucyi finansowéj, któraby ułatwiała parcelacyę we wschodnich powiatach kraju. Ale właśnie zasada parcelacyi, któréj autor hołduje, jest zgubną dla średniéj własności, choć autor wszelkiemi środkami radby ją podtrzymać. Tego żadne ustawodawstwo niedokaże. Własność średnia zniknie u nas tak samo jak znikła na całym zachodzie, gdyż z kilkuset morgów nie sposób utrzymać liczniejszéj rodziny, wykształcić dzieci i los im zapewnić. Ta kategorya właścicieli będzie tedy popadała w długi coraz większe, aż ostatnią deską zbawienia okaże się dla niéj parcelacya. Średni właściciele uzyskają wtedy trochę gotówki, ale ziemię stracą na zawsze.

IV.

Od bardzo dawna uskarżają się u nas wszyscy na sposób, w jaki w gimnazyach austryackich bywa udzielana nauka języków klasycznych. Profesorowie łaciny i greki, trzymając się szkolnych przepisów, nie dbali o to, żeby uczeń rozumiał autorów starożytnych i mógł ich czytać w oryginale, lecz żeby sobie dobrze zapamiętał wszystkie formy gramatyczne, których niestety w grece i łacinie nie będzie mniéj niż znaków w piśmie chińskiém. Scholastyczny ten system, tak sprzeczny z dzisiejszym rozwojem, doprowadził w końcu do tego, że codzień liczniejsze dawały się słyszéć głosy, iż nauka języków klasycznych z naszych szkół średnich powinna być stanowczo usunięta.

Austryackie ministeryum oświaty musiało w tych skargach znaleść wiele słuszności, skoro już w r. 1884 wydało instrukcyę, w któréj znajduje się dokładnie opracowany plan nauki języków klasycznych, a jedną z głównych jego zalet jest zwrócenie uwagi na stosowny wybór utworów łacińskich i greckich, których czytaniem i rozbiorem zajmują się uczniowie gimnazyalni. W trzy lata późniéj wydało znów ministeryum kilka cennych wskazówek o nauczaniu języków starożytnych w gimnazyum niższém, dążąc słusznie do ograniczenia materyału gramatycznego. Teraz minister oświaty uczynił krok nowy, ponieważ rozporządzeniem z 30 września 1891 r. określa sposób postępowania przy czytaniu autorów starożytnych, zwracając uwagę na to, że jest to nadużywaniem lektury klasycznéj, jeżeli zamiast wnikania w treść i ducha autora, uważa się ją tylko jako środek do ćwiczeń gramatycznych. „Gramatyczne traktowanie autorów — mówi minister—nie jest celem nauki gimnazyalnéj, a kto taką postępuje drogą, z pewnością do tego doprowadzi, że uczniom obmierzną nauki starożytne“. Aby umożliwić w tym kierunku zbawienną reformę, minister poleca:

1) Łacińskie i greckie zadania domowe mają być w klasach wyższych zaniechane, aby czas przez to uzyskany, mógł być obrócony na czytanie autorów klasycznych.

2) W każdéj klasie wyższego gimnazyum, mają uczniowie ku końcowi półrocza ze znanego sobie autora szkolnego, tak łacińskiego, jak greckiego, nieczytany stosowny ustęp, bez poprzedniego przygotowania i bez użycia środków pomocniczych, przełożyć na język wykładowy.

3) Lektura prywatna ma być przy egzaminie dojrzałości uwzględnioną, a uczeń, pragnący otrzymać lepszy stopień, może objawić życzenie, aby i z lektury prywatnéj otrzymał ustęp do tłómaczenia, zwłaszcza jeżeli prywatnie przeczytał tyle, ile w języku łacińskim lub greckim czyta się w szkole w przeciągu całego roku.

Chociaż powyższe rozporządzenie ministra nie wprowadza jeszcze gruntownéj reformy w nauczaniu języków starożytnych, mimo to zostało ono z wielką radością przyjęte, tak przez uczniów, jak i samych profesorów. I na pochwałę tych ostatnich należy powiedzieć, że nie znalazł się między nimi ani jeden, któryby chciał skruszyć kopię w obronie dawniejszego systemu. Jeden z nich tak się wyraża o rozporządzeniu ministra:

„Wieje z niego świéży i zdrowy duch, przebija w niém chęć wyrzucenia ze szkół niepotrzebnego balastu gramatykalnego, zerwania z tak obciążającą i nużącą młode umysły repetycyą reguł i wyjąt-

ków gramatycznych, a nadaniu lekturze klasycznéj takiego kierunku, aby uczniowie znaleźli w niéj szczere zamiłowanie i upodobanie, a nie szkodliwe utrapienie. W nauce języków starożytnych nie chodzi bowiem o wyuczenie się martwych form, ale o wniknięcie w żywego ducha i treść starych klasyków; nie chodzi o pedantyczne nadużywanie lektury, ale o rozumne, pedagogiczne jéj wyzyskanie, które może bardzo skutecznie i pobudzająco wpłynąć na młode umysły. Zerwanie ze skostniałym, dla młodzieńca często przerażającym formalizmem gramatycznym, to ważny krok naprzód w kierunku dalszych a tak wielce pożądanych reform w dziedzinie nauki języków starożytnych w naszych gimnazyach".

Z powodu rozporządzenia ministra oświaty, między nauczycielami szkół średnich w Galicyi widać obecnie ruch niezwykły, bo nietylko naradzają się nad wprowadzeniem w życie zmienionéj metody, ale co niemniéj ważne, muszą przygotować cały szereg książek i podręczników do nauki języków starożytnych.

V.

Jak Kato każde posiedzenie senatu zamykał słowami: Kartagina powinna być zburzona! tak i zmarły niedawno poseł Otto Hausner przy każdéj sposobności, a już najczęściéj przy rozprawach budżetowych, wołał w Wiedniu: „Uniwersytet lwowski musicie uzupełnić fakultetem medycznym!" Z początku rząd nie zwracał uwagi na to żądanie, w samym nawet kraju znajdowali się ludzie, którym się zdawało, że lwowski fakultet medyczny zaszkodziłby krakowskiemu, powoli jednak tak rząd jak pesymiści inaczéj się namyślili i już w roku ubiegłym po zarządzeniu przez namiestnika szczegółowych dochodzeń, okazało się, że uniwersytet lwowski powinien być wypełniony fakultetem medycznym. Odtąd można się było spodziewać, że prędzéj lub późniéj do tego przyjdzie.

Cesarz postanowieniem z 25 października zezwolił na otwarcie w r. 1894 w uniwersytecie lwowskim wydziału lekarskiego, i to w ten sposób, żeby stopniowo co roku był wprowadzany dalszy rok wykładowy aż do całkowitego uzupełnienia wydziału. Ponieważ monarcha nie omieszkał przy téj sposobności zaznaczyć, że urzeczywistnienie tego projektu zależéć będzie od środków materyalnych, przeto wydział krajowy postanowił pójść rządowi na rękę i zawrzéć z nim umowę, którą sejm najbliższy niewątpliwie zatwierdzi. Jéj osnowa jest następująca:

Wydział krajowy obowiązuje się na gruncie, należącym do ogólnego szpitala powszechnego we Lwowie, wybudować kosztem funduszu krajowego dwa nowe pawilony na klinikę wewnętrzną i chirurgiczną, a zaś zamierzony szpital położniczy rozszerzyć kosztem tegoż funduszu, tak, aby obejmował także klinikę położniczą i ginekologiczną. Prócz tego obowiązuje się wydział krajowy umieścić w głównym gmachu szpitalnym: klinikę chorób skórnych i wenerycznych. Dla wszystkich powyżéj wymienionych 5-ciu klinik wydział dostarczy wewnętrznego urządzenia. Kliniki będą oddane do użytku między 1 kwietnia 1897 a 1 października 1898 roku. Skarb państwa nie nabywa żadnego prawa własności gmachów i sprzętów oddanych na użytek klinik. Wszystko będzie należało do szpitala krajowego, a profesorowie kierujący klinikami będą równocześnie bezpłatnymi prymaryuszami na tych klinikach, jako na oddziałach szpitalnych. Gdyby na fakultecie lekarskim inne kliniki, mianowicie: laryngologiczna, klinika chorób uszu i chorób nerwowych miały być zaprowadzone, wydział krajowy pomieści je także w gmachu szpitalnym. Skarb państwa do budowy i adaptacyi powyżéj wymienionych klinik przyczyni się kwotą 150,000 guldenów, płatną w 3 ratach rocznych po 50,000 każda. Resztę wydatków w sumie 200,000 guldenów przyjął na siebie wydział krajowy. Uczynił to zaś mimo złego stanu finansów galicyjskich tylko dla tego, że inaczéj fakultet medyczny mimo cesarskiego pozwolenia nie mógłby we Lwowie przyjść do skutku.

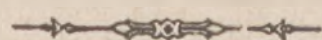
Tak więc za lat kilka uniwersytet lwowski będzie miał wszystkie wydziały i młodzież wschodniéj Galicyi, pragnąca zdobyć dyplomy doktorskie, nie będzie potrzebowała udawać się na naukę do Krakowa i Wiednia. Zachodzi tylko pytanie, czy nowy fakultet znajdzie zdolnych profesorów, których, jak wiemy, nie ma wielu.

Józef Rogosz.





Prądy w najnowszéj literaturze niemieckiéj.*)



Liryka.

Balada i romanza, których rozgraniczenie estetyczne, pomimo licznych prób, nie powiodło się jeszcze żadnemu teoretycznemu choryzontowi [1]) —przynajmniéj w zastosowaniu do poezyi niemieckiéj, gdyż najznakomitszy twórca balad w wieku XIX-ym, Uhland, o całém tém rozróżnianiu nie chciał wiedzieć nic, a w wieku XVIII-ym Bürger ten sam poemat epiczny nazywał to baladą, to romanzą,—balada, mówię, i romanza same przez się stanowią przejście od eposu do liryki. Wszak i tak od czasów Scheffelowskiego „Trębacza“ opowiadanie i pieśń weszły z sobą w sojusz, jeszcze nie zupełnie uprawniony przez estetykę. Niemiecka twórczość baladowa nie może się jeszcze poszczycić podeszłym wiekiem. Jak epopea komiczna, która powstała pod wpływem „Pulpitu“ (*Le lutrin*) Boileau i „Porwanego pukla włosów“ (*The rape of the lock*) Aleksandra Pope'a, spierała się w przeszłym wieku z eposem poważnym o godność, a przynajmniéj o względy czytelników, tak samo według poczęści źle zrozumianych wzorów francuskich i hiszpańskich wytworzyła się i romanza komiczna. Dopiéro od „Leonory“ Gotfryda Bürgera (1773 roku) rozpoczęła się poważna, dążąca do rodzimości poezya baladowa. Pod-

*) Ob. „Ateneum“ zesz. listopadowy r. z., str. 240.

[1]) „Choryzontami“ nazywano w starożytności takich, którzy „Iliadę“ i „Odysseję“ przypisywali oddzielnym autorom.

czas gdy epos komiczny, któremu dał początek Zachariä w swoim „Renomiście“, doczekał się nowego ukształtowania przez Wielanda, a następnie był uprawiany w krótkich próbach przez Geibla, z rozmiłowaną zaś gorliwością przez Schacka, i gdy z jednéj strony Heine w swoim „Atta Trollu“ wytworzył z niego ostrą satyrę, a z drugiéj Scheffel i jego naśladowcy poczęli w sposób humorystyczny mieszać w nim śmiéch i łzy, — romanza komiczna po czasach burzy i zapędów doznawała tylko wyjątkowo opieki, zwłaszcza ze strony Scheffela i Kopischa. Tém gorliwiéj przedstawiciele najrozmaitszych szkół i kierunków uprawiali baladę według rodzimego wzoru, stworzonego przez Bürgera i Goethego, tudzież artystyczną baladę Schillera i Goethego, zamieniającą na obraz symboliczny jakieś określone idee. Z wyjątkiem Grillparzera i Ottona Ludwiga nie było chyba w wieku XIX-ym ani jednego, zasługującego na wzmiankę poety niemieckiego, którýby nie próbował swoich sił i w dziedzinie ballady. Z Uhlandem jednak nikt nie może walczyć na tém polu o lepsze; jego „najstarszy uczeń“, Gustaw Schwab, którego jeszcze nigdy nie oceniono podług całéj jego wartości, zapewne najlepiéj przyswoił sobie zalety Uhlanda, nie przestając być samodzielnym. Obok Uhlanda można pochwalić hrabiego Platena. Dahna i Fontane'a, wymieniłem już jako najwybitniejszych baladotwórców. Gdyby dramaturg Fr. Hebbel nie był nawet napisał nic, oprócz upajająco pięknéj balady „Urok miłości“ (*Liebeszauber*, 1844) i obejmującego wszystkie stworzenia jednakową, pełną poświęcenia miłością „Bramina“ (1869 r.), godnego stanąć obok wielkich balad Goethego, to i tak jego miejsce pomiędzy najpierwszymi naszymi poetami byłoby zapewnione. Freiligrath, Geibel, Lingg, Anetta v. Droste-Hülshof zajmują stanowisko wybitne tak w poezyi balad, jak i w liryce. Uwielbienie dla potęgi poezyi, wyrażone przez Schacka w „Ateńczykach w Syrakuzach“, którzy, jako jeńcy wojenni, zmiękczają swoich panów sycylijskich przy pomocy chórów Eurypidesa, może być postawione narówni obok Schillerowskich „Żórawi Ibika.“

Lecz rozważanie nowszéj poezyi baladowéj w oderwaniu od poematów lirycznych bodaj czy się da przeprowadzić. Wielka jest masa piewców z apolinowéj i księgarza łaski, którzy lękliwie lub nawet tu i owdzie natarczywie ośmielają się występować ze swojemi wytworami lirycznemi. Z pośród zagmatwanéj mnogości zjawisk, postaramy się wyjaśnić sobie istniejące pojedyńcze prądy i połączone miejscem pojedyńcze grupy, o ile takowe mogą być tutaj wciągnięte.

Jednę z najistotniejszych właściwości wewnętrznych poezyi liry-

cznéj stanowi śpiew. Ton i melodya są nierozerwalnie połączone w pieśni ludowéj i dworskiéj pieśni kunsztownéj wieków średnich. Największy z pomiędzy wszystkich poetów lirycznych, Goethe, pisał w pewnym liście z 21 grudnia 1809 roku: „Każda właściwie pieśń powinna stać się zupełną dopiéro przy pomocy kompozycyi“, a jego przyjaciel zaufany, muzyk berliński Zelter zauważył: „Przypuszczam, że poecie snuła się po głowie pewna melodya... Przy pieśniach Pańskich (Goethego) kompozytor rzadko ma jakąś chęć, jeżeli ją tylko ma, ponieważ pieśni te wyrażają się same przez się.“ Powiada daléj, że od czasu jak obserwował Goethego i Schillera przy słuchaniu ich poematów, podłożonych pod muzykę, „nie myślał już o tém, ażeby wyszukiwać jakąś nową melodyę, lecz owszem starał się wynaleść tylko tę, która Wam samym snuła się nieświadomie po głowie, kiedyście chcieli objawić jakieś określone uczucie.“ Obok tych świadectw, które możnaby łatwo pomnożyć całym szeregiem podobnych zeznań artystów-wykonawców, stawiam zdanie teoretyka. W jednéj z najbogatszych w treść poetyk niemieckich, mianowicie w „Teoryi metryki nowo-górno-niemieckiéj“ Rudolfa Westphala (*Theorie der neuhochdeutschen Metrik*, 2-gie wyd., Jena, 1877) czytamy: „Początek naszéj liryki nowo-górno-niemieckiéj stanowi pieśń śpiewana, czyli pieśń ludowa wieku XV-go i XVI-go,—a więc muzyka. Za dni naszych, coprawda, poeta układa zwykle swój poemat liryczny bez względu na melodyzowanie, tworzy on i pisze przedewszystkiém dla lektury, albo, dajmy na to, dla recytacyi. Tymczasem wszakże formy rytmiczne, w których poeta utrzymuje swoję kreacyę liryczną, jeżeli nawet w szczegółach potrafi on pod względem formalnym dokonać tu i owdzie czegoś nowego, są mu w ich podstawie ogólnéj przekazane w żywéj tradycyi przez manierę kompozycyjną poprzednich poetów.“ Jeżeli mi wolno zrobić przesadne porównanie, to powiedziałbym, że do pieśni potrzebny jest śpiew, tak jak do dramatu przedstawienie mimiczne. Dramat książkowy i pieśni, przeznaczone do czytania, dadzą się postawić obok siebie jako rzeczy równoległe. Rozbrat pomiędzy słowem a melodyą w Niemczech przypada tak pod względem czasu, jak i treści na tę samą porę, co i dokonana przez Opitza reforma literatury, czyli przejście swobodnéj twórczości do pracowni naukowéj. Rozdział ten nastąpił z historyczną koniecznością, atoli poezya liryczna więcéj na tém straciła, aniżeli zyskała. Zgoła, jeżeli poemata, jak to pociąga za sobą stanowisko nowoczesnego społeczeństwa i stanowisko osobnika względem literatury, nie bywają już czytywane na głos, tak iż wiersz istnieje tylko jeszcze dla oka, a nie dla ucha, to tym sposobem liryce usuwa się grunt pod no-

gami. Najistotniejsza strona formy lirycznéj, czyli właśnie rytm (przypominam tylko rytmy wolne, wprowadzone przez Klopstocka, a następnie używane przez Goethego, przez Heinego w „Obrazach z morza Północnego“ i, rzecz osobliwsza, używane z upodobaniem przez poetów najnowszych) ożyje dopiéro wtedy, kiedy język zabrzmi głośno. Jako jednę z przyczyn, współdziałających przy przejściu eposu w romans prozaiczny, wymieniłem ciche czytanie wierszy. Rozumié się, że o zarzuceniu wiersza w liryce nie można myśléć; tak zwane ody w prozie Lessinga są tylko szkicami, które pozostały niewykonanemi pod względem metrycznym; coprawda, romantyk Novalis, swoje, cieszące się słuszną sławą „Hymny do nocy“ pisał prozą, przytém jednak położył on właśnie główny nacisk na rytm. Jeżeli obecnie poezya liryczna, o ile tylko ukazuje się w druku, wzbudza ku sobie tak mało przychylności, i jeżeli dopiéro kompozycya do pojedyńczych pieśni może pozyskać względy dla poety i jego zbioru, to mamy w tém dowód na to, o ile stanowisko poety stało się przykrzejszém wskutek rozdziału pomiędzy słowem a melodyą. Zapewne, przy wyborze kompozycyi wielką rolę odgrywa przypadek. W większości jednak wypadków muzyk wybierze takie poematy, w których sam poeta uprzedził uczucie muzykalne, uznając bezwiednie dawną łączność pomiędzy liryką a śpiewem.

Potrzeba ożywienia słowa poetycznego za pomocą muzyki nigdy całkowicie nie wygasła i nawet w pedanckiéj liryce zalotnéj wieku XVII-go znajdowała swe zaspokojenia przynajmniéj w rodzaju śpiewnéj „pieśni towarzyskiéj.“ Okres burzy i zapędów dążył do bezpośredniego wyrażenia swoich uczuć w liryce: dążenia tego jednak nie mógł urzeczywistnić ani w metrach starożytnych, właściwych odom Klopstocka, ani w żartobliwych, zbliżających się do epigramatu piosenkach anakreontyków. Herder przynajmniéj, jako teoretyk, oświadczył się r. 1767 przeciwko miarom zgłoskowym, a niemiecko-duński poeta, Henryk Wilhelm v. Gerstenberg, tego samego roku w pewnéj rozprawie krytycznéj, zamieszczonéj w „Szleswidzkich listach literackich“, przeciwstawił liryce panującéj pieśń, przeznaczoną do śpiewu. Będąc studentem w Lipsku, Goethe tworzył jeszcze w dowcipnym epigramatycznym rodzaju anakreontyków; w Alzacyi zbierał on niemieckie pieśni ludowe z ust babulek i na podstawie jednéj z nich stworzył własny wierszyk: „*Sah ein Knab' ein Röslein stehn*“. Herdera zbiór pieśni ludowych wszystkich narodów (1778 r.), sporządzony przez Arnima-Brentano zbiór dawnych pieśni niemieckich w „Cudownym rogu chłopca“ (*Des Knaben Wunderhorn*, 1806 r.), w połączeniu ze wzorem Goethego, określiły w przeważnéj części charakter rozwo-

ju liryki niemieckiéj naszego stulecia. Z pomiędzy najlepszych naszych liryków Brentano, Eichendorff, Uhland, J. Kerner, Heine, Lenau, Mörike, Geibel, Greif, Anetta v. Droste-Hülshoff, jakkolwiek różniący się pomiędzy sobą pod względem właściwości charakteru i kierunku swego talentu, stoją przecież pod wpływem Goethego i pieśni ludowéj. Sam Goethe, co prawda, nie poprzestał, jak Bürger, na saméj tylko pieśni. Jego „elegie rzymskie“, wkrótce po ich ukazaniu się, pobudziły Arnima i Fr. Schulzego, a następnie tego i owego z pośród innych poetów do szczęśliwego podążania w jego ślady; wymienię przynajmniéj „Dwuwiersze z dziennika zimowego“ (*Distiche aus dem Wintertagebuche*) Geibla i pochodzącą z ostatnich lat jego życia „Księgę elegii.“ Wspomniałem właśnie o oddziaływaniu hymnów Goethego, zbudowanych pod względem rytmicznym swobodnie według wzorów Klopstocka i Pindara; zbiór liryków naturalistycznych przypomina nam ustawicznie formę, wypełnioną najpotężniéj przez Goethego. Stanowczo mniéj pocieszającym okazał się nieustanny wpływ „Zachodnio-wschodniego dywanu“ Goethego. Wprawdzie pobudka, jaką z „Dywanu“ otrzymali Rückert, Platen, Daumer, wyszła liryce niemieckiéj na rzeczywistą korzyść. Wymienieni poeci zdobyli dla naszego języka poetyckiego panowanie nad formami wschodniemi (gazela); jednakże już Platenowi sprzykrzyli się kochani drobni piewcy, których pieśń Goethego ciągnęła na Wschód. Poprostu zaś zawstydzającym stał się następnie fakt, że własny „Dywan“ Goethego w zdobyciu łaski czytelników został daleko prześcignięty przez zbiór poematów, które, pomimo pojedyńczych ładnych piosnek i epigramatów, są tylko jałowém naśladowaniem. „Pieśni Mirzy Schaffy'ego“ Fryderyka Bodenstedta od r. 1851 do 1890 doczekały się stu dwudziestu pięciu wydań. Z pomiędzy nowszych poematów niemieckich tylko „Trębacz“ Scheffla może się poszczycić równie wielkiém powodzeniem. Bodenstedt mieszkał dłuższy czas w Rosyi i na Kaukazie i zasłużył się niewątpliwie swemi przekładami z ruskiego i angielskiego. Bodaj czy istnieje jaka dziedzina literatury, w któréj jego biegłość pisarska nie byłaby go popchnęła do własnych prób. Otóż wielkie powodzenie poetyczne, trwające lat czterdzieści, jakie się właśnie dostało w udziale pieśniom Mirzy Schaffy'ego i jego „Spuściźnie“ (1874 r.), nie łatwo może spotkać rzecz zupełnie bezwartościową, chociaż i w téj mierze mamy niepocieszający przykład w „Waldmeistrze“ Roquette'a i w uporczywém życiu sceniczném tragedyi Brachvogla „Narcyz.“ Osobista znajomość kraju i ludzi przydała się Bodenstedtowi dla jego kostyumu wschodniego. Decydujące jednak znaczenie ma ta okoliczność, że Bodenstedt umiał

doskonale wino Goethego, zbyt mocne dla leniwych umysłów świata czytelniczego, rozcieńczyć o tyle, że wytworzyło się stąd powszechnie lubiane wino krajowe.

Pod wrażeniem dźwięków Goethego, wytryskujących, napozór bez wszelkiéj sztuki, z najdalszych głębin uczucia, jak np. pieśni Mignony, sam Schiller w silnych wyrazach wypowiedział swój podziw dla wyższości swego przyjaciela, jako liryka. Jednostronne przecenianie kierunku, biorącego początek w pieśni ludowéj i pieśniach Goethego, dało niedawno hr. Schackowi powód do uzasadnionego protestu. Poezya dydaktyczna, która w wieku XIX-ym ledwie się pokazuje jeszcze sporadycznie, odgrywała wielką rolę w literaturze ubiegłego stulecia. Z „*Essay on Man*“ (studyum nad człowiekiem) Aleksandra Pope'a sporządzano wydania wielojęzyczne. W Niemczech Szwajcara Albrechta v. Hallera sławiono jako niemieckiego Pope'a. I Goethego wypada przytoczyć pomiędzy autorami poematów dydaktycznych z powodu jego „Metamorfozy roślin i zwierząt“, obok któréj możnaby tutaj wymienić i epos religijny „Tajemnice.“ Było to wielką formalną, ale nietylko formalną zasługą Schillera, że na miejsce opisującéj poezyi dydaktycznéj postawił on „odę filozoficzną“, jak sam określił swoją lirykę myślową. W „Artystach“ (*Die Künstler*, 1787 r.) stał on jeszcze blisko dawniejszego rodzaju poezyi dydaktycznéj. W „Ideale i życiu“ udało mu się nadać swemu systemowi filozoficznemu wyrazistą postać w poemacie, wytrzymanym w charakterze lirycznym. Liryka myślowa otrzymała od Schillera swoje wydoskonalenie. Prawdę mówiąc, równego sobie następcy Schiller pod tym względem nie znalazł; z drugiéj strony, hrabia Schack, jako autor „Liści lotosu“ i „Pieśni świętych“ (*Weihgesänge*), miał zupełne prawo cały ten rodzaj poetyczny wziąć w obronę przeciwko napaściom jednostronnym. Nikt nie może wyżéj odemnie cenić pełnych nastroju małych obrazków natury i właśnie w ich małomównéj prostocie porywających pieśni „elementarnego liryka“ Marcina Greifa („*Gedichte*“, 1 sze wyd., Stuttgart, 1868 r.; 4-te wyd., 1886 r.); na têm odgraniczonêm polu rzeźki nasz poeta, oddający się swéj twórczości w Monachium, jest pierwszym pomiędzy żyjącymi lirykami Niemiec. Rosnące uznanie, jakie Greif znajduje ze strony krytyki i czytelników, może nas cieszyć zarazem jako odmowa, dana pawiącéj się, bogatéj w frazesy liryce modnéj i ubiegającéj się za dowcipem pseudoliryce naśladowców Heinego. Natomiast byłoby godnym pożałowania błędem chcieć ograniczyć lirykę do téj jednéj dziedziny. Własny przykład Greifa, który w „Poświęceniach“ (*Widmungen*) i „Epigramatach“ (*Sinngedichte*) podąża szczęśliwie za wzo-

rami, pozostawionemi przez Schillera, powinienby nas powstrzymać od takiéj jednostronności, która się wydaje niezgodną z historyą rozwoju naszéj nowszéj liryki.

Usposobionéj krytycznie pierwszéj szkole romantycznéj, pomimo wzruszających tonów, w jakie uderzył Novalis w pieśni religijnéj, nie poszczęściło się narazie w produkcyi lirycznéj. Wprowadzony przez nią nanowo sonet, który panował już w wieku XVII, ale jeszcze przed połową wieku XVIII poszedł w poniewierkę, napotkał początkowo gwałtowny odpór, dopóki nie wznieciły nowego zapału „Sonety w pancerzu“ (*geharnischte Sonette*) Fr. Rückerta. Platen swoim „Wiankiem sonetów na Wenecyę“ nadał sonetowi w języku niemieckim najwyższe wykończenie. Jak we wszystkiém, co się tyczy nadania formy, odpowiadającéj wymaganiom artystycznym, tak i w sonecie Paweł Heyse jest mistrzem pomiędzy żyjącymi. Z formalnych sztuczek romantyków ostało się niewiele, chociaż zasługi ich względem wyrobienia poczucia formy i sposobu obchodzenia się z językiem są wielkie. Tylko „oktawa“, którą już przedtém posługiwali się Goethe i Schiller, stała się obok sonetu wspólnym dobytkiem całéj liryki. Tercyny używał z upodobaniem i mistrzowstwem najmilszy, wrodzonéj mu gracyi francuskiéj nigdy się nie wyrzekający poeta niemiecki Adelbert v. Chamisso, kancony—austryacki baron v. Zedlitz w swoich „Wiankach dla zmarłych“ (*Totenkräntze*). Platen, nieubłaganie dokładny i niedościgły mistrz zarówno w formach klasycznych, jak i romantycznych, poddał poetyczną mowę niemiecką, skłaniającą się ku zaniedbaniu formy i zbyt wielkiéj swobodzie w dobieraniu rymów, surowéj karności, którą Geibel chwalił jako dobroczynną i płodną. On, który tak, jak nikt przed nim i po nim, panował zarówno nad miarami ód starożytnych i anapestami, jak i nad formami romantycznemi, ostrzegał zarazem przed pustém igraniem formami cudzoziemskiemi. Tylko niezmordowany Rückert prześcignął go pod względem wielostronności, a nie artystycznego wykończenia. Według zasługującego na podziw przykładu Wiktora Hugo, Freiligrath próbował zastosować do liryki niemieckiéj wyparty z dramatu francuski aleksandryn: próba ta jednak spełzła na niczém, z powodu sprzeczności, jaka istnieje pomiędzy narodowym wierszem francuskim a mową niemiecką. Do alliteracyi staroniemieckiéj zwracali się w liryce tylko w pojedyńczych utworach Dahn i Jordan. Właściwie panującą formą w liryce niemieckiéj była od czasów Goethego, a od czasów Heinego jest bardziéj aniżeli kiedykolwiek, czterowierszowa zwrotka jambiczna, rymowana bądź we wszystkich, bądź téż tylko w drugim i czwartym wierszu. Zwrotką tą posługiwali się z upodobaniem i dwaj najlepsi

lirycy z okresu romantycznego, mianowicie frankfurtczyk Klemens Brentano i śląski baron Józef v. Eichendorff. Podczas gdy uosabiający romantyczność Eichendorff (zm. 1857) od r. 1815 cieszy się wziętością, która śmiało stawia czoło nawet naturalizmowi naszych czasów (toć żaden inny poeta niemiecki nie był tyle razy podkładany pod muzykę), twórca i pierwszy poeta podania o Lorelei, Brentano (zm. 1842) pozostał, jako liryk, w szerszych kołach niemal całkiem nieznanym. Ze względu na swe uzdolnienie Brentano ustępuje tylko jednemu lirykowi niemieckiemu, mianowicie Goethemu; i do niego jednak odnosi się to, nad czém Goethe utyskiwał w odniesieniu do innego prawdziwego poety, liryka Jana Chr. Günthera; „Nie umiał się poskramiać, i tym sposobem rozpłynęło mu się i życie, i twórczość poetyczna“. Dla wywarcia wpływu, a przez to i dla znaczenia w dziejach literatury większą wagę, aniżeli się zwykle przypuszcza, posiada ta okoliczność, żeby poeta ze zbiorem swych rozrzuconych utworów występował w czasie właściwym. Przy największéj nawet wartości wewnętrznéj zbiór spóźniony zazwyczaj nie zdobędzie już dla siebie gruntu wobec płodów najnowszych. Nawet utwory Grillparzera (zm. 1872), które przed r. 1872 istniały w wydaniu niekompletném, a w bardziéj zwartym zastępie ukazały się dopiéro w r. 1878, zdobywały z trudnością i jeszcze dotychczas nie zdobyły sobie zupełnie przynależnego im stanowiska. Poemata Brentana, które w zestawioném niezręcznie pośmiertném wydaniu jego dzieł zostały raczéj zakopane, aniżeli ogłoszone, nie mogły przy opóźnioném ukazaniu się osiągnąć tak trwałego skutku, jaki bezwątpienia byłyby wywarły w drugiém lub trzeciém dziesięcioleciu. Nawet przy wyliczaniu piewców wojen o wyswobodzenie (1813—1815) Brentano nie zawsze bywa wymieniany, chociaż ułożył on najpiękniejsze pieśni reńskie.

Z pomiędzy autorów, należących do związku poetów w Getyndze, hrabiowie Stolbergowie i Jan Henryk Voss, idąc za podniętą patryotyczną, daną przez Klopstocka, w swoich utworach lirycznych występowali z zapałem w obronie wolności niemieckiéj i przeciwko tyranom, coprawda, bez jakiejkolwiek styczności z rzeczywistością. Dopiéro od r. 1806 poczęła się rozwijać poezya, rozdmuchująca bezpośrednio silny w działaniu patryotyzm. Fryderyk Schlegel, Henryk v. Kleist i Collin nastroili swe lutnie już w czasie powstania Austryi, prowadzącego do bitw pod Aspern i Wagram. W cztery lata późniéj wystąpili Fouqué, Schenkendorff, najbardziéj czczony Teodor Körner i najlepszy pieśniarz Ernest Maurycy Arndt. Po radosnych pieśniach bojowych nastąpiła od r. 1830 gniewu i skarg peł-

na liryka polityczna. Grecka walka o wolność, oprócz wielu utworów mniéj cennych, wydała niezapomniane pieśni greckie Wilhelma Müllera. „Polenlieder“ stały się tematem, zawsze pewnym żywego współczucia. Bodaj, że nigdy w równy sposób, wciągu całych dziesięcioleci, losy obcego plemienia nie bywały opłakiwane, a waleczność jego nie bywała sławiona przez poetów innego narodu z podobną sympatyą, tak niezmordowanie. Mamy „Polenlieder“, układane przez Platena i Heinego, Lenau, A. Grüna (hrabiego Auersperga), Hebbela, Hoffmanna v. Fallersleben, Kinkela, Freiligratha, że wymienimy tylko kierowników literatury. Dopiéro w związku z Polenlieder rozwinęła się w pozostałych Niemczech poezya polityczna, kuta wcześnie prze Uhlanda, jako błyszcząca zbroja, w czasie wirtemberskich walk o konstytucyę. „Poezye żyjącego“ (*Gedichte eines Lebendigen*, 1841) Jerzego Herwegha nawet w całkiem zmienionych stosunkach ukazują się w nowych wydaniach; niezależnie od rozpasanego radykalizmu bije w nich prawdziwa poezya. Henryk Hoffmann v. Falersleben już w r. 1815 wystąpił ze swemi „Pieśniami niemieckiemi“, za otwartość jego „Pieśni niepolitycznych“ ukarano go przez odjęcie mu profesury wrocławskiéj, a twórcę pieśni „*Deutschland, Deutschland über alles*“, która się stała obecnie pieśnią narodową, policya rządów niemieckich pędziła z miejca na miejsce. Teraz, w szesnaście lat po jego śmierci, ukazuje się pierwsze wydanie zbiorowe jego utworów poetycznych; tym sposobem badacz na polu germanistyki, który swój zawód poetyczny rozpoczynał w czasie wojen o wyswobodzenie, w r. 1891 zostaje umieszczony w rzędzie nowości na niemieckim rynku książkowym. Patryotyczne i moralne jądro jego poezyi ocaliło jéj żywotność, gdy tymczasem poemata, które przy swém ukazaniu się wzbudzały większą wrzawę, jak np. „Pieśni kosmopolitycznego stróża nocnego“ (1840) przez F. Dingelstedta, który zmarł jako kierownik teatru w Hofburgu (1881), są zapomniane. Nieco polityczne zabarwienie okazuje się w całéj liryce niemieckiéj pomiędzy rewolucyą lipcową a założeniem związku północno-niemieckiego; nie potrzeba się obawiać niebezpieczeństwa oceniania téj poezyi, należącéj po większéj części do czasów, wydających nam się już odległemi, z dzisiejszego stanowiska politycznego. Coprawda do Henryka Heinego dzisiejsi demokraci socyalni roszczą sobie pretensye, jako do jednego ze swoich, ponieważ w podburzających wierszach przedstawiał on dolę głodową biednych tkaczy. Bettyna v. Arnim, siostra Klemensa Brentano, w książce, zwróconéj do Fryderyka Wilhelma IV, p. t. „Ta książka należy do króla“ (*Dies Buch gehört dem König*), podnosiła

swój głos za biednymi i wydziedziczonymi z niemniejszą szczerością i gorętszym udziałem serca. W naszéj literaturze, ubogiéj w utwory satyryczne, „Powiastki zimowe“ i „Atta Troll“ Heinego, wskutek bezwzględności przebijającéj się w nich satyry politycznéj i literackiéj, bywają obsypywane najbardziéj przesadnemi pochwałami. Stosunki naszych stronnictw politycznych sprawiły to, że pod groźbą kary nawet czysto literackie powątpiewania o doskonałości Heinego są wzbronione, jako napaści polityczne, chociaż kto w kwestyach estetycznych udziela głosu Schillerowi, ten nie będzie mógł oddzielić od siebie żywiołu estetycznego i etycznego, jak się tego domagają Heine i jego wielbiciele. Żaden rozsądny człowiek nie zaprzeczy autorowi „Księgi pieśni“ (1827) i „Romanzera“ (1851) niezwykłego talentu poetycznego, ani nie zechce odmawiać podziwu jego ironii, która wytworzyła zupełnie nowe sposoby oddziaływania poezyi. Inaczéj ma się rzecz z jego prozą, również obfitującą w efekty i zwroty pieprzne, jak i w błędy nowoczesnego feljetonu, który czci w Heinem swojego ojca. Kto czytał Goethego i Lessinga, Börnego i Immermanna, a przecież w téj prozie Heinego nie odczuwa rozlazłego zaniedbania i całego fałszu wewnętrznego, ten może się szczycić wyborną karnością partyjną, ale poczucia stylu w mowie niemieckiéj nie posiada. Nieprawdą jest, żeby w jakiejkolwiek działalności ludzkiéj można było zupełnie oddzielić od siebie charakter i talent. Tak w mężu stanu, jak i w artyście zarówno moralne braki jak i siła moralna znajdą swój wyraz i w jego czynach. Kto chce podniośle oddziaływać na tysiące,—a że poezya winna służyć nie do saméj tylko rozrywki, na to chyba zgoda,— ten musi naprzód sam wznieść się po nad pospolitość. Nie chciałbym, ażeby ciasna filisterska miara moralności powszedniéj była stosowana do artystów; wolę powiedzieć z „Don Juanem“ Lenau'a, że będzie on musiał już sam zapłacić za stłuczone szklanki i serca, choćby nawet trzeźwy widz nie podawał rachunku. Jeżeli wszakże jakiś poeta, jak to uczynił Heine w swoich listach poufnych, przyznaje się do takiego zdania, zaczerpniętego z najgłębszych tajników swego serca, że po naturze nie jest mu nic tak wstrętne jak sztuka, jeżeli swój talent satyryczny i swój rozgłos spożytkowuje jako środek wymuszający względem krewnych, urąga się z najdroższych wspomnień dziejowych swego narodu i każe się opłacać obcemu rządowi: to nie da się to już pokryć przywilejem geniuszu. Schiller i Platen żądają od poety, ażeby naprzód wychował samego siebie, zanim się zwróci do swego narodu, czémże bowiem jest poeta bez owéj głębokiéj poezyi wewnętrznéj?

Heine umarł w Paryżu roku 1857; odkąd jednak już nie z inicyatywy narodu, lecz wskutek zabiegów cesarzowéj austryackiéj poruszono kwestyę jego pomnika w Düsseldorfie, około poety i oceny jego dzieł szaleje tak zawzięty spór, jaki może być prowadzony tylko o kogoś żyjącego [1]). Kwestya ta nie ma nic do czynienia z antysemityzmem; zaszczyty i pomniki dla Börnego i Mojżesza Mendelssohna nie wywoływały żadnego oporu. Do tego jednak doszło w Niemczech, że względem Goethego i Schillera, względem całéj narodowéj literatury niemieckiéj dozwoloną jest wszelka krytyka, a paszkwile przeciwko Goethemu jeszcze i teraz nie wymarły. Ale jeżeli ktoś przeciwko Heinemu odważy się wystąpić z jakąś ściśle rzeczową przyganą, to na takiego świętokradcę zwołuje się całe pospolite ruszenie czasopism beletrystycznych, krytycznych i politycznych. Jużciż na usprawiedliwienie obrończych oddziałów Heinego możnaby powiedziéć: wielkości Goethego i Schillera, stojącéj niewzruszenie jak skała, nie wstrząsną żadne napaści, gdy tymczasem sława Heinego nie znosi takiego krytycznego wyświetlenia. No, nie będę się już spiérał z obrońcami Heinego.

Przytém jednak wchodzi tu w grę zupełnie co innego. Od pierwszego swego wystąpienia, aż do dziśdnia Heine wywiérał — sądzę, że nietylko w Niemczech — ogromny wpływ zarówno na smak wogóle, jak i na poetów lirycznych w szczególności. W tym kierunku posiada on w istocie wybitne znaczenie historyczne. Nawet u Scheffla spotykamy ślady wpływu Heinego, jakkolwiek dowcip rozkładowy zamienił się tutaj na dobroduszny humor. Jeżeli u samego Heinego od początku, a jeszcze bardziéj w czasach późniejszych panowała maniera, to naśladowcy jego, ma się rozumiéć, łatwiéj przyswoili sobie to, „jak on krząka i jak pluje“, aniżeli ową genialność, złączoną nierozerwalnie z osobistością Heinego, jéj zaletami i słabemi stronami. Tym to sposobem wpływ Heinego na poezyę niemiecką stał się w najwyższym stopniu niekorzystnym; poczucie prawdziwéj istototy pieśni ludowéj, a nawet liryczności wogóle zostało w sposób niebezpieczny zamącone. Najbardziéj znana z pomiędzy pieśni Heinego „Loreley“ bywa tak często wychwalana jako wzór pieśni ludowéj. A przecież zaraz wstępny wiersz „*Ich weiss nicht, was soll es bedeuten*“ (nie wiem, co to ma znaczyć), jako powątpiewająca refleksya, znajduje się w tak ostrém przeciwieństwie z istotą niemieckiéj pieśni ludowéj, polegającéj całkowicie na uczuciu, jak sobie

---

[1]) Xanthippus: „Was dünket euch um Heine? Ein Bekenntniss“, Leipzig. 1888.

tylko można wyobrazić. W zbiorach Arnima-Brentana i Uhlanda, u Goethego, Eichendorffa, Mörikego, Greifa ani jedna pieśń nie będzie się w ten sposób zwracała do refleksyi zamiast do uczucia. Żywioł epigramatyczny, od którego okres burzy i zapędów, Herder i Goethe uwolnili szczęśliwie naszą lirykę, został napowrót przemycony do liryki niemieckiéj przez Heinego, jako ironia i rozkład własnego uczucia, płocha igraszka z podrażnionêm uczuciem czytelnika. Sam Heine odczuwał najsłuszniéj przeciwieństwo pomiędzy swoją poezyą a płodami lirycznemi szwabskiéj szkoły poetów, którą najzjadliwiéj wyszydzał. W saméj Wirtembergii nie chciano i dziś jeszcze nie chcą słyszéć o jakiéjś szwabskiéj szkole poetów; i prawdą jest, że poeci południowo-zachodnio-niemieccy, czczący Uhlanda jako swego mistrza, w charakterze zwartéj szkoły nie występowali nigdy w jakiemś czasopiśmie lub almanachu. Jednakże, jak wszyscy ci poeci szwabscy: Uhland, Justyn Kerner, Gustaw Schwab, Edward Mörike, hrabia Aleksander Wirtemberski, Pfizer, żyjący jeszcze Jan Jerzy Fischer, Notter, Karol Mayer, Krais byli połączeni ze sobą przyjaźnią osobistą, tak samo zgadzali się oni pomiedzy sobą w swych sądach estetycznych. Faktycznie Heine miał zapewne słuszność mówić o szwabskiéj szkole poetów, a nawet jego urąganie nad ciasnym widnokręgiem tych liryków nie jest bez zasady. Podobnie jak już Goethe widział w liryce Uhlanda brak tego, co jest wielkiém, co bierze górę na losem, tak samo całemu temu gronu poetów pozostała obcą wstrząsająca namiętność i głębokość myśli, któréj niegdyś szwab Hölderlin nadał wzruszający wyraz w „Pieśni przeznaczenia“ i w romansie „Hyperion“, odznaczającym się charakterem czysto lirycznym. Tylko naczelny lekarz z Weinsberga i duchowidz Kerner, który wystąpił z poezyami po raz pierwszy w roku 1811, a po raz ostatni r. 1859, umiał uderzyć w tony bardziéj urozmaicone, dzięki jemu tylko właściwéj mieszaninie humoru i melancholii. Jego pieśń pożegnalna: „*Wohlauf noch getrunken den funkelnden Wein*“ (A więc wypijmy jeszcze iskrzącego się wina) stała się w kompozycyi Schumanna jednym z najulubieńszych chórałów. Poezye wikarego i nauczyciela dziewcząt w Stuttgarcie—Edwarda Mörikego ukazały się już w r. 1838; rozpowszechniły się one jednak wszędzie, gdzie sięga mowa niemiecka, dopiéro od czasu pośmiertnego wydania jego „pism zbiorowych“ (1878). Poetę tego sławiono, jako największego naszego liryka po Goethem, a humor, panujący w „Starym gdakającym kogucie“ (*Der alte Gackelhahn*), w siedmiu pieśniach „Idylli z jeziora Bodeńskiego“, oznaczano jako jedyny w naszéj lite-

raturze. Na to ostatnie bezwarunkowa zgoda; tylko dwa utwory Hermana Kurza: „*Der Blättler*“ (gwizdający na liściach) i „Podróż nad morze“ (*Die Reise ans Meer*), które po raz pierwszy (1885) ogłoszono w korespondencyi Kurz'a z Mörik'em, wypadnie postawić tuż obok większych poematów humorystycznych Mörikego. Przy całym jednak podziwie dla pełnych filuternego nastroju pieśni ludowych, wykończonych formalnie dwuwierszy, pysznéj siły obrazowania i wnikającego się do duszy rytmu poematów Mörikego, musimy wyznać, że i on nie pozbył się właściwéj szwabskiéj szkole poetów filisterskości (*Philiströsität;* mamy na to nie kwalifikujący się do pisma, ale dobitny wyraz „*Hausbackenheit*“ — niby „domorosłość“). Tak jego samego, jak i jego przyjaciół byt stanowiło w zbyt wysokim stopniu ciche życie bogomyślne; ludzkie walki i cierpienia byłyby wyszły poecie na największą korzyść. Patrząc, jak poezya Mörikego leży rozpostarta przed nami, niby cenny klejnot w skarbcu naszéj literatury, muszę odmówić zestawienia jéj z Goethem. Niech sztuka drobna będzie w wielkiéj czci, ale nie psujcie wrażenia, umieszczając ją zbyt wysoko.

Nawet Mikołaj Lenau, który, urodziwszy się niemcem węgierskim, chętnie się zaliczał do grona swabskich przyjaciół, mówił przy sposobności o „płaszczyku z potrzeby“ (*Notgewändlein*) w kraju szwabskim. Nieszczęśliwa namiętność miłosna, niespokojny popęd, który go poprowadził za ocean i zpowrotem, jego gorąca, ciężka krew, natchnęły go pieśniami, których słodka melancholia i dźwięki, czarujące swą melodyą, porywają za sobą dziś z równie nieprzepartą siłą, jak i przy jego pierwszém wystąpieniu przed laty sześćdziesięciu. Nikt z pomiędzy nowszych nie wyparł pieśni Chamissa i Lenau'a, każde dorastające pokolenie chwyta za nie, podobnie jak za balady Uhlanda i Platena i za „Wiosnę miłości“ Fr. Rückerta. Wskutek tego nieprzerwanego życia należą one zarówno do czasów najnowszych, jak i do przedmarcowych, w których właśnie powstały. Lenau pośredniczył w osobistych i literackich związkach pomiędzy poetami szwabskimi i austryackimi. Dopiéro w r. 1887 zostały zebrane liryczno-epiczne poezye hrabiego Auersperga, tworzącego pod pseudonimem Anastasiusa Grüna, który za pomocą swoich „Nibelungów we fraku“, „Przechadzek wiedeńskiego poety“ i „Gruzu“ (*Schutt*) do policyjnego państwa Metternicha wprowadził śmiało opozycyjną poezyę polityczną. Szlachetna, miła osobistość poety z jego gorącym, ożywionym wspomnieniami dziejowemi, patryotyzmem, występuje wszędzie w całéj pełni — zarówno w eposie „Ostatni rycerz“, jak i w jego pieśniach. Żaden inny poeta nie znał się do tego stopnia na ciężkiéj sztuce nadawania kształtów pozytywnych poezyi politycznéj, która ze względu na

swą istotę i zadanie odznacza się raczéj charakterem negatywnym. Z świéżością i pełnią życia panuje on nad formą, wypełnioną duchem. Do koła artystycznych przekładów niemieckich, obejmującego literaturę wszechświatową, wprowadził on godnie słoweńską poezyę ludową, — czyn, za który słoweńscy ziomkowie niemieckiego poety przed kilku laty okazali się na swój sposób wdzięcznymi. Żyjący jeszcze starsi poeci austryaccy, jak np. Leitner i kilku innych, od wielu lat łączą się z przedstawicielami młodszego pokolenia, jak np. z Ferdynandem v. Saar'em, który r. 1882 zyskał zasłużone uznanie zbiorem swych poematów, Stefanem Milowem (obaj przedtém oficerowie austryaccy) i niektórymi innymi dla wydawania austryackiéj księgi poetów, któréj atoli, pomimo wielu zawartych w niéj rzeczy dobrych nie udało się zająć wybitnego stanowiska w literaturze niemieckiéj; nie osiągnęła również tego celu założona niedawno przez G. Emila Barthela „Księga poetów sasko-turyngijskich“. Obok Lenau'a i Grüna, z wielkiego zastępu liryków austryackich tylko Zedlitz znalazł w Niemczech trwałe uznanie. W poezyach Ernesta v. Feuchterslebena (1851) mamy przed sobą raczéj wypolerowanego światowca i przyjemnego myśliciela, aniżeli poetę. Wydawcę jego dzieł zbiorowych, Fr. Hebbla, możnaby tylko pozornie zaliczyć do poetów austryackich, ponieważ od r. 1846 aż do swojéj śmierci mieszkał w Wiedniu. Wprawdzie wspomniany już wspaniały obraz miłości rodzicielskiéj, która poświęca wszystko, byle tylko nie być zmuszoną do odstąpienia własnego dziecka bogatéj, lecz bezdzietnéj parze małżeńskiéj, utworzył on nad jeziorem Gmunden; jednakże, jak w całéj swojéj sękatéj naturze, tak i w swojéj liryce Hebbel pozostał wiernym swojéj ojczyźnie północnéj. Trzy razy występował on ze zbiorami swych poematów, zanim 7-my i 8-my tom dzieł zbiorowych (1867) nie zgromadził całego bogactwa w baladach, pieśniach i epigramatach (dwuwierszach). Sam Hebbel uważał się przedewszystkiém za tragedyopisarza i w historyi dramatu niemieckiego w wieku XIX-tym stoi on wraz z Ottonem Ludwig'em tuż po Grillparzerze. Jako liryk jednakże stworzył on rzeczy doskonalsze. Charakter i życie Hebbla nie jest tak czystém i wolném od skazy, jak zawód życiowy Uhlanda. Uskarżał się on sam, że biéda i ubóstwo, z któremi musiał walczyć w ciągu całych dziesięcioleci, pozostawiły złe ślady w jego naturze. Wszelako od samych początków swéj działalności poetyckiéj aż do ostatniego dnia życia spoglądał on ku Uhlandowi, jako ku swemu mistrzowi. Coprawda, przy rozbiorze Hebbelowskich dramatów nie spostrzegamy ani śladu cech, właściwych Uhlandowi, i to wytrwałe skłanianie się ku wzorowi poetycznemu, sformowanemu zupełnie inaczéj, jest dla nas,

właściwie mówiąc, niezrozumiałe. W liryce Hebbla, pomimo różnicy, spowodowanéj pochodzeniem i losami życiowemi, można się dopatrzyć pokrewieństwa, choć z drugiéj strony lirykę Uhlanda i Hebbla rozdziela taka sama różnica, a nawet przeciwieństwo, jakie istnieje pomiędzy wesołym, serdecznym szwabem a walczącym ciężko o grunt ojczysty z napierającą falą morską dytmarszaninem, jako dwoma szczepami. Przy całém dążeniu do historycznéj przedmiotowości sąd w liryce jest jeszcze bardziéj uwarunkowany subiektywnością, aniżeli w jakimkolwiek innym rodzaju poezyi. Mnie liryka Hebbla, odznaczająca się głębokością myśli i gorącością uczucia, napełnia największym podziwem; przy nienaganném prawie wykończeniu formalném przedstawia on taką rozmaitość, jak bodaj żaden drugi poeta po Goethem. Jestto poezya nawskroś męska, — co, jak wiadomo, można powiedzieć o niewielu lirykach. Podczas, gdy wątpliwości moje wzrastają przy każdym rozbiorze dramatów Hebblowskich, muszę lirykowi Hebblowi, pomimo ciążącéj na osobie poety, przykréj do zniesienia niedoli ziemskiéj, przyznać palmę pierwszeństwa przed wszystkimi poetami niemieckimi z czasów po Goethem. Grillparzer, obok ślązaka Logau'a, który przeżył wojnę trzydziestoletnią, pierwszy poeta niemiecki w dziedzinie rymowanych epigramatów i poematów autobiograficznych, nie może się bynajmniéj mierzyć z Hebblem jako liryk. Co się tyczy rozbudzonego naprzód przez Chamissa, a następnie utrzymującego się w ciągu wielu lat zapału dla Ferdynanda Freiligratha, który dopiéro po założeniu cesarstwa niemieckiego powrócił z wygnania w Anglii, gdzie się schronił jako rewolucyonista z r. 1848, to ja nie mogę go podzielać. Szyderstwo Heinego, skierowane przeciwko murzyńskiemu księciu Freiligratha, ugodziło w istocie tego płonącego barwami twórcę ballad i pieśni w miejsce bolące. Każdy będzie podziwiał, jak to wyrwanego z ciasnych stosunków westfalskiego kupczyka fantazya unosiła po wszystkich częściach świata, jakie to nieporównanie wspaniałe obrazy świetlne wynurzyły się przed malarzem myśliwca, uganiającego się za lwami w Afryce. Tkwi tu wszędzie prawdziwa poezya, ale formalne upajanie się brzmiącemi egzotycznie imionami i dziwacznemi wyobrażeniami ma niewiele wspólnego z prawdziwą twórczością poetycką. Zapewne, Freiligrath umiał także uderzyć w najprostsze tony, poruszające sercem; jego „Wychodźców“, jego wiersza: „*O, lieb, so lang du lieben magst*“ (o, kochaj, dopóki możesz kochać) nie zapomni żadna historya liryki niemieckiéj. On to stworzył to, co jest najlepszego w niezmiernie zresztą nędznéj liryce wojennéj z r. 1870: nietylko uświetnienie jazdy śmiertelnéj kirysyerów i ułanów Bredowa, ale i ową kartę „do Wolfganga w polu“, która się wzbiła tak wysoko,

że wśród walki narodów nawoływała do pojednawczéj, pomocnéj filantropii. Jako tłómacz Longfellowa, poetów angielskich i francuskich, Freiligrath stworzył rzeczy doskonałe, a o ileż lepszych prac własnych byłby zapewne dokonał przy dalszém życiu szczęśliwém w ojczyźnie!

Dawna przypowieść *Holsatia non cantat* (Holsztyn nie śpiewa), została w naszém stuleciu w najbardziéj pocieszający sposób obalona przez Hebbla, daléj przez nie mniéj celnego liryka, jak i nowelistę Teodora Storma, wreszcie przez twórcę „*Quickborn*'a“, Klausa Grotha, który nie tyle wskutek swego dyalektu, ile wskutek swego wybitnie północno-niemieckiego humoru jest rozumiany tylko w niektórych częściach Niemiec. Kraj ziemi czerwonéj, pozyskany dla poezyi przez „*Münchhausena*“ Immermanna, oprócz Freiligratha i Levina Schücking, wydał obok Bettyny Arnim-Brentano (coprawda, takie dwa niezgodne przeciwieństwa nie dadzą się wymienić razem) największą poetkę niemiecką: Anettę Elżbietę baronównę von Droste-Hülshoff (zm. 1848). Dopiéro od czasu ukazania się jéj pism zbiorowych (1879) można rozpoznać całe bogactwo téj dziewczyny, godnéj podziwu zarówno w noweli jak i w poematach epicznych, w obrazach natury i utworach duchownych. Że w starym westfalskim rodzie szlacheckim uzdolnienie poetyckie nie jest jakimś darem obcym, ukazującym się tylko raz, tego dowiodła inna Droste-Hülshoff, Teresa, która do spółki ze swym mężem Feliksem Dahnem, z najszczęśliwszém odczuciem poetyczném, opowiadała młodzieży niemieckiéj podania o bogach niemieckich i bohatérach z czasów Karolińskich („Walhall“ 1884, „Karol wielki i jego paladyni“ 1887); przedtém zaś własnym uczuciom i pojęciom kobiécym dała ona pełen charakteru wyraz w górujących swą pięknością poezyach (1873). Od czasu, jak nie ktoś pośledniejszy, lecz sam Jakób Grimm oświadczył swój podziw dla osobliwych cech i wielkości Anetty v. Droste-Hülshoff, sława jéj rośnie po dziś dzień, chociaż właśnie najznakomitsza może jéj kreacya „Rok duchowny“ (*Das geistliche Jahr*) cieszy się mniejszemi względami. Ta zmarła niezamężnie szlachcianka była pobożną katoliczką i od czasów Novalisa uczucie religijne nie otrzymało nigdzie w liryce niemieckiéj równie porywającego i skończonego artystycznie wyrazu, jak w poezyach Anetty. Jeżeli kto po stronie protestanckiéj chce obok poezyi katoliczki chwalić lirykę duchowną zmarłego niedawno prałata nadwornego w Stuttgarcie, Fr. Karola Geroka, to musi przecież pamiętać o różnicy uzdolnienia poetycznego pomiędzy jedną a drugim. W jednym rzędzie z poematami Geroka, wypowiadającymi harmonijnie uczucia religijne i patryotyczne, dałyby się prędzéj postawić pieśni na

cześć Maryi Gwidona Görresa (1843). Swemu przyrodzonemu przekonaniu religijnemu Anetta nie pozwala tamować swobodnego poglądu; nawet dzikiego Mannsfeldczyka w bitwie nad Loener Bruch przedstawia ona z epicką bezstronnością. Hasła: „naturalizm“ i „realizm“ mówią w gruncie rzeczy tak mało, że najchętniéj wolałbym się bez nich zupełnie obywać. W westfalskiéj jednak poetce musimy pochwalić stylowy realizm. Potrzeba tylko porównać jéj poezye, dajmy na to, z Frailigrathem i Geiblem, ażeby poznać wyraźnie, co za subtelna i niewyszukana obserwacya natury tętni życiem w tych prostych obrazach, co za głębokie, niepokalane uczucie kryje się poza zwięzłem wysłowieniem. Nie ma tu ani jednego słowa zbytecznego, żadnéj igraszki z uczuciem, ani refleksyi nad niém. Fantazya nie buja w rozgorączkowaniu po odległych przestworach; nie wpadając w nużącą, drobnostkową malowniczość Adalberta Stiffera, umié ona w rzeczach codziennych i drobnych odczuć to, co po wszystkie czasy posiada żywotność poetyczną, a co czuje, umié postawić na oczy w najdobitniejszém wysłowieniu.

Anetta von Droste-Hülshoff nie da się porównać z żadnym innym potą niemieckim. Tuż po jéj utworach można w niniejszym przeglądzie wymienić chyba najdawniejszy zbiór poezyi (1846) Gotfryda Kellera, jakkolwiek pomiędzy pobożną córką dumnego rodu westfalskiego a usposobionym po wolteryańsku demokratą i późniejszym pisarzem państwowym w wolném państwie Zurychu, istnieje różnica zewnętrzna. Prosta, gardząca nadętością w mowie, prawda jędrnéj natury, wzrok otwarty i przywiązanie do ojczystego kraju i ludzi, tudzież siła kształtowania poetycznego są wspólne obudwom. Już w r. 1851 Ryszard Wagner w recenzyi kompozycyi W. Baumgartnera wyraził się, że muzyk ten wzbudza ku sobie przychylne usposobienie przez to, że sobie wybrał właśnie poezye Kellera (*„neuere Gedichte“* 1851). W owych czasach jednakże Keller był w Niemczech bardzo mało modnym, jak i wygnany z ojczyzny sam twórca tonów i słów „Tannhäusera“; trwało to do r. 1883, aż wreszcie Keller wzbudził dla swych „Poezyi zbiorowych“ (9-ty i 10-ty tom dzieł zbiorowych) zaciekawienie wśród niemieckich czytelników i krytyków. Za to może on jeszcze teraz po śmierci liczyć się do liryków najnowszych. Wraz z żyjącym jeszcze ziomkiem swoim z tego samego kantonu Konradem Ferdynandem Meyerem („Poezye“ 1882, „Ballady“ 1867, „Romance i obrazy“ 1871) i Henrykiem Leutholdem („Poezye“ 1870), który w sile wieku męskiego uległ pomroce umysłowéj, Keller zapewnia Szwajcaryi w liryce i epice niemieckiéj stanowisko, wywalczone jéj niegdyś przez Hallera, Gessnera i Salisa. O utworze epicznym Leut-

holda „Penthesilea“ można z pochwałą orzec, że ze względu na właściwe sobie cechy i wartość poetyczną nie ustępuje on bodaj równoimiennemu dramatowi Henryka v. Kleista. Pieśni, wyrywające się z głębi serca, miotanego niepokojem i pełnego boleści, przypominają nam w szczęśliwéj mieszaninie Lenau'a i Eichendorffa. Lirykowi szwajcarskiemu jest właściwą męska walka i cierpliwość, któréj nie spotykamy w pieśniach ani melancholicznego austryaka, ani ślązaka, rozradowanego w przyrodzie. W wybornym dziejopisarzu literatury szwajcarsko-niemieckiéj Jakóbie Bächtoldzie poezya Leutholda znalazła nietylko wiernie troszczącego się wydawcę: podał on także charakterystykę poety, napisaną z takąż miłością jak i zrozumieniem rzeczy. Poezye Meyera i Leutholda znajdują rosnące z roku na rok koło czytelników, a powodzenie takie musi napawać radością, jako uznanie tego, co jest dobrém i prawdziwém w poezyi. Trudno natomiast objaśnić, jakim sposobem poezye śląskiego hrabiego Strachwitza (1891), w pół wieku po pierwszém wystąpieniu tego ucznia Platena, mogły się doczekać aż ośmiu wydań, gdyż z jednéj strony odbiegają one daleko od smaku modnego, z drugiéj strony zaś, pomimo dobrych pojedyńczych szczegółów, do których zaliczam przedewszystkiém pieśni chórowe w tragedyi „Kodrus“, nie ma w tych „ciętych“ wierszach nic, coby posiadało wielką wartość trwałą. Entuzyastyczne przyjęcie, jakiego doznały „Przechadzki liryczne“ (*Lyrische Gänge* 1882) głośnego estetyka Fryderyka Teodora Vischera, przynosi zaszczyt nie zasługującéj skądinąd na pochwałę krytycznéj i niekrytycznéj publiczności. Ten potężny umysłem ostatni szwab przyłącza się nie do zaprzyjaźnionych z nim osobiście poetów szkoły szwabskiéj, lecz do dawniejszych swoich spółziomków Schillera i Hölderlina. Ktokolwiek zaś poznał tego wspaniałego, do głębi serdecznego człowieka i nieustraszonego myśliciela, owego „Także jednego“ (tytuł romansu), czyż nie pójdzie chętnie za „lirycznymi towarzyszami przechadzek krytycznych“? Vischer posiada nietylko daleko żywsze uczucie poetyczne, ale także znakomitsze zdolności kształtujące, aniżeli jego ziomek antyteologiczny Dawid Fryderyk Strauss („Poetyczna książka pamiątkowa“ 1877). A jednak i u Vischera uzasadniona właśnie sława uczonego przyczynia się do powodzenia poezyi. Jeżeli zaś utwory jędrnego a popularnego człowieka Vischera zestawimy z poezyą uczoną czasów poprzednich, to uczujemy z radością, że zgubny przedział pomiędzy narodem a uczonymi, poezyą gabinetową i twórczością żywą nie istnieje już, jak w wieku XVII-tym i XVIII-ym.

Jakim zaś sposobem badania uczone mogą wychodzić na bezpośrednią korzyść najpopularniejszéj poezyi, to się okazuje z najlepszego

dzieła Wiktora von Scheffla: „*Frau Aventiure*. Pieśni z czasów Henryka von Ofterdingen (1863)“. Zapewne, opracowaniu poetycznemu chciano wyznaczyć granice czasowe, np. wiek XVI-ty, a niedawno oto ukaz miesięcznika „*die Grenzboten*“ chciał wogóle wzbronić poetom materyałów historycznych. Przestroga Goethego: „obmyślaj *co*, lecz bardziéj obmyślaj *jak*“, w wolnym przekładzie na język estetyczny brzmi: cześć prawidłom ogólnym, nie one jednak rozstrzygają o wartości dzieła, lecz jedynie wykonanie, jakie poeta w pojedyńczym wypadku nadał swojéj idei, która według zasad artystycznych może być w najwyższym stopniu niebezpieczną. Jeżeli potem wielki tłum naśladowców na miejsce ludzi z ubiegłych wieków postawi ukostyumowane lalki, to nie usprawiedliwia to jeszcze nagany dla dzieła samego mistrza. Było to śmiałą ideą Scheffla przenieść się marzeniem, jako liryk, w czasy wielkich cesarzów staufeńskich i na podstawie własnego uczucia pojedyńczym uczestnikom bajecznéj wojny śpiewaczéj na Wartburgu, odtwarzanéj przez Fouqué'go, E. T. A. Hoffmanna, R. Wagnera, włożyć w usta autocharakterystykę liryczną. Plan ten utraca natychmiast pozorną dowolność, skoro ujrzymy, że w ciągu znacznego czasu poeta sam przemieszkiwał na Wartburgu, jako odcięty od świata pustelnik. Rozbitkowi w zawodzie prawniczym i malarskim roztworzył się już przedtém w Studyach nad przeszłością niemiecką świat, ożywiający go natchnieniem. Otóż, jako gość władcy Turyngii, przebywał on sam na zamku przyjaciela pieśniarzy, landgrafa Hermanna, przy każdym kroku w domu i lesie musiał on deptać po ziemi, po któréj kroczyli, na któréj żyli i tworzyli, modlili się i pracowali Walter von der Vogelweide i Wolfram von Eschenbach, święta Elżbieta i, jako junkier Jörg, Marcin Luter. Dzięki „Tannhäuserowi“ Ryszarda Wagnera, powołanemu do nowego, zwycięskiego życia w pobliskim Weimarze, wspomnienie o Wartburgu, jako dawném siedlisku sztuki niemieckiéj, ożyło napowrót w teraźniejszości. Nie była to żadna maskarada średniowieczna, jeżeli Scheffel czuł się i tworzył, jako poeta, współczesny dawnym minnezengerom. „*Frau Aventiure*“ nie doznała takiego powodzenia, jak Ekkehardt i Trębacz; zawarte jednak w niéj pieśni są najlepszą pracą nietylko Scheffla. Osiągnięte tutaj połączenie studyów germanistycznych i nowéj poezyi stanowi szczyt potężnego prądu w naszéj literaturze, rozpoczynającego się od Klopstocka. „Awantura“ Scheffla jest dziełem genialném, które przy każdém czytaniu napełnia nowym podziwem; odznaczając się świeżością i czystą poezyą, pieśni te wykazują zarazem tak uczoną z gruntu

znajomość przeszłości, że można je pochwalić, jako zgoła nie mające sobie równych. W bezrymowych po największéj części rytmach „Psalmów górskich“ (1870) szata historyczna jest tylko narzuconym płaszczem; spoufalony z przyrodą poeta, objawia się tutaj jeszcze w pełni nieosłabionéj siły, gdy tymczasem „Ustroń leśna“ (*Waldeinsamkeit* 1880) zdobyła sobie wartość bardziéj wskutek wyposażenia artystycznego, jakiém ją obdarzył zaprzyjaźniony malarz, aniżeli wskutek tego, czego dokonał sam poeta.

Pomiędzy naśladowcami Scheffla archiwaryusz monachijski Karol Stieler, może sobie rościć prawo do znaczenia samoistnego. W początku naszego wieku allamańczyk Jan Piotr Hebel przywrócił nanowo do zaszczytów poezyę w narzeczach miejscowych i odtąd zaczęły stopniowo dostarczać swoich przedstawicieli rozmaite plemiona i miasta niemieckie. Fryc Reuter, który, nim się stał głośnym opowiadaczem, zyskał sobie w szczuplejszém kole poklask swojemi „*Läuschen un Riemels*“ (Wiersze i rymy) i większemi poematami „*Kein Hüsung*“ (Bez domu) i „*Hanne Nütte*“ (Joanna Nütte), tudzież Klaus Groth reprezentują poezyę w narzeczu dolno-niemieckiém. Fr. Scholtze nawet po za granicami swego miasta rodzinnego zjednał przyjaciół dla humoru i niеładnego (pomimo, że mówił nim Goethe) dyalektu frankfurckiego („Poezye zbiorowe“ 1872). Adolf Grimminger (*Mei Derhoim*“=U mnie w domu, 4-te wydanie 1883) zyskał powodzenie w narzeczu szwabskiém. Pochodzący z dawnéj rodziny Palatynatu profesor monachijski Franciszek von Kobell znalazł również zasłużony i trwały poklask swemi poezyami w narzeczu palatyńskiém i górno-bawarskiém. Właściwą góralom bawarsko-austryackim poezyą, przekomarzających się piosenek czterowierszowych, tak zwanych „*Schnadahüpfeln*“, potrafił on zatrzymać w opracowaniu literackiém i zdobył sobie przez to trwałą zasługę względem niemieckiéj poezyi ludowéj. Stieler wstąpił do literatury jako uczeń Kobella. Samorodny, u górali wiernie podsłuchany humor dźwięczy, jako temat zasadniczy w zbiorach jego poezyi: „W czasie sobótki“ (*Um Sunnawend*), „Chcecie ze mną zadrzéć? (*Habts a Schneid?*), „Ponieważ mię to cieszy“ (*Weils mi' freut*). Tak stary myśliwy Kobell, jak i zmarły zamłodu Karol Stieler byli wszędzie znani i lubiani w Alpach bawarskich: bo też świéżość, zdobyta przez ciągłe obcowanie z ludem, wyszła na dobre i górno-niemieckim pieśniom („*Hafbandl*“), w których Stieler na wzór „Aventiury“ przeniósł się w średniowieczne czasy panowania klasztoru Tegernsee, towarzysząc cesarzowi Ludwikowi bawarskiemu do nizin leśnych, w których miał powstać klasztor Ettal i na fatalne polowanie pod Fürstenfeldbruck. Jakkolwiek szybko następujące po

sobie tomiki zawierały rzeczy ładne, to przecież musiało to wywołać zdumienie, kiedy w spuściźnie po nim ukazał się utwór (1886), który, pomimo braku ostatecznego wygładzenia, dowodził niespodziewanego spotęgowania jego zdolności artystycznych. Wzruszający swą prostotą i głębokością rzut oka na dawne życie, np. „Idylla zimowa“ *(Ein Winteridyll)*, jest prawdziwym, bodaj jedynym w swoim rodzaju klejnotem, choć, ma się rozumiéć, nie jestto utwór potężny. Skromne te wiersze są tak jasne, brzmią tak pięknie, szczerze i serdecznie, że chciałoby się zaliczyć je do grupy nielicznych rzeczy nieznikomych. No, byłoby to, coprawda, przesadą; ale pomiędzy płodami ostatniego dziesięciolecia „Idylli zimowéj“ przystoi pierwsze miejsce.

Stieler, Laistner, Frieda Port, Kirchbach („wybrane poezye“ 1883), Amelia Luiz-Godin, Conrad i na pierwszém miejscu Marcin Greif reprezentują najrozmaitsze kierunki młodszéj szkoły monachijskiéj. Nie można powiedziéć, jakoby grono poetów monachijskich wywarło decydujący wpływ na rozwój literatury; bądźcobądź jednak zjednoczenie poetów, skupionych w szóstém i na początku siódmego stulecia w „Krokodylu“ około Emanuela Geibla i Pawła Heysego, zasługuje na osobną wzmiankę. Już w r. 1851 stowarzyszenie celem rozwijania niemieckiéj poezyi wydało Monachijską księgę poetów p. n. „Z nad Isary“ *(Von der Isar)*, którą również pominięto, jak pomijano jéj wszystkich współpracowników. Coprawda, obie monachijskie księgi poetów, wydane przez Geibla r. 1862 i przez Heysego 1882, zawierają w sobie raczéj przyczynki, dostarczone przez takich ludzi, którzy dłuższy lub krótszy czas mieszkali w Monachium, aniżeli przez rodowitych bawarczyków; swoją drogą wszakże w przyczynkach są w szczęśliwym wyborze zareprezentowane imiona najlepsze, jako to: Schack, Scheffel, Leuthold, Wilhelm Hertz, Ludwik Schneegans, z pomiędzy bawarczyków: F. Dahn, Lingg, Hans Hopfen, znany ze swoich „*Geschichten aus dem Ries*“ (Ries — rodzinny powiat poety): Melchior Meyr, Stieler, Kobell. Hopfen zebrał swoje „Poezye“ dopiéro w r. 1883; ale téż występująca tutaj świéża poezya i rzucone w sposób impresyonistyczny obrazy „Monachijskiego tańca umarłych“, zamieszczona w monachijskiéj księdze poetów „Bitwa chłopska pod Sendling“ nie ma nic podobnego ani u samego Hopfena, ani u żadnego innego z nowszych poetów. Potrzeba roztworzyć zbiór pieśni ludowych Uhlanda, ażeby wielki ton epiczny spotkać tak utrafionym w baladzie. Pod względem wartości poetycznéj jeden ten utwór starczy za całe tomy poetów modnych. W poświęconych „Cieniom mojego brata“ utworach pierwszéj księgi poetów, Hertz złożył dowody talentu lirycznego, w drugiéj zaś księdze stwierdził on niemniéj swe zdolności

epiczne. Malownicze przedstawienie nocy św. Jana i jéj czarodziejskich korowodów w „*Bruder Rausch*“, jako sztuka poetyczna, da się porównać tyko z pieśnią taneczną Mefista w lenauowskim Fauście, pieśnią, która posłużyła Lisztowi za podnietę do skomponowania walców Mefista. Do wytworzenia w poezyi nowo-górno-niemieckiéj takiego rytmu i harmonii musiały współdziałać studya nad minnezengerami i „Tristanem“ Gotfryda wraz z wrodzoném poczuciem językowém. Wydawca, Paweł Heyse, stwierdza w liryce taki sam wyborny talent formalny, jaki odznacza jego nowele w prozie i wierszach, epos o męczennicy Tekli i stojącą pod znakiem Wielanda epopeję: „Narzeczona z Cypru“. Sława nowelopisarska nie na wiele się przydała jego liryce. Jego tłómaczenia z włoskiego, przedewszystkiém zaś przekład Leopardi'ego i Giusti'ego są dziełami bez błędu i przygany. Wysoko wykształcony, wytworny, bawiący się chętnie dowcipnemi pomysłami artysta, umié w liryce każdéj myśli nadać wyraz formalnie skończony. Lecz zarówno w miejscach poważnych jak i żartobliwych, z tych nienagannie zbudowanych wierszy wieje jakiś chłód akademicki. Teść Heysego, historyk sztuki, Franciszek Kugler, w którego ożywionym artystycznie domu w Berlinie Heyse i Geibel zawarli młodzieńczą przyjaźń, nie może się zapewne mierzyć z Heysem pod względem sztuki i uzdolnienia. Ale téż Heyse nie mógł stworzyć takiéj pieśni, jak pieśń Kuglera: „*An der Saale hellem Strande*“ (Nad jasnym brzegiem Sali), która się stała pieśnią ludową. Od jego obliczającego rozsądku leży zupełnie zdala owo romantyczne spojrzenie w nieokreśloność i nieograniczoność, które właśnie podnieca naszą wyobraźnię i nasze uczucia w pieśniach ludowych Goethego, Eichendorfa, Lenau'a; nie pojmował on zapewne nigdy niemieckiéj duszy ludowéj. Heyse jest zanadto poetą artystycznym, ażeby módz oddziaływać jako liryk. Heyse i Marcin Greif, obaj zamieszkali w Monachium, stanowią takie z sobą przeciwieństwo, że rozważnemu spostrzegaczowi wydaje się to rzeczą naturalną, jeżeli żaden z nich nie odda zupełnéj sprawiedliwości działalności drugiego.

Jednostronny berliński kierunek rozumowy pozostał w tém dziecku Berlina nawet wtedy, kiedy się stał obywatelem stolicy południowo-niemieckiéj; studya romanistyczne, kilkakrotny pobyt Heysego we Włoszech nadały mu wprawdzie owo zadziwiające wyrobienie poczucia formy, z drugiéj strony jednak musiały one żywioł klasyczny raczéj wzmocnić, aniżeli osłabić. Syn staréj księżny hanzeatyckiéj Lubeki, Emanuel Geibel wzrósł już pod innemi wrażeniami, aniżeli poeta berliński. Geibel jest wyłącznie lirykiem; ze swoją próbą w dziedzinie eposu komicznego zaszedł on niedaleko, a na dramacie

nie znał się wcale. Trzy jego tragedye: wzgardzony przez niego samego „Król Roderyk“, uwieńczona nagrodą „Sofonisba“ i „Brunhilda“ są wszystkie płodami poronionemi, chociaż ta ostatnia, w istocie najmniéj chybiona, chętnie bywa przedstawiana na gościnnych występach aktorek. Natomiast próba odtworzenia w poezyi niemieckiéj („Prawdziwe złoto staje się jasném w ogniu“ 1882) ślicznych do nienaśladowania „Proverbes“ Alfreda de Musset nie zasługuje nigdzie na chlubne uwydatnienie. Gdy z jednéj strony ogromne powodzenie jego „Poezyi“ (1840, 100-e wydanie w roku jego śmierci 1884), starano się osłabić zarzutem liryki podlotkowéj, z drugiéj strony sławiono Geibla, jako ostatniego klasyka; jego „dziełom zbiorowym“ otworzono wstęp do takich bibliotek, które skądinąd nie znieważały nigdy swojéj świętości przez przyjęcie utworów nowszéj poezyi niemieckiej. Zarówno nagana, jak i pochwała nie oddają sprawiedliwości poecie. Żeby Geibel był tylko lirykiem salonowym dla młodych dziewcząt, to jest nieprawdą; uderzał on w tony rzeczywiście narodowe, że wspomnę tylko o rozbrzmiewającéj wszędzie pieśni: „*Der Mai ist gekommen, die Bäume schlagen aus*“ (Nadszedł maj i drzewa pączki wypuszczają). O jego elegiach już była wzmianka; „Kartki z dzienniczka“ (*Tagebuchblätter*), poświęcone jego żonie, Adzie, zabranéj mu przez śmierć po krótkiém, szczęśliwém pożyciu małżeńskiém, ze względu na głębokość uczucia i szczęśliwe dobranie formy, należą do rzeczy najlepszych w naszéj liryce. Coprawda, balady i drobny epos „Król Sygurd“ są zanadto pozbawione jędrności. Jako tłómacz z hiszpańskiego, stoi on niżéj od Schacka, wydane zaś do spółki z Leutholdem pięć ksiąg liryki francuskiéj znalazły czytelników niewielu. Natomiast „Księga pieśni klasycznych“ (*Classisches Liederbuch. Griechen und Römer in deutsches Nachbildung.* 1875), w któréj Geibel zaczepia nanowo o pierwszą swoją pracę, t. j. o wydawane do spółki z Ernestem Curtiusem „Studya klasyczne“ (1840), stoi na równi z najcelniejszemi pracami w dziedzinie wielkiéj sztuki przekładów niemieckich. Nawet nowsi kompozytorowie wyciągnęli już korzyść z tego tłómaczenia najdawniejszych liryków helleńskich. Dla Geibla było to rzeczą rozstrzygającą, że jeszcze przed ukończeniem swoich czasów studenckich, wyrwany z drobnostkowego życia literackiego swojéj ojczyzny, mógł się kształcić na gruncie greckim. Jego stanowisko i znaczenie historyczne polega na tém, że wystąpił on z całą stanowczością przeciwko panującéj powszechnie poezyi Heinego i jego naśladowców, uznając się za ucznia swego uwielbianego mistrza, Platena. Przeciwko kierunkowi Heinego, skłaniającemu się ku epigramatyczności, postawił on pieśń czystego uczucia i nastroju.

Jest jego wielką zasługą, że, hamując rozkład ironiczny, zacho-

wał on liryce niemieckiéj charakter, przez Goethego jéj nadany; Leutholda, Lingga, M. Greifa można tutaj określić, jako uczniów Geibla. Mógł sobie Geibel tu i owdzie popełnić błąd zbytniéj słodyczy i miękkości: „Dwanaście pieśni młodzieńczych“, „Pieśni z dawnych i nowych czasów“ wynagradzają te słabe strony najzupełniéj. A jeżeli na podobieństwo minnezengerów i Uhlanda Geibel opiewał miłość i wiosnę, radości młodzieńcze i smutki zimowe, to na podobieństwo Waltera von der Vogelweide i Uhlanda „z męsko poważném żądaniem“ wołał i on w pieśni o wolność i prawo. Pomiędzy poetami polityczno-patryotycznymi, którzy wystąpili po wojnach za wyswobodzenie, Geibel miał do tego największe powołanie. Nie należał on nigdy, jak Kinkel, Freiligrath, Herwegh, do jakiegoś stronnictwa; ale żądania prawdziwie narodowe w każdym czasie i wobec wszystkich stronnictw, znajdowały w jego pieśni wyraz potężny i godny. Geiblowskie „Wezwanie herolda“ (*Heroldsrufe. Aeltere und neuere Zeitgedichte* 1871; 5-te wyd. 1888) są poetycznym pomnikiem nadziei i rozczarowań, utrapień i powodzeń niemieckich dążeń do jedności od r. 1840 do 1871. Przyszły historyk będzie musiał sięgnąć do tego tomiku, a historya literatury nigdy go nie zapomni.

Geibel tylko czasowo przez kilka lat mieszkał w Monachium, nie będąc w stanie tak jak Heyse wzwyczaić się do życia tamtejszego; ciągnęło go zawsze do jego ojczyzny północnéj, gdzie téż i umarł, syt sławy i zaszczytów, rozwinąwszy przedtém wszystko, co było złożone w jego naturze. W 1890-tym roku ukazały się po raz pierwszy w zbiorowém wydaniu „Poezye“ artysty, który nie tylko dążył, ale i osięgnął w swoich dziełach to, co jest najwyższe, nie zwróciwszy atoli wśród spółczesnych najmniejszéj uwagi na siebie, kiedy w pełni siły twórczéj znalazł w Monachium wczesną mogiłę. Piotr Cornelius, bliski krewny „wielkiego mistrza historycznéj szkoły monachijskiéj niemieckiego malarstwa“, jako samodzielnie tworzący uczeń Ryszarda Wagnera, jest jedynym po r. 1848 kompozytorem niemieckim, którego dzieła muzykalno-dramatyczne trwałą posiadają wartość. Zmarłszy przed pierwszemi przedstawieniami uroczystemi w Bayreuth, nie mógł się on już, coprawda, doczekać powodzenia swych oper, w owych czasach bowiem dla zwolenników Wagnera teatry niemieckie były jeszcze zamknięte. Jako kompozytor pieśni, twórca melodyi do własnych swoich poematów: „Kolędy“ (*Weihnachtslieder*) i „Pieśni narzeczonéj“ (*Brautlieder*), ustępuje tylko Schubertowi. Jużciż od niedawna nastają i dla Corneliusa czasy spóźnionego uznania. W szesnaście lat po jego śmierci Adolf Stern (3-cie wydanie tegoż własnych „Poezyi“ 1880) zebrał rozproszone, po większéj części niedrukowane

poezye swego przyjaciela. A jakiż wspaniały talent liryczny mamy przed sobą w tym zbiorze! Żywioł muzyczny tych pieśni nie może w muzyku zadziwiać. Jakąż to jednak obfitość dowcipu, humoru i serdeczności posiadał ten, choć i niepoznany za życia, poeta! Jego poemata okolicznościowe, stanowiące także przyczynek do rozwijających się za czasów Liszta w Weimarze walk muzycznych, są w swoim rodzaju niezrównanemi wzorami. Jako liryk, Cornelius nie zdobędzie, coprawda, nigdy takiego znaczenia, jakie posiadają jego utwory muzyczno-dramatyczne; jednakże książce jego „Poezyi" zawdzięczamy wprowadzenie nowego, rzeczywistego liryka, który nie jednego z pośród tłumu poetów powszednich przewyższa o całą głowę. W jednym rzędzie z wprowadzonym nanowo poetą Corneliusem postawiłbym poetkę, którą wprawdzie znam tylko z pięciu pieśni, ale wartość poetyczna tych pieśni usprawiedliwia osobną wzmiankę. Pani v. Wesendank jest autorką „Pięciu poematów na jeden głos kobiécy", podłożonych pod muzykę przed R. Wagnera, z pomiędzy których „Boleści" wskutek zwięzłego ujęcia cudownie pięknéj i wzruszającéj pociechy, zasługują w moich oczach na szczególną pochwałę. Co się tyczy utworów R. Wagnera, to dotyczas ogłoszono tylko niewiele poematów lirycznych w 8-mym i 9-tym tomie „zbiorowych pism i poezyi", oraz pełne humoru i głębokich myśli sentencye w 9-tym tomie wydawnictwa „*Bayreuther Blätter*". Rozumié się, że skierowanych r. 1864 do bawarskiego króla Ludwika II stanz p. n. „Królewskiemu przyjacielowi" (*Dem Königlichen Freunde*) nie powinnoby brakować w żadnéj antologii poezyi niemieckich; kipiące uczucie artysty, walczącego o to, co jest największe, nie stworzyło sobie zapewne nigdy bardziéj porywającego wyrazu, nigdy geniusz swemu książęcemu patronowi nie wypowiedział swéj wdzięczności i prośby tak wspaniale i swobodnie w obrazach czysto poetycznych.

O ile antologia jest zdolną dać dostateczne wyobrażenie o pracach, dokonanych w przeciągu pewnego czasu, zadanie to spełnił wydany przez Ferd. Avenariusa zbiór p. n. „Teraźniejsza liryka niemiecka począwszy od r. 1850" (*Deutsches Lyrik der Gegenwart seit* 1850; 2-gie wyd. 1887). Dostarczone po większéj części przez samych poetów notatki biograficzne i bibliograficzne podnoszą użyteczność tego wyboru, czerpanego ze źródeł i sporządzonego nadzwyczaj zręcznie. Jeżeli naprzeciwko zbioru Avenariusa postawimy antologię, wydaną przez Wilhelma Arenta p. t. „Charaktery poetów nowoczesnych" (*Moderne Dichter-Charaktere*) i wydaną przez Eugeniusza Düsterhoffa „Pstrą tekę berlińską" (*Berliner bunte Mappe*, 1885), to będziemy mieli przed sobą dwa stronnictwa: starych i najmłodszych.

Jako zapalony, ale chyba nie zapalający herold tych ostatnich, Paweł Fritsche zabrzmiał pobudką w pisemku: „Rewolucya liryków nowoczesnych“ (*Die moderne Lyriker-Revolution*). Natomiast chimeryczna „Próba reformy liryki niemieckiéj“ (*Versuch einer Reform der deutschen Lyrik*) barona v. Procházki nie ma nic do czynienia z dążeniami najmłodszych Niemiec.

Nie wdaję się w rozbiór poszczególnych zbiorów poetów naturalistycznych, jak np. Hermana Conradi'ego „Pieśni grzesznika“ (1887), Adalberta v. Hansteina „Pieśni ludzkie“ (*Menschenlieder* 1887), które przecież bodaj czy mogą być brane na seryo. Mój zmysł dla zasady „nowoczesności“ nie jest jeszcze tyle wykształcony, ażebym naszkicowany przez Arno Holza („Księga czasu, 1886) opis robotnika, noszącego na szyi chustkę czerwoną i spuszczony na czoło kapelusz kalabryjski, mógł ocenić, jako „najznakomitszą pieśń tego kierunku“. Nie uważam też bynajmniéj za zgodne z naturą przedstawiać robotnika fabrycznego „z bujającemi w nieładzie kędziorami“ („*von Locken wirr umflogen*“). Wspomniałem już we wstępie, że w piśmie „Przewrót literatury“, uzasadniającém teoretycznie ruch naturalistyczny, Bleibtreu sławił współczesnego Goethemu inflantczyka, Jak. Michała Reinholda Lenza, jako ducha opiekuńczego i wzór nowszéj poezyi. Antologia „Charakterów poetów nowoczesnych“ stawia na czele, jako godło, następujące zdanie Lenza: „Duch poety waży więcéj, aniżeli dzieło jego sztuki“, a W. Arent kazał wybór z jego poezyi, reprezentujących „żywioł nowoczesny“ wydrukować pod wprowadzającym w błąd nagłówkiem: „Reinhold Lenz. Spuścizna liryczna. Odszukana przez Karola Ludwiga“ (1884). Ze względu na wyznaczoną tutaj Lenzowi rolę przywódcy w ruchu najnowocześniejszym nabiéra szczególniejszego znaczenia ta okoliczność, że właśnie dopiéro co (1891) ukazał się po raz pierwszy całkowity zbiór krytyczny utworów poety z epoki burzy i zapędów, zmarłego w r. 1792. Zbiór ten będzie przeciwdziałał przecenianiu zdolności poetycznych Lenza, do czego mógł skusić ten lub ów poemat, rozpatrywany w oderwaniu od innych. Odtąd bodaj czy nawet któremu z naturalistów przyjdzie na myśl liryka Lenza, jako równouprawnionego do zajęcia miejsca tuż obok Goethego, albo i wyżéj. Jeżeli do zbioru Arenta przystąpimy bez uprzedzenia, to spostrzeżemy przedewszystkiém, że przeciwieństwo pomiędzy szkołą najmłodszą i dawniejszą — przynajmniéj w liryce nie jest tak bezwarunkowém, jak to się zdają przypuszczać obie strony. W sądzie tym nie chce się opiérać na materyałach Wildenbrucha, który ze względu na cały swój kierunek do koła tego nie należy, gdy tymczasem pomiędzy „charakterami poetów nowoczesnych“ niechętnie pa-

trzymy na brak Detleva v. Liliencrona („Poezye“, 1884; 1889). W zbiorze tym jednak spotykamy szereg poematów, które nie uderzałyby nas również w jakiéjś dawniejszéj, — co więcéj, niektóre z nich nawet w czysto romantycznéj antologii lirycznéj. Użycie wyrażeń rubasznych, przypominające utwory Schillera z czasów jego burzliwéj młodości, wydaje się daleko prędzéj oznaką niedojrzałości estetycznéj, aniżeli naturalizmem.

Nie mamy powodu przypuszczać, ażeby autorowie najlepszych poematów w całym zbiorze: Oskar Linke, W. Arent, Juliusz Hart, Arno Holz, u których nie można zauważyć żadnéj predylekcyi do wyrażeń mocnych, znajdowali przyjemność w tém, kiedy Herman Conradi daje się całować dziewce, „jak gdyby żar bachancki rozbijał mi czaszkę“ (*Als ob bacchantische Brunst mir den Schädel zerbreche*). Takie rzeczy przypominają już nie medyka rządowego w Stuttgarcie [1]), lecz owych niezdarnych burzliwców i zapędowców, którzy przesadą mowy gminnéj starali się przed sobą i przed innymi pokryć brak geniuszu i własnych pomysłów. Jakim sposobem miłości do dziewki, miłości, którą gardzi sam kochanek, nadaje się wyraz rzeczywiście poetyczny, tego autor „Pieśni grzesznika“ mógłby się nauczyć od romantyka. Pieśń Klemensa Brentano: „*O lieb Mädel wie schlecht bist du!*“ zawiera tak dla naturalistów, jak i klasycystów więcéj poezyi, aniżeli „boskie maszkary“ (*Götterfratzen*) Conradi'ego. Carducci, znany i w Niemczech z tłómaczonych prób Heysego, w swoich *Odi barbare* wplatał, coprawda, zręcznie i szczęśliwie przedmioty najbardziéj nowoczesne i ich określenia w strofy ód starożytnych; Eryk Hartleben wszakże dowiódł w swoich odach (reprezentuje on tylko tę formę) tak jednego, jak i drugiego w mniejszym stopniu. Na oddawanie pierwszeństwa rytmom wolnym i dłuższym strofom, pomiędzy któremi tylko wyjątkowo pojawia się czterowierszowa strofa pieśni, wskazałem już przedtém. W przedstawieniu wiosny w wielkiém mieście Berlinie i w „Idylli sobotniéj“, przypominającéj Musseta i Murgera, Holz podaje nam próbki wierności naturalnéj, która bezwarunkowo zasługuje na pochwałę jako postęp; takiéj obserwacyi nieupiększonego otoczenia i jego odzwierciedlenia w poezyi można się z trudnością doszukać u dawniejszych liryków niemieckich. Naturalizm występuje tutaj jako artystyczny zdobywca nowych obszarów. Ale byłoby znów niedozwoloném krótkowidztwem, gdyby ktoś na podstawie tego chciał poezyę ograniczyć do oddawania życia ulic i knajp

[1]) Młodocianego Schillera.

berlińskich. „*Omfala*“ i „*Ixion*“ Linkego, przedmioty z pewnością wcale nie nowoczesne, są według mojego zdania może najznakomitszemi utworami w zbiorze tym, obfitującym, jakbym to chciał zaznaczyć jaknajwyraźniéj, w dobre poemata. „Opuszczona“ Conradi'ego, również jak i „Krople szampana“ (*Champagnertropfen*) J. Harta mogłyby i pomiędzy poezyami Freiligratha lub Greifa uderzać nie z powodu różnicy tonu, lecz właśnie tylko jako utwory wyborne. Jednakże tak zachęcającą, przy wielu rzeczach chybionych okazującą tyle świeżéj siły antologię, trudno byłoby złożyć z żyjących przedstawicieli szkoły dawniejszéj. Ujęcie się za robotnikami nie może być niespodzianką w poetach czasów nowszych. Już przed *La grève des forgerons* (bezrobocie kowali) Coppée'go i „Germinalem“ Zoli poezya stawała po stronie strajkujących; porządny kęs socyalizmu żyje w całéj młodzieży, począwszy od cesarza niemieckiego aż do ostatniego robotnika. Ba, nawet starzy idą za prądem czasu. W chwili, gdy to piszę, doszły do moich rąk nowe poezye weterana szkoły szwabskiéj, J. G. Fischera („Z powrotem do domu“ — *Auf dem Heimweg*, 1891 r.); otóż nawet poeta, współczesny Schwabowi i Uhlandowi, staje stanowczo po stronie robotnika i grozi (*Ein Gesicht*) polującemu właścicielowi kopalni dniem zasłużonéj zemsty. Oskar Jerschke („Na przyszłość“), Karol Henckel („Pieśń o robotniku“), Fr. Adler („Po bezrobociu“) pozwalają, co prawda, dąsom rewolucyi społecznéj rozbrzmiewać głośniéj. Silniejsze wysłowienie, grubsze nakładanie farb uznajemy chętnie, jako prawo i zaletę szkoły naturalistycznéj. Przy rozpatrywaniu teatru i dramatu społecznego nastręczy się sposobność zastanowienia się bliżéj nad stanowiskiem poezyi w walkach społecznych i kwestyach współczesnych, oraz nad stanowiskiem téjże w życiu publiczném wogóle.

Prof. Dr. Maks Koch.





OFIARA HONORU MEDYCYNY.

HUMORESKA.

Miałem się żenić; zakochany byłem po uszy w ślicznéj, jak obrazek, i pulchniutkiéj, jak pączek, pannie Julii. Rozkoszne to było stworzonko: wesołe, szczebiotliwe, skaczące i miło dokuczliwe. Śmieliśmy się téż i trzpiotali od rana do wieczora, i było nam dobrze, ach, jak dobrze. Widocznie jednak, że ta niepomierna zabawa nasza była tylko przygrywką do miłości, bo skoro się oświadczyłem i zostałem przyjęty, zaczęły się chmurzyć nasze oblicza i często przychodziło między nami do sprzeczki.

Lubiłem całować jéj dołeczki, a miała ich dosyć. Trzy na buzi, to jest dwa po obu stronach twarzy, a jeden na saméj bródce; przytém na obu rękach pod każdym paluszkiem dołeczek i jeszcze dwa na samych łokciach. Do tych to ostatnich, gdy miała suknie z wązkiemi rękawami, najtrudniéj mi było się dostać i dlatego właśnie, że najtrudniéj, najwięcéj miałem na nie apetyt,—a o to między nami najczęściéj przychodziło do gniewu.

— Nudny pan jesteś... — mówiła zadąsana, gdym próbował obnażyć jéj rękę.—Bardzo proszę, nie chcę, idź pan sobie precz...

Czasem rzeczywiście odchodziłem jak zmyty, a czasem jak mnie jakaś ambicya napadła — obrażałem się, spuszczałem nos na kwintę i siedziałem całemi godzinami jak mruk, i szedłem zadąsany do domu, nie pocałowawszy rączki na pożegnanie.

Figlarz-dziewczyna jednakże nic sobie nie robiła z moich dąsów i gdy znalazłszy się za drzwiami, pozostałem w sieni kilka chwil, aby podsłuchać, co téż o tém mówią, dochodziły mnie urywane słowa.

— Cóżeś mu zrobiła? — pytała matka — że wyszedł tak prędko i zagniewany.

— Niech sobie idzie, niech się gniewa, mnie wszystko jedno.

A kiedy ci wszystko jedno, to poczekajże, ja ci się téż odwdzięczę. Trzy dni się nie pokażę... co, trzy dni? nie—cały tydzień, zobaczymy, czy ci będzie wszystko jedno.

Do mieszkania miałem spory kawał drogi, więc irytacya moja rosła, żądza zemsty potężniała do tego stopnia, że gdym zadzwonił do bramy stanęło: iż jutro odsyłam pierścionek zaręczynowy z bardzo grzecznym a stanowczym listem. Treść tego listu układałem, idąc po schodach na drugie piętro; ma się kończyć tém, że zgadzam się, aby to zerwanie upozorowane zostało moją winą i żeby w téj formie dostało się do wiadomości znajomych.

I zadowolniony byłem z takiego obrotu rzeczy. Moja miłość własna zostanie pogłaskaną i mówiłem sobie, niech wiedzą, że jestem wspaniałomyślny i szlachetny, no, ma się rozumiéć, niech mnie żałują, że stracili.

A zatém, rzecz została ułożona, wypadało tylko postąpienie to, jako już uskutecznione, przed sobą samym usprawiedliwić. Zastanówmy się naprawdę, czy Julcia rzeczywiście jest dla mnie odpowiednią na żonę? Najprzód nie jest tak ładna, podobnych rumianych, pucołowatych twarzyczek dosyć na świecie. Nosek zanadto długi, no niebardzo, ale do jéj twarzy nieproporcyonalny i co gorsza, marszczy się wzdłuż podczas śmiechu. Oczy... oczy uszłyby, mają dużo blasku i figlarności, choć przyznaję, że troszkę za pospolity kolor ich: wieczorem jeszcze ujdzie i wydaje się czarny, ale w dzień, szczególniéj przy oświetleniu słoneczném, przeważa ton bury, nieoznaczony, a wiadomo, że nieoznaczone kolory płowieją, i cóż? za dwa lata będą to oczy pospolite, jak pierwszéj lepszéj kucharki... Jéj „wszystko jedno“ — przypomniały mi się w téj chwili słowa, wyrzeczone w przedpokoju do matki, które podsłuchałem. Dobrze, i mnie téż wszystko jedno... Za pulchna, dołeczków za wiele, a że zupełnie podobna do matki, więc roztyje się jak mama i śliczna rzecz, za lat dziesięć będę miał żonę z trzema podbrókami, postaci utuczonéj krowy szwajcarskiéj, która mi będzie dyszéć przy szybszém chodzeniu, jak to dzieje się u mamy, gdy ją pod ręką prowadzę i któréj ciepło ramienia parzy mnie zawsze, jak ogniem. Przecież żonę bierze się na całe życie, a nie na jaki rok, dwa po ślubie; i męcz się potém z tak potworną wielkością.

Jéj wszystko jedno! Cóż to za oschłość serca, i to dziś, gdy jest dopiéro moją narzeczoną, a cóż to dopiéro, gdy będę już mężem.

Chwała Bogu, że mi się udało przejrzéć tak wcześnie... A jaka z niéj żona będzie? Nic tylko się bawić, bawić, śmiać, romanse czytać i na fortepianie brzdąkać. O pracy poważniejszéj ani jéj mów, dałem do czytania „Historyą Anglii“ Makaulaya i przez trzy tygodnie przeczytała ośm kartek... Będzie lalka salonowa, będzie myśléć o strojach, zabawach, tańcach, będzie flirtować — bo u niéj życie, to przyjemność... a tu moja pani życie z ubogim mężem, gdy się nie ma posagu, to jest ciężki, o bardzo ciężki obowiązek.

„Niech sobie idzie“—powiedziała — ja téż idę i dlaczego u licha mam być wspaniałomyślnym i proponować, że zerwanie to oni spowodowali... Nie—napiszę wszystko dlaczego się cofam, co o niéj myślę, niech wié, że o nią nie dbam, skoro jéj wszystko jedno.“

Stanęło na tém, że rano list napiszę, pierścionek włożę i przez stróża poślę, a potém wyjadę do stryja na wieś na tydzień, żeby mnie nie nachodzili, nie szukali i nie nudzili...

Położyłem się spać i jeszcze myślałem o tém wszystkiém ze dwie godziny. Wybiła druga — no, dosyć tego, rzecz skończona, trzeba spać. Ba, spać, żeby to można, skoro myśli przykre wracają ciągle, jakby zakres ich działania w głowie ludzkiéj odbywał się po linii kołowéj... Bo o co właściwie poszło, o taką drobnostkę, o odsunięcie rękawa po łokieć. I co jéj to szkodziło, kiedy ten maleńki mój kaprys sprawiał mi tyle przyjemności. Żeby odemnie żądała tysiąc razy przykrzejszych rzeczy, żeby mi kazała, ot, dla fantazyi, skoczyć z okna pierwszego piętra — skoczyłbym, daję słowo... a tu niewinny pocałunek w łokieć wydał jéj się jakąś zbrodnią... Przypominam sobie, gdy chciałem sam odwinąć ten rękaw, wstrząsnęła się, jakby ją żmija ukąsiła... „idź pan sobie precz“ — zawołała, zarumieniona z gniewnem spojrzeniem... Dobrze, pójdę, niech pani łaskawa ten łokieć schowa dla kogo innego, dla kogo godniejszego, więcéj kochającego...

Wybiła trzecia, ja nie śpię i przewracam się i wiję, jak wąż, na posłaniu. Na dziedzińcu w kurniku koguty zaczęły piać. Ot, masz tobie, możebym usnął, a tu ten kochinchiński, jak stary chłop, grubym basem huczy mi: ko, ko, ko, ko... Bodaj go licho... Skądże się wziął ten drugi skrzeczący, który swoje kukuryku powtarza za tamtym... Czy nie skończycie szatany!... Niepodobna tu dłużéj mieszkać... jutro powiem gospodyni: albo ja, albo koguty... Straszna rzecz, jak mię całe ciało pali.

Słyszałem, że kto chce usnąć, powinien myśléć o czémś przyjemném, a cóż w téj chwili dla mnie przyjemniejszego, jak zerwanie małżeństwa z Julcią. Dobrze zrobiłem, myślałem, jakby to już zerwanie

nastąpiło bo nie byłbym z nią szczęśliwy. Może być dla kogo innego będzie dobrą żoną, ale jabym się z tak kapryśnem i zmiennem stworzeniem zamartwił... Alboż ona mnie kocha naprawdę? Ej gdzietam—ona nikogo nie kocha. Jest łaskawą, gdy kto robi co ona chce... lecz trudno znów być w jéj rękach lalką do zabawy, chorągiewką... Nie, nie, nie, skoro ci wszystko jedno, niech będzie wszystko jedno... trzeba przestać o têm myśléć i spać, wszak to już czwarta, słyszę świstawkę kolei, pociąg wychodzi do Krakowa...

Pomimo szczerych intencyi, pomimo, że ułożyłem się tak spokojnie, że nie mrugnąłem nawet okiem, sen mi nie chciał się zbliżyć. W uszach mi szumiało, każdy turkot dorożki na ulicy, sprawiał wrażenie trzęsienia ziemi, coraz było mi goręcéj, pot występował na całe ciało, a ręce i nogi paliły jak ogniem. Wybiła piąta, potém szósta, dzień przez okna zajrzał do pokoju; wstałem, śpuściłem żaluzye, położyłem się znowu i myślałem, czy ona téż tak samo nie śpi. Uśmiechnąłem się gorzko. Co, ona nie śpi?... A bodajże cię, to paradne z méj strony przypuszczenie, ona miałaby nie spać. Nie ma obojętniejszych, zimniejszych stworzeń, jak kobiéty. Cieszą się i smucą i płaczą przez minutę na przemiany, ale głębiéj tam w serce nic nie wsiąką... Nawet nie wiem, czy one właściwie mają jakie serce... Jestto zlepek ciała, na podobieństwo człowieka, ale to jeszcze nie człowiek... Mój Boże, a jednak ja ją tak kochałem, dlaczego, po co, za co? Głupi byłem i całe szczęście, żem przejrzał, niech ją tam Bóg ma w swojéj opiece, niech uszczęśliwia kogo chce...

Bije siódma, zakrywam głowę kołdrą, może usnę chwilkę, na pół godziny. Straszna rzecz ta bezsenność. Na myśl, że ja ją tak kochałem, ogarnął mną szczególniejszy żal, coś tak mi zaczęło rozsadzać serce, że myślałem pęknie mi pierś i ono wyskoczy na poduszkę... Ha, dopiérobym się na niém zemścił, że było tak głupie i wierzyło w miłość kobiéty... Naraz czuję, puszczają mi się łzy z oczu... Co to jest? ja płaczę? czego... Mówię sobie czego, po co, a swoją drogą płaczę jak bór i poduszka jest mokra i płacz przemienia się w łkanie. Szczęściem, zaczyna się stróż dobijać do drzwi — to już ośma, czas wstawać.

Spojrzałem w zwierciadło — wyglądam jak z krzyża zdjęty.

Twarz żółtawo-blada, oczy czerwone jak u królika, podkowy sine na cal pod niemi, ręce mi drżą a usta tak się drą od ziewania, że muszę ręką chwytać za wargi, żeby naprawdę w kątach się mi nie popruły... Ot masz tobie miłość... dobrze to powiedział pewien Niemiec, że gdyby miłość było w co bić, toby jéj odliczył dwadzieścia pięć odlewanych bizunów, bo na to zasługuje.

Wypiłem szklankę czystéj herbaty, bułki nie mogłem przełknąć, ubrałem się i wyszedłem do biura. Zwykle, chociaż nie było to po drodze, okrążałem ulicę, aby przejść koło domu, gdzie mieszkali rodzice Julii; teraz postanowiłem iść prosto, lecz przy skręcie jakoś same nogi powiodły mnie tam, gdzie nie chciałem. Wiedziałem, że źle robię, ale wyperswadowałem sobie zaraz, że nie powinienem jéj unikać,—owszem, niech wié, że tędy chodzę, ale nie spojrzę w okno, gdzie zwykle w rannym negliżyku stawała za firanką i przesyłała mi swój uśmiéch. Co prawda, był to miluchny uśmiéch, pod wrażeniem którego sześć godzin pracy biurowéj przechodziło mi znośniéj.

Nadchodząc tuż pod kamienicę, nie mogłem wytrzymać i spojrzałem bokiem—stoi i uśmiecha się i rączką daje mi znak powitania. Nie mogłem być niegrzecznym, nawet dla osoby, z którą mam zerwać i odkłoniłem się, ale z jakim marsem... Niech wié, że mnie nie obchodzą nic jéj uśmiechy, jak jéj wszystko jedno, tak i mnie wszystko jedno, czy ona się śmieje, czy nie. Przeszedłem sztywno, udając pośpiech, nie obejrzałem się wcale i w téj chwili ogarnął mnie straszny gniéw na siebie, po co ja tu przyszedłem, po co się ukłoniłem.

Nigdy godziny nie płynęły mi tak leniwo przy pracy, jak tego dnia. Nie wyspany, wzburzony, nie mogłem połapać własnych myśli, nie mogłem skleić do sensu kilku banalnych frazesów, używanych w pismach urzędowych. Co chwila spoglądałem na zégarek, rychło tam będzie trzecia godzina, a tu kwadranse, nawet minuty tak ociężale posuwały się naprzód, że zdawało mi się, nigdy nie nadejdzie czas wyjścia... Chodziłem po pokoju, jak zwierz dziki po klatce, paliłem cygaro za cygarem, próbowałem czytać gazety, lecz najdowcipniejsze ustępy w kronice tygodniowéj, nad którémi zwykle się zachwycałem, dziś wydawały mi się niesmacznemi, banalnie zestawionemi frazesami. Kolegów, którzy przychodzili czasem do mnie na gawędkę—odprawiłem wymówką, że głowa mnie boli, interesantów zbywałem lakoniczném nie można, a jednego natrętnego żyda, który z miodowym uśmiechem i śmiesznie uprzejmą miną zaczął mnie nudzić swoją sprawą, o mało nie kazałem wyrzucić za drzwi. Teraz nie myślałem o niczém więcéj, jak o niepospolitéj obłudzie Julci, która po tém, co wczoraj między nami zaszło, po tém „wszystko mi jedno", miała odwagę stanąć w oknie i kłaniać mi się uprzejmie i uśmiechać się czule. Albo ja jestem nie przy swoich zmysłach, albo ona fałszem nad fałszami. Po obiedzie zabrałem się do pisania listu i tu dopiéro nastała trudność w określeniu powodów zerwania. Jużciż o tym łokciu nie mogłem napisać—list taki czytać będą rodzice i zapewne inne osoby, dopiérożbym się ośmieszył. Naprawdę więc wyraźnéj przy-

czyny cofania się nie mam i choćbym ograniczył się do ogólników frazesowych, że nie czuję się godnym i tym podobne — to cóż — intencya moja ukarania Julci chybi celu, bo ona sama nawet nie domyśli się, dlaczego to robię. Zresztą każdy list w podobnéj sprawie uważam dla mężczyzny za dezercyą z pola bitwy, bo się nie ma odwagi stanąć oko w oko z przeciwnikiem i powiedzieć mu słów prawdy. Najlepiéj będzie, jak pójdę sam i z całym spokojem, bez żadnych uniesień, bez obrazy powiem jéj to i to, pierścionek oddam i bywaj mi pani zdrowa...

Zdecydowany ostatecznie, poszedłem do państwa Sumickich, jak zwykle, o godzinie szóstéj wieczorem. Zadzwoniłem raz i drugi, pociągnąwszy za gałkę tak, jak dzwoniłem zawsze, a w téj saméj chwili otworzyła mi Julcia z rozpromienioną twarzą; widocznie czekała na mnie w przedpokoju.

— Ach, jesteś pan przecie! jak to dobrze. Myślałam...

— Cóż pani myślała?—pytam, biorąc machinalnie jéj rączkę, ma się rozumieć ze zwyczaju... zapomniałem się.

— Że pan się na mnie gniewa — wyrzekła, bocząc się, jak to czynią małe dzieci, kiedy je zmuszą do mówienia czegoś, czego nie chcą.—Taką pan miał dziwnie zachmurzoną minę, kiedy się panu rano kłaniałam, tak się panu nos przedłużył... a nie lubię, jak pan ma taki długi nos... Potém nie odwróciłeś się pan ani razu... ho, ho, ja pana znam; no, ale jesteś pan, to bardzo dobrze, cieszę się. Czego pan trzyma tę rękę moją i nie wita się... proszę mnie przeprosić... Przeprośże pan jeszcze raz—dodała, podnosząc powtórnie rączkę do moich ust... pozwalam... Czy pan się jeszcze gniewa?

— Nie pani, nie gniewam się wcale... o cóżbym się miał gniewać...

No i widzicie państwo, jaki to ze mnie mężczyzna, gdzie tu moja wola, mój charakter! Zaparłem się po trzykroć, że ani mi w głowie nie powstały żadne gniewy i to daleko energiczniéj, niż ongi ś. Piotr, i bez akompaniamentu historycznego piania kogutów.

— Panie Adolfie, proszę być w dobrym humorze, bo ja dziś weselszą jestem, niż kiedybądź. Krąkowska przysłała mi nowy stanik, do sukni, pan wié z téj czarnéj materyi, naszyty koronkami i jak leży!? No, chodź pan do pokoju, zaraz się ubiorę w niego dla pana, chcę żebyś pochwalił...

To mówiąc wzięła mnie pod rękę i wprowadziła do bawialnego pokoju, gdzie przy jaśniejszém świetle zobaczyła twarz moją.

— Na miłość Boga, co panu jest? — zawołała — czy pan chory? wyglądasz tak mizernie. Proszę, popatrz na siebie w lustrze, jeszcze

pana nigdy tak zmienionym nie widziałam... — kończy z tak smutnym wyrazem twarzy, z takiém współczuciem, że ja sam się przeląkłem... Czy naprawdę nie jestem chory!

— Nic mi nie jest—odrzekłem sucho i sztywnie, albowiem w téj chwili irytowały mnie jéj słowa zachwytu dla stanika od sukni. — Nie mogłem spać w nocy, do samego rana ani oka nie zmrużyłem — mówię wolno.

— Wié pan, a ja przeciwnie, spałam jak zabita...

— Zapewne ze szczęścia, że stanik ślicznie leży...

— Nie bądź pan dokuczliwym... co mi tam stanik. I z czegóż taki brak snu? czy pan miał jakie zmartwienie?... Może to, że ja wczoraj... co? przyznaj się pan — dodała, rumieniąc się i spuszczając oczy.—Ej, panie Adolfie, nie trzeba być takim kapryśnikiem...

Doskonała była sposobność wytoczenia méj sprawy, zwłaszcza że ten dobry sen Julci wtedy, gdy ja się wiłem całą noc z irytacyi — znowu mnie podrażnił. Lecz jak na złość, w téj chwili wszedł z sąsiedniego pokoju ojciec panny Julii i przerwał mi wyładowanie z wątroby wszelkiéj amunicyi, która się tam przeciw narzeczonéj od wczorajszego wieczoru nagromadziła... To już takie moje szczęście!

Pan Sumicki, urzędnik jednego z biur rządowych, może mieć lat pięćdziesiąt kilka. Szczupły, wysoki, z zapadniętą piersią i wygiętemi nieco plecami. Trochę łysy, trochę siwy, ale trzyma się dziarsko i jest powszechnie lubiany dla swéj otwartéj serdeczności i usłużności wszędzie i dla każdego.

Pomimo nieco zdezelowanéj powierzchowności, pyszni się swojém zdrowiem, które, jak utrzymuje, zawdzięcza wyłącznie ćwiczeniom gimnastycznym. Oddaje się téż namiętnie temu sportowi, jest poważnym znawcą téj sztuki, którą nabył z dzieł niemieckich i z kilku podróży, odbytych umyślnie do Pragi Czeskiéj. Ma jedną tylko wadę, że jest gaduła i że lubi udzielać rad lekarskich każdemu, rad, jak zapewnia, własném doświadczeniem nabytych. Ogólne przekonanie jego jest takie, że człowiek, nie używający gimnastyki jest niedołężném, samochcąc zabijającém się stworzeniem.

Julcia poszła przygotować kawę na podwieczorek, a stary wziął mnie w obroty, dowiedziawszy się, że całą noc spędziłem bezsennie.

— I z czego?—pyta, przypatrując mi się ze współczuciem.

— Z niczego — odpowiadam. — Nie mogłem usnąć, mimo całego wysilania się. Ciało paliło mnie jak ogniem, pulsa biły mocno, jakbym miał gorączkę.

— No, naturalnie i nie mogłeś pan ziewnąć pełnym oddechem.

— Tego nie uważałem...

— To proszę uważać na przyszłość — mówi z uśmiechem pewnéj zarozumiałości.—Koniecznie chce się ziewnąć, usta się otwierają, ale dojdziesz do połowy, powietrza zabraknie i *fiasco*... No, a potém były poty?

— Były.

— To nerwowe objawy, ja to z nam z doświadczenia. Ooo... to bardzo przykry stan zdrowia bezsenność; nie sypiałem ja całemi miesiącami i zdawało się, że zwaryuję. Lekarze pakowali mi narkotyki, *cali bromati*, kazali się polewać zimną wodą ręce i nogi, spać przy otwartém oknie, no i spałem po parę godzin co trzecią noc. Dopiéro jak się wziąłem do gimnastyki, zmęczyłem przy ćwiczeniach, że pot płynął mi strugami z czoła, to po tygodniu téj praktyki spałem i do dziś dnia sypiam, jak drewno. Mój drogi panie Adolfie usłuchaj doświadczonego praktyka i zapisz się do Towarzystwa gimnastycznego *Mens sana in corpore sano*...

Gawędzimy czas jakiś na ten temat, ja utrzymywałem, że dla starszego człowieka dziwaczne ruchy i skoki gimnastyków wydają się mi śmieszne, on się oburzał, że daleko śmieszniejszemi są inne zajęcia na świecie, jak naprzykład tańce, a swoją drogą ludzie tego nie widzą.

— Mój drogi, ja ci powiadam, że jeżeli ludzie będą tak daléj pracować umysłowo, bez ćwiczeń ciała, to dyabli daleko wprzód ich wezmą, niż przyjdzie koniec świata.

Przy stole do namawiań ojca przyłączyła się mama, dowodząc, iż mąż jéj przed gimnastyką taki był wątły i chudy, jak szczypa, a teraz rozrósł się, zmężniał, siły nabył.

— Zobacz pan jego rękę... Tadziu, pokaż panu.

Tadzio, jakby tylko czekał tego rozkazu, odwinął rękaw, koszulę rozpiął i wyciągnął przed siebie prawicę długą, muskularną, na któréj od naprężenia wystąpiły grube, jak postronki, żyły.

— Szkoda,—mówi do mnie—że nie mogę pokazać panu téj ręki, jaką była przed gimnastyką, mógłbyś porównać...

Oświadczyłem, że i ja tego bardzo żałuję.

Julcia tego wieczora była szczególniéj dla mnie usposobioną. Miewa ona czasami, że tak powiem, napady wyjątkowéj czułości i niezmiennéj tkliwości; czasami znów jest taka jakaś apatyczna, obojętna, nieprzyjemna, że zaczynam wątpić, czy ona rzeczywiście mnie kocha. Dziś była rozkoszną; nie widziała nikogo, tylko mnie, bo nawet na-

przód podała mi filiżankę kawy, z ogromnym żółciutkim kożuszkiem.

— Julciu, — odzywa się matka — ale ja i ojciec nie dostaliśmy jeszcze kawy...

— Przepraszam mamusię, zaraz daję, bo pan Adolf lubi gorącą.

— I ja też lubię gorącą... jaka ty jesteś roztrzepana.

Po kawie zostaliśmy sami w jadalnym pokoju, — pomagałem jéj do sprzątnięcia nakrycia.

— Panie Adolfie—mówi, patrząc mi błagalnie w oczy — pan się zapisze do Towarzystwa gimnastycznego.

— Pani sobie życzy?

— Koniecznie.

— Dobrze, jutro po obiedzie idę do lekarza po świadectwo, czy mogę bez szkody zdrowia oddać się gimnastyce, bo tego statut wymaga.

— Dziękuję panu — odrzekła — takbym chciała widziéć pana zdrowym i w dobrym humorze. Nie uwierzy pan, jak ja się martwię, widząc twarz jego zachmurzoną, bo zaraz myślę sobie, że to z mojéj przyczyny. Wszak dawniéj byłeś pan taki wesoły...

— Więc pani sądzi, że gimnastyka temu zaradzi?

— Naturalnie. Jak pan będziesz zdrów, nie będziesz tak drażliwy i gniewający się o lada drobnostkę; będziesz mi więcéj wierzył, że ja jeżeli czasem coś powiem, lub zrobię — to nie z zamiarem sprawienia panu przykrości. Pan jesteś dla mnie... ej, co ja będę panu ciągle jedno i toż samo powtarzała.

Kompletnie zostałem rozbrojony: gdzież tu było myśléć o zamiarze zrywania. Waryat jestem, aby się tak przyczepić do jakiéjś drobnostki, jak wczoraj naprzykład i tyle się namartwić, nocy nie przespać... a, brzydko, panie Adolfie. Kiedyż ty, niepoprawny kapryśniku—gromiłem siebie — pozbędziesz się niedorzecznych dąsów. Czyż nie widzisz, nie czujesz, że dziewczyna ta kocha cię, choć czasem się podroży—zwyczajnie, jak kobiéta... Przyznaj sam, że często jesteś zanadto wymagającym i natarczywym; naprzykład to pocałowanie w łokieć, czy nie było trywialném... a dziwisz się potém, że ona ma kaprysy.

Nazajutrz poszedłem na obiad do państwa Sumickich, Julcia była w tém samém co wczoraj usposobieniu i kładła mi bez miary knedle ze śliwkami na talérz, wiedząc, jak je lubię. Jadłem i całowałem w rączkę i znowu jadłem bez pamięci.

Po obiedzie poszedłem do znajomego mi trochę lekarza, prosząc o świadectwo do gimnastyki.

— No, zawsze muszę pana zrewidować — mówił, przyglądając mi się bacznie.

— Na co, ja jestem zdrów, jak ryba.

— Bicia serca pan nie doświadczasz?

— Nie.

— A nie miewasz pan gorączki wieczorem.

— Nie uważałem. Czasem w nocy czuję palenie ciała, ale to tak sobie.

— Pocisz się pan?

— Pocę, nawet dziś w nocy spociłem się jak mysz.

— Proszę się tu położyć na sofie, niech pan się rozepnie.

Leżę wyciągnięty, a mój eskulup z całą powagą zaczyna mnie opukiwać, obsłuchiwać i wygniatać.

— Mów pan: A.

— A.

— Jeszcze raz.

— A, a, a...

— Teraz, proszę odetchnąć głęboko... jeszcze raz, jeszcze raz... A tu pana boli?—pyta, gniotąc mnie w okolicy żołądka. Trochę boli, jak pan doktór ciśnie. A tu boli? -- pyta, znów gniotąc wątrobę — także boli—a tu na lewo czy boli? Nie.

Myślałem, że to koniec, ale on jeszcze mnie słucha koło serca, koło płuc i nic nie mówi. Wstałem, on chodzi zamyślony, czoło marszczy i trze ręką, nareszcie zatrzymuje się przedemną:

— Pan nie możesz się gimnastykować.

— Dlaczego?—pytam zdziwiony.

— Stan zdrowia pańskiego na to nie pozwala.

— Więc cóż mi jest? Panie doktorze, ja czuję się zdrów zupełnie.

Uśmiechnął się litościwie i mówi wolno:

— Oddychanie nieprawidłowe, bicie serca niespokojne — płuca... oj, te płuca, powiem panu nie dobrze... szczególnie to lewe w górnéj części.

W pierwszéj chwili roześmiałem się i ucieszyłem, że mam pretekst niewpisywania się do Towarzystwa gimnastyznego, ale za chwilę coś jakby strach mnie ogarnął. Trzeba pójść do innego lekarza.

— Więc pan mi nie da świadectwa?

— Jeżeli pan chce, mogę dać, ale napiszę prawdę.

— Niech pan napisze, będzie mi ono służyć za usprawiedliwienie

dla tych, którzy mnie gwałtem namawiają do gimnastyki, do czego, przyznam się panu, żadnéj nie mam chęci.

Siadł, namyślał się długo i nabazgrał kilka wierszy, naszpikowanych łacińskiemi słowami, z których nie mogłem zrozumiéć, co mi właściwie jest.

— Niech go tam Bóg kocha—myślę sobie i choć nie wielką mam wiarę w doktorów, ale swoją drogą przecież o tyle się powinien znać, żeby sprawdzić, czy mam całe, czy dziurawe płuca. Może i mam; słyszałem bowiem nieraz, że choroba już dobrze się zagospodaruje w człowieku, a on nic nie wié; zresztą... te poty...

Zacząłem się troszkę bać; argumenta za i przeciw w moim umyśle zmieniały się co chwila, ogarnął mnie dziwny niepokój i gwałtowne pragnienie przekonania, czy rzeczywiście omylił się lekarz, lub nie.

Prezesem Towarzystwa jest także doktór, mój bliski znajomy i używający wziętości, a choć nie zajmuje się chorobami wewnętrznemi, to zawsze ocenić potrafi stan mojego zdrowia.

Wieczorem zwykle bywa w sali gimnastycznéj, biegnę więc tam i nie zastaję. Ale jest ojciec mojéj narzeczonéj, więc powiadam, jak rzecz stoi i pokazuję świadectwo.

Stary zrobił bardzo poważną minę, czytał, czytał, ale tak samo nic nie rozumiał.

— Mnie się zdaje, że to nie prawda; jednak uważasz, panie Adolfie, te dreszcze i palenie ciała i poty, o których opowiadałeś wczoraj, wydają mi się podejrzane.

— Mówił pan przecie, że to nerwowe...

— Pfi... bywają i nienerwowe... trzeba się, kochany panie, leczyć, chociaż gimnastyka powinna tu pomódz. Wzmocniwszy całość organizmu, tém samém wzmocnią się i płuca...

Późno już było, gdzie tu szukać innego lekarza, więc wracam do siebie, coraz bardziéj zaniepokojony. Niech tam się chwalą inni ze swéj odwagi wobec śmierci, niech poeci przedstawiają bohatérów umierających, z brawurą lub ewangelicznym spokojem, ja utrzymuję, że przywiązanie do życia jest wyższém nad wszelkie sztuczne podniecenia czy honoru, czy ambicyi, czy wstydu. Giną ludzie na wojnie, bo muszą i bo się zacietrzewią; inni odbierają sobie życie dobrowolnie, ma się rozumiéć w przystępie obłędu, ale człowiek młody, czujący się dotąd zdrowym i mający przed sobą takie bogactwo rozkoszy do wyczerpania, niepodobna, aby bez strachu i goryczy pomyślał, że jest skazany na śmierć i zginąć musi.

Z początku, gdym myślał o tém, opanowała mnie pewnego ro-

dzaju apatyczna rezygnacya. Ha, kiedy tak przeznaczone, to niech będzie; żeby tylko nie chorować długo i nie męczyć się, jestem bowiem drażliwy okropnie na wszelki ból fizyczny.

Choć niby to zrezygnowany, nie mogłem na jedną chwilę zasnąć i znowu poczułem toż samo palenie ciała, też same dreszcze i poty, jak nocy onegdajszéj. Nie mam termometru, ale liczyłem kilka razy uderzenia pulsu—było ich 96 na minutę, — może ma i racyę. Potém przyszła mi na myśl Julcia, ta wymarzona, figlarna, sercem ukochana dziewczyna, którą przyjdzie mi stracić. Brzydko i nieuczciwie byłoby los mój zdeklarowanego suchotnika wiązać z tak miłą, pełną życia i młodości osóbką. Nie, to być nie może, zwolnię ją z danego słowa, choć wiem, ile ją to kosztować będzie. Wiem, że poniosłaby dla mnie ofiarę z siebie, lecz czyż ja mógłbym korzystać z jéj miłości i dobroci serca,—byłoby to niegodziwém. Nazajutrz jeszcze na godzinę przed czasem do ordynacyi przeznaczonym, byłem u prezesa Towarzystwa. Siedzę w pokoju do przyjęcia, niecierpliwię się, na zégarek spoglądam, a każda minuta wydaje mi się godziną, godzina — wiekiem. Nareszcie jest mój doktór i ja z gorączkowym niepokojem opowiadam mu, co zaszło, i podaję pismo.

Pokiwał głową czytając, spojrzał na mnie raz i drugi, i powiada:

— Wprawdzie, nie zajmuję się chorobami piersiowemi, ale zdaje mi się, że kolega się pomylił, proszę, połóż się pan na sofie.

Opukał mnie, osłuchał i z przodu i na plecach raz, drugi, trzeci...

— Nie, kochany panie, pan masz płuca kompletnie zdrowe, serce także w porządku, jest małe powiększenie wątroby, ale to z przyczyn żołądkowych.

Odżyłem.

— Jednakże, niech pan na moje zdanie bezwarunkowo nie rachuje, nie jestem specyalistą w tych chorobach, z wprawy wyszedłem; ale idź pan raz jeszcze do kolegi, dam bilet do niego, niech on powtórnie pana zbada.

Lekarz mój pierwszy ordynuje po południu od 3-éj do 5-éj, więc aby pocieszyć Sumickiego i Julcię, która, jestem przekonany, desperuje od wczoraj, biegnę do nich, aby uspokoić.

Przywitali mnie wszystko troje przedłużonemi do nieskończoności fizyognomiami, a nosek panny Julii, jak wspominałem już trochę z natury za długi, teraz wyciągnął się w dwójnasób tak, że cała twarz przypominała mi trochę owcę. Czerwonych powiek od płaczu wcale

nie było, tylko niezmiernie smutne, przeciągłe spojrzenie, jak u wdów idących za pogrzebem mężów.

— Byłem u prezesa Towarzystwa, zrewidował mnie i powiada, że ani śladu żadnéj choroby piersiowéj — mówię wesoło, całując rączki mamy i córki.

— On nie specyalista — dorzuca obojętnie ojciec — wartoby się jeszcze kogoś trzeciego poradzić.

— Kazał mi też pójść jeszcze raz do pana Leskiego i dał mi do niego kartkę. Niech pani rozchmurzy swoje oblicze—mówię do panny,—niech pani się nie martwi.

— Zawsze tam coś musi być—dorzuca mama z urzędową miną— i może byłoby najlepiéj, aby dla zabezpieczenia się na przyszłość pojechał pan na zimę do Meranu, lub do Włoch...

— Jak mi każą, mogę to zrobić, jednak pewny jestem, że nie będzie potrzeby...

— A z rodziny pańskiéj nikt nie chorował na suchoty? — bada Sumicki—bo to może być dziedziczne.

— I suchoty są bardzo a bardzo zaraźliwe, czytałam niedawno, że lekarze zakazują chorym, aby nie całowali zdrowych osób...—przy czém spojrzała od niechcenia na Julcię.

Nie rozumiałem podówczas tego, dopiéro późniéj przypomniałem sobie wszystkie szczegóły owéj rozmowy, teraz zaś pod wrażeniem pomyślnéj opinii prezesa miałem kapitalny humor i rozpływałem się nad dobrocią i współczuciem całéj rodziny, którą osoba moja tak interesowała. Zostałem znowu na obiad, panna Julia rozweseliła się nieco, ale zawsze pozostawiła sobie w rezerwie trochę melancholijnego smutku, żeby mi dać poznać, iż obawa o moje zdrowie nie może tak prędko przeminąć. Do głębi duszy wzruszyła mnie ta delikatność uczuć panny Julii, dlatego też starałem się dobrym humorem i dobrym apetytem na historyczne w tym domu knedle ożywiać całe towarzystwo i rozproszyć resztki przykrych wrażeń, jakie się z mojéj przyczyny do poczciwego jéj serduszka wcisnęły.

Po obiedzie idę znów do mojego Annasza, sprawa bowiem przybierała charakter przysłowiowego odsyłania mnie od jednego do drugiego lekarza. Przeczytał pismo Kaifasza i uczuł się mocno obrażonym tak na mnie, że śmiałem się radzić jeszcze kogo innego, jak i na tamtego, że śmiał wątpić o jego dyagnozie.

— Cóż on głupca ze mnie robi, czy co! — zawołał, rzucając list na biurko.—Nowicyuszem przecie nie jestem i wiem, co mówię. Proszę, niech pan się ułoży.

Wyrażenie to rozśmieszyło mnie, przypomniał mi się bowiem

ś. p. Szauman, profesor ze szkoły pińczowskiéj, który, wykonywując krwawe wyroki dyrektora wobec pachołków stojących z rózgami, mówił liktorskim głosem do delikwenta: „ułóż się waćpan bez trzymania“. Sytuacya obecna wydała mi się podobna, więc zaczynam się wahać i sumitować, że tyle sprawiam subiekcyi szanownemu eskulapowi, że to i to...

— O, bardzo proszę—mówi podrażniony—teraz idzie już o moję godność lekarską.

Słuchał, pukał, przewracał mnie i gniótł tak, iż myślałem, że ducha wyzionę, nic dziwnego, chodziło o ambicyę lekarską.

— Jest tak, jak powiedziałem! — zawyrokował z tryumfem. — Lewe płuco w górnéj części zaatakowane i powinieneś pan jak najprędzéj wyjechać do cieplejszego klimatu. Proszę, poczekaj pan chwilkę odpiszę doktorowi. Jakoż siadł i skrzypiał piórem i skrzypiał, z czego wniosłem, że list do Kaifasza nie będzie zbyt uprzejmy.

— Albo ja jestem osioł, albo on idyota!—krzyknął, czerwieniąc się z gniewu mój przyjaciel lekarz z Towarzystwa—gdym mu nazajutrz oddał depeszę kolegi.

— Proszę, niech pan będzie łaskaw się rozebraé!

Straszna rzecz—pomyślałem—a toż ci ludzie dla ambicyi zamęczą i pozbawią połowy guzików z ubrania, ale cóż miałem robić.

— Panie! Jeżeli u pana są najmniejsze ślady choroby piersiowéj, to ja mój dyplom doktorski podrę na kawałki i przestanę praktykować. Wié pan co? Tu już nie idzie o mój lub jego honor, ale o honor medycyny, dlatego proszę idź pan jeszcze raz do niego, aby jutro był łaskaw pofatygować się tutaj do mnie. Zaproszę doktora W., najlepszego u nas dyagnostę i zrobimy we trzech konsylium.

Znowu duch we mnie wstąpił, wierzyłem bowiem w zdolność mojego przyjaciela, témbardziéj że czułem się kompletnie zdrowym. Uwiadomiłem pierwszego lekarza, przystał bardzo chętnie na naradę i pierwszą dopiéro noc spałem zupełnie dobrze i spokojnie.

Nazajutrz, jak zwykle, o 9-éj zrana przechodziłem koło domu rodziców panny Julii. Spojrzałem w okno—nie ma mojéj ukochanéj. Zawróciłem jeszcze raz i drugi koło kamienicy — nie ma; firanka ani drgnęła i opanował mnie wielki niepokój. Pewnie zachorowało biédactwo ze zmartwienia pomyślałem i zamierzalem wejść na piętro, aby się coś dowiedzieć, gdy spostrzegłem wychodzącą z bramy kucharkę państwa Sumickich z koszykiem do miasta.

— Moja Katarzyno, — mówię zastraszony — co się tam u was dzieje, czy kto nie chory?

— Nie, proszę pana, tylko wszyscy jeszcze śpią.

— Śpią... o dziewiątéj!?

-- Abo wrócili nad ranem z balu z kasyna.

— Co? na balu byli! Nie słyszałem wcale, że się wybierają.

-- Ej, to się zrobiło niespodzianie! Po obiedzie przyjechał jeden znajomy pan, czy tam krewny daleki z prowincyi i uradzili, żeby iść razem na bal do kasyna na Św. Katarzynę. Starszy pan nie miał chęci, ale panienka i pani koniecznie, no i poszli i podobno bawili się bardzo dobrze.

— A któż to jest ten pan, nie wié Katarzyna?

Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się litośnie i obejrzawszy na wszystkie strony, czy kto nie słyszy, szepnęła mi do ucha:

— To, proszę pana, jest notereusz z Klusowa, czy Susowa, bo nie pamiętam jak się to miasto nazywa, dawny kawaler panienki. Mnie on się nie podoba, choć ma takie duże wąsy, ale oczy takie, jakby u umarłego człowieka. On, jak tu jeszcze mieszkał i był w terminie u notereusza, to chciał się z panienką żenić, ale starszy pan się upierał, że nie ma żadnéj zasady. Teraz podobno dobrze mu się powodzi i widać przypomnieli się sobie z panienką, chociaż za pana ma iść. Widzi pan, jak się to teraz u państwa dzieje -- zakończyła, wzdychając. Gdyby tak która z naszego stanu zrobiła, byłoby gadania tyle, że jest taka, że owaka, ale u państwa to uchodzi... Ale przepraszam téż pana—mówi daléj—czy to prawda, że pan jest bardzo chory? Mnie się to jakoś nie widzi, ale wczoraj pani wysłała pana starszego do doktora, co pana kuruje, aby się zapytać, a on miał powiedziéć, że z pana nic nie będzie i że ta choroba z pana może się przenieść na dzieci, jakbyście państwo mieli. Radzili téż ciągle o tém i radzili... Tylko téż niech pan nikomu a nikomu nie mówi, że ja wydałam te sekrety, bo miałabym za swoje.

Słuchając kucharki przez te kilka chwil, zdawało mi się, że mnie ktoś raz po razu oblewa to zimną, to gorącą wodą, a przytém wali obuchem po głowie. Bezprzytomny i odurzony już nie poszedłem do biura, tylko wprost do domu, siadłem i napisałem taki list:

Wielmożny Panie Dobrodzieju!

Człowiek, stojący jedną nogą w grobie, nie może zawiązywać losu osobie zdrowéj, pełnéj życia i łaknącéj zabaw, jaką jest panna Julia. Dlatego zwracam pierścionek zaręczynowy z gorącą prośbą o przebaczenie za sprawiony zawód. Panna Julia godną jest tego, aby zaznała zdrowszego szczęścia, co przy jéj wrażliwości uczuć z łatwością przyjdzie osiągnąć.

Pozostaję, etc. *Adolf.*

W odpowiedzi otrzymałem w kopercie opieczętowany mój pierścionek i nic więcéj.

Konsylium odbyło się o naznaczonéj godzinie i pokazało się, że zdrowszego człowieka wszyscy trzéj lekarze dawno nie widzieli. Trzeba było jednak razem z uratowaniem mojego, uratować honor medycyny i pierwszego lekarza. Otóż doktór X. jak mnie zaczął szczegółowo badać, w jakim stanie i kiedy przychodziłem na naradę, co jadłem i co piłem przedtém na obiad, — pokazało się, że temu wszystkiemu winny byli knedle ze śliwkami, a następnie ja sam, żem pana konsyliarza o téj okoliczności nie uprzedził. Nauka stąd taka, żeby po poradę lekarską chodzić zawsze przed obiadem, co się szczególniéj zaleca narzeczonym.

Upłynęło pięć lat od tego czasu. Ożeniłem się, mam śliczną i dobrą i kochającą mnie żonę, oraz dwoje aniołków, Wandzię i Niusię, a panna Julia dotąd jest panną Julią, bawi się, do kasyna chodzi na wieczorki i leczy nie na płuca, ale na zbytnią elastyczność serca.

Lwów, w listopadzie 1891 r.

A. Wilczyński.





WŁASNOŚĆ ZIEMSKA W ANGLII.

Po wiele kroć powiedzianém już i udowodnioném zostało, że kwestya własności gruntowéj jest probierzem rozwoju społecznego. Klasy niższe, zarobkujące, z własności ziemskiéj wykluczone, rwały się zawsze do niéj i widziały w niéj jednoznacznik swéj emancypacyi ekonomicznéj Wytworzenie małéj własności ziemskiéj, uwłaszczenie włościan przedsięwzięte téż zostało we wszystkich krajach Europy i dało ostateczną sankcyę i niezwalczoną podstawę demokratycznemu ustrojowi społeczeństw.

Stało się to we wszystkich krajach cywilizowanego świata z wyjątkiem jednego — Wielkiéj Brytanii. Oligarchiczny organizm państwowy stał tam na tak silnéj podwalinie, iż dotąd częściowo tylko udało się wyłamać w niéj szczerbę i otworzyć koryto dla masy narodowéj. Klasy uprzywilejowane, zdając sobie z tego sprawę, że zachowanie w swém wyłączném posiadaniu wielkich latifundiów, potrafi zabezpieczać im całość ich politycznych i społecznych przywilejów, dokładały wszelkich starań, aby się przy własności gruntowéj, jaknajwiększéj, utrzymać. Usiłowania te dotąd wieńczone były pomyślnym skutkiem i można powiedzieć, że obecnie, u schyłku XIX stulecia, nie ma w trzech zjednoczonych królestwach, stanowiących Wielką Brytanię, drobnéj własności ziemskiéj, są zaś tylko wielcy właściciele z jednéj strony, a z drugiéj ich czynszownicy z grupującym się około tych ostatnich proletaryatem wiejskim.

Ale i w téj ostatniéj fortecy feudalizmu widać już oznaki, że się chwila kapitulacyi zbliża. Agitacya o wytworzenie drobnéj własności ograniczała się czas jakiś do Irlandyi i w téj formie połowicznéj, tranzakcyjnéj, jaka jest charakterystyczném znamieniem reform prawodawstwa brytańskiego, zdobyła już sobie kilka ważnych posterun-

ków. Obecnie przeniosła się do Anglii i widzimy, że stronnictwo whigów postawiło śmiało emancypacyę ekonomiczną i prawną masy wiejskiéj na swym programacie wyborczym. Sama zapowiedź tego zamiaru wywołała ze strony stronnictwa torysów, znajdującego się obecnie u władzy oświadczenie gotowości do rozmaitych także i z jego strony ustępstw i reform w tymże kierunku. Nie ulega tedy najmniéjszéj wątpliwości, że znajduje się społeczeństwo angielskie w przededniu potężnego ruchu agrarnego. W historyi cywilizacyi europejskiéj otwiéra się nowy i nadzwyczajnie interesujący rozdział.

Zadaniem poniższéj pracy jest poznajomić czytelnika z całością téj sprawy, przedstawić warunki, w jakich się znajduje własność gruntowa angielska, stadya, przez jakie przeszła, reformy, jakie już przedsięwzięte zostały i te, które się przygotowują. Postaramy się o jaknajwiększą zwięzłość, ale z góry zdajemy sobie sprawę, że ogrom przedmiotu rozsadzi ramy, w których zawartym być powinien.

I.

Ośm wieków minęło od owéj epoki, gdy Wilhelm Zdobywca zawładnąwszy Anglią, rozdał jéj ziemię pomiędzy swych baronów, rycerzy i towarzyszy. Od ośmiu wieków spadkobiercy ich w prostéj lub bocznéj linii, z małemi zmianami i wyjątkami, utrzymali się przy nadanych sobie ziemiach. Stało się to dzięki prawu starszeństwa, spadkobierstwu ograniczonemu do najstarszego syna, niepodzielności własności gruntowéj, dzięki substytucyom (*entail*) podstawiającym jednych właścicieli za drugich i umowom, jakie istniały pomiędzy członkami rodziny (*settlement*). Następstwem takiéj organizacyi własności gruntowéj było, że skupiała się w coraz mniejszéj liczbie rodzin, i że posiadacze wypuszczali w dzierżawę wszystkie grunta, których nie chcieli lub nie mogli uprawiać sami, czynszownikom na krótki, zazwyczaj jednoroczny termin. Naprzeciwko owych niezmiennych właścicieli ziemskich znajdowała się tedy zawsze liczna klasa czynszowników — f a r m e r ó w, którzy nie byli zabezpieczeni co do trwałości swych dzierżaw; oni znowu ze swéj strony najmowali tygodniowo albo dziennie wyrobników wiejskich, którzy żadnego udziału w zyskach, najmniejszego prawa do uprawianego gruntu nie mieli.

Obok utytułowanéj arystokracyi posiadającéj wielkie własności dziedziczne i obok *gentry*, czyli wiejskiéj szlachty, noszącéj nazwę *squire*'ów, byli w dawniejszych czasach, jak się samo przez się rozumié, i inni właściciele ziemscy, drobniejsi, nazywali się oni *yeomen*. W XVII wieku było ich od 160 do 180 tysięcy i roczny dochód, jaki

otrzymywali przeciętnie ze swych folwarków, obliczony bywał od 60—70 funtów szt. Cyfra ta pozwala zrozumieć, że nie mogli oni rywalizować ze *squire*'ami i magnatami i stanowili rodzaj klientów, żyjących skromnie, ale niezależnie w promieniu wpływu i działalności patrycyatu ziemskiego. Gdyby w Anglii rzeczy poszły takim samym porządkiem, jak na stałym lądzie, ta drobna własność *yeomen*'ów, wzrastając liczebnie, byłaby neutralizowała wpływ wielkich niepodzielnych dóbr i doprowadziła, w przybliżony chociaż sposób, do harmonii. Ale stało się tam wprost przeciwnie. W całym ciągu XVIII wieku wielka własność wypowiada wojnę yeomenom i dąży do wyrugowania ich z ich folwarków. Arystokracya zdążając do rozszerzenia swéj potęgi państwowéj, pragnęła posiadać największą ilość głosów przy wyborach do parlamentn i sprawować wszystkie urzędy w hrabstwach. Potrzeba jéj było posiadać jaknajwiększe, najrozleglejsze dobra. Wykupywali tedy jedne po drugich folwarki yeomenów, płacąc im za nie nieraz sowicie, a w razie oporu prześladując ich wszystkiemi legalnemi środkami. Dzieje każdego hrabstwa angielskiego noszą ślady téj zaciętéj walki wielkiego pana z chudopachołkiem. Nie było środka, któregoby zaniedbano, aby celu dopiąć: zwalano mosty, wznoszono rogatki, zamykano targi, wyszukiwano pozory do procesów granicznych i t. p. Jedném z naskuteczniejszych narzędzi do pozbycia się yeomenów, było niedozwolenie im polowania, które stanowiło tradycyjną i najulubieńszą ich rozrywkę.

Nie udało się wprawdzie wielkim właścicielom zniweczyć do szczętu téj małéj własności, potrafili wszakże ją zmniejszyć i podkopać. Ogromne własności ziemskie rosły w rozmiarach, wzmagały się i ostatecznie nadały Wielkiéj Brytanii ten charakter oligarchiczny, jaki posiada. Różnica pomiędzy nią a wszystkimi innymi krajami nowoczesnemi jest jaskrawa. Kiedy w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj, z pomiędzy 7,200,000 głów rodziny, 2,600,000 jest właścicielami gruntów i uprawia role, gdy we Francyi, podług obliczeń Lavergne'a na 7,600,000 głów rodziny, jest aż 5,500,000 takich właścicieli, w Anglii zaledwie j e d n a głowa rodziny na 26, w Irlandyi j e d n a na 52, a w Szkocyi nawet j e d n a na 85 posiada własność ziemską.— 170,000 właścicieli ziemskich w Anglii i Walii, 20,000 w Irlandyi i 10,000 w Szkocyi, oto cyfry ogólne, do jakich się liczba ta sprowadzić daje.

Lecz cyfra ta, tak uogólniona nie jest w stanie rzucić wystarczającego światła na stan sprawy: należy wejść w szczegóły statystyczne. Daje je urzędowy wykaz, znany pod nazwą *New Domesday Book*. Został on ogłoszony w 1875 za rządów Gladston'a, wskutek

obietnicy, zrobionéj przezeń w parlamencie lordowi Derby, który nie chciał dać wiary cyfrom podanym w r. 1866, w słynnéj mowie Johna Bright'a. Trybun ludowy oznajmił wtedy, że połowa Anglii jest własnością 150, a cała Szkocya własnością 12 osób. Wykaz urzędowy nietylko dane te potwierdził, ale rzucił na nie przerażające światło. Te, do których przytoczenia się ograniczamy, wystarczą, ażeby dać wyobrażenie o stopniowéj krystalizacyi własności ziemskiéj w rękach potężnych rodzin.

Jest w Anglii 2,184 jednostek, z których żadna nie posiada mniéj jak 5,000 akrów. Razem posiadają ich 38,875,522 czyli 15,550,208 hektarów, to jest blisko o trzy miliony akrów więcéj aniżeli połowa kraju. Wśród téj gromady terytoryalnych potentatów są naturalnie jeszcze różne stopnie. Jest naprzód w pośród nich 421 posiadających przeciętnie po 21,700 akrów, czyli razem 9,182,302 hektary. I oni jednak dzielą się na kategorye.

W pierwszéj mieści się największy z posiadaczy gruntowych: książę Sutherland. Należy do niego 1,206,693 akrów czyli 482,676 hektarów.

Do drugiéj kategoryi należy siedmiu magnatów: książę Buccleugh mający 459,000 akrów, markiz Bredelbane 437,400 akrów, sir James Matheson 426,000 ak. Książę Richmond 256.400, książę Fife 257,000 ak.; p. A. Matheson 220,400 i hrabia Siefield 205,000 akrów.

W trzeciéj kategoryi, których posiadacze liczą od 200 do 150,000 akrów spotykamy książąt Athole, Devonshire, Northumberland, Argyll, razem jedenastu.

Do czwartéj kategoryi, pomiędzy 150 a 100,000 akrów, zalicza się 25 właścicieli, a między nimi księżna Sutherland, markiz Bute, książęta Portland, Claveland, Montrose, lord Lansdowne, i t. d.

Do piątéj nakoniec, liczącéj 47 wielkich posiadaczy własności od 100 do 60,000 akrów czyli od 40 do 24,000 hektarów, należą pomiędzy najbardziéj znanymi książę Bedford i p. Artur Balfour obecny *leader* izby gmin i pierwszy lord skarbu.

Razem zatém tych dziewięćdziesięciu wielkich właścicieli ziemskich posiada 11,756,200 akrów, to jest jedną siódmą część Wielkiéj Brytanii. Gdy się słyszy o monopolu własności gruntowéj, łatwo zrozumiéć, do kogo się stosuje i na jakich opiéra się podstawach.

Jakie dochody ta własność ziemska daje, przybliżenie tylko ocenić można. Wiadomem jest, że z 700 milionerów—naturalnie milionerów w funtach szterlingach—Wielka Brytania sama jedna posiada 200. W prawdzie są między tymi potentatami właściciele gruntów miejskich, jak np. owych dziesięciu, do których cały Londyn należy—książę Bed-

ford, ks. Norfolk, ks. Westminster, markiz Salisbury, markiz Cambden, hrabiowie Cadogan, Craven, Somers, lordowie Kensington i Portman;—są dalej pomiędzy nimi wielcy przemysłowcy i kupcy, ale przeważnie są to posiadacze ziemscy. Ponieważ skala dochodów i rat dzierżawnych, pobieranych od akra, jest bardzo rozległą i rozpoczynając się od 5 szylingów, dochodzi aż do 10 funtów szt., zatém zrozumiéć łatwo, dlaczego w przybliżeniu tylko i przeciętnie dochód z wielkiéj własności ziemskiéj obliczyć się pozwala. Jedni pisarze twierdzą, że członkowie utytułowanéj arystokracyi (*Peerage*) pobiérają rocznych czynszów 13,700,000 funtów; inni idą aż do 50 milionów f. szt. Jedna z największych powag w tym przedmiocie, James Caird, prezes towarzystwa tatystycznego, ocenia, że ogólny dochód roczny z uprawy roli daje Wielkiéj Brytanii 360 milionów funtów. Ponieważ znany jest stosunek jednych własności do drugich, nie można sumy 40 milionów funtów, jaka rocznie ma wpływać do kieszeni wielkich właścicieli z roli, uważać za przesadzoną.

Byłoby jednak zasadniczym błędem wnosić, że arystokracya angielska zdążała zawsze do zmonopolizowania w swych ręku własności gruntowéj i że dotąd przeważnie jeszcze przy téj tendencyi obstaje dla zysków i korzyści pieniężnych, jakie uprawa roli i jéj wydzierżawianie daje. Rzeczy stoją wręcz przeciwnie. Nie tylko, że wiele innych zawodów i zajęć daje większe i pewniejsze dochody, ale jest dobrze znanym faktem, iż własność gruntowa bardzo często kosztuje więcéj, niż daje, że często koszta równoważą się z dochodami, a że w najlepszych razach i latach dochód z własności ziemskiéj nie przenosi 2, 2½%. Ci, którzy żyją w zamkach i rezydencyach królewskiéj wspaniałości, otoczonych parkami, zajmującemi nieraz połowę hrabstwa mogą się tym stosunkowo małym dochodem zadawalniać dla tego że posiadają olbrzymie przestrzenie i że nawet stosunkowo mały z nich dochód stanowi jeszcze bajońskie sumy. Wogóle jednak własność ziemska jest uważana w Anglii w naszych czasach, za czysty przedmiot zbytku, za rozkosz, któréj sobie pozwalają ludzie skądinąd bogaci. Jeżeli tedy wyższe warstwy społeczeństwa angielskiego nietylko lgną do swych dziedzicznych własności ziemskich, ale dokładają wszelkich usiłowań o ich rozszerzenie, jeżeli znajdujemy się wobec ciągłego niweczenia drobnych posiadłości, małych folwarczków, a widzimy powiększające się do tego stopnia wielkie własności, iż w ciągu ostatnich 20 lat trzy miliony akrów dawniéj ornego i uprawianego gruntu przeszły na parki magnatów, to widocznie klasy te mają nadzieję dzięki wielkiéj posiadłości gruntowéj, utrzymać owe przywileje polityczne i społeczne, z których pierwsze dają władzę, a drugie głaszczą pychę

i miłość własną. Nie potrzeba zapewne dowodzić, że te ostatnie są potężnym czynnikiem i że lekceważyć ich nie wolno.

Co do przywilejów faktycznych, charakter ich jest uświęcony przez tradycyę. Właściciel dóbr ziemskich, *landlord*, trzyma w zależności od siebie wszystkich swych dzierżawców i czynszowników. A jest ich chmara na każdéj większéj posiadłości. Są lordowie, którzy mają fermerów na tysiące, bo folwarki są drobne. Wyżéj przytoczony James Caird powiada, że folwarki, liczące przecięciowo 168 akrów, stanowią 85% całego uprawianego gruntu, a 50-cio akrowe tylko 15%. Z drugiéj strony *New Domesday Book* wykazuje, że z 550,000 gospodarstw rolnych, 390,000 liczy zaledwie 50 akrów i mniéj. Jakiebykolwiek były te cyfry, jest niezaprzeczoném, że stanowisko pana gruntów, który, nienależy zapominać, w dziewięciu razach na dziesięć posiada prawo wyrzucania swego czynszownika co rok, jest wobec tego ostatniego, do tego stopnia górujące, że każdy z nich uważa się za istotę całkiem odmiennéj sfery. Landlord z tradycyi rodzinnéj i miejscowéj, należący do stronnictwa torysów lub whigów, miał prawo rachować na to aż do ostatnich czasów, że jego czynszownicy będą głosować przy wyborach za jego kandydatem. Prace, wykonywane w jego parkach, zwierzyńcach, ogrodach, cieplarniach, zamkach i pałacach, pozwalały mu oprócz téj stałéj osiadłéj ludności wiejskiéj utrzymywać oficyalistów, sług, robotników i najemników na setki, a często na tysiące. Jest on daléj kolatorem probostwa i ma prawo rozdawania probostw w swych dobrach położonych: proboszcz, wikaryusz i cały świat klerykalny miejscowy, znajduje się wskutek tego w materyalnéj od niego zależności. Jest daléj sędzią pokoju i, dzięki téj władzy, wszystkie sprawy, wnoszone przed miejscowy trybunał, są, a przynajmniéj mogą być zużytkowane dla ugruntowania jego wpływu i znaczenia. Wszystkie honorowe urzędy, szeryfa, łowczego, gubernatora hrabstwa, dowódzcy milicyi wojskowéj, dostają mu się naturalnie w udziale. Zazwyczaj jest on posiadaczem sfor psów, a często stadnin koni wyścigowych i przez urządzane polowania gromadzi około siebie wszystkie jednostki prowincyonalne, które z tych lub innych powodów uważają się, jako ukwalifikowane do zbliżenia się do niego. Nie trzeba nakoniec zapominać, że każda rodzina szlachecka w Angli przebywa większą część roku w swoich wiejskich posiadłościach, a w Londynie posiada jedynie *pied-à-terre* na dwa lub trzy miesiące, że spędza zawsze święta i uroczystości w swych dworach, że przyjmuje tam gościnnie uboższych sąsiadów, że każdy wielki pan zwykł dawać dla swych fermerów bale i zabawy, a można będzie zrozumieć, jak się to stało, że wskutek tylu współdziałających przyczyn,

położenie wielkiego posiadacza ziemskiego jest wyjątkowém, uprzywilejowaném i że będąc dla jednych przedmiotem dumy i zadowolenia, jest dla drugich przedmiotem zawiści i pożądanym a niedościgłym ideałem.

Do wszystkich wyżéj wymienionych korzyści, posiadanych przez właścicieli ziemskich, zapomnieliśmy jeszcze dodać jednę — fiskalną. Ponieważ tradycyjnie klasa ta rządziła i przewodniczyła w parlamencie, łatwo zrozumiéć, że starała ona zabezpieczyć dla siebie pewne przywileje, a zwalić na inne klasy społeczeństwa ciężary państwowe. Istotnie podatek gruntowy opiéra się w Anglii na innéj normie, aniżeli wszystkie inne. Zamiast być w stosunku 4 szylingów do 1 funta szterl., płaci on tylko 2 szylingi, jeden, a często nawet tylko 6 pensów od funta. Odbija się to naturalnie na skarbie państwowym. Gdyby własność gruntowa była opodatkowana ściśle, równomiernie, wpłynęłoby z niéj do skarbu 29,522,000 funtów szt., tymczasem wpływa tam suma dwadzieścia siedm razy mniejsza: 1,084,090. Szczegół taki wart był wzmianki.

II.

Jeżeli jest rzeczą oczywistą, iż wielki właściciel ziemski posiada pod względem politycznym, społecznym i pod względem materyalnym uprzywilejowane stanowisko w organizmie Wielkiéj Brytanii, jeżeli inne klasy narodu, znajdując się stosunkowo do niego w położeniu podrzędném, usiłują stanąć na tym samym, co on, poziomie, to nie należy jednak mniemać, aby samo posiadanie rozległych dóbr było jednoznacznikiem bogactwa i aby landlordowio *ipso facto* znajdowali się u źródeł Paktolu. Odwrotna strona medalu jest równie interesującą. Ażeby zdać sobie sprawę z powodów niezaprzeczonéj niepopularności, w jaką wielka własność ziemska popadła, ażyby ocenić, dlaczego ekonomiści czynią ją odpowiedzialną za zmniejszenie narodowego bogactwa, ażeby zrozumiéć praktyczne trudności, jakie każda reforma donioślejsza w téj dziedzinie napotyka, potrzeba będzie wejść w naturę prawną wielkiéj własności.

Jak wiadomo, rzymskie pojęcie własności — *jus utendi et abutendi* — jest całkiem obce prawu anglosaksońskiemu. Właściciel gruntu uważany jest przez prawodawstwo, a więcéj jeszcze przez prawo zwyczajowe, jako dożywotni, dziedziczny i wieczysty dzierżawca i nosi nazwę *life-tenant*. Z różnicy tego pojęcia wynikają naturalnie rozmaite ograniczenia służących mu praw i przywilejów i ogra-

niczają nawet nieraz do tego stopnia swobodę działania i rozporządzania ową rzekomą własnością, że nietylko wielu z wielkich posiadaczy dóbr ziemskich nie mogą być czynieni odpowiedzialnymi za szkody i straty, o jakie przyprawiają zasób narodowy, ale że zasługują nawet na nazwę męczenników społeczeństwa, która im nieraz nadaną została bez wywołania ironicznego śmiechu. Nie należy czynić prawa starszeństwa odpowiedzialném wyłącznie za ten stan rzeczy, gdyż gdyby starszy syn dziedziczył poprostu całość dóbr nieruchomych po ojcu, bez żadnych wyjątkowych zobowiązań i ciężarów, to posiadałby swobodę gospodarowania, rozdrabniania swéj własności, wydzierżawiania podług tego lub owego systematu etc. i słabe strony téj instytucyi mniéjby były rażące. Przyczyną najgłówniejszą ujemnéj organizacyi wielkiéj własności jest, że jéj właścicielowi służy prawo substytucyi i zawierania umów, które zobowiązują jego już urodzonych albo dopiéro urodzić się mogących spadkobierców, to się nazywa po angielsku *entail* i *settlement*.

Posiadacz wielkiéj własności ziemskiéj wchodzi zazwyczaj w jéj posiadanie, znajdując ją obciążoną długami hypotecznemi, i jest zobowiązany przez testament swego poprzednika płacić jednorazowe sumy albo roczne pensye wdowie swego ojca, oraz swym młodszym braciom i siostrom. Wynika z tego, iż dług jego wzrasta i potrzebuje on zaciągnąć nową pożyczkę. Ponieważ jednak nie może jéj zaciągnąć bez zgody i zezwolenia swego spadkobiercy, zatém zawiera z nim umowę, mocą któréj płaci mu pewną sumę roczną, dopóki ów spadkobierca nie stanie się prawnym właścicielem majątku, a w zamian otrzymuje od niego pozwolenie zaciągnięcia długu hypotecznego nowego. Nietylko, że nie może on sprzedać żadnéj części swego majątku ziemskiego bez zezwolenia swego spadkobiercy, ale nawet nie może podejmować żadnych wielkich, a kosztownych prac rolniczych, jak osuszania gruntów, albo irygacyi. Często nie wolno mu ciąć poręb w lasach, a nawet starych drzew w swym własnym parku. Nie wolno mu było zawierać umów i kontraktów z dzierżawcami i czynszownikami na termin dłuższy od roku, aby nie odejmować swemu synowi prawa podniesienia raty czynszowéj. Ten stan rzeczy pokazuje, że wielki właściciel ma ręce spętane i że zwykle nie jest władny robić ulepszenia agronomiczne, przyjść w pomoc swym czynszownikom. Uważając się tylko za dożywotniego administratora swoich dóbr, nie czuje on żywego interesu do radykalnych ulepszeń i ogranicza się, jak pasorzyt, do wyciągania jaknajwiększych korzyści z owego majątku, który jest do utrzymywania go przeznaczony. Ponieważ substytucye czynione bywają przez ojca nietylko na najstarszego syna, ale na

wnuka i prawnuka, całe pokolenia bez ich własnéj woli są wplecione do tego łańcucha i mimo najenergiczniejszych wysiłków, nie są w stanie z téj zależności się wyswobodzić. Gdy substytucye czynione są na małoletniego syna, albo wnuka i prawnuka, wtedy ustanowiona opieka — *trustees*, — która staje pomiędzy właścicielem, a jego własnością ziemską, jako nowa zapora do wszelkich zmian i reform.

Ten stan rzeczy był istotnie skandaliczny. Jeden sposób radykalny zapobieżenia mu, byłby w zniesieniu prawa starszeństwa, albo przynajmniéj w prawném ograniczeniu substytucyi do trzeciego, a nawet do następnego pokolenia. Ale, jak wiadomo, takie rewolucyjne przewroty w organizacyi prawnéj i społecznéj nie są do przewidywania w Anglii. Reformy są tam stopniowe, połowiczne, niepodobna jednak ich istnienia i ich następstw zaprzeczyć. Ograniczając się do tych, które zaprowadzone zostały za obecnie panującéj monarchini, należy wymienić przedewszystkiém prawo z r. 1856, noszące nazwę *Settled Estates Act.* Upoważnia ono dożywotnich posiadaczy wielkich własności do zawierania umów dzierżawnych ze swymi czynszownikami na termin 21 lat, ilekroć razy nie sprzeciwiają się temu wyraźnie dawniejsze substytucye i umowy między starszemi a młodszemi pokoleniami. Następnie, w r. 1864, przez prawo noszące nazwę *Improvement of Land Act,* udzielono właścicielom możność zaciągnięcia pożyczek na ulepszenia agronomiczne. W r. 1882-im, dzięki inicyatywie lorda Cairns, rozszerzono akt z 1856 r. i uzdolniono wielkiego właściciela do sprzedaży rozmaitych ruchomości, które uważane były jako części składowe wielkiéj własności z powodu, że się znajdowały po pałacach i zamkach. Do téj kategoryi należały biblioteki, galerye obrazów, srebra i kosztowności unieruchomione przez prawo zwyczajowe. Jeżeli przyczyniały się one do uświetnienia położenia towarzyskiego ich posiadaczy, to w wielu razach stanowiły ciężar finansowy ogromny, przez samą potrzebę utrzymywania takich zbiorów. Często jednak nie szło tylko o utrzymanie ich, ale i o rozszerzanie. Były umowy i zobowiązania rodzinne, zmuszające jedne pokolenia po drugich do zakupywania pewnych kosztowności, np. srebra, i często cytowano owego magnata, który nie wiedząc na jaki cel zużytkować miał srebro, które corocznie zakupywać był zobowiązany, zrobił z niego poręcze na schodach w swym zamku.

Gdy się weźmie na uwagę wszystkie te okoliczności, któreśmy tylko pobieżnie wymienić mogli, to się zrozumié, że pozycya wielkich właścicieli, chociaż uprzywilejowana i błyszcząca, nie jest tak potężną i tak nietykalną, jak to utrzymują ich przeciwnicy. Często jest

to ozłocone ubóstwo, a ci samowładcy pozorni skrępowani są w istocie prawami i umowami, z których wyswobodzić się nie mogą. Jeżeli są magnaci, co ciągle jeszcze kupują nowe posiadłości ziemskie i przyłączają je do swoich fideikomisów, to są inni, i w wielkiéj liczbie, którzy, widząc że dochody z ziemi zmniejszają się coraz bardziéj i że nie dają się porównać do tych, jakie dają inne zawodowe zajęcia, pragnęliby pozbyć się ciężaru, co ich gniecie i złorzeczą prawu, które czyni z nich niewolników i ofiary ich domniemanéj hegemonii. Ale takie indywidualne usposobienia nie wchodzą naturalnie w rachunek społeczny i nie potrafią przeważyć niepopularności, jaka cięży na wielkiéj własności, jako takiéj. Wszyscy ekonomiści, John Stuart Mill, Fawcett, Clive Leslie, Thornton potępili ją teoretycznie, a gdy się czyta w każdym statystycznym wykazie, że się wsie wyludniają, że ludność wiejska ciągnie do miast po zarobek, że opuszczone folwarki zostały zburzone przez właścicieli, zaorane i że weszły w skład parków magnatów, to niepopularność tych ostatnich wzrasta i znajduje wyraz nietylko w złorzeczeniach demagogów, ale i w rozumowaniach i wnioskach poważniejszych umysłów. W ciągu dziesięciolecia 1871—81-go 828,000 akrów gruntu uprawianego pod zboże, i 228,000 akrów, na których siane były rośliny pastewne, razem 1,056,000 akrów zmienione zostały w parki. W ten sposób dochód 8,000,000 funtów szt. zniknął i ekonomicznie kraj zubożał. Można tego rodzaju cyfry osłabiać przez komentarze, lecz zatrzéć ich całkowicie w przekonaniach masy niepodobna. Nie przekroczymy granic prawdy, utrzymując, że wszyscy demokraci, cały żywioł postępowy angielski widzi w wielkim właścicielu ziemskim nieprzyjaciela dobra społecznego i że przyklasnąć jest gotów każdemu środkowi prawodawczemu i każdéj okoliczności wypadkowéj, których następstwem jest podkopanie ich dotychczasowego stanowiska. Gdy w r. 1881-ym Gladstone zapowiedział, iż jest jego zamiarem przedłożyć parlamentowi szereg bilów umożliwiających sprzedaż własności ziemskiéj, pożyczek gruntowych i t. d., opinia całego stronnictwa liberalnego przyklasnęła temu programatowi. Gdy w r. 1887-ym lord Halsbury, będący lordem-kanclerzem, złożył na stole izby lordów bil, proponujący zniesienie prawa starszeństwa, zabraniający substytucyi i zamieniający położenie dożywotnich użytkowników na nieograniczonych właścicieli, opinia zdumiała się, że taki projekt rewolucyjny sformułowany został przez członka stronnictwa zachowawczego. Ale projekta umiarkowane i wykonalne Gladstona usunięte zostały z porządku dziennego, wraz z wielu innymi wskutek zmonopolizowania prac parlamentarnych przez sprawę irlandzką, a radykalny bil lorda Halsbury zdu-

szony został wśród niesprzyjającéj mu atmosfery izby lordów. Jeżeli obie te propozycye przebrzmiały bez echa, to chwilowo przyczyniły się tylko do większego jeszcze rozdraźnienia opinii, udowadniając jéj, jak niezmierny odstęp istnieje pomiędzy tém, co jest, a tém, co być powinno.

Jeżeli nie daje się zaprzeczyć, że stosunkowo mało zrobioném zostało bezpośrednio do pozbawienia wielkiéj własności ziemskiéj jéj feudalnego charakteru, to pośrednio nie jeden cios dotkliwy został nań skierowany. Pierwszy zadany jéj został przez postawienie obok potęgi majątkowéj wielkich landlordów innéj potęgi, nietylko równéj bogactwem, ale o wiele ją pod tym względem przewyższającéj. Stało się to w trzech pierwszych dziesiątkach naszego stulecia przez fantastyczny rozwój przemysłu i handlu, dzięki wynalazkom i zastosowaniu machin do wytwórczości. Olbrzymie fortuny, jakie się wytworzyły i jakie powstawały z każdym rokiem wytrąciły berło hegemonii z rąk arystokracyi ziemskiéj. W dziedzinie politycznéj zmuszona ona była abdykować na rzecz tych *homines novi*. Radykalny akt reformy 1832 r., upoważniający wielkie miasta przemysłowe do wyboru deputowanych i zmniejszający liczbę opustoszałych miasteczek, które były dotąd posłusznem narzędziem w ręku wielkich landlordów, był niepowetowaną klęską dla tych ostatnich. W następnych latach reforma ta dopełnioną została; w r. 1835-ym zniesiono korporacye, które sprzedawały po miasteczkach swe głosy wielkim panom, w r. 1838 prawo głosowania nie zostało już przywiązane do posiadania ziemi w r. 1858-ym i daléj w 1867-ym prawo to rozszerzone zostało do coraz szerszych warstw obywateli miejskich. Ostatni krok w tym samym kierunku w r. 1884, gdy udało się przeprowadzić Gladstonowi, wiadomo przy jak zaciętéj opozycyi izby lordów, ów słynny bil o *County franchise*, który naraz dodał 2,000,000 głosów wyborczych, dotąd z wszelkich praw publicznych wydziedziczonych. Robotnicy po miastach, czynszownicy po wsiach, i nawet wiejscy wyrobnicy zostali wyemancypowani. Potężna ta ewolucya nie wydała jeszcze dotychczas swych owoców, ale nie ma ani jednego umysłu, krytycznie, badającego stosunki angielskie, któryby nie był głęboko przekonany, że ta emancypacya proletaryatu nie da się pogodzić z ustrojem oligarchicznym społeczeństwa i że w niedalekiéj przyszłości zdruzgocze go całkowicie.

Ale nietylko przez takie zmiany prawodawcze stanowisko wielkiéj własności zostało naruszone. Wielka rewolucya ekonomiczna, jaka zaszła w r. 1846, gdy zatryumfowała swoboda handlu i gdy cło od zboża zostało zniesione, jest niezapomnianą dla niéj datą. Nie

zbrankrutowała wprawdzie cała klasa wielkich właścicieli, jak tém zagrażała i jak w to wierzyła naiwnie, zmiany wprowadzone do gospodarstwa rolnego zmniejszyły jéj straty i stopniowo nawet doprowadziły do zysków w innych kierunkach, ale mimo tego, nie da się zaprzeczyć, że ci wielcy wytwórcy zboża, którzy przy systemie ceł wchodowych, trzymali w swych ręku klucz od śpichlerza i śpiżarni, zostali pozbawieni nietylko swych bogactw, ale i *ultima ratio*, przez którą mogliby byli w danym razie swą wolę innym klasom społeczeństwa narzucić i nowe dla siebie wywalczyć przywileje. Jeżeli dzięki swobodnemu dowozowi, cena pszenicy jest obecnie o 17% niższą, aniżeli była przed stu laty, to nie ma wątpienia, iż naród angielski zyskał na téj zniżce, ale klasa wielkich właścicieli, jako taka, nie może powiedzieć tego samego.

Moglibyśmy jeszcze, wyliczając jedne po drugich środki, które zmniejszyły polityczną, społeczną i ekonomiczną rolę wielkiéj własności, wymienić rozmaite bile i ustawy, jakie postawiły sobie za cel polepszenie bytu czynszowników i utworzenie jaknajwiększéj ilości drobnych ziemskich własności. Do téj kategoryi należą: *Agricultur Holding act* z 1883 r., mocą którego właściciel zobowiązany został do powrócenia czynszownikowi nakładów, jakie tenże uczynił dla polepszenia wydajności gospodarstwa i z których skorzysta właściciel gruntu po wydaleniu czynszownika, zarówno jak rozmaite reformy podjęte dla szkockich crofterów i irlandzkich czynszowników. Co się tyczy całego szeregu bilów, mających na celu wytworzenie drobnéj własności, téj, którą w Anglii określają przez nazwę *allotment*, to nie możemy wkraczać tutaj w tę dziedzinę i ograniczymy się do tego zasadniczego spostrzeżenia, że znaczna już ilość tych drobnych własności, o których czytelnicy bliżéj się tą sprawą interesujący, znajdą wszystkie interesujące szczegóły w ważnem dziele hrabiego Onslow *Landlords & Allotments* (1886 r.), wytworzoną została nie z rozdrobnienia wielkiéj własności, znajdującéj się w rękach arystokracyi gruntowéj i wykluczonéj przez swój charakter martwéj ręki z obiegu handlowego, ale z téj części swobodnéj własności gruntowéj—*freehold*,—która, nie ulegając żadnym ograniczeniom apriorycznym, może swobodnie przechodzić z ręki do ręki.

Niepodobna nakoniec pomijać milczeniem ostatni ważny krok prawodawcy, przedsięwzięty przez znajdujący się obecnie u władzy gabinet lorda Salisbury, o utworzeniu rad wyborczych po hrabstwach—*county councels.* Jak czytelnicy wiedzą nadane one zostały już Anglii, Walii i Szkocyi, a zapowiedziane są dla Irlandyi. Rady te, powstałe z wyborów, posiadają w swych atrybucyach całą admi-

nistracyę prowincyonalną i samorząd jaknajszerszy. Wszystkie sprawy, które dotychczas rozstrzygali wielcy właściciele, grupujący się w hrabstwie około lorda-lieutenanta, przestały być zależnemi od nich i przeszły pod obrady ciała, powołanego do bytu przez wybór wszystkich klas i wszystkich mieszkańców hrabstwa. Wielcy właściciele, którzy w tych radach zasiadają, weszli tam nie z racyi swych przywilejów posiadaczy ziemi, ale dzięki głosom demokracyi, która ich ufnością jeszcze obdarzać nie przestała. Istniejące dopiéro od lat dwóch i trzech, rady te zapowiadają się jako instytucya, która podług lapidarnego orzeczenia jednego z przywódców zachowawczego stronnictwa jest całunem, w którym pogrzebana będzie za życia arystokracya krajowa.

III.

Biorąc na uwagę straty ekonomiczne i zmniejszenie materyalnych korzyści z jednéj strony, a z drugiéj wyzucie z politycznych przywilejów, trzeba przyznać, że położenie wielkich właścicieli ziemskich przestało być obecnie tém, czém było dawniéj, i nie trudno przewidziéć, że przeciwnicy ich tém natarczywiéj będą napadać na prawa, które im służą jeszcze, że nie mogą już przewidywać zaciętego oporu. Ale nawet dla tych, którzy byli przygotowani na rozpoczęcie kampanii przeciwko wielkiéj własności, wypadki ostatnich kilku miesięcy zaszły niespodziewanie i idą daleko pośpieszniéj, niż się to zdawało możliwém. Pozostaje nam dać ich sumaryczny przegląd.

Gdy sprawa jaka jest dojrzała, drobna okoliczność wystarcza do przyśpieszenia wybuchu. Zaszło ich kilka w ostatnich czasach, które przyczyniły się do rozdrażnienia opinii przeciwko klasie wielkich właścieli. Wystarczy tu wymienić dwa wypadki, które narzuciły się uwadze publicznéj. Bohatérem pierwszego jest książę Marlborough. Dopuścił się on najrozmaitszych nadużyć na ubogich mieszkańcach swych włości. Grunta wspólne, należące do gminy, tak zwany *common*, służący jako pastwisko ogólne i jako plac, na którym odbywają się gry i zebrania wiejskie, zostały skonfiskowane przezeń i ofiarowane, po rozdrobnieniu, jako grunt dla czynszowników. Inne nadużycie, którego sobie pozwolił, było wypędzenie tych czynszowników, którzy zamiast uczęszczać do parafialnego kościoła anglikańskiego przekładali kaplice sekt, albo zbory po domach prywatnych. Taki objaw nietolerancyi religijnéj okazany przez człowieka, którego wybryki niemoralności osobistéj były kilkakrotnie napiętnowane przez wyroki trybunałów, oburzył opinię. Wprawdzie nie wszyscy

magnaci postępują sobie, jak ów książę Marlborough, ale ogół, tutaj jak zwykle, karze niewinnych za przewinienia winnych.

Drugi wypadek uwidocznił opiekę, jaką władze państwowe dają unieruchomieniu wielkich własności w ręku arystokratycznych rodzin, nawet gdy się to sprzeciwia ich woli i najdotykalniejszemu interesowi społeczności. Markiz Ailesbury, młodzieniec 28-letni, od czasu jak doszedł do pełnoletności, stracił olbrzymie sumy, zabrnął w długi u lichwiarzy, i chcąc chociaż częściowo swoje interesa poprawić, wszedł w umowę co do sprzedaży jednych ze swych dóbr Severnake, liczących 40,000 akrów i podzielonych na 90 folwarków. Ponieważ nie jest on w stanie robić żadnych nakładów w tych dobrach, gospodarstwo tam upada i byłoby istném dobrodziejstwem dla hrabstwa, ażeby one przeszły w ręce innego posiadacza, lorda Iveagh, który ofiarował się zakupić je za 750,000 funt. szt. i otworzyć nową sferę działania téj filatropijnéj ofiarności, któréj już dał wiele dowodów. Nie mogło być najmniejszéj wątpliwości, że pomiędym młodym utracyuszem, słynnym ze swych wybryków, potępionym przez sąd honorowy Jockey-Clubu, a filantropem-milionerem interes powszechny wahać się nie mógł. Markiz Ailesbury do sprzedaży dóbr potrzebował upoważnienia swoich *trustees* i wszyscy, prócz jednego, zgodzili się na nią. Wskutek téj opozycyi sprawa wytoczona została przed trybunał. Sędzia Stirling zabronił sprzedaży, a przyznając, że obecny markiz jest zakałą arystokracyi i że dobra ziemskie w jego ręku przyprawią o materyalną ruinę zamieszkujących je włościan, nie uważał się jednak za uprawnionego do wyzucia przyszłych pokoleń rodziny Ailesbury z téj posiadłości, gdyż jest możliwém, iż w ręku jednego z jego następców będą się te dobra ziemskie w stanie podnieść i dodać blasku nowego świetnemu rodowi. Nie potrzeba zapewne tego rodzaju wyroku komentować. Ogół liberalnéj Angli przyjął go jako rękawicę, rzuconą przez stronnictwa zachowawcze, uprzywilejowane, dążeniom i aspiracyom do postępu [1]).

[1]) W ostatniéj chwili dowiaduję się, że sąd apelacyjny londyński na posiedzeniu 12 grudnia skasował wyrok sędziego Stirling i dozwolił sprzedaży dóbr Severnake. W motywach wyroku sąd apelacyjny oświadcza, że nie może sympatyzować z markizem Ailesbury, a biorąc na uwagę, że dobra te posiadają kilkaset folwarków, tysiąc domów wieśniaczych i że kilka tysięcy osób zostałoby zrujnowanych, w razie gdyby one nadal unieruchomione zostały w jego rękach, zatém w interesie tych ostatnich upoważnia do sprzedaży. Wyrok powyższy wywarł potężne wrażenie i jeżeli, jak wątpić nie można, posłuży jako precedens do innych tego rodzaju sporów, to wielka własność martwéj ręki otrzymała cios niespodziewany i dotkliwy.

Kiedy prasa i meetingi zajmowały się tego rodzaju wypadkami, wśród ciał ukonstytuowanych i przywódców stronnictwa liberalnego wyrobiło się przekonanie, że należy postawić kwestyę polepszenia bytu ludności wiejskiéj na pierwszym planie kampanii wyborczéj. Parlament rozwiązany będzie najpóźniéj w jesieni 1892 r. i od rezultatu nowych wyborów zależéć będzie, czy torysi utrzymają się i na nowy sześcioletni peryod u władzy, czy téż kraj oświadczy się po stronie whigów z Gladstonem u steru rządu. Ci ostatni zostali przy ostatnich ogólnych wyborach w mniejszości dlatego, że reformy polityczne i ekonomiczne, jakie Gladstone wówczas proponował dla Irlandyi, przestraszyły masę swemi rozmiarami. Wprawdzie cały szereg wyborów miejscowych, dodatkowych, okazał od lat pięciu, że sympatya narodowa powróciła do whigów i że ogół narodowy przestał lękać się reformatorskiego dzieła w Irlandyi, ale ażeby prąd narodowy na swoje koło sprowadzić, wypadało widocznie nie ograniczać się do owéj sprawy samorządu irlandzkiego, tém drażliwszéj, że już w przeszłości rozdzieliła stronnictwo liberalne na dwoje, i sformułować taki program, któryby odpowiedział istotnym potrzebom narodowym. Stronnictwo torysów pod przywództwem lorda Salisbury uczyniło już było wiele ustępstw w duchu demokratycznym dla pozyskania sobie sympatyi szerokich warstw narodu, jak np. organizacyę rad wyborczych po hrabstwach, o których uczyniliśmy już wzmiankę, reformy w bycie robotników fabrycznych, bezpłatność szkółek elementarnych i t. d. Lecz mimo gotowości do wielu ofiar, uznanych jako haracz wymagany przez nienasycony demos, torysi nie byli przygotowani aż do téj ostatniéj, do emancypacyi ludności wiejskiéj. Pochlebiali sobie, że uda się im utrzymać jeszcze *status quo* i że podminowana już dobrze budowla, nie zagrzebie ich jeszcze w swych zwaliskach. Inaczéj zdecydowali ich współzawodnicy i nie ulega już wątpliwości, że walka wyborcza w roku przyszłym ześrodkuje się około téj kwestyi, spychając wszystkie inne na dalsze plany.

Raz plan swój powziąwszy, stronnictwo liberalne energicznie wzięło się do dzieła. Najważniejszy jego organ w prasie, *Daily News*, rozpoczął kampanię. Wysłał zeszłego lata specyalnego sprawozdawcę w podróż objazdową po prowincyach, a jego listy, pod ogólnym tytułem „Życie po naszych wsiach“, pojawiały się w jego łamach. Listy te zalecały się tém bardziéj uwadze, że autor, zdawało się, nie miał żadnych aprioryczych teoryi, że nie formułował żadnéj syntezy, a ograniczał się do ścisłego, sumiennego opisu materyalnych warunków, w jakich żyją wieśniacy, ich żądań, ich duchowéj i umysłowéj atmosfery. Im się dłużéj ankieta owa ciągnęła, im więcéj drobnych

gromadziła spostrzeżeń tém większego nabierała znaczenia. Gdy się nakoniec listy te pojawiły zebrane w książce, rozchwytała je publiczność: światło co z nich biło, rozświeciło najciemniejsze zakątki sprawy. Ogół nabrał przekonania, że w owéj wolnéj Anglii, któréj instytucyami się szczyci, jest kilka milionów obywateli znajdujących się jeżeli nie w prawnéj, to w istotnéj zależności niewolniczéj od garstki uprzywilejowanych jednostek, że panuje tam materyalna nędza, że proletaryat wiejski jest jeszcze nieszczęśliwszy od miejskiego, że nietylko *squire* i pastor, ale nawet więksi dzierżawcy wyzyskują go i tłumią wszystkie jego popędy do pozyskania niezależnego stanowiska. Nie dziwota, że z téj atmosfery pognębiającéj robotnik wiejski emigruje do miast: każda zmiana, byle go wyrwała z otchłani w któréj gnije, zdaje mu się zbawczą.

Nie ma wątpienia, że w miarę jak się bliżéj rzecz poddawało badaniu, pokazywało się, że kwestya źle była dotąd postawiona, a raczéj, że nie przeniknięto do jéj jądra. Dotąd wojowano tylko przeciwko wielkiéj własności ziemskiéj. Choć nie ma ona orędowników, to reformę nie od niéj zacząć wypada. Za długo byłoby czekać na zgodę tych, co się w téj feodalnéj baszcie zamykają; lata miną, nim klasy uprzywilejowane społeczeństwa, przemagające w parlamencie, zgodzą się na abdykacyę. Trzeba z wszystkich dostępnych punktów uderzać na przeciwnika. Kwestya utworzenia drobnéj własności postawiona była przed kilku laty przez pp. Jessi Collings i Józefa Chamberlaina, pod popularném hasłem: „trzy akry gruntu i krowa!“ i chociaż ci dwaj przedstawiciele radykalizmu, obecnie pokumani z torysami, zdają się o agitacyi w tym kierunku zapominać, nie zapomniała o jéj celu ludność, która się około tego sztandaru zgromadziła. Żadna kwestya nie miała dla niéj większego niż ona znaczenia przy wyborach 1885 r. i nie można podawać w wątpliwość, że to samo stanie się i obecnie. Nalegać o utworzenie takich drobnych udziałków, wytwarzać je za pośrednictwem funduszów otrzymanych tytułem zaliczki przez skarb państwowy: oto jeden punkt programatu. Ale nie łudzi się dzisiaj nikt nadzieją, żeby tego rodzaju mała własność gruntowa rozwiązała zadanie. Doświadczenie innych krajów uczy, że tak rozdrobniona nie jest ona w stanie oddawać się postępowemu rolnictwu, i że nie podniesie sama przez się cywilizacyjnego poziomu. Potrzeba uczynić jeden krok daléj, a mianowicie wytwarzać w każdéj gminie stowarzyszenia drobnych właścicieli, stowarzyszenia do któregoby weszli także najemnicy i wyrobnicy osiadli. Stowarzyszenie posiadałoby możność najmowania albo

nawet kupna machin rolniczych, ulepszania gruntów wspólnym nakładem, wspólnéj dostawy produktów na targowisko sąsiednie. Problemat, choć skomplikowany, jest praktycznie do urzeczywistnienia podobny, tém bardziéj jeżeli organizacya stowarzyszenia powierzona będzie radzie gminnéj utworzyć się mającéj. Na te rady parafialne kładą przywódzcy ruchu nacisk wielki. Nie ma mowy o tém, ażeby każda z 14,000 parafii krajowych posiadała swoją odrębną radę, ale łatwo będzie ugrupować kilka sąsiednich w jeden organizm. Rady hrabstw z natury swych atrybucyi stoją po za sferą drobnych spraw wiejskich i nie można się spodziéwać, aby oddziałały na nie tak korzystnie, jak to uczynić potrafią te, w których skład wejdą najbliżéj w nich zainteresowani.

Oto tedy plan, który zakreśliło sobie stronnictwo liberalne: dokładać wszelkich usiłowań, aby uruchomić wielką własność ziemską i wyrwać ją z rąk, w których jest ześrodkowana i aby z nich albo przynajmniéj obok nich utworzyć jak największą ilość drobnych posiadłości. Te ostatnie pragną skupić w stowarzyszenia wytwórcze. W każdéj gminie chcą nakoniec posiadać radę wybieralną, która się ma zajmować wszystkiemi miejscowemi sprawami, administracyą, szkółkami, zakładami dobroczynnemi, czytelniami, komunikacyami, instytucyami zdrowotności, rozwinąć opiekę nad upośledzonemi warstwami, podnieść je, oświecić i nietylko materyalny lecz i duchowy ich horyzont rozszerzać. Ażeby celu tego dopiąć jaknajśpieszniéj, whigowie uznali za właściwe powołać do parlamentu jaknajwiększą liczbę ludzi specyalnie ze stanem ludności wiejskiéj obznajmionych. Rozpoczęli już tę kampanię i p. Lambert, farmer, którego wybór przez okrąg South Molton tak potężne wrażenie wywarł w listopadzie, jest już pierwszym deputowanym o jasno zakreślonym programacie emancypacyi ludności wiejskiéj.

Ale zadanie jest zbyt doniosłe, ażeby nie przedsięwziąć wszystkich środków do zapewnienia mu tryumfu. Już na zebraniu generalnego sztabu whigów, które się odbyło w Newcastle, zapowiedzianém zostało, że się odbędzie niebawem w Londynie zjazd deputatów ludności wiejskiéj. Przyszedł on do skutku pierwéj nawet aniżeli przypuszczano, bo w dniu 10 grudnia. Jest on uorganizowany przez federacyę narodową liberalną, to jest przez stowarzyszenie obejmujące w sobie wszystkie żywotne, postępowe siły społeczeństwa angielskiego. W zjeździe tym, którego przewodnictwo honorowe powierzono Gladstonowi, bierze udział 27 członków parlamentu i 76 deputatów wiejskich. Programat obrad i uchwał odpowiadający zupeł-

nie dezyderatom wyżéj wymienionym, stanie się, jak powiedziano słusznie, *magna charta* dla wielomilionowéj, dotąd upośledzonéj masy wiejskiéj.

Nie jest zamiarem naszym przepowiadać kolei przez jakie ruch ten emancypacyjny przejdzie, ani chwili w któréj zadania swego dopełni. Ale nie wątpimy bynajmniéj, że raz podniesiona kwestya ta, już nie zaśnie. Społeczeństwo angielskie wyjdzie z téj agitacyi odrodzone, o spotężniałych siłach, o większéj niż dotąd harmonii i zdawało się nam właściwém zwrócić na ten ważny przedmiot sympatyczną uwagę przyjaciół postępu.

Dr. M. E. Trepka.





TY KOCHASZ?

Ty kochasz? To romantyczność!
        Zgrzybiały sarka świat.
Ty wierzysz? Klaska publiczność!
        Ach, ile masz ty lat?

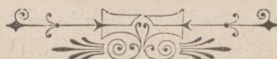
My wierzym w morze uciechy
        Śród szumnych życia fal!
Czy słyszysz dokoła śmiechy?
        Wre, kipi głąb i dal!

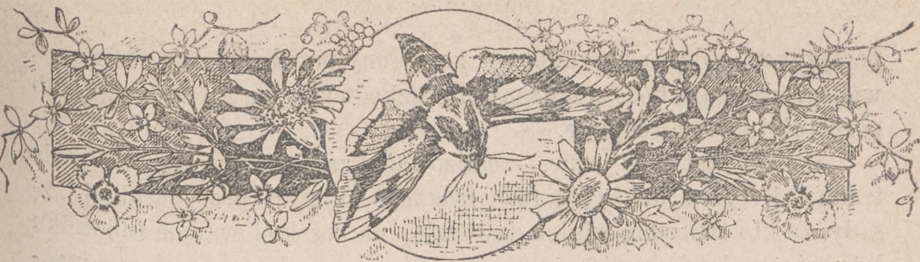
Za rozkosz, która tam czeka
        W mgle wirów, kręgów, kół,
Spłuczemy stygmat człowieka
        Z powiędłych naszych czół!

Daj rękę! w topieli szału
        Pogrążym się na wznak,
Będziem się nurzać pomału,
        Ach tak! ach tak! ach tak!

Ty kochasz? To romantyczność!
        Rozkoszy wabi świat!
Nie wierzysz? Klaska publiczność!
        Mów, ile masz ty lat?!—

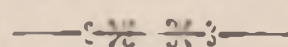
A. N.





UBEZPIECZENIE ROBOTNIKÓW

OD WYPADKÓW.



Sprawa ubezpieczeń robotników od nieszczęśliwych wypadków wiąże się ściśle z kwestyą prawną odpowiedzialności przedsiębiorców za skaleczenia i śmierć robotnika, spowodowane nieszczęśliwym wypadkiem przy pracy.

U nas do wypadków stosowane bywają następujące przepisy prawa francuskiego:

Wszelki czyn człowieka, który zrządza szkodę drugiemu, obowiązuje tego, z którego winy nastąpił, do wynagrodzenia szkody (art. 1382);

każdy odpowiedzialny jest za szkodę, jaką zrządził nietylko swoim czynem, lecz nadto swojém niedbalstwem, lub nieroztropnością (art. 1383);

odpowiedzialność ma miejsce nietylko za szkodę zrządzoną czynem własnym, lecz nadto za szkodę zrządzoną czynem osób, za które kto odpowiada, lub przez rzeczy, które ma pod swojém zawiadywaniem;

pomiędzy innemi wylicza tu prawo: panowie i dający zlecenie za szkodę zrządzoną przez ich służących i przełożonych w wykonywaniu obowiązków, do jakich ich użyli (art. 1381).

Jeżeli tedy nastąpił w zakładzie nieszczęśliwy wypadek, np. eksplozya kotła, który spowodował skaleczenie, lub śmierć robotnika, i jeżeli wypadek był wynikiem czynu, niedbalstwa lub nieroztropności nietylko samego przedsiębiorcy, ale jego dyrektora, lub jakiegokolwiek innego kierownika fabryką, albo jéj części, to wedle powyższych przepisów prawa popełnione zostało *delictum* lub *quasi delictum*, które

pociąga za sobą bezwarunkowy ze strony przedsiębiorcy obowiązek wynagrodzenia szkód, zrządzonych poszkodowanemu robotnikowi, lub pozostałéj po nim rodzinie.

Prawo jest tedy jasne,—realizowanie zaś jego przedstawia wiele trudności. *Non jus deficit, sed probatio.* W myśl proceduralnéj zasady, że kto twierdzi, winien dowodzić, na poszkodowanym robotniku leży ciężar dowiedzenia, że nieszczęśliwy wypadek spowodowany został przez winę przedsiębiorcy, lub jego podwładnych. Dowód zaś jest tu bardzo trudny. Katastrofa wynikła w fabryce, po większéj części zabija, lub ciężko rani wszystkich tych, którzy mogliby w sprawie służyć za świadków; maszyny, narzędzia i cała miejscowość, która była widownią wypadku, zostają do tego stopnia zniszczone i przeinaczone, że wywnioskowanie z nich o stanie, w jakim się znajdowały przed wypadkiem i wynalezienie przyczyn samego wypadku staje się niemożliwém.

W każdym razie dowód winy przedsiębiorcy tylko w drodze procesu osiągniętym być może, — proces zaś taki zbyt jest kosztowny i zbyt długotrwały, a skutek zbyt wątpliwy, ażeby rozwinąć go mógł biédny, okaleczony robotnik, potrzebujący przedewszystkiém środków do leczenia i ratowania się, lub pozostała po nim rodzina, ogołocona z wszelkich zasobów; — po większéj przeto części kończy się tém, że poszkodowani otrzymują marne jakieś odczepne za zrzeczenie się swych pretensyi.

Sądzono, iż zaradzi się złemu, jeżeli w materyi téj zrobione będzie odstępstwo od ogólnych zasad prawa cywilnego i teorya dowodów zmienioną zostanie na korzyść robotnika w ten sposób, iż prezumcya prawna będzie zawsze przeciwko przedsiębiorcy, że przy każdym wypadku domniemywana będzie wina ze strony pracodawcy, który w takim tylko razie od odpowiedzialności zwolniony będzie, jeżeli dowiedzie, że wypadek spowodowany został przez siłę większą, lub własną winę robotnika.

Zasada ta zastosowaną téż została w Niemczech i Austryi do przedsiębiorstw dróg żelaznych, a w Szwajcaryi do wszystkich przedsiębiorstw.

Proceduralna jednak ta zmiana sprawy nie załatwia. Przez zwalenie ciężaru dowodu na barki pracodawcy stosunek spraw rozstrzygniętych na korzyść robotników będzie pewnie korzystniejszy, aniżeli dotychczas—w Niemczech statystyka sądowa wykazuje, iż na 100 spraw 88 wygrywają pracodawcy, a tylko 12 robotnicy, — konieczność jednak prowadzenia przez robotnika procesu nie będzie usunięta, a właśnie ta konieczność, jak i konieczność oczekiwania na

ostateczny rezultat procesu, który zwykł bardzo się długo przeciągać, stawiają robotnika w niemożności realizowania swych praw, i czynią całą zasadę odpowiedzialności pracodawcy ułudną i niewykonalną.

Nadto, przy takiém postawieniu kwestyi pozostaje jeszcze bez odpowiedzi wiele pytań. Robotnik otrzymuje wprawdzie wynagrodzenie w wypadkach dowiedzionéj winy przedsiębiorcy, — co się jednak stanie z robotnikiem, który unieszczęśliwiony został przez siłę większą, albo własną swoją nieostrożność, lub przez niedokładną znajomość maszyny, którą obsługiwał?

Gotowość do ofiar na rzecz dotkniętych nieszczęśliwemi wypadkami robotników z jednéj, i obawa przed skutkami odpowiedzialności prawnéj z drugiéj strony, skłania wielu przedsiębiorców do ubezpieczenia swoich robotników w towarzystwach asekuracyjnych, które tego rodzaju ubezpieczenia uprawiają. Za pewną roczną opłatą, wnoszoną przez przedsiębiorcę, towarzystwo asekuracyjne zwalnia go od wszelkiego ryzyka i przyjmuje na siebie obowiązek wynagrodzenia robotników, dotkniętych nieszczęśliwemi wypadkami.

W kraju naszym operują na tém polu dwa ruskie towarzystwa ubezpieczeń: „Rosya“ i „Pomoc“, a niebawem rozwinie swą działalność tutejsza instytucya pod nazwą: „Przezorność.“

Ponieważ umowa asekuracyjna zawiera się zwykle na cały rok, ludność zaś robotnicza jest ruchoma i w ciągu roku jedna jéj część ubywa, a druga przybywa, przeto ubezpieczenie każdego robotnika z osobna przedstawia wielkie trudności, i dla ułatwienia procesu asekuracyjnego wprowadzoną została dla zakładów przemysłowych kombinacya tak zwanych ubezpieczeń zbiorowych (kolektywnych), polegająca na tém, że robotnicy nie ubezpieczają się imiennie, lecz zbiorowo, z oznaczeniem jedynie ich liczby, rodzaju zajęć i wysokości płacy. W razie tedy nieszczęścia, instytucya ubezpieczeń wynagradza dotkniętego robotnika, bez względu na czas, przez który w fabryce pracował, w stosunku dziennéj płacy, pomnożonéj przez 500, 600 lub 1,000, stosownie do umowy.

Dla zrozumienia manipulacyi towarzystw ubezpieczeń od wypadków, przytaczamy przykład wzięty z praktyki towarzystwa „Rosya“.

Fabryka wyrobów perkalowych ubezpiecza swoich robotników na warunkach wypłacania im w wypadku śmierci, lub niezdolności do pracy wynagrodzenia w stosunku 600-krotnego ich zarobku.

Robotników jest 1,200, których roczny zarobek wynosi około 270,000 rubli.

Premia roczna wynosi:

1) na wypadek śmierci po rs. 1 kop. 70 od każdych 1,000 rubli zarobku	rs.	459
2) na wypadek niezdolności do pracy po rs. 2 k. 70 od każdych 1,000 rubli zarobku	„	729
razem . .	rs.	1,188

W wypadku nastąpionéj śmierci, lub zupełnéj niezdolności do pracy robotnika, pobierającego dziennéj płacy np. 90 kop., — otrzymuje on lub pozostała po nim rodzina wynagrodzenie w sumie 540 rubli (90 kop. $\times$ 600 = 540 rubli).

W wypadku częściowéj tylko niezdolności do pracy, np. utraty jednéj ręki, robotnik otrzymuje połowę powyższego wynagrodzenia, t. j. 270 rubli.

Premia asekuracyjna nie jest jednakowa dla wszystkich fabryk, ale wysokość jéj zależy od wielkości ryzyka, — pod tym względem fabryki podzielone są na 8 grup, z różną dla każdéj z nich pod względem wysokości premią asekuracyjną, i tak np. w fabrykach tabacznych premia na wypadek śmierci wynosi rs. 1 kop. 25, na wypadek niezdolności do pracy rs. 1 kop. 80 od tysiąca rubli zarobku, w młynach parowych rs. 4 k. 45 i rs. 7 k. 15.

Przejęcie przez towarzystwa asekuracyjne obowiązków pracodawcy wynagrodzenia robotnika za szkody, spowodowane nieszczęśliwym wypadkiem przy pracy, nie stanowi bynajmniéj rozwiązania kwestyi, — nie polepsza ono w niczém położenia robotnika, przeciwnie, w wielu razach je pogarsza. Towarzystwo bowiem płaci wynagrodzenie w takich tylko wypadkach, w których odpowiedzialność spada na przedsiębiorcę,—ta zaś, jak widzieliśmy, po większéj części tylko w drodze procesu wykazaną być może,—ubezpieczenie zatém nie zwalnia robotnika od konieczności odwoływania się do pomocy sądowéj.

Przedsiębiorca w bezpośrednim stosunku ze swoim robotnikiem powoduje się nieraz litością, lub innemi względami, które nie pozwalają mu dopuszczać do ostateczności rozstrzygnięcia sporu przez sądy; towarzystwo zaś ubezpieczeniowe względami temi kierować się nie może, płaci wynagrodzenie wówczas tylko, kiedy nie zachodzi żadna wątpliwość co do obowiązku wynagrodzenia; — przy ubezpieczeniu zatém w towarzystwach asekuracyjnych procesy bywają częstsze, aniżeli wówczas, kiedy przedsiębiorca sam ponosi ryzyko wynagrodzenia uległych nieszczęściu przy pracy robotników i ich rodzin, przytém procesy te bywają uciążliwsze dla robotnika, towarzystwa bowiem ubezpieczeń, prowadząc je często i zawodowo, mają lepiéj, aniżeli

pojedyńczy przedsiębiorca, uorganizowaną obronę i cały aparat procesowy.

Niektóre towarzystwa, a pomiędzy niemi wszystkie w kraju naszym operujące, wprowadziły do swoich polis korzystną nader dla robotników zmianę, polegającą na tém, iż wypłacają wynagrodzenie i w takich wypadkach, w których przedsiębiorca prawnie do odpowiedzialności pociągany być nie może [1]), przez co pieniactwu tama położoną została.

Nie jest-to naturalnie żadne ze strony towarzystw ubezpieczeń dobrodziejstwo, gdyż za to powiększone ryzyko każą sobie płacić odpowiednio wyższą składkę asekuracyjną.

Powody, dla których i przy takich nawet warunkach, korzystnych wielce dla robotnika, towarzystwa prywatne nie odpowiadają celowi, przytaczamy z motywów do ustawy niemieckiéj instytucyi ubezpieczeń robotników od wypadków, które w tym punkcie brzmią jak następuje: „Żadna instytucya prywatna, czy to akcyjna, czy téż na wzajemności oparta, nie może udzielić gałęzi ubezpieczeń, któréj statystyczne podstawy są niedokładne i niepewne, gwarancyi, wymaganéj w interesie ogółu, a w szczególności klasy robotniczéj. Najściślejsza reglementacya prawna i najszczegółowsza kontrola państwowa nie wyłączają niebezpieczeństwa niewypłacalności ze strony towarzystwa, i pozbawienia skutkiem tego robotników dobrodziejstwa, które im prawo zapewnić chciało, utraty wnoszonych przez nich przez długi szereg lat składek i rzucenia ich w objęcia dobroczynności publicznéj. Niebezpieczeństwo to jest tém większe, iż wynagrodzenie wypłaca się w ratach, których trwanie trudne jest do obliczenia, grożąca zatém niewypłacalność nie jest łatwa do skonstatowania, i instytucya ubezpieczeń może w kwitnącym jeszcze wydawać się stanie, a pomimo to nosić już w sobie zarody nieuniknionego bankructwa.“

Trudności, jakie napotykano przy stosowaniu odpowiedzialności przedsięciorców, tudzież niemożność pomyślnego załatwienia sprawy ubezpieczenia robotników od wypadków za pomocą prywatnych towarzystw asekuracyjnych, powołały do życia w Niemczech państwową instytucyą ubezpieczeń na zasadach ustawy z 6 lipca 1884 r. [2]), —

---

[1]) Warunki polisowe towarzystw: „Rosya“ i „Pomoc“ obejmują przepis: Przez pojęcie: „nieszczęśliwy wypadek“ rozumié się takie zewnętrzne zdarzenie, które bez woli ubezpieczonego gwałtownym sposobem przyprawiło go o uszkodzenie na zdrowiu.

[2]) Unfallversicherungsgesetz vom 6 Juli 1884.

a za przykładem Niemiec poszła Austrya, któréj ustawa o ubezpieczeniu robotników od wypadków nosi datę 28 grudnia 1887 r. [1]).

W Niemczech przystąpiono do dzieła, jak zwykle, z wielkiém przygotowaniem i rozwagą, bez pośpiechu i pretensyi radykalnego przecięcia węzła gordyjskiego. Posuwano się tam krok za krokiem, zaczęto od tego, iż ograniczono działalność instytucyi państwowego ubezpieczenia robotnik od nieszczęśliwych wypadków do tych gałęzi przemysłu, w których nieszczeęśliwe wypadki bywają częstsze i groźniejsze, gdzie zatém opieka nad klasą roboczą okazuje się najkonieczniejszą, — jednocześnie wszakże zastrzeżono rozszerzanie zakresu opieki, w miarę nagromadzonych materyałów i nabytego doświadczenia, i do innych gałęzi przemysłu, co też następnie przez specyalne ustawy dodatkowe dopełnione zostało.

Rozważne i niepośpieszne działanie nie wyłącza wszakże energii i stanowczości. Jak w innych gałęziach ubezpieczenia robotników w Niemczech, tak i przy ubezpieczeniu od wypadków przymus stanowi fundamentalną podstawę budowy całéj instytucyi. Niesympatyczna ta zasada była silnie krytykowana w świecie ekonomicznym, w którym znany powszechnie aforyzm fizyokratyczny: *laissez faire, laissez passer* był przez długi czas dogmatem; — jaka jednak pod tym względem nastąpiła w pojęciach ewolucya, przekonywa odbyty świeżo w Bernie kongres międzynarodowy w przedmiocie ubezpieczeń robotników od wypadków, na którym przedstawiciele rozmaitych krajów i szkół z zasadą przymusu zupełnie już byli pogodzeni.

Wedle zasadniczego prawa niemieckiego z 6 lipca 1884 roku, w instytucyi ubezpieczeń od wypadków obowiązkowo ubezpieczonymi być winni:

1) robotnicy pracujący w górnictwie, salinach, łomach kamiennych, hutach, kopalniach, fabrykach, tudzież przy budowlach, daléj robotnicy zatrudnieni przy robotach mularskich, ciesielskich, kamieniarskich, studniarskich, kominiarskich i dekarskich;

2) robotnicy wszelkich zajęć, przy których czynne są kotły parowe, lub motory poruszane przez siły elementarne, jak wiatr, wodę, parę, gaz, ogrzéwane powietrze i t. p.;

3) robotnicy zatrudnieni przy drogach żelaznych i żegludze, o ile one stanowią część składową przedsiębiorstwa, podlegającego obowiązkowemu ubezpieczeniu [2]);

---

[1]) Gesetz vom 28 December 1887 betreffend die Unfallversicherung der Arbeiter.

[2]) Dla samoistnych przedsiębiorstw dróg żelaznych i żeglugi istnieją tak

4) oficyaliści zatrudnieni przy wszystkich wyżéj wymienionych zajęciach, o ile roczna ich płaca nie przewyższa 2,000 marek. W Austryi ubezpieczeni być winni wszyscy oficyaliści, bez względu na wysokość płacy, a nadto uczniowie, wolontaryusze i praktykanci, nie pobierający żadnego wynagrodzenia.

Ponieważ definicya fabryki nie jest ustaloną, przeto dla usunięcia mogących pod tym względem nasunąć się wątpliwości, prawo niemieckie poczytuje za fabrykę każdy zakład, w którym produkcya odbywa się zawodowo i który stale zatrudnia przynajmniéj 10 robotników, a nadto zakłady, w których zawodowo wyrabiane bywają materyały wybuchowe; — jakie oprócz tego zakłady jeszcze do fabryk zaliczane być winny, pozostawione jest uznaniu państwowego urzędu ubezpieczeń.

W rozwinięciu prawa zasadniczego wydane zostały w następstwie nowele i ustawy, rozciągające dobrodziejstwo instytucyi do robotników zatrudnionych przy innych gałęziach pracy, a mianowicie przy transportach lądowych i wodnych [1], w rolnictwie i leśnictwie [2], w zakładach wojskowych [3], przy budowlach [4], w żegludze [5].

Z pomiędzy tych ustaw uzupełniających, najważniejsza jest ustawa, rozciągająca obowiązek ubezpieczenia w s z y s t k i c h robotników i oficyalistów, pobierających mniéj aniżeli 2,000 marek rocznie, zatrudnionych w rolnictwie i leśnictwie, do czego zaliczone jest i ogrodnictwo. Zasadnicza ustawa, która miała na widoku robotników przemysłowych, ubezpieczyła od nieszczęśliwych wypadków około 3 milony osób, ustawa zaś uzupełniająca, rozciągająca działalność do robotników rolnych obejmuje 7 milionów głów, — pod względem więc rozmiarów swoich przewyższa znacznie ustawę zasadniczą.

Austrya nie posunęła się tak daleko w troskliwości swojéj o robotników wiejskich i ogranicza obowiązek ubezpieczenia do tych tylko przedsiębiorstw rolnych i leśnych, w których używa się ko-

---

w Niemczech, jak i Austryi, specyalne przepisy w przedmiocie odpowiedzialności przedsiębiorców.

[1]) Gesetz über die Ausdehnung der Unfall und Krankenversicherung v. 28 Mai 1885.

[2]) Gesetz betreffend die Unfall und Krankenversicherung der in land- und forstwirthschaftlichen Betrieben beschäftigten Personen v. 5 Mai 1886.

[3]) Reichsgesetz betreffend die Fürsorge für Beamte und Personen des Soldatenstandes in Folge von Betriebsunfällen v. 15 Maerz 1886.

[4]) Bau-Unfallversicherungsgesetz vom 11 Juli 1887.

[5]) See-Unfallversicherungsgesetz vom 13 Jul. 1887.

tłów parowych, lub motorów, poruszanych przez siły żywiołowe lub zwierzęta.

Statystyka niemieckiéj instytucyi ubezbieczeń od wypadków wykazuje następujące cyfry:

przedsiębiorstw przemysłowych należących do instytucyi:

w roku
1886 — 269,174
1887 319,453
1888 — 350,697
1889 — 372,236;

przedsiębiorstw rolnych:

1888 — 3,046,007
1889 -- 4,753,808;

robotników przemysłowych ubezpieczonych:

1886 — 3,473,435
1887 — 3,861,560
1888 — 4,320,663
1889 — 4,742,548

robotników rolnych:

1888 — 5,576,765
1889 — 8,088,698

Oprócz tego było ubezpieczonych w rządowych zakładach fabrycznych robotników:

1886 — 251,878
1887 — 259,878
1888 — 446,250
1889 — 543,320

Przedmiotem ubezpieczenia od wypadków jest wynagrodzenie robotnika, lub pozostałéj po nim rodziny za szkody, wynikłe skutkiem rany, lub śmierci, poniesionéj przy pracy.

W wypadku zranienia ubezpieczony otrzymuje:

1) koszta leczenia, w Niemczech jeżeli choroba przeciąga się dłużéj, aniżeli 13 tygodni, od początku 14 tygodnia, a w Austryi od początku 5 tygodnia przez cały czas trwania niezdolności do zarobkowania [1]);

2) rentę, poczynając od 14, *resp.* 5 tygodnia przez cały czas niezdolności do pracy.

Za podstawę do obliczenia wysokości renty przyjmuje się zarobek, jaki poszkodowany pobierał w ostatnim roku przed wypadkiem, z tém zastrzeżeniem, iż przewyżka zarobku nad 4 marki dziennie

[1]) Leczenie chorych i udzielanie im zasiłków przez 13 tygodni w Niemczech, a 4 tygodnie w Austryi, należy do instytucyi ubezpieczeń robotników od chorób.

przyjmuje się w rachubę tylko w ⅓ części, a natomiast zarobek nie dosięgający wysokości płacy zwykłego najemnika, przyjmuje się w wysokości téjże płacy.

W Austryi, gdzie jak wiadomo, ubezpieczeni być winni wszyscy robotnicy i oficyaliści, bez względu na wysokość ich płacy, przewyżka nad 1,200 guldenów w rachubę nie bierze się, zarobek zaś uczniów i praktykantów, nie pobierających wcale płacy, albo bardzo niską, oblicza się wedle zarobku robotnika odpowiedniéj kategoryi z najniższą płacą, najwyżéj jednak 300 guldenów.

Renta wynosi:

a) w wypadku zupełnéj niezdolności do pracy, przez cały czas trwania téjże niezdolności, w Niemczech 66¾%, w Austryi 60% zarobku.

b) w wypadku częściowéj niezdolności część renty, wymienionéj od *a*, która oblicza się w stosunku do pozostałéj zdolności do pracy.

W wypadku śmierci pozostała rodzina otrzymuje wynagrodzenie w sposób następujący:

1) koszta pogrzebu, w Niemczech z wysokości 20-krotnéj dziennego zarobku, wszakże nie mniéj, aniżeli 30 marek, w Austryi wedle zwyczajów miejscowych, wszakże nie wyżéj jak 25 guldenów.

2) rentę, która od dnia śmierci wynosi, jak następuje:

a) wdowa otrzymuje dożywotnio, lub do czasu powtórnego zamążpójścia 20% zarobku;

b) każde pozostałe dziecko do ukończenia 15 roku życia 15%, a jeżeli dziecko nie ma obojga rodziców 20%.

Renty wypłacane wdowie i sierotom nie mogą łącznie przewyższyć w Niemczech 60%, w Austryi 50% zarobku, w razie przewyżki następuje stosunkowa redukcya wszystkich rent.

W razie powtórnego zamążpójścia wdowa otrzymuje jednorazowe wynagrodzenie, wyrównywające trzyletniéj rencie, w zamian za utratę téjże renty;

c) wstępni, których zmarły utrzymywał, otrzymują dożywotnio 20% zarobku, przyczém rodzice mają pierwszeństwo przed dalszymi wstępnymi.

W razie zbiegu wstępnych z wdową i sierotami, wstępni o tyle tylko mają prawo do renty, o ile pozostali sukcesorowie nie wyczerpują najwyższéj sumy rentowéj, wynoszącéj w Niemczech 60%, w Austryi 50%.

Austryacka instytucya przyznaje nadto rentę wdowcowi, niezdolnemu do pracy, a natomiast ogranicza dzieci nieślubne: wdowiec otrzymuje rentę w wysokości 20%, a każde nieślubne dziecko w wysokości 10% zarobku.

W Niemczech było wypadków, dających prawo do wynagrodzenia, w samych tylko zakładach przemysłowych:

w roku		wypadków wogóle.		śmiertelnych
1886	—	10,540	—	—
1887	—	17,102	—	3,270
1888	—	21,236	—	3,692
1889	—	31,449	—	5,260.

Suma wynagrodzenia wynosiła w markach:

w roku		w zakładach prywatnych		w zakładach rządowych
1886	—	1,711,699	—	203,666
1887	—	5,373,496	—	559,433
1888	—	8,662,788	—	1,018,659
1889	—	12,278,151	—	2,186,152.

Główniejsze pozycye wydatków w r. 1889 były następujące:

	osób		marek
renta dla rannych	51,331	—	9,533,547
„ wdów	9,013	—	1,155,208
„ sierot	18,355	—	1,761,684
koszta leczenia	14,525	—	631,416;

reszta przyznawana była na koszta pogrzebów, zapłatę szpitalom i t. d.

Pokrycie w powyższych granicach rozchodów, z nieszczęśliwych wypadków wynikłych, wymaga, jak widzimy wielkich funduszów. Ażeby fundusze te wynaleść, nie można było zamykać się w ciasnych szrankach prawa cywilnego i na jego tylko gruncie robić poszukiwania. Nakładanie obowiązku wynagrodzenia szkód na winnego wypadku, będąc połączone z wielkiemi trudnościami proceduralnemi, sprawy nie załatwia. Bywają wypadki, w których nie ma winy ani ze strony przedsiębiorcy, ani robotnika; wina znowu robotnika, o ile nie jest rozmyślną, nie wyłącza konieczności przychodzenia mu z pomocą, nakoniec wina przedsiębiorcy połączona jest często z własném jego nieszczęściem i nie pozostaje w stosunku do wysokości szkody i strat, jakie ponosi.

Sprawa przeto wynagrodzenia robotnika za skutki nieszczęśliwego wypadku przy pracy, przeniesioną została na grunt prawa publicznego, do obowiązku tego pociągnięto ogół przedsiębiorców na zasadach ubezpieczenia.

W Niemczech robotnicy od składek zupełnie zwolnieni zostali, już to dla tego, iż niski ich zarobek nie pozwala na jego uszczuplenie, już też dla tego, że ciężar, jaki ubezpieczenie to wkłada na przedsiębiorców, ci będą w stanie w znacznéj części zrzucić ze siebie na barki spożywców. Jak dotąd przedsiębiorca w kosztach produkcyi mu-

siał przyjąć w rachubę straty na zużyciu martwych maszyn, tak obecnie w kalkulacyi swojéj pominąć nie może strat, wyniknąć mogących z utraty zdrowia i życia robotników, w fabryce jego zatrudnionych.

W Austryi robotnicy od składki asekuracyjnéj zwolnieni nie zostali, obowiązani oni są przykładać się do niéj w stosunku 10%, pozostałe zaś 90% płacą przedsiębiorcy. Składka robotnika potrącana mu jest z płacy, i przez przedsiębiorcę wraz z własną jego składką do instytucyi wnoszona.

Przy włożeniu w Austryi na robotnika obowiązku ponoszenia części ciężaru na rzecz instytucyi, miano na uwadze nietylko okoliczność, że instytucya udziela wynagrodzenie we wszystkich wypadkach, nie wyłączając i tych, które z winy samego robotnika pochodzą, ale i względy etyczne, uważano mianowicie, iż robotnicy przyczyniając się do utrzymania instytucyi, czuć się będą z nią zsolidaryzowanymi, dbać będą o jéj pomyślność i nie pozwolą na wyzyskanie jéj ze strony ludzi niesumiennych.

Jakkolwiek instytucya ubezpieczeń od wypadków utrzymywana jest w Niemczech wyłącznie kosztem przedsiębiorców, przy zupełném zwolnieniu robotników od składek, to jednak ze względu na łączność, jaka zachodzi pomiędzy instytucyą tą, a ubezpieczeniem robotników od chorób, pewien procent ciężaru spada na robotników. Wiadomo, iż leczenie chorych przez pierwszych 13 tygodni, i udzielanie im przez tenże czas zasiłków jest obowiązkiem instytucyi ubezpieczeń od chorób, bez względu na to, czy choroba spowodowaną została przez wypadek przy pracy, lub téż z jakiéjkolwiek innéj przyczyny, z zajęciem jego nic wspólnego nie mającéj; część zatém wydatków przy pracy spada na instytucyą ubezpieczeń od chorób. Obliczenia statystyczne w Niemczech wykazały, iż skutkiem tego współdziałania dwóch instytucyi, koszta wynikłe z nieszczęśliwych wypadków przy pracy, instytucya ubezpieczeń od tychże wypadków ponosi w stosunku 83½%, a instytucya ubezpieczeń od chorób w stosunku 16½%; — a ponieważ do instytucyi ubezpieczeń od chorób, robotnicy wnoszą ⅔ części ogólnéj sumy składek asekuracyjnych, z tego wynika, iż robotnicy skutki nieszczęśliwych wypadków ponoszą z własnéj kieszeni w stosunku dwóch trzecich części 16½%, czyli w stosunku 11%,— na przedsiębiorców zatém przypada 89%, lubo, jakeśmy wyżéj widzieli, do instytucyi ubezpieczeni od wypadków robotnicy bezpośrednio niczém się nie przyczyniają, i całkowitą składkę opłacają sami przesiębiorcy.

W Austryi, robotnicy dotknięci nieszczęśliwemi wypadkami, tylko przez cztery tygodnie korzystają z dobrodziejstw instytucyi ubezpieczeń od chorób, skutkiem tego współudział ich pieniężny w instytucyi ubezpieczeń od wypadków jest mniejszy, aniżeli w Niem-

czech, ale za to przyczyniają się oni bezpośrednio do utrzymania ostatniéj téj instytucyi w stosunku 10%.

Z powodu łączności instytucyi ubezpieczeń od chorób i od wypadków, wynika niekiedy obowiązek dla przedsiębiorcy wynagrodzenia oddzielnie za wynikłe w jego zakładzie wypadki, pomimo to, iż jest członkiem instytucyi ubezpieczeń od wypadków i opłaca składki przez instytucyę tę wymagane. Ma to mianowicie miejsce wówczas, kiedy robotnik, który uległ wypadkowi, nie należy do instytucyi ubezpieczeń od chorób. Do takich robotników, nie ubezpieczających się od chorób, należą np. robotnicy przejściowi, zatrudnieni w zakładzie nie przez cały tydzień. Jeżeli tego rodzaju robotnik ulegnie nieszczęśliwemu przy pracy wypadkowi, to ze względu na to, iż on przez 13 tygodni w żadnéj instytucyi pomocy znaleść nie może, przedsiębiorca obowiązany jest przez ten czas ponosić koszta leczenia i płacić rentę, a dopiéro po upływie 13 tygodni, obowiązek ten przechodzi na instytucyę ubezpieczeń od wypadków.

Bywają znowu kombinacye przy których przedsiębiorca tylko część wynagrodzenia dopłacać powinien, ma to mianowicie miejsce wówczas, kiedy wedle ustawy danéj instytucyi ubezpieczeń od chorób, poszkodowany nie otrzymuje wsparcia w wysokości wyrównywającéj $^2/_3$ części zarobku; w takim razie pracodawca dopłaca różnicę pomiędzy przyznanym zasiłkiem a sumą, wyrównywającą $^2/_3$ zarobku.

Finansowa strona instytucyi ubezpieczenia od wypadków przedstawia wielkie trudności, — źródłem dochodu są, jak widzieliśmy, składki wnoszone przez przedsiębiorców; ale nie dość postawić zasadę, trzeba jeszcze znaleść środki rozumnego jéj przeprowadzenia, składki bowiem te nie są bagatelne i z każdym rokiem wzrastają; każdy późniéjszy rok pociąga za sobą obowiązek wynagrodzenia nietylko robotników i ich rodzin, unieszczęśliwionych w danym roku, ale nadto wszystkich tych, którzy wypadkami dotknięci zostali w latach poprzednich i względem których obowiązek wynagrodzenia jeszcze nie wygasł.

System zbierania i gromadzenia funduszów jest inny w Niemczech, a inny w Austryi. Wedle przyjętego w Niemczech systemu współczesnego pokrycia (*Umlageverfahren*) w każdym roku pobiéra się od przedsiębiorców taka suma, jaka potrzebna jest na pokrycie potrzeb tegoż roku, a zatém na zapłacenie wszystkich rent, wymagalnych wskutek wypadków, wynikłych tak w tym roku, jak i w latach poprzednich.

Według zaś systemu uprzedniego pokrycia (*Capitaldeckungsverfahren*) przyjętego w Austryi, wszystkie ciężary, jakie spa-

dają na instytucyą, wskutek zaszłych w ciągu roku wypadków, zabezpieczają się w ten sposób, iż w tymże roku zbiera się kapitał, od którego procenta matematycznie obliczone, starczyć powinny na pokrycie w przyszłości wszystkich rent, w tym roku początek swój biorących.

Przy systemie współczesnego pokrycia, wnioski w pierwszych latach są niewielkie, lecz wzrastają w każdym następnym roku. Wedle zebranych dat statystycznych, wnioski te dopiéro w 17-ym roku dochodzą do takiéj wysokości, jaką stanowią pierwiastkowo i każdorocznie wnioski policzone przy systemie uprzedniego pokrycia; po tym okresie opłaty przewyższają już wysokość opłat systemu uprzedniego pokrycia i każdorocznie wzrastają do czasu, w którym ubytek przez śmierć lub wygaśnięcia praw, pobierających rentę, wyrównywa się z przybytkiem nowych inwalidów, wdów i siérot, co w przypuszczeniu równéj ciągle ilości robotników dopiéro po 70 latach następuje.

Wedle obliczenia dyrektora biura ubezpieczeń, istniejącego przy austryackiém ministeryum spraw wewnętrznych radcy Kaana, biorąc za podstawę 600,000 robotników ze średnią płacą roczną 300 guldenów, wysokość składek asekuracyjnych przy systemie współczesnego pokrycia wynosi:

od jednego robotnika		
w 1-ym roku	0,15 guld.	
„ 17-ym „	3,30 „	
„ 70-ym „	5,81 „	
od 600,000 robotników		
w 1-ym roku		90,000
„ 17-ym „		2,034,000
„ 70-ym „		3,366,000

Przy systemie zaś uprzedniego pokrycia, opłata wynosić będzie corocznie jedną i tę samą kwotę, a mianowicie:

od 1 robotnika		3 guld. 39 krajc.
od 600,000	2,034,000 guld.	

czyli tyle, ile przy współczesném pokryciu wnioski wynosić będą w 17 roku.

Każdy z dwóch systemów pokrycia ma swoje dodatnie i ujemne strony. Za przyjęciem w Niemczech systemu pokrycia współczesnego przemawiały względy natury ekonomicznéj, szło mianowicie o to, aby przemysłowi nie odrywać kapitałów, których on potrzebuje do swoich celów produkcyjnych. Kapitały zebrane dla zabezpieczenia rent w przyszłości wymagalnych, nie mogą być przez instytucyą lokowane wyżéj jak na 3½ do 4%, tymczasem przemysłowcy, którzy kapitał ten złożyli, zaopatrując się drogą kredytu w kapitał obrotowy,

płacić muszą 6% i więcéj, korzystniéj przeto jest dla przemysłu pozostawić kapitał w jego ręku, aniżeli gromadzić go w kasie instytucyi na zabezpieczenie rent w przyszłości.

Do przyjęcia zaś systemu pokrycia uprzedniego skłoniły Austryą następujące względy: system ten ze stanowiska techniki asekuracyjnéj jest bezwarunkowo najracyonalniejszy i praktykowany jest we wszystkich prywatnych instytucyach ubezpieczeń; daléj przy jednostajnéj corocznie opłacie, przemysł łatwiéj może w kalkulacyach swoich się oryentować, aniżeli przy wydatkach niejednostajnych i chwiejnych, nakoniec teraźniejszość bierze na swoje barki cały ciężar swoich obowiązków, nie spychając go na przyszłość, która może mu nie podołać i stać się nawet niewypłacalną, narażając tém na ciężki zawód pokładane w instytucyi nadzieje.

Niemcy, przyjmując system pokrycia współczesnego, nie dowierzały mu w zupełności i dla lepszego zabezpieczenia przyszłości uzupełniały go przez tworzenie kapitału rezerwowego.

Kapitał ten tworzy się w ten sposób, iż oprócz sumy, jaka potrzebna jest na pokrycie obowiązków, wypływających z wydarzonych nieszczęśliwych wypadków, należy pobiérać jeszcze fundusze na tworzenie kapitału rezerwowego, i to fundusze, przewyższające znacznie sumy, jakie wypłacić należy tytułem wynagrodzenia robotnikom, dotkniętym wypadkami; a mianowicie do sumy, jaka potrzebna jest na wypłatę przynależnych rent, trzeba dopłacać na fundusz rezerwowy:

w 1-szym roku	300%	w 4-tym roku	100%
„ 2-gim „	200%	„ 5-tym „	80%
„ 3-cim „	150%	„ 6-tym „	50%

a od tego czasu każdego roku mniéj o 10% aż do roku 11, — po upływie lat 11 należy doliczać procenty od kapitału rezerwowego do tegoż kapitału do czasu zebrania się funduszu, wystarczającego na podwójne pokrycie całorocznych potrzeb.

Dzięki tak znacznym dopłatom do kapitału rezerwowego, ten bardzo szybko wzrasta i wynosił w r. 1887 19,157,394 m., w 1888 28,412,028 m., w r. 1889 42,057,548 m.

W skutek tworzenia kapitału rezerwowego w tak wielkim rozmiarze, system, w Niemczech przyjęty, nie jest czystym systemem współczesnego pokrycia, ale właściwie połączeniem obu systemów: współczesnego i uprzedniego pokrycia.

Pomimo to ustawa niemiecka przewiduje jeszcze możliwość niewypłacalności stowarzyszeń zawodowych, stanowiących w Niemczech jądro instytucyi. Pomimo wszelkich usiłowań oparcia instytucyi ubez-

pieczeń od wypadków na zasadzie samopomocy i nie sięgania do skarbu publicznego, pomoc państwowa, chociażby ewentualna, okazała się nieuniknioną. W razie niewypłacalności którego ze stowarzyszeń, robotnicy z jednej strony przestają być ubezpieczonymi i tracą prawo do wynagrodzenia w nieszczęśliwym wypadku, z drugiéj ci, którzy w przeszłości nabyli prawo do rent, tracą je, a renty te stanowią jedyny środek zaspokojenia najkonieczniejszych potrzeb życia inwalidów, pozbawionych możności pracy i zarobkowania, lub pozostałych po nich bez żadnych zasobów wdów i sierot. Dla uniknienia tak smutnych ewentualności, koniecznêm jest byt instytucyi w ten sposób zabezpieczyć, żeby żadne ciosy zachwiać jéj nie mogły, a bezpieczeństwo to dostarczyć może tylko państwo. Ustawa tedy niemiecka stanowi, że jeżeli którekolwiek stowarzyszenie okaże się niedość żywotnêm i zdolnêm do wykonania zobowiązań, wówczas ulega ono rozwiązaniu, uczestnicy jego przyłączają się do innego stowarzyszenia, do którego, stosownie do rodzaju zajęcia, należéć powinni,—prawa zaś i obowiązki rozwiązanego stowarzyszenia przechodzą na państwo.

Ostatecznie przeto państwo udziela instytucyi ubezpieczeń od wypadków swojéj gwarancyi, a jakkolwiek przy wielkim wpływie, jaki rząd za pośrednictwem państwowego urzędu ubezpieczeń na instytucyą wywiera, przy bezustannéj jego kontroli tak w chwili zawiązania się stowarzyszeń, jak i w trakcie ich funkcyonowania, gwarancya ta zdaje się mieć obecnie znaczenie raczéj teoretyczne, aniżeli praktyczne, to jednak, biorąc pod uwagę chwiejność przemysłu w ogóle, zmienność jego warunków produkcyi i zbytu, gwarancya państwowa może w przyszłości pociągnąć za sobą skutki, które trudno obecnie przewidzieć.

Organizacya instytucyi ubezpieczeń robotników od wypadków, rozciągająca się na całe państwa, skupiająca wielkie masy ludowe, rozporządzająca milionowemi funduszami, jest zadaniem, od którego pomyślnego rozwiązania zależy los całéj instytucyi. Przedewszystkiém walczą tu ze sobą dwie zasady, a mianowicie oganizacya zawodowa czyli korporacyjna i organizacya terytoryalna, — pierwsza polega na łączeniu w oddzielne stowarzyszenia przedsiębiorstw wspólnego zawodu, lub téż zawodów ze sobą spowinowaconych; druga skupia w jedno ognisko wszystkie przedsiębiorstwa, pracujące na wspólnêm terytoryum np. w jednêm mieście, lub powiecie, nie rozróżniając oddzielnych zawodów, do których one należą.

Zasadę organizacyi zawodowéj przyjęły Niemcy, które wogóle nowoczesne urządzenia robotnicze usiłują oprzéć na gruncie tradycyi, i choćby pozornie utrzymać nierozerwaną nić snującą się z czasów urzą-

dzeń cechowych. Wedle tedy ustawy niemieckiéj instytucya ubezpieczeń od wypadków jestto zbiór oddzielnych stowarzyszeń zawodowych, opartych na wzajemności i autonomicznym zarządzie.

Stowarzyszenia zawodowe zawiązują się w ten sposób, iż każdy przedsiębiorca obowiązany jest złożyć państwowemu urzędowi ubezpieczeń deklaracyę w przedmiocie przedsiębiorstwa, używanych motorów i ilości robotników, podlegających ubezpieczeniu.

Na zasadzie ustanowionéj przez państwo klasyfikacyi zawodowéj, przedsiębiorstwa dzielą się na grupy, klasy i rodzaje zajęć. I tak np. oddzielne grupy stanowią: przedsiębiorstwa przerabiające metale (grupa V), przemysł chemiczny (grupa VII), przedsiębiorstwa, wytwarzające środki pożywienia (grupa XII) i t. d.

Grupy dzielą się na klasy i tak np. grupa XII, do któréj należą środki pożywienia, dzieli się na trzy klasy: 1) materyały pożywne roślinne, 2) materyały pożywne zwierzęce, 3) napoje.

Każda z tych klas dzieli się na rodzaje zajęcia, a mianowicie:

a) materyały pożywne roślinne:

1. młyny zbożowe.
2. piekarnie i cukiernie.
3. fabryki cukru buraczanego i rafinerye.
4. fabryki makaronu i klusek.
5. fabryki krochmalu i syropu krochmalowego.
6. fabryki czekolady i kakao.
7. fabryki surogatów kawy.
8. zakłady palenia kawy i krajania cukru.
9. fabryki konserwów.

b) materyały pożywne zwierzęce:

1. rzeźnicy.
2. solenie i peklowanie ryb.
3. fabrykacya masła i serów.

c) napoje:

1. zaopatrywanie w wodę.
2. przygotowywanie i konserwacya lodu.
3. fabrykacya sztucznych wód mineralnych.
4. słodownictwo.
5. piwowarstwo.
6. gorzelnie i fabrykacya drożdży prasowanych.
7. fabrykacya win owocowych i pielęgnowanie wina.
8. fabryki octu.
9. fabryki tytoniu.

Jeżeli którekolwiek z oddzielnych zajęć posiada warunki samoistnéj egzystencyi, to tworzy oddzielne stowarzyszenie, i tak np. fabry-

ki cukru i rafinerye tworzą jedno stowarzyszenie na całe państwo, — jeżeli jednak którekolwiek zajęcie zbyt szerokie przybrało rozmiary, aby w ramach jednego stowarzyszenia pomieścić się mogło, to tworzy się kilka stowarzyszeń, i tak np. przemysł budowlany posiada 12 stowarzyszeń z siedliskiem w różnych stronach Niemiec.

Z drugiéj znowu strony rodzaje zajęcia nie posiadające warunków potrzebnych do tworzenia samoistnego stowarzyszenia; łączą się z sobą w kilka dla utworzenia jednego stowarzyszenia; tak np. z grupy, wytwarzającéj środki pożywienia, należą do wspólnego stowarzyszenia zawodowego, rozciągającego swe działanie na całe państwo: piekarnie i cukiernie, fakryki makaronu, fabryki czekolady, kawy i surogatów kawy, zakłady palenia kawy i krajania cukru, fabryki konserwów, rzeźnicy, solący i peklujący ryby, przygotowujący i konserwujący lód, słodownicy, fabryki win owocowych, — a nadto dodano im jeszcze z innéj grupy: zakłady kąpielowe.

Stowarzyszenia zawodowe rozciągające swoją działalność na całe państwo, albo na bardzo rozległe okręgi, decentralizują się przez urządzenie sekcyi.

Na zasadach powyższéj organizacyi powstały w Niemczech 64 stowarzyszenia zawodowe z 366 sekcyami, a niezależnie od nich istnieje 48 stowarzyszeń rolniczo-leśnych, które po większéj części rozciągają się na pojedyńcze prowincye, lub niewielkie państwa rzeszy niemieckiéj.

Stowarzyszenia zawodowe ustanawiają się na ogólnych zebraniach przedsiębiorców, na których stawiają się wnioski co do odgraniczenia stowarzyszenia wedle rodzajów zajęć i okręgów. Nad wnioskami temi odbywa się głosowanie, przyczém przedsiębiorca, zatrudniający nie mniéj, jak 20 ubezpieczonych robotników, ma jeden głos, zatrudniający większą ilość robotników, aż do 200, po jednym głosie na każde 20, a powyżéj 200 po jednym głosie na każdą sctkę robotników.

Uchwały zapadają większością głosów i podlegają zatwierdzeniu państwowego urzędu ubezpieczeń.

Każde stowarzyszenie rządzi się statutem, uchwalonym na ogólném zebraniu i zatwierdzonym przez państwowy zarząd ubezpieczeń.

Specyalną atrybucyą stowarzyszenia zawodowego jest ustanowienie dla wchodzących do jego składu różnych rodzajów zajęcia klas niebezpieczeństwa, stosownie do stopnia grożących wypadków i układanie dla nich taryfy wnosić się mających opłat *(Gefahrentarif)*. Najniebez-

piecznejsze zajęcie oznacza się cyfrą 100, inne, mniéj niebezpieczne, stopniowo coraz niższemi cyframi. Taryfa przedstawiona jest do zatwierdzenia państwowemu urzędowi ubezpieczeń i podlega rewizyi za pierwszym razem po upływie lat dwóch, następnie co lat pięć. Przy rewizyi téj brane są pod uwagę wypadki, jakie w upłynionym okresie miały miejsce w rozmaitych zajęciach, poczém ogólne zgromadzenie wprowadza zmiany w taryfach niebezpieczeństwa, podnosząc lub obniżając na następny peryod opłaty, stosownie do ilości zaszłych w ubiegłym peryodzie wypadków,—zmiany te również podlegają zatwierdzeniu państwowego urzędu ubezpieczeń, któremu na usprawiedliwienie wprowadzonych zmian przedstawić należy wykaz zaszłych wypadków.

Instytucya ubezpieczeń od wypadków nie ogranicza się na wynagrodzeniu szkód, przez wypadki spowodowanych, ale idzie jeszcze daléj i podejmuje środki prewencyjne, mające na celu zapobieganie wypadkom, i tém przyczynia się wielce do zmniejszenia liczby nieszczęść i ofiar, do uchronienia ludzi od kalectwa i śmierci.

Zasada wzajemności, na któréj opiéra się instytucya, wpływa na to, iż nietylko każde stowarzyszenie, ale każdy stowarzyszony interesowany jest w tém, aby wypadki jak najrzadziéj się zdarzały, gdyż im mniéj wypadków, tém niższa składka asekuracyjna.

Powierzanie pieczy nad bezpieczeństwem robotników instytucyi ubezpieczeń jest daleko właściwsze, aniżeli organom rządowym, — inspekcye fabryczne, częstokroć przez nieznajomość stosunków i warunków przemysłu krępują zbytecznie swobodny ruch interesów, tymczasem organa stowarzyszeń zawodowych z jednéj strony obeznane dokładnie z przedmiotem, z drugiéj interesowane w ustrzeżeniu robotników od nieszczęść, znajdują w każdym pojedyńczym wypadku najodpowiedniejsze środki zabezpieczenia zdrowia i życia robotników, bez wkładania krępujących pęt na swobodny bieg fabrykacyi.

Samo układanie klas niebezpieczeństwa i ustanawianie wedle nich wysokości składek asekuracyjnych jest już bodźcem, zachęcającym zakłady fabryczne do przedsiębrania możliwych środków ostrożności i zniżania tym sposobem wysokości składek, lecz obok tego stowarzyszenia są mocne rozciągać kontrolę i nadzór nad bezpieczeństwem robotników, i mają prawo nakazać wprowadzenie do zakładów urządzeń, mających na celu uchronienie robotników od wypadków, a w razie niestosowania się do wydanych w tym względzie przepisów, nakładać kary i przenosić zakład do wyższéj klasy niebezpieczeństwa, jeżeli zaś przedsiębiorstwo zaliczone już jest do najwyższéj klasy, nałożyć na nieposłusznego podwójną premię asekuracyjną.

Dla dania pojęcia o wysokości składek asekuracyjnych w ogól-

ności, tudzież o różnicy, zachodzącéj pomiędzy różnemi kategoryami i klasami niebezpieczeństwa, podajemy w skróceniu taryfę, ustanowioną dla Austryi rozporządzeniem ministra spraw wewnętrznych z 22 maja 1889 r. na pierwszy rok administracyjny.

Wszystkie przedsiębiorstwa rozdzielone zystały na 12 kategoryi niebezpieczeństwa, do I-széj, najniższéj, należy pomiędzy innemi wyrób towarów złotych i srebrnych, do XII-téj, najwyższéj, pomiędzy innemi, fabryki dynamitu. W granicach jednéj kategoryi dzielą się pojedyńcze przedsiębiorstwa na klasy, stosownie do wysokości niebezpieczeństwa i z uwzględnieniem zaprowadzonych w nich urządzeń, zapobieganie wypadkom na celu mających.

Od każdych 100 guldenów zarobku płaci się:

w kategoryi niebezpieczeństwa	w klasie	guldenów	w kategoryi niebezpieczeństwa	w klasie	guldenów
I.	5	0,28	VII.	28	1,59
	7	0,40		34	1.93
II.	8	0,45	VIII.	35	1.98
	10	0,57		42	2,38
III.	11	0,62	IX.	43	2,44
	13	0,74		52	2,95
IV.	14	0,79	X.	53	3,00
	17	0,96		64	3,63
V.	18	1,02	XI.	65	3,68
	21	1,19		80	4,53
VI	22	1.25	XII.	81	4.59
	27	1,53		100	5,67

Za przyjęciem w Niemczech organizacyi stowarzyszeń zawodowych przemawiała obok względów historycznych, wspólność interesów pracowników jednego zawodu, tudzież jednakowe ryzyko, jakiemu oni podlegają, przy różnorodności jednak gałęzi, jakie nowoczesny przemysł wytworzył i niesłychaném zastosowaniu podziału pracy, przy którym na jeden drobny przedmiot często wiele różnorodnych składa się przemysłów, konsekwentne przeprowadzenie organizacyi zawodowéj staje się niemożliwém. Wielkie przedsiębiorstwa fabryczne, w skład których wchodzą najróżnorodniejsze gałęzie przemysłu, przyłączają się do stowarzyszeń zawodowych, do których należy przemysł, stanowiący główne zajęcie przedsiębiorstwa, z czego wynika, że do stowarzyszeń zawodowych należą najrozmaitsze rodzaje przemysłu, nic wspólnego ze sobą nie mające.

Ale i w drobniejszych przedsiębiorstwach łączą się rzemiosła, których żadna nić wspólnego interesu, lub równego ryzyka nie łączy. I tak np. do stowarzyszenia przedsiębiorców, wytwarzających środ-

ki pożywienia, którego skład wyżéj poznaliśmy, należą pomiędzy innymi piekarze i rzeźnicy, w inném znowu spotykamy połączonych szewców i praczki, — trudno pomiędzy ludźmi tak różnorodnych zajęć znaleść wspólność interesów i równość ryzyka, a powód, że jedni zajmują się przygotowywaniem środków pożywienia, a drudzy odzieży nie jest dostateczny do zaliczania grup tych do stowarzyszeń zawodowych.

Ujemną stroną stowarzyszeń zawodowych jest kosztowny i ciężki ich aparat administracyjny, — nie jedno stowarzyszenie rozciąga działalność swoją na całe państwo, a rozproszeni uczestnicy napotykają na wielkie trudności w komunikowaniu się i załatwianiu interesów, koncentrujących się w siedlisku instytucyi, znajdującém się w stolicy.

Niedogodności połączone z organizacyą zawodową, tudzież układ polityczny i etnograficzny państwa austryackiego były powodem, iż tam przyjęto organizacyę terytoryalną, polegającą na tém, iż na pewnéj ściśle ograniczonéj przestrzeni kraju znajduje się jedno stowarzyszenie, do składu którego wchodzą wszystkie przedsiębiorstwa, kwalifikujące się do ubezpieczenia i na danėm terytoryum operujące, bez rozróżnienia rodzajów przemysłu przez nie uprawianych.

Rozporządzeniem ministeryum spraw wewnętrznych z 22 stycznia 1889 r. utworzono 7 stowarzyszeń, a mianowicie:

1) dla Czech ze siedzibą w Pradze;

2) dla Dolnéj Austryi ze siedzibą w Wiedniu;

3) dla Górnéj Austryi, Salzburga i Tyrolu ze siedzibą w Salzburgu;

4) dla Styryi i Karyntyi ze siedzibą w Gracu;

5) dla Morawii i Śląska ze siedzibą w Bernie;

6) dla Galicyi i Bukowiny ze siedzibą we Lwowie;

7) dla Tryestu, Gorycyi, Istryi, Krainy i Dalmacyi ze siedzibą w Tryeście.

Każde z tych stowarzyszeń stanowi oddzielny zakład ubezpieczeń i oparte jest na zasadzie wzajemności, — członkami jego nie są, jak w Niemczech, sami tylko przedsiębiorcy i oficyaliści. Zarząd stanowi kolegium, do składu którego wchodzą w równéj ilości przedstawiciele przedsiębiorców, robotników i rządu.

Za niewielki udział pieniężny, wynoszący zaledwie 10%, robotnicy mają w instytucyi austryackiéj wielkie przywileje, w Niemczech robotnicy nietylko do zarządu nie należą, ale nawet nie są uczestnikami,—udział ich w sprawach instytucyi ograniczony jest do trzech atrybucyi: są członkami sądu polubownego, mają dwóch przedstawi-

cieli w państwowym urzędzie ubezpieczeń i przyjmują udział w naradach nad środkami zapobiegania wypadkom, — w Austryi natomiast robotnicy są w instytucyi równouprawnieni z przedsiębiorcami.

Kontrolę rządową nad instytucyą ubezpieczeń wykonywa w Niemczech wspomniany wielokrotnie państwowy urząd ubezpieczeń, złożony z trzech stałych i 8-miu niestałych członków. Pierwszych, a w ich liczbie prezydującego mianuje dożywotnio cesarz, z pomiędzy niestałych członków mianuje 4-ch rada związkowa (*Bundesrath*), 2-ch zarządy stowarzyszeń, a pozostałych dwóch przedstawiciele ubezpieczonych robotników,—koszta urzędu państwowego ponosi skarb.

W Austryi, jak wspomnieliśmy, do składu każdego zakładu ubezpieczeń wchodzi trzecia część członków zarządu, mianowana przez państwo,—zwierzchni nadzór nad zakładami wykonywa władza krajowa i minister spraw wewnętrznych.

J. Kirszrot-Prawnicki.





Powieści Estei.

„Za oceanem“, powieść współczesna (Warszawa, S. Lewental, str. 329) — „Mój testament“, „Mea“, „W sercu garbuska“ (Kraków-Warszawa, Gebethner i Wolff, 1891, str. 348). — „W sieci pajęczéj“, powieść (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1892, str. 360).

Pierwszy występ Estei („Kartki z życia kobiéty“) powitany był salwami konkursowemi, które wyrobiły nowemu pseudonymowi w świecie literackim i wydawniczo-księgarskim wziętość i powodzenie, objawiające się zamówieniami do odcinków dziennikarskich i odbitkami książkowemi. Autorka nie omieszkała z powodzenia tego skorzystać, dawała nowych rękopismów sporo i oto mamy przed sobą trzy tomy jéj obrazków i powieści, nie licząc tych, które jeszcze dotychczas w spowiciu felietonowém spoczywają.

Gdyby mi wypadło w najzwięźlejszych słowach określić, jaki nowy czynnik wniosła Esteja do naszego powieściopisarstwa, odpowiedziałbym bez wahania, że spopularyzowała u nas flirt.

Istotnie, ani spostrzegawczość, ani namiętność, ani dowcip, ani styl nie są najwybitniejszą cechą jéj utworów; każdy bowiem z tych czynników ma w dzisiejszém piśmiennictwie naszém świetniejszych od Estei przedstawicieli, ale nikt dotychczas nie użył u nas tyle razy, co ona słów: flirt, flirtować, flirtowanie i flirtaż, nikt tak silnie, jak ona, nie odtworzył usposobienia, nastroju, kaprysów, tryumfów i upokorzeń „kapłanek flirtu“, nikt tak dobitnie jak ona, choć w rysach nader łagodnych, nie uwydatnił próżni wewnętrznéj tych bogatych i wytwornych towarzystw, wśród których swywolny nastrój modnego flirtowania zastąpił prawdę, szczerość i głębię uczucia.

Nie chcę przez to powiedzieć, jakoby Esteja nie pojmowała i nie

odczuwała wielkich, silnych namiętności, albo jakoby chciała „kapłanki flirtu“ do ideału podnosić; ale notuję tylko spostrzeżenie, iż w przedstawieniu uczuć szlachetnych, usposobień poważnych, charakterów dzielnych, jest ona nieskończenie słabszą, niż w malowaniu istot lekkomyślnych, samolubnych, wietrznych, kapryśnych. Dodatnie jéj postaci są albo bardzo ogólnikowo, albo niekonsekwentnie lub nawet nieudolnie kreślone, gdy przeciwnie postaci ujemne w dopiéro co wskazanym kierunku prawie wszystkie pełne są życia, tak że w ich prawdziwość bez trudu uwierzyć można.

Zobaczmy to na kilku przykładach. Hartownym, dzielnym, szlachetnym, poświęcającym się człowiekiem jest Tadeusz w powieści „Za oceanem“. Odznacza się on energią i stanowczością za dwóch, bo za siebie i za brata Henryka, kapryśnego egoistę o artystycznych popędach. Wyrzeka się dla dobra tego brata swéj głębokiéj miłości do Lorci, pracuje od świtu do nocy, trzebiąc lasy dziewicze w Kanadzie, ażeby módz opłacić długi lekkomyślnego artysty, który zdobywa sobie, jako rzeźbiarz, ogromny rozgłos w Ameryce, a co za tém idzie ogromne dochody, ale je trwoni na przeróżne zachcianki. Jest on opatrznością dla Henryka, nie wymagając od niego nawet współczucia. Autorka chętnie obdarza Tadeusza temi przymiotami, ale ani myśli robić z niego główném figury w swojém opowiadaniu, nie myśli opisywać szczegółowo jego trudów i zawodów w mozolnéj pracy kolonisty;—byłaby to dla niéj postać zanadto prozaiczna; ona woli oddać pierwszeństwo błyskotliwym talentom towarzyskim Henryka. Dla Tadeusza ma Esteja cześć, że tak powiem, obowiązkową, dla jego brata—pewien rodzaj uwielbienia, jakiém płoną dla niego serca pensyonarek, kapłanek flirtu, a nawet poważnie usposobionych dziewic. To też postać Tadeusza należy do licznéj falangi papierowych tylko doskonałości, jakiemi powieściopisarze, zwłaszcza dawniejsi, zwykli byli czynić zadość wymaganiom etycznym, by módz już swobodnie oddać się malowaniu powabnych występków; postać zaś Henryka nakreślona została z zamiłowaniem, lśni żywemi barwami aż do chwili, gdy się w nim budzi prawdziwa namiętność. Wówczas pod piórem Estei przeistacza się Henryk w komunał melodramatyczny, jakich mamy w powieści naszych poddostatkiem. Nie dba już o niego autorka, szkicuje tylko główniejsze sytuacye, ażeby czemprędzéj śmiercią jego, wynikłą z pojedynku amerykańskiego, zakończyć.

Podobnież rzecz się ma z postaciami kobiécemi w téj powieści. Cóż my wiemy o szlachetnéj, rozumnéj, pełnéj ufności i wiary Lorci? Parę drobnych scenek, kilka urywków z listów i pamiętnika — oto wszystko. I w szczupłéj ilości wyrazów można niewątpliwie zawrzéć

wyborną charakterystykę; ale uwagę tę trudno zastosować do sposobu nakreślenia Lorci. Poznajemy ją zanadto mało, figura jéj przedstawia się mglisto; więc też nie możemy się do niéj przywiązać, nie możemy głęboko spółczuć jéj niedoli, powstałéj wskutek zawiedzenia się na Henryku. Nie mamy jéj za złe, że się na małéj wartości moralnéj artysty nie poznała, boć nieraz istotnie rozumne kobiéty dają się porwać blaskom zewnętrznym; ale wydaje się nam ona obdarzoną zbyt chłodnym temperamentem, ażeby naprawdę długo cierpiała z powodu omyłki serca, cierpi ona raczéj z powodu poznania omyłki rozsądku, a takie cierpienia, lubo dotkliwe na razie, nie zwykły pociągać za sobą długotrwałych skutków. Jakoż w parę lat po śmierci Henryka widzimy Lorcię zadowoloną i szczęśliwą żoną Tadeusza. — A Daisy? Ta śliczna, miluchna, wesolutka, szczebiotliwa Daisy jest wybornie nakreśloną figurką, dopóki znamy ją jako pensyonarkę, czy to czytającą Henrykowi na statku, czy w gronie rówieśnic rozprawiającą o przywilejach niewieścich, słowem dopóki poważna strona życia, wywołana bankructwem matki, nie zmąciła jéj lekkomyślnego spokoju, dopóki nie potrzebowała myśléć o swojém utrzymaniu. Wtedy cały urok jéj pryska; odrazu ginie wesołość i rozmowność, pewność siebie i wiara w przyszłość. Wtedy też autorka rozstaje się z nią nadługo, bo nie lubi kreślić scen smutnych, i nie umié wydobyć z przejść bolesnych takiego tonu, któryby głęboko wniknął w serce czytelnika. A przeciwnie, z jakiém ożywieniem i upodobaniem opowiada nam dzieje kaprysów i fantazyi niby-to demonicznéj lady Dolly! Demoniczności tu w gruncie nie ma zgoła, lecz jest kobiéta bogata, pieszczona, nie trudniąca się niczém prócz zadawalniania zachcianek, jakie jéj przyjdą do głowy. Podobał się jéj rzeźbiarz, okazujący z początku opór pewien, więc zwróciła wszystkie siły swych wdzięków, ażeby do jego wyobraźni i zmysłów przemówić, ale namiętność w niéj samej nie zagrała; zbyt jest rozsądną i zimną, ażeby się wahać w wyborze męża: piękny Henryk zostanie pokonany przez brzydkiego Rowlanda, bo jeden ma tylko talent i piękność, a drugi posiada miliony. Esteja w wielkiéj obfitości przytacza rysy, charakteryzujące tę istotną bohatérkę powieści „Za oceanem", a szereg rozmów niby miłosnych, sytuacyi drastycznych, szlichtad, balów, regat, wyścigów daje wybornie poznać sferę wyobrażeń i stosunków, wśród których biegnie życie takich istot, jak lady Dolly. Dlatego też z całéj galeryi osób powieściowych, ta, jako najplastyczniéj odtworzona, najdłużéj zostaje w pamięci.

A któraż postać z powieści „W pajęczéj sieci" najlepiéj, najkonsekwentniéj i najżywiéj została przedstawiona, jeżeli nie księżna

Marta, mająca tyle cech wspólnych z lady Dolly, że niemal za tęż samę osobę poczytaną byćby mogła, gdyby nie odmienne stosunki towarzyskie? Piękna, wesoła, złośliwie dowcipna, wielką przytomnością umysłu obdarzona, a więc umiejąca się wywikłać z najdrażliwszego położenia, nie mająca żadnych przekonań, ale posługująca się wszystkiemi w miarę potrzeby, obrotna i przewrotna, drwiąca ze wszystkiego i wszystkich, nie zna innéj miłości, prócz miłości własnéj, lecz pragnie obudzić w mężczyznach, czy nawet kobiétach, uwielbienie dla swych zalet i słabości. W każdém jéj znalezieniu się i przemówieniu widać staranie, nie kosztujące ją zresztą żadnego wysiłku, by się podobać i czarować, a gdy się to nie udaje, co się zresztą zdarza rzadko, występują na wierzch głęboko pod uśmiechniętą maską skryte tygrysie wejrzenia i pazurki, któremi umié się wpić w serce swéj ofiary. I ona, podobnie jak lady Dolly, jak wszystkie kokietki, przedewszystkiém ubiega się o wymuszenie hołdów od takich, co jéj opór stawiają, by módz ich następnie z lekceważeniem i pogardą precz odtrącić; dlatego rozpłomienia innych, że sama jest zimna. Wyborna w każdéj sytuacyi, zwycięska w każdéj szermierce słownéj, ma jednę tylko pod względem artystycznym wadę: na maskaradzie, w rozmowie z hrabią Włodzimierzem postępuje i mówi jak gąska, a nie wytrawna słabości ludzkich znawczyni. Ale to jedno tylko ważniejsze potknięcie się w przedstawieniu postaci Marty, potknięcie się wynikłe z chęci zrobienia hr. Włodzimierza przebieglejszym jeszcze od księżny; a ileż takich, a nawet o wiele cięższych uchybień w wizerunku Reny, mającéj reprezentować rozum, cnotę i szlachetność. Nie jest-tó osoba, lecz poprostu zlepek różnorodnych stanów psychicznych, występujących luźnie obok siebie, bez spólnego podścieliska duchowego, niewymotywowanych, niezharmonizowanych. Uboga dziewczyna po śmierci matki i starszéj siostry przybywa do bogatych i utytułowanych krewnych, przeczuwa szereg upokorzeń, a na myśl o nich postanawia bawić tu jak najkrócéj, użyć wolnego czasu do przygotowania się na nauczycielkę, by się uwolnić od zależności i pójść w świat o własnych siłach. Była-to wszakże przelotna tylko mrzonka, która w dalszym ciągu powieści, kiedy już nie wyobrażonych jedynie, ale rzeczywistych i dotkliwych doznała Rena upokorzeń, nie postała w jéj głowie ani razu. Owszem, z bardzo poważnie myślącéj dziewczyny robi się niebawem, ba zaraz nazajutrz po przybyciu do domu krewnych, wyćwiczona w szermierce towarzyskiéj panna, jakby całe lata poprzednie w tym kierunku się ćwiczyła. I odtąd występuje ona w dwu odmiennych rolach, stosownie do tego, jaka się autorce dogodniejszą wydaje w rozsnuwaniu wątku powieściowego. Raz jest-to

kobiéta bardzo przytomna, bardzo zręczna, umiejąca wybornie się dostroić do tonu, jaki w otoczeniu swojém pragnie widziéć księżna Marta, rywalizującą z nią w podbojach salonowych, jeździe konnéj i polowaniu *par force*; drugi raz natomiast wygląda, jakby trzech zliczyć nie umiała, niezaradna, krótkowidząca, łzawa bohaterka melodramatu. Słowem nie jestto istota żywa, mająca własną duszę, ale maryonetka poruszana wolą i zachceniem autorki. Tam, gdzie występuje w pierwszéj swéj roli, gdzie wesołą, dowcipną, lekkomyślną prowadzi rozmowę, przedstawia się interesująco, bo autorka jest w swoim żywiole; gdzie zaś wypadła na nią sytuacya dramatyczna, gdzie miała z głębi serca przemówić, staje się tak pospolitą i częstokroć niedorzeczną, iż niesmakiem przejmuje. Pomimo ciosów, jakie na nią spadają, nigdzie ona nie wzbudza szczerego, mimowolnego spółczucia, bo nie widzimy w niéj istoty rzeczywistéj, ale wytwór fantazyi, wcale nie troszczącéj się o zharmonizowanie rysów fizyognomii duchowéj. Ani jéj poświęcenie dla brata, ani sponiewieranie przez księżnę, ani podłe opuszczenie przez hr. Włodzimierza nie wywiéra głębszego wrażenia, bo widzimy dość wyraźnie, że to wszystko jest sztuczną tylko maszyneryą autorską.

Jest jedna powiastka Estei całkowicie poświęcona odtworzeniu uczucia szczerego, głębokiego i prawdziwego „W sercu garbuska". Przedmiot bardzo ładny. Nieszczęśliwy kaleka, od którego wszyscy stronią, który nie doznał nigdy nietylko miłości, ale nawet prostéj uprzejmości, upośledzony przez naturę, wzgardzony przez ludzi, zgorzkniał i mścił się, jak potrafił, na swojém niskiém stanowisku urzędnika pocztowego w małém miasteczku, wymyślając różne trudności w przyjmowaniu listów i posyłek. Razu pewnego zaszła do biura dziewczyna młoda, hoża, która jako hafciarka po raz pierwszy do miasteczka przybyła, i chciała posłać siostrze niewidoméj pięć rubli. Swojém zachowaniem się, słowami grzecznego powitania i prośby rozbroiła mruka nieużytego, tak, że własnoręcznie adres na liście wypisał. Od tego czasu, nieodpychany, przylgnął do dziewczyny, wdawał się z nią w rozmowę, cieszył się niewymownie każdym jéj uśmiechem, każdém słówkiem cieplejszém. A postępowanie Marcysi względem garbuska nietylko nie wywołało w miasteczku uwłaczających jéj komentarzy, lecz nadto stało się początkiem zwrotu opinii na korzyść kaleki, bo, co prawda, i on ku temu się przyczynił, zaniechawszy szykan swoich biurowych. Gdy Marcysia, skończywszy robotę, wróciła do Warszawy, Walery pojechał tam raz jeden, drugi i trzeci i przy pomocy niewidoméj siostry, potrafił skłonić ładną dziewczynę, by mu rękę oddała. Odtąd cały się poświęcił jéj uszczęśliwieniu i sam

był nad wyraz szczęśliwym. Chwilowo zachmurzył się widnokrąg jego życia, gdy mu plotki doniosły o mniemanych sukcesach wyperfumowanego aptekarza u jego żony; posmutniał, ale nie śmiał napomknąć nawet żonie o powodzie swego cierpienia, zaczął co więcéj w duchu przyznawać, że ta żona nie mogła go przecież kochać ciągle, że musiał się jéj podobać przystojny i prosty jak świéca aptekarz. Ale niebawem sama żona dowodnie wywiodła go z błędu, wskazując aptekarza jako łotra, co śmiał nieprzystojne żarty z niéj stroić. Kijem obity farmaceuta nie nawijał się już na oczy Waleremu. Ale nieszczęście czyha na człowieka. Połóg Marcysi odbył się nieszczęśliwie; dziecko umarło; ona sama leżała w gorączce, lekarstwa nie pomagały; było podejrzenie, że jedyny w miasteczku aptekarz zemścił się za swój wstyd w sposób dla niego najdostępniejszy. Po śmierci ukochanéj żony, Walery długie jeszcze lata chodził na pocztę, pisał i pieczętował, ale już nie zrzędził. Cichy był, potulny, pokorny, obojętny.

Gdyby temat taki obrobiła Orzeszkowa, mielibyśmy przejmujący do głębi i na wskroś prawdziwy obrazek z życia tych nieznanych bohatérów uczucia, co pod niepozorną postacią i w formie prostaczéj kryją skarby serdeczne. Ale Esteja, przyzwyczajona do malowania wzruszeń przemijających i kaprysów fantazyi, właściwych sferom próżniaczym, nie potrafiła z dobrego tematu wydobyć wszystkich zalet, jakie on w sobie mieścił i poprzestała na gładkiéj opowieści faktów zewnętrznych, nie zawsze widocznie wprost z obserwacyi zaczerpniętych, ale częstokroć przez wyobraźnię dostarczonych. Wzruszenia i tu nie doznajemy, a poczucie prawdy nieraz bywa zakłócone rysami, których autentyczność musi być zakwestyonowana, choćby dla przykładu przytoczyć wypadło tylko sprzeczkę kumoszek o kolor skóry dyabła, czy jest czerwona, zielona, czy czarna, oraz sposób, w jaki sprzeczka ta była prowadzona, albo to, że potrzeba było dopiéro Marcysi, ażeby przekonać świat małomiasteczkowy, że garbus to także stworzenie Boże. Takie koncepta mogą przyjść osobom, przy stoliku, rozmyślającym nad wyobrażeniami ludu, ale nie szukającym ich u ludu samego. Te spostrzeżenia równie są prawdziwe, jak to, że wychowana na wsi Krasunia („W sieci pajęczéj“) mogła mniemać, iż konie tak samo, jak ludzie, najwięcéj brykają w dwudziestym roku życia. Takie Krasunie znają się na tych rzeczach trochę lepiéj od niejednéj autorki czy autora.

Ażeby ocenić, jaka jest różnica w stopniu doskonałości wykonania artystycznego, kiedy Esteja bierze temata z ulubionéj sfery, dość zestawić i porównać opowieść „W sercu garbuska“ z obrazkiem ka-

nadyjskim: „Mea“. Tam gładkie tylko przedstawienie rzeczy, tu siła, werwa, żywość, plastyczność, dowcip, rozmaitość i w znacznéj części prawda. Bo „Mea“ znowuż jest reprezentantką flirtu, kaprysu, fantazyi. „Mea“, to odmiana lady Dolly z jéj nieustraszonością i bezwarunkowością w wymaganiach względem wielbicieli. Korzystając ze swobody panien amerykańskich, Mea dla wypróbowania swego narzeczonego, który nie chciał podzielić jakiegoś jéj sądu, wybiéra sobie na statku, tak na poczekaniu, drugiego narzeczonego w osobie Francuza, który z wielką fantazyą, nadzwyczajném ugrzecznieniem, ale nie dużą odwagą, bierze na seryo narzuconą sobie rolę i dla miłości milionów stara się spełnić wszystkie zachcenia bohdanki. Męczy się okrutnie, dźwigając ciężki pakunek do hotelu, bo Mea była przekonania, że nie należy brać dorożki, włazi na drzewo w cudzym opuszczonym ogrodzie, by nałamać gałęzi, bo Mei przyszła ochota upiec sobie kartofli i t. p. Wszędzie jak cień towarzyszy zdala téj parze pierwszy narzeczony i pojawia się w chwili niebezpieczeństwa. Gdy Mei błysła w głowie fantazya zejść na spód wodospadu i gdy Francuz pomimo czci dla milionów nie chciał narazić życia, William zeszedł z nią razem, dobył z wody jakieś wskazane sobie zielsko, oddał je Mei i nie mówiąc ani słowa, oddalił się. Mea już wtedy poczuła, jakim skarbem jest William, ale duma jéj nie pozwoliła na razie uznać swéj winy; dopiéro po niejakim czasie, zrzuciła pychę z serca i sama zbliżyła się do Williama, który ją czcił jak bóstwo.

Nie myślę utrzymywać, iżby wszystkie szczegóły, przytoczone w tym obrazku, tchnęły prawdą realną; zdaje mi się owszem, że autorka zestawia dowolnie rysy zauważone w odmiennych trochę od siebie sferach; ale choćby szczegóły materyalne niezupełnie były prawdziwe, prawda psychiczna w zobrazowaniu zachcianek Mei nie może być podawana w wątpliwość; analogicznych objawów nie potrzeba szukać, aż za oceanem; można je znaleść i na gruncie rodzinnym. Przytém żywość opowiadania, komizm sytuacyi, dowcip w rozmowach, przesłaniają braki prawdopodobieństwa i czynią ten obrazek kanadyjski bardzo udatną humoreską.

Tak więc to, co lekkie, wesołe, komiczne, swobodne, albo nawet swywolne, znalazło pod piórem Estei wyśmienitą niejednokrotnie wyrazistość, gdy to, co poważne, szlachetne, wzniosłe, tragiczne, wychodzi z jéj przedstawienia jako komunał bez życia, albo co najwyżéj jako robota poprawna, gładka, ale nie uderzająca prawdą obserwacyi, ani téż przejmująca dreszczem silniejszego uczucia.

Zdaje się, że autorka ma świadomość téj właściwości swego talentu, a ponieważ jest indywidualistką w artyzmie, wyrobiła więc sobie pewną teoryjkę, usprawiedliwiającą i wybór tematów i sposób

ich obrabiania. Teoryjkę tę wygłosiła przez usta bohatérki „Mojego testamentu.“ Jest-to arystokratka, pojmująca arystokracyę w znaczeniu panowania „najlepszości“, szlachetna, rozumna, smętnie dowcipna, patrząca na wszystko z wyżyn duchowych, nieszczęśliwa, bo zagrożona dziedziczną chorobą anewryzmu serca, a jeszcze bardziéj dlatego, że sama kochając, jak jéj się zdaje, z głębi serca, obudziła tylko miłość nerwów i fantazyi w kuzynie swoim, artyście Stefanie. Ma więc niewątpliwie dużo powodów, by żądać od literatury czegoś wielkiego i głębokiego; tém charakterystyczniejszym więc — nie dla niéj zapewne, ale dla autorki, co postać tę utworzyła — jest jéj pogląd na zadanie poezyi, oraz krytyka naszego piśmiennictwa, wymierzona przeciw „wielkim celom“, które według niéj „tak nas pochłaniają, że w każdéj nowelce, powieści, wierszyku, bajce, jak szydła z worka wychodzą, — niestety, tak wszystko do owych celów nagięte, wyprężone, że biała nić fastrygi wszędzie na wierzchu.“

Dziwna rzecz, iż taka niby głęboka myślicielka, oddająca się z zamiłowaniem studyom poważnym, nie zrozumiała, że jeżeli „biała nić fastrygi“ wszędzie na wierzch wychodzi, to nie wielkie idee temu winny, ale nieumiejętność krawców-artystów. Jeżeli z dwu dzieł, odznaczających się jednakowemi zaletami artystycznemi, jedno przedstawia jakąś osobistość podniosłą, jakieś uczucie z najgłębszych warstw serca ludzkiego wydobyte, jakąś myśl pokrzepiającą, a drugie — osobistość pospolitą, uczucie przemijające, myśl zwątpienia pełną; to z pewnością pierwsze będzie miało większą od drugiego wartość nawet estetyczną, nietylko społeczną, bo nie rozstrój, ale harmonia; nie obniżanie poziomu natchnień, ale podnoszenie go było i jest zadaniem sztuki.

Autorka przez usta swéj hrabianki odpowie na to, jak odpowiadali przed laty zwolennicy hasła: sztuka dla sztuki: „Tendencyjność zabija naturalność; nikt się widocznie nie trzyma zasady, aby pisać w celu z a d o w o l e n i a s i e b i e s a m e g o, s w e g o e s t e t y c z n e g o z m y s ł u. Wszyscy o tém myślą, aby olśnić publiczność wielkością wytkniętego celu. Obrok duchowny tu, obrok duchowny tam; nauczka na prawo, natarcie uszu na lewo; — a suchy, drewniany drogoskaz swoją pomalowaną z gruba, niezgrabną rękę wyciąga z frazesu każdego.“ Pomijając w téj zbieraninie frazesów jéj nieskładność, zauważyć najprzód muszę, że użycie zbyt elastycznego wyrazu „tendencyjność“ mąci kwestyę, zamiast ją rozjaśniać. Jeżeli wyraz ten ma oznaczać naciąganie słów i sytuacyi do zgóry powziętéj myśli, bez względu na istotny charakter osób i naturalny bieg spraw ludzkich, to oczywiście utwór artystyczny w ten sposób napisany nie posiada

żadnéj estetycznéj wartości, chociażby najlepszemi odznaczał się intencyami. Pod tym względem nie może być najmniejszego sporu. Ale téż takich utworów we spółczesnéj literaturze naszéj nie mamy prawie wcale; tyrada zatém hrabianki chybia celu, bo się odnosić może do okresu już przebrzmiałego. Jeżeli zaś tendencyjność utożsamimy z wprowadzeniem do powieści lub poezyi zagadnień, mających głębsze znaczenie czy psychologiczne czy społeczne, z malowaniem ludzi nietylko bawiących się i flirtujących, ale téż myślących i działających dla pożytku ogólnego, to protest hrabianki przeciw takiéj tendencyjności byłby niedorzeczny, bo taka tendencyjność zgoła nie zabija naturalności, tylko jéj zakres rozległy, właściwy objawom życia spółczesnego, przyznaje i na jaw wyprowadza.

Zasada pisania „w celu zadowolenia siebie samego, swego estetycznego zmysłu“, głoszona przez krańcowych indywidualistów, miałaby za sobą słuszność, gdyby artyści tworzyli dla siebie samych, a nie dla ogółu. A chociaż nie jeden poeta pisał tak, jak Kochanowski: „sobie śpiewam a Muzom“, — to przecież trudno to wyrażenie brać za co innego, jak za objaw chwilowego rozgoryczenia względem tego czytającego ogółu, o którego uznanie mu chodziło.

Niewątpliwie, każdemu artyście pozostawić należy zupełną swobodę zarówno w wyborze tematów, jak i w sposobie ich traktowania; artysta istotnie musi przedewszystkiém zadowolnić siebie, jeżeli nie chce się stać rzemieślnikiem wyrabiającym rzeczy pokupne; ale to nie znaczy bynajmniéj, iżby ogół miał przyjmować biernie a z zachwytem wszystkie indywidualne upodobania artysty; ten ogół ma również swój smak i swoje ideały, i według nich przyjmuje lub odrzuca pomysły jednostki tworzącéj. Wśród ogółu znowuż istnieje grupa ludzi, chcących sobie zdawać krytyczną sprawę zarówno z natchnień artysty, jak i ze smaku ogółu; ta grupa ma również prawo, a do pewnego stopnia i obowiązek wypowiedzenia swoich poglądów, choćby się one nie zgadzały z dążeniem twórcy lub smakiem mas, albo téż z obojgiem razem.

Jak większość artystów, tak i Esteja lekceważąco traktuje krytykę, zarzucając jéj stronność i niesprawiedliwość. „Nigdzie tak jak u nas— mówi ona, ciągle przez usta hrabianki — krytyka od fantazyi nie zależy. Częściéj jednak z błotem miesza i prawdziwe nawet talenta zniechęca, z p u n k t u (!). Powinna jednak zachęcać jak najwięcéj; boć jeżeli któryś ze starożytnych mędrców powiedział, że trudno być głupszym aniżeli ogół, to według mego zdania, u nas trudno gorzéj pisać, aniżeli ogół literatów naszych; stąd tytuł do śmiałego bratania się z piórem.“ Nie myślę tu kruszyć kopii w obronie kry-

tyki i ogółu literatów, jaknajdaléj bowiem chciałbym pozostać od wszelkich osobistych przyczepek i od podejrzenia, jakobym własnéj bronił sprawy; to wszakże wypowiedzieć muszę, że jak bywają krytyki niesprawiedliwe, tak téż bywają pretensye autorów nieuzasadnione. Wolno oczywiście Estei obrabiać z zamiłowaniem i werwą rzeczy dalekie od podniosłości etycznéj, ale téż wolno krytyce wyrazić opinię, że dotychczasowe jéj utwory, a zwłaszcza powieść „W sieci pajęczéj“, są przesiąknięte narkotycznemi wyziewami niezdrowego erotyzmu i pozostawiają po sobie takie wrażenie, jakby się zbyt długo przebywało w atmosferze dusznéj, na którą się złożyły bardzo różnorodne, nie zawsze najprzyjemniejsze, ale zawsze zanieczyszczające powietrze, zapachy. Wyłączam z pod tego zarzutu dwa tylko obrazki: „Mea“ i „W sercu garbuska.“ Obrazy przez nią kreślone zadawalniają wyobraźnię i zmysły, ale nie wywołują przyśpieszonego bicia serca, nie napełniają duszy szlachetnemi pragnieniami, nie czynią zadość wymaganiom wykształconego rozumu. To, co nam z Kanady przywiozła, nie warte fatygi tak dalekiéj podróży, bo przedstawiła nam tych tylko, co się bawią i zbytkują, pomijając tych, co myślą i działają. Na ironią też wygląda zachęta, podana seryo przez Esteję paniom naszym, żeby emigrowały za ocean, jeżeli „zamiast baniek mydlanych“ wolą „rzeczywistość“, t. j. istotne królowanie nad mężczyznami. Bo jeżeli o flirt chodzi, nie potrzebują go podobno panie nasze aż w Ameryce się uczyć...

Esteja ubolewa nad „miernością“, panującą w naszéj beletrystyce. „Jedna gwiazda pierwszorzędnéj wielkości — mówi ona — po za nią mierność, mierność i jeszcze mierność.“ Potrzeba mieć nadzwyczajną wiarę w siebie, ażeby tak bezwzględny, stanowczy wyrok wygłosić. Dobrze jest ludziom z taką wiarą, ale w naszym wieku krytycznym, trudno, aby ją wszyscy podzielali; ba, znajdą się nawet niegrzeczni, co z niéj zażartować sobie pozwolą. Gdy się ją pieści we własném sercu, nikt przeciwko temu nic mieć nie może, ale gdy się ją w druku objawia, potrzebaby złożyć dowód, że ona nie jest tylko podmiotowém urojeniem. A przedewszystkiém należałoby okazać, że się włada dobrze narzędziem, którém się powieściopisarze posługują, t. j. językiem i stylem. Kto co krok popełnia galicyzm, używając w zdaniach przeczących przysłówka *więcéj* zamiast *już*; kto najmniejszéj nie ma staranności o budowę zdań i ich połączenia; kto ladajakiemi porównaniami i przenośniami się zadawalnia, — ten nie może udowodnić swego mistrzostwa nad narzędziem, którego używa, i gotów ściągnąć na siebie zarzut, iż zbyt śmiało brata się z piórem. A nie chciałbym wcale, ażeby zarzut taki był skierowany ku pismom Estei,

bo ona ma talent, tylko zanadto pośpiesznie tworzy, i o ile wnosić wolno z zastanowienia się nad artyzmem roboty, dobywa z teki dawniejsze swoje prace („W sieci pajęczéj“) i korzystając z rozgłosu, puszcza w obieg rzeczy słabe, źle ułożone i źle napisane, nad które sama się już obecnie wzniosła.

Należy więc do niéj zastosować jednę z uwag hrabianki, rozprawiającéj o piśmiennictwie naszém, i powiedziéć, że nie stara się talentu swego pracą wzbogacić. Marnowanie się zdolności wskutek pośpiesznéj i dorywczéj roboty zdarza się coraz częściéj nietylko u nas, ale i gdzieindziéj, i powinno być przestrogą dla każdego autora, który nie chce, ażeby do niego zwrócono sąd Estei o spółczesnéj literaturze naszéj.

Piotr Chmielowski.





Z przeszłości miast podgórskich.

Waleryan Heck. Archiwa miejskie księstw Oświecimskiego i Zatorskiego. Kraków. 1891 (8-o, str. 112).

W sprawozdaniu z posiedzenia komisyi historycznéj z 20 marca 1891, a następnie w kwietniowym zeszycie „*Bulletin International de l'Académie des Sciences de Cracovie*" ukazało się krótkie sprawozdanie z wycieczki archiwalnéj do dawnych księstw Oświecimskiego i Zatorskiego, odbytéj przez p. Waleryana Hecka, profesora gimnazyalnego. Notatka ta zwróciła moją uwagę, bo jakkolwiek autor narzeka na samym wstępie, że poszukiwania skąpy tylko plon mu przyniosły, mieściła jednak w sobie wzmianki o statutach cechowych, lustracyach i uchwałach radzieckich, dotyczących administracyi miejskiéj. To wystarczało, ażeby rozbudzić pewną ciekawość; lustracye są przecież źródłem nad źródłami, bo pokazują, że się tak wyrażę, społeczeństwo w przekroju; administracya małych mieścin, to kamień probierczy cywilizacyjnego stanu szerokich mas jego, a statuta cechowe, to nieraz jedyne klucze do zrozumienia historyi walki o byt, historyi zarobku, téj zapomnianéj, a najważniejszéj gałęzi nauki dziejów. Gałąź ta dziś ledwie pączkuje, ale gdy kiedyś się stanie rozległym konarem, więcéj nam wyjaśni zagadnień i więcéj rzuci światła na przeszłość narodu, niż cała historya polityczna, która sama nie zdoła pomimo wszelkich wysiłków odpowiedzieć na pytanie najważniejsze: jak się wytworzył taki, a nie inny charakter narodowy? Nie pomiatam historyą polityczną, uważam ją za niezbędną i sam na téj niwie chętnie pracuję, ale główny trakt dziejów znajduje się bądźcobądź poza nią, a prawdopodobnie w historyi powszedniego życia. Życie potoczne, w biegu swym najmniéj, a raczéj całkiem rewolucyom nie podlegające, zmienia się ciągle, nieustannie, choć nie-

znacznie; każdorazowa jego forma jest wynikiem wszystkich bez wyjątku czynników, które tylko na człowieka oddziałać mogą, czy to się do nich przystosowuje, czy to je przezwycięża; ono jest widomym znakiem wypadkowéj całéj działalności człowieka. Przestarzałem też już jest zapatrywanie, jakoby jedne objawy dziejowego życia ważniejszemi były od drugich; jedna kategorya zjawisk dziejowych może być od drugiéj głośniejszą, wyrazistszą, naoczniejszą — lecz przenigdy ważniejszą; dla historyka winny być wszystkie jednakowo ważne w imię wszechstronności metody.

Skąd jednak wziąć źródeł do téj historyi społeczeństwa? Jest ich znacznie więcéj, niż się na pozór zdaje, chodzi tylko o to ażeby były należycie wyzyskane. Do dziejów starożytnych źródeł na ilość także jest niewiele, a piśmiennych bezpośrednich wogóle nader mało, a jednak historya starożytna jest najlepiéj i najwszechstronniéj opracowaną częścią historyi powszechnéj. Wiemy dokładnie, jak przepędzali swe życie nietylko Grecy, ale nawet Egipcyanie różnych zawodów; najlepsze pod tym względem np. powieści historyczne tyczą się odległéj starożytności; niech jednak kto sprobuje nakreślić życie polskiego średniego szlachcica, wiejskiego plebana, rzemieślnika lub chłopa bodaj już w XVI wieku! *Terra incognita!* Nie znamy bowiem dokładnie ówczesnych warunków życia i formy życia potocznego. Otóż źródeł do tego należy szukać — na prowincyi.

Historyograficzny nasz ruch chorował na centralizm, uwagę historyków absorbował dwór królewski i główne ogniska ruchu politycznego. Teraz jednak zaczyna się dokonywać szczęśliwy przełom pod tym względem; zrozumiano przynajmniéj, że punkt ciężkości społecznego rozwoju nie koniecznie spoczywa tam, gdzie się rozstrzygają sprawy polityczne. Nie doszło jednakże jeszcze do tego, ażeby uznano ogólnie, że do badań historyi społecznéj właściwą kopalnię dla historyka stanowi prowincya, miejsca oddalone od sfer rozstrzygających formalnie o losach narodu.

Jak co do stosunków współczesnych słyszymy np. jeszcze ciągle to zupełnie błędne zdanie, że Francya — to Paryż (nieprawda!), tak podobnież w historyi budzą interes naukowy niemal wyłącznie stolice, miasta wielkie, a prowincyę pomija się, jako nie mogącą dostarczyć nic tak dalece ciekawego do wyobrażeń naszych o przeszłości. „Tam się nic ważnego nie działo“, orzeka się krótko, a jeżeli miejsce jakie nie było świadkiem jakiego t. z. „historycznego wypadku“, pisanie monografii o niém uważanoby za chybione przedsięwzięcie. Czy słusznie? Znaczniejszy ruch stolic pochodzi w znacznéj części z nieskończonego szeregu przygodnych wypadków, które na nią samą nawet trwale nie

oddziaływają, wewnętrznego jéj stanu nie zmieniają bynajmniéj, ale za to zakrywają nam go często. Na prowincyi nie ma téj zewnętrznéj szaty, narzuconéj przez przygodny zbieg okoliczności; tam staje przed nami obnażone to wszystko, co stanowi merytoryczne właściwości i przymioty społeczeństwa. Kto chce poznać naród, niech bada społeczeństwo prowincyonalne; komu chodzi o warunki życia minionéj przeszłości, niech ich poszuka w śladach dziejowych prowincyi.

Z takiemi zapatrywaniami chwyta się oczywiście z ciekawością wszelkie książki, dotyczące przeszłości takich miejsc, w których nie było szumno-głośnych „historycznych wypadków“; czekało się téż niecierpliwie na wydanie źródeł p. Hecka. Takie zapadłe kąty, jakieś Andrychowy i Zatory, jeżeli nam coś przyniosą, to z pewnością już coś takiego, co tkwi w samym rdzeniu społeczeństwa. Pod tym względem, im zapadlejsze kąty, tém lepiéj, bo tém trudniéj pozostawiają w nich ślady swe sprawy przygodne, przelotne.

Niewielka książka p. Hecka nietylko ziściła moje nadzieje, ale daje nawet bardzo dużo ciekawych wiadomości, rzucających sporo światła na stan społeczeństwa małopolskiego, zwłaszcza mieszczaństwa, od wieku XV. Szkoda byłoby, gdyby te źródła przeszły nie postrzeżenie; uważam tedy za stosowne zwrócić w krótkości uwagę na treść tego zbioru, któremu możnaby dać śmiało za dewizę: *non multum, sed multa.* Można było z góry przewidywać, że na ilość niewiele się znajdzie materyału historycznego w siedmiu miastach dawnych księstw Oświęcimskiego i Zatorskiego; wszak wiadomo, jak się to na prowincyi szafowało i szafuje staremi „szpargałami“! Obecnie posiada Andrychów tylko dwa dokumenta, Biała 12, Kęty najwięcéj, bo 38, Wadowice 21, Zator 11. Kodeksów, jako to ksiąg urzędowych i t. p. najwięcéj jest w Wadowicach, bo 43, następnie w Kętach 18, w Andrychowie tylko 2, w Białéj jeden fascykuł niewielkiéj objętości aktów XVIII w. pomieszanych z niemieckiemi z obecnego stulecia, jako dowód „wzorowéj niemieckiéj gospodarki“. Żywiec nie ma ani dokumentów, ani ksiąg, utraciwszy je podczas pożaru w r. 1857.

Nowy ustęp warto zacząć dla największego z tych miast, Oświęcimia, trzeba je wsławić, jak na to zasługuje. Warto przepisać dosłownie kilkanaście wierszy z pracy p. Hecka.

„Miasto to nie posiada obecnie ani żadnych dokumentów, ani ksiąg urzędowych z dawniejszéj swéj przeszłości. Jeszcze trzydzieści lat temu znajdowały się akta urzędowe, jak to

zwiedzający prof. Józef Łepkowski wspomina [1]). „W przechowkach magistratu, — są jego słowa — gdzie sobie tyle skarbów marzyłem, prócz pustych szaf, dochowały się akta sądowe i oblaty sporów z końca XVI w.; przywileje i inne dokumenta ważne częścią rozebrano do innych archiwów, częścią zachowały się w zbiorze rękopisów po ś. p. Apolinarym Tomkowiczu; nieco poszło pod placki, a znaczną ilość ważniejszych papierów wywiózł ś. p. Konstanty Słotwiński do Lwowa, co złożono zapewne w Bibliotece zakładu im. Ossolińskich.“ — Dziś (opowiada daléj p. Heck) nawet tych aktów sądowych i oblat sporów z końca XVI w. nie ma; zniszczały one wskutek bezgranicznéj lekkomyślności i złéj woli ludzi, którym przechowanie tychże powierzono. Jako resztki istniejącego niegdyś archiwum pozostało w szafie tylko 7 ksiąg“ (z drugiéj połowy XVIII wieku).

Takich Oświęcimiów—w Polsce pełno! — i pisz tu potém historyę mieszczaństwa, czy może nawet historyę kultury i cywilizacyi. Z takich oświęcimskich archiwów jedno tylko pozna historyk niezawodnie, mianowicie to, że cywilizacya wcale się tam w wieku XIX-ym nie podniosła.

Zaszczyt posiadania najstarszego dokumentu przypada Kętom, które przechowały dokument Jana II Oświęcimskiego z r. 1400-go; jest-to proste potwierdzenie sprzedaży gruntu, pargamin ten może miéć wartość tylko dla sfragistyki, bo ma jeszcze pieczęć. Dla historyka starszym właściwie jest drugi dokument kęcki, bo w transumpcie z r. 1454 zawiera przywiléj tegoż Jana II-go z r. 1391. Treść jego wprowadza nas od razu *in medias res* tych okolic, zacznijmy więc od niego małą naszą próbkę żniwa z cennéj, sumiennéj i tak sympatycznéj siejby p. Hecka.

Niemiecka ludność miasta Libenwerde czyli Kęt utrzymuje się przeważnie z handlu bydła, głównie nierogacizny. Przez Kęty prowadzi właśnie główny szlak, którym pędzą ustawicznie całe stada ze wschodu na zachód; znaczną ich część zakupują mieszczanie na własny rachunek, nad resztą towaru wykonywa zwierzchność gminna dozór targowy i orzeka, w jakim porządku mają obcy handlarze pędzić to bydło daléj na zachód. Najważniejsze sprawy Kęt odnoszą się do pastwisk i karczem; tamte niezbędne dla trzody, te dla handlarzy. Miasto posiada las bukowy „Burgewald“ i rozległe pastwiska gminne, na które wolno wypędzać bydło każdemu, bogatemu i ubogiemu, bez opłaty. Dochodów było dosyć z ceł, które opłacał

[1]) „Przegląd zabytków przeszłości w okolicach Krakowa,“ str. 173 i 174. W „Roczniku Towarzystwa naukowego krakowskiego“, tom XXVIII, rok 1861.

każdy zamiejscowy handlarz. W ślad za bydłem śpieszyli tu „Salzhewern“ ze solą i opłacali od swego towaru ławowe na targu. Innych dochodów miasto nie posiada, skoro te wystarczają mu zupełnie na naprawę dróg, które na pędzeniu bydła najbardziéj cierpią; można z tego wnosić, że ruch handlowy był tu na końcu XIV-go wieku znaczny. Korzystali z niego karczmarze; w r. 1391 było już jednak karczem tyle, że konkurencya doprowadziła ich do zatrącenia wszelkiego zmysłu kupieckiéj solidarności, skoro wyrywali sobie gości nawzajem w ten sposób, że przyjmowali nawet takich, o których wiedzieli, że u sąsiada za mieszkanie i życie jeszcze nie zapłacili! Naturalnym tego wynikiem było, że handlarze poczęli przenosić się podczas swego pobytu w Kętach z zajazdu do zajazdu, a płacili tylko tam, gdzie ostatni przepędzili dzień, bo byli pewni, że dzięki przeholowanéj konkurencyi karczmarzy, znajdą zawsze nową stancyę z wiktem. W rezultacie wszyscy karczmarze zaczęli ponosić straty, aż nareszcie spostrzegłszy się, uprosili księcia o wydanie zakazu, ażeby nie wolno było przyjąć gościa na nową gospodę, póki w poprzedniéj nie zapłaci. Zważywszy, że gospodę mógł utrzymywać tylko kęcki obywatel, poznajemy z tego, że zawiści i wzajemnego kramarskiego wyzyskiwania się między nimi nie brakowało. Zawiść względem obcych, nie należących do gminy i korporacyi, była naówczas powszechna i ustawami niejako uświęcona, ale pomiędzy sobą członkowie korporacyi odznaczali się zwykle wielką solidarnością.

Bliskie polskie Wadowice inne całkiem miały zarobki; kwitnęło tam szewiectwo i krawiectwo, w mieście i w sąsiednich wsiach uprawiane na większą skalę. Kto był odbiorcą tych majstrów, nie wiadomo; prawdopodobnie lud wiejski. Wadowiczanie u siebie nie mieli jarmarków aż do r. 1521, widocznie tedy sami z towarami na okoliczne jarmarki jeździli. Młodzież wieśniacza okolicznych wsi bywała widocznie u nich czeladzią dosyć często, skoro około r. 1430 doszło do tego, że sąsiednie wsi dały się przez konkurencyę Wadowicom we znaki. Mamy tu przed sobą jeden z nielicznych śladów przechodzenia wieśniaków do stanu mieszczańskiego. W XV wieku było to atoli zjawiskiem pospolitém, skoro, pomimo niesprzyjających temu następnie okoliczności, ilość wieśniaków - rzemieślników była znaczna; domyślać się wypada, że to wiek XV-ty położył te tak trwałe podstawy „przemysłu domowego“, przechodzącego potém z ojca na syna, z pokolenia w pokolenie. Przemysł ten powstawał w różny sposób; ważną jest rzeczą stwierdzić, że przez oddawanie chłopskich synów do rzemiosł powstawał nie sporadycznie, ale w licznych gospodarstwach danéj okolicy równocześnie. Wieśniak z okolicy Wadowic,

wyuczywszy się rzemiosła, nie zostawał w mieście, ponieważ, nie mając miejskiego prawa, nie byłby tam mógł nigdy pracować samodzielnie, na własny rachunek; powracał tedy na wieś i w domu wykonywał rzemiosło. Robił taniéj od majstra w mieście, bo to był dla niego tylko dochód uboczny, a nie ponosił kosztów organizacyi cechowéj; stawał się tedy z czasem niebezpiecznym rywalem mieszczanina. Stosunki takie panowały we wszystkich miastach księstw Oświęcimskiego i Zatorskiego, a mieszczaństwo broniło się w ten sposób, że wyrobiło sobie u książąt przywiléj, iż w obrębie jednéj mili po za miastem nie wolno rzemieślnikom robić nic nowego, tylko stare rzeczy łatać i naprawiać. Wadowice dopiéro późniéj, w r. 1430, wyrobiły sobie także ten przywiléj [1]).

Równocześnie otrzymywały prawo chełmińskie, mocą tego samego dyplomatu księcia Janusza IV-go. Różnice urządzeń miejskich Wadowic, a innych miast księstwa, wynikały oczywiście przedewszystkiém z różnicy prawa polskiego, a niemieckiego. Prawo polskie więcéj nakładało obowiązków, a mniéj użyczało praw i nie dawało ochrony przed konkurencyą żywiołów napływowych; to téż po pożarze, który zniszczył Wadowice, nadaje im książę prawo chełmińskie celem podniesienia miasta z upadku. Apelacya od wyroków miejskich „*pro iure supremo*“ jest do stołecznego miasta Zatora. Oprócz nieznacznego podatku, nie miało miasto odtąd ponosić żadnych ciężarów, żadnych robocizn prawa polskiego, — z wyjątkiem jednak jednym, a mianowicie: na książęce polowanie należało po dawnemu chodzić na obławy i dostarczać powózek [2]). Kiedy się książę wszystkiego zrzekał, od tego ciężaru przecież nie uwalniał! Wadowiczanie w lasach siedzieli, ale ani kwałka lasu własnego nie mieli; książę pozwalał brać budulec z lasów, ale zastrzegał, że lasy są jego wyłączną własnością, nie podarował miastu ani morgi. Knieja — to najnietykalniejsze *ius ducale*.

Księciu należało się od łanu po pół grzywny groszy praskich szerokich i po dwie miary pszenicy, żyta i owsa. Dokument żąda wyraźnie, ażeby każdy dawał wszystkie trzy rodzaje zboża, mówiąc: „trojakiego zboża sześć miar, pszenicy dwie i żyta dwie, owsa dwie“. Należałoby z tego wnosić, że wówczas (około r. 1430) siano w tych stronach w równym stosunku pszenicę, żyto i owies, co byłoby cennym szczegółem do historyi rolnictwa. Szkoda, że nie wiemy, czy to samo obowiązywało także w innych miastach tego pogranicza.

---

[1]) „more civitatibus aliis consueto“—Dokumentów Nr. 26.

[2]) „quod vulgo dicitur p o w o z y“.

Pod względem narodowym ludność tych księstw wahała się podobnie, jak cały Śląsk, którego cząstkę stanowiły, pomiędzy narodowością polską, czeską a niemiecką. Dwór Zatorski polskim już nie był, ale niemieckim lub czeskim, ludność niemczyła się coraz bardziéj, kolonistów niemieckich było dużo jeszcze od XIII-go wieku, a nie brakło też czeskich przybyszów. Dworzanie czescy otrzymywali tu dobra, za nimi przychodziła służba czeska i rzemieślnicy, szukający szczęścia w tych koloniach korony św. Wacława, bo Śląsk odgrywał wobec Czech rolę niejako posiadłości kolonialnych; wiadomo zaś, że żywioł czeski był najniezawodniejszym pomostem do germanizacyi. W r. 1457-ym Kaźmierz Jagiellończyk kupił księstwo Oświęcimskie, nie wcielił go jednak do Korony Polskiéj; księstwo zmieniło władcę, ale nie przestało tworzyć odrębnéj całości prawno-politycznéj; miało osobnych urzędników i zachowało swe odrębne prawa; nie należało do żadnego województwa, tworząc jako starostwo królewskie Oświecimskie osobną ziemię. Przyłączenie, wcielenie do państwa polskiego nastąpiło dopiéro w r. 1564.

Rok przed sprzedaniem Zatora Janowi Olbrachtowi, w r. 1493 książę Jan IV-ty, wydając przywiléj miastu Zatorowi, uczynił to w języku czeskim [1]).

W r. 1493-im pan Piotr Sasowski z Gierałtowic, wydając wraz z Piotrem Kurozwęckim, starostą krakowskim i oświęcimskim, dokument na rozgraniczenie miasta Kęt i wsi Kobiernic [2]), używa ku temu języka czeskiego. Gierałtowski występował jako pełnomocnik ks. Zatorskiego, ale Kurozwęcki przedstawiał osobę króla polskiego, a jednak, jako starosta oświęcimski, używa sam od siebie także języka czeskiego! Wnosić z tego należy, że czeszczyzna była nietylko w Zatorskiém, ale w obydwóch księstwach językiem urzędowym. Jeszcze w r. 1548 starosta oświęcimski i sędzia księstwa wydali dokument w języku czeskim, jako urzędowym księstwa [3]). Gdyby te księstwa nie zostały przyłączone do Polski, byłby bratni czeski język utorował zapewne i tutaj drogę niemczyznie.

Gdyby nie oderwanie Oświęcimia i Zatora (kupiony r. 1494) od Śląska, od związku z czeską koroną, zaczynałaby się dzisiaj „*deutsche*

---

[1]) Dokumentów Nr. 35. Kancelarya Zygmunta Starego przetłómaczyła go w r. 1524 na łacinę.

[2]) Kęty należały do ks. Oświęcimskiego, kupionego już wtenczas przez Kazimierza Jagiellończyka, a Kobiernice do udzielnego jeszcze księstwa Zatorskiego.

[3]) Dokumentów Nr. 14.

Volksschule" już w Skawinie, trzy mile za Krakowem, a Cieszyn byłby już w środku niemieckiego kraju. I tak próbowano po rozbiorach księstwa te „rewindykować" dla „korony czeskiéj" (która wówczas prostowała ścieżki germanizacyi), i jako czeskie dawne lenna należały one do związku niemieckiego od r. 1818 aż do r. 1866; formalne odwołanie tego nastąpiło bowiem rzeczywiście dopiéro w pokoju praskim 1866 roku. Było to śmiesznem, bo ludność była wyłącznie polską. Ale w XV-ym wieku, powtórzmy, narodowość była tu jeszcze rzeczą przyszłości.

Kilkadziesiąt lat oderwania od czeskiéj korony wystarczyło najzupełniéj do odjęcia niemczyznie wszelkiego gruntu. W połowie XVI-go wieku mieszczanie z miasta zwanego niedawno Libenwerde spisują swe statuty cechowe po polsku.

W XVI-ym wieku, kiedy cała Polska przechodziła ekonomiczne przesilenie, znać i na śląskiém pograniczu cięższe czasy. Szlachta ima się łokcia i kwarty, zaczyna pod Wadowicami warzyć piwo i korzysta z przemysłu domowego swoich chłopów, wykonywując dla zarobku różne roboty rzemieślnicze; utrzymywali w swych wsiach warsztaty szewckie, krawieckie, tkackie, kowalskie. Zakazał tego Zygmunt Stary, a celem podniesienia miasta ustanowił w Wadowicach dwa jarmarki w roku. Kętom do dwóch istniejących przydał jeszcze trzeci jarmark, uwalniając wszystkich kupców jarmarcznych od ceł, myt i podatków. Skawina otrzymała też przywiléj na trzy jarmarki. W XVI-ym wieku uważano jarmarki za najprostszy sposób wzbogacenia gminy,—sposób zawodny, bo jarmarki poczęły już w następnym wieku stanowić istną plagę mieszczaństwa. Zdaje się, że zbyt hojne szafowanie jarmarkami przyczyniło się też nie mało do zubożenia naszych miast; w praktyce wyszło to na to, że uprzywilejowano tandetę i pokątne rękodzielnictwo, a wprowadzono pomiędzy konsumenta a producenta niepotrzebnych wędrownych pośredników, którymi z czasem zostali żydzi. Instytucyi jarmarków mamy do zawdzięczenia, że rzemieślnik wyjątkowo tylko zbywał swój towar na miejscu i że towar ten stał się przedmiotem spekulacyi. Nigdzie też jarmarki upadku miasta nie wstrzymały.

Więcéj niż z jarmarków, miały Kęty dochodu z kontrabandy soli. Oświęcim miał z dawien na sól prawo składowe, tam był wyłączny na księstwa skład soli wielickiéj. Oświęcimscy solarze tłukli bałwany na okruchy i te dopiéro Kętczanom sprzedawali, którzy znów odstępowali je u siebie handlarzom bydła. Po wcieleniu księstw do Korony, Kęty obchodziły to prawo, kupując bałwany soli bezpośrednio w Wieliczce, a handlarze bydła wozili tę sól daleko na zachód

z sobą, wytwarzając w ten sposób dotkliwą dla Oświęcimia konkurencyę. Zakazywał tego wprawdzie Zygmunt Stary, pozwalając tylko na handel okruchami, ale przepis ten nie dał się utrzymać, kontrabanda trwała daléj, aż nareszcie Zygmunt August pozwolił na pobór 80 bałwanów soli w Wieliczce.

W Kętach znajdujemy też objaw jednéj z najciekawszych spraw społecznych XVI-go wieku: skupywanie sołtystw i wójtostw przez szlachtę. Około r. 1530 wójtostwo kęckie nie było jeszcze sprzedane, ale już wydzierżawione szlachcicowi Małeckiemu, po którego śmierci płaciła daléj dzierżawne wdowa. Do wójtostwa należała wieś Nowa-Wieś, położona z drugiéj strony owego bukowego „Burgewaldu“, którego „żyr“ służył na utrzymanie trzód chlewnych. Chłopi z téj wsi wypasywali tam też swe trzody, jakkolwiek nieprawnie. Póki czasy były dobre, nikt się nie sprzeczał o bukwicę, ale z nastaniem cięższych czasów i bukwowych orzeszków szkoda było mieszczanom tracić; pozwali tedy panią Małecką o te bukwice i uzyskali u króla orzeczenie, że chłopom z Nowéjwsi wolno tam tylko swoje domowe prosięta wypasać, ale przeznaczonych do handlu nie wolno. Zakaz ten czynił niemożliwym handel nierogacizną w Nowejwsi, bo nie było z czego utrzymać trzody nagromadzonéj na sprzedaż; o to też właśnie chodziło Kętczanom, żeby się pozbyć konkurencyi sąsiadów. Ta obawa konkurencyi wskazuje, że handel ten przechodził też przez kryzys i że się zakres jego ścieśniał.

Porzucano handel nierogacizną, a chwytano się coraz bardziéj rzemiosł. Do dawnych rzemiosł tu uprawianych, krawiectwa i szewctwa, przybywa sukiennictwo, które zakwitnęło też w Wadowicach. W r. 1571 powstaje cech kuśnierski, piekarski dopiéro w r. 1595; jeszcze późniéj zabrano się do kowalki, rusznikarstwa, ślusarstwa, kołodziejki, kotlarstwa, powroźnictwa i stolarki, które to rzemiosła nielicznych tylko zatrudniały majstrów, a zorganizowały się po cechowemu dopiéro w r. 1649-ym, w jeden cech ogólny, o wspólnéj gospodzie cechowéj, jako rzemiosła „współszynkowne“. Rzemiosła te upadły jednakże po większéj części; kwitnęło jedynie sukiennictwo i tkactwo, tak że tkacze założyli nawet potém osobny cech. W roku 1720-ym były, prócz sukienniczego i tkackiego, te tylko cechy w Kętach: szewcy, krawcy, piekarze i rzeźnicy. Ośm innych rzemiosł upadło. Pozostały i utrzymały się te rzemiosła, które mają swój byt zabezpieczony niejako w samym wzroście ludności, te zaś, które potrzebują dobrobytu ludności okolicznéj do zbytu towarów, upadły. Sukiennicy i tkacze robili oczywiście na eksport; rzemiosła te miały zbyt zapewniony w Małopolsce, na Kujawach i Mazowszu i one też

zdaje się garnęły do siebie tę czeladź, która z czasem porzucać poczęła inne rękodzieła. A jednak nawet sukienniczych majstrów było w r. 1720-ym w Kętach tylko ośmiu. Krawiectwo tylko zatrudniało zawsze znaczniejszą liczbę rąk; szyto kopami zwyczajną odzież wieśniaczą i pośledniąmieszczańską i rozwożono, wędrując z jarmarku na jarmark z tą „tandetą“. Tak bowiem „tandetą“ nazywali swoje wyroby sami sławetni majstrowie kęccy i tego też wyrazu używa przywiléj króla Sobieskiego, zabezpieczający wolny dowóz kęckiéj tandety na wszystkie jarmarki i kiermasze.

Pod innym względem nasuwa się uwaga innego rodzaju: oto pozostały w Kętach te rzemiosła, które najmniéj wymagają pilności i zdolności, które nawet najgorszy towar zawsze sprzedać mogą, a upadły te, które wtedy tylko mogą zapewnić utrzymanie, jeżeli rzemieślnik w rękodziele swém liczy się z postępem swéj sztuki. Od XVI do XVIII-go wieku można było jednakim sposobem wypiekać chléb, a buty robić coraz gorsze i niezgrabniejsze; ale niktby już w roku np. 1680, nie kupił wózka lub strzelby zrobionéj tak, jak się robiło w r. 1580-ym! Jest-to objawem charakterystycznym, że u nas wogóle ginęły takie rzemiosła, przy których ustawicznie trzeba się uczyć czegoś nowego. Tkacze i sukiennicy zostali, bo się mogli aż do połowy tego jeszcze wieku trzymać — rutyny; odkąd ułatwiono dowóz cudzego towaru, i oni upadli zupełnie. Ale wózki krajowe były widać już w XVIII-ym wieku zbyt „zacofane“, skoro tak często spotykamy się z „najtyczankami“ aż na Litwie, a kolasy naszych panów bywały już wtenczas wiedeńskie. Kto chciał mieć porządną szablę lub pistolet, sprowadzał z zagranicy, kiedy jeszcze w XVII-ym wieku takie było mnóstwo płatnerzy i rusznikarzy! Ale rzemieślnicy ci niczego się nie uczyli, nie wydoskonalali rękodzieła, nadszedł więc czas, że się przestarzeli. Dopiéro ku schyłkowi XVIII-go wieku zaczynają się z warszawskich warsztatów rozchodzić po kraju lepsi czeladnicy, ale już było za późno.

Były różne przyczyny upadku miast naszych niezależne od mieszczaństwa, ale od samego upadku rzemiosł; nie sposób przecież zganiać w czambuł na sejmy i szlachtę, lub na szwedzkie wojny. Inna to rzecz, gdy biédę cierpi rzemieślnik zdolny, dobrze wyuczony, a całkiem inna, że zabraknie zarobku dla lichego partacza. Co innego polityczny i społeczny upadek miast, a co innego upadek zajęć mieszczańskich. Na tę zasadniczą różnicę, o ile wiem, nikt jeszcze nie zwrócił uwagi. Nie przeczę, że jedna strona téj sprawy oddziałać mogła na drugą, ale tylko do pewnego stopnia, po za którym mieszczaństwo samo na sobie dźwiga lwią część

winy swego upadku... przez swoje nieuctwo; pod tym względem nie było wcale lepsze od szlachty. Szlachcic-nieuk i mieszczuch-nieuk wspólnemi siłami sprowadzili finał XVIII wieku.

Gdyby więcéj takich publikacyi, jak niniejsza p. Hecka, możnaby w te rzeczy wejrzéć bliżéj, a okazałoby się niezawodnie, że jedyną *causa movens* upadku państwa bywa upadek społeczeństwa i że jedynie poszukując przyczyn tego ostatniego, można będzie rozwiązać umiejętnie dziejową zagadkę...

Na razie pozwolę sobie na podstawie źródeł, o których mowa, zwrócić uwagę, jak statuty cechowe protegowały nieuctwo i lenistwo. Ustawy te były tak ułożone, jak gdyby umyślnie rozbudzać chciały żądzę dojścia do majątku wszelkiemi innemi sposobami, tylką nie pracą i doskonaleniem się w zawodzie.

Same warunki przyjęcia na naukę do rzemiosła nie były wcale złe. Robieniec [1]) tylko przez dwa tygodnie był u majstra na próbie „na skosztowanie“; po dwóch tygodniach musiał go tenże zapisać do cechu. Wyzwolenie na czeladnika następowało po trzech, a w niektórych cechach nawet po dwóch latach. Kto z czeladzi chciał zostać mistrzem, musiał „okazać sztukę“. Krawiec robił ornat, namiot, rewerendę kanoniczą, biret o czterech rogach, kapicę mniszą i kuklik rajtarski. Kowalowi przyprowadzano konia od pana burmistrza, a „on przypatrzywszy się onemu koniowi, ma urobić cztery podkowy podeń, coby tę podkowę każdą urobił we dwu chycach, zgotowawszy one podkowy bez przymierzania, aby się trafiły... a gdyby się mu trafiło, coby mu się jeden ufnal skrzywił, aby go wyjął nazad; za każdy ufnal powinien dać funt wosku.“ Nadto miał zrobić wielką siekierę okrągłą i cztery koła okować. Rusznikarz, mający zostać mistrzem, musiał zrobić dwie rusznice. Sposób ich sporządzenia opisany jest w statucie cechowym z drobnemi szczegółami... czyż to nie *horrendum!* A więc czeladnik zostający mistrzem w roku np. 1749-ym, m u s i a ł b y robić rusznicę tak, jak je robiono w r. 1649, bo inaczéjby nie wypełnił warunku wypisanego wyraźnie w statucie. Rusznice te, bez względu na postęp rzemiosła, były sobie robione zawsze jednako, zawsze „po cieszyńsku.“ Nie dziwota, że rusznikarze nie długo się tu utrzymali; nie było ich już w r. 1720-ym, bo któżby kupował staroświecką broń! Sposób nazwania roboty rusznikarskiéj „po cieszyńsku“ wskazuje, skąd czerpano wzory i skąd pochodzili, a przynajmniéj gdzie się uczyli pierwsi majstrowie. Podobnież szczegółowo opisali w statucie swoją „sztukę“ ślusarze, zwani téż „frembernikami“, ska-

[1]) Tak w źródłach nazywa się terminator, czysto po polsku.

zując się przez to na chińszczyznę, skoro każde pokolenie do tego samego miało się stosować wzoru. Przepadli też kęccy frembernicy, gdy tymczasem nie krępowani niczém staniąteccy ślusarze, przetrzymali ich i prześcignęli. Stolarskie statuty przepisując sprzętom, robionym na popis, nietylko kształt, ale nawet rozmiary, doprowadzić chyba musiały do tego, że po pewnym czasie sprzęty te wydać się musiały niezdarnemi gratami, nie zastosowanemi do nowych potrzeb i wzmagających się wygód w zamożnych warstwach społeczeństwa.

Oczywiście, że ustalenie kształtu i sposobu obrobienia „sztuki“ nie mogło być nieusuwalną zawadą dla rozwoju rzemiosła; oczywiście, że można było zrobić raz na popis archaiczny przedmiot, a swoją drogą robić potém... jak się komu podobało; przyznaję, że tak ta rzecz się przedstawia... w teoryi! Ale w praktyce? Czyż czeladnik nie marzy ciągle o tém, że będzie majstrem, a więc i o zrobieniu „sztuki“? Jak przeciętny student uczy się dla egzaminu, tak przeciętny czeladnik zastosowywał swoją pracę do wymogów majsterskiéj „sztuki“, bo to był jego egzamin. Gdyby w sporządzeniu sztuki pozostawiono pewną swobodę, czeladnik byłby musiał coś wymyślić, a z tego powstałaby rywalizacya pomysłów i byłby dany popęd do twórczości, bez któréj nie ma co mówić o rozkwicie rzemiosł [1]). Skoro jednakże egzamin rzemieślnika polegał na tém żeby zrobić setną z rzędu kopię przedmiotu, przez stu jego poprzedników już skopiowanego, więc cała ambicya i usilność czeladnika zwracała się w kierunku niewolniczego kopiowania. Lata nauki szły na to, ażeby, broń Boże, nie robić inaczéj, jak robi pan majster! Skoro zaś zostało się już mistrzem, nauka skończona, potém już wszystko przepadło. Policzmy bowiem, ilu to nauczycieli, lekarzy, prawników, dziś jeszcze, za naszych czasów, przestaje się uczyć z chwilą zdania egzaminu — tém bardziéj przestawał się kształcić ówczesny stolarz i ślusarz.— Sądzę, że czytelnik zgodzi się już ze mną, że ustalenie majsterskiéj „sztuki“ przeszkadzało rozwojowi rzemiosł, a mianowicie dlatego, ponieważ wpływało ujemnie na sposób uczenia się rzemiosła przez czeladników.

Tém trudniéj było o ten rozwój, że cechy z urzędu protegowały lenistwo i względniejsze były dla zamożnego bałwana, niż dla czeladnika zdolnego, lecz ubogiego. Tyle było różnych opłat i należytości w cechach, tyle przeróżnych, statutem przepisanych wydatków

[1]) Nawiasem mówiąc... podobno dziś rzemiosła nanowo u nas rozkwitają. Co do mnie, widzę dotychczas tylko kopiowanie zagranicznych modeli: twórczości jeszcze nie ma. Rzemieślnik, umiejący rysować (nie tylko przerysowywać), należy do białych kruków.

(nie mówiąc już o częstych piwnych biesiadach, którym połowa każdego statutu jest poświęcona), że człowiek ubogi formalnie nie mógł mistrzem zostać, chyba zadłużając się po uszy, jeżeli miał gdzie pożyczyć. Zwykle pożyczało się u żyda, a pożyczka ta pociągała nieraz taki skutek, że nowy majster po pewnym czasie najmował się sam nanowo za czeladnika gdzieś w obcém mieście. Demoralizować to musiało zdatniejszą czeladź, gdy widziała, że w walce o byt przeganiają ich zamożne hebesy. Tak np. można się było wykupić od okazywania „sztuki"; w niektórych rzemiosłach można było okupić się od wykonania połowy sztuki, a w niektórych nawet od całéj. Cechy piekarskie i sukiennicze były przynajmniéj szczere; te bowiem żadnéj wogóle „sztuki nie miały, tylko opłatę za wyzwolenie na mistrza. Kto miał pieniądze, był swego pewnym [1]), a ta pewność siebie fatalne musiała wydawać skutki tam, gdzie konkurencya ludzi uboższych, lecz zdolniejszych, była niemal całkiem wykluczoną. Jeden tylko był sposób dla ubogiego czeladnika: ożenić się z córką lub wdową jakiego majstra. W takim razie statuty zapewniały mu na każdym kroku wszelkie ułatwienia! Co gorsze, istniał formalny przymus robienia karyery sposobem fartuszkowym. Piekarz np. nie mógł majstrem zostać, póki się nie ożenił, w innych cechach nałożono na kawalerów istną daninę w różnych formach. Z drugiéj strony wdowie wolno było po śmierci męża prowadzić rzemiosło tylko przez rok i sześć niedziel—czyżto nie wyraźna wskazówka dla czeladników? Żeniąc się z córką majstra, robił czeladnik tylko pół „sztuki" i płacił tylko połowę taks (które chętnie już płacił teść). Synowie majstrów te same mieli ułatwienia. Po pewnym czasie kontyngens majstrów składał się z majstrów dziedzicznych, których właśni ojcowie wyzwalali, i z majstrów przyżenionych. Ci rozparli się w mieście i partaczyli, bezpieczni, że im żadna nie zagraża konkurencya, a kto nie chciał wejść do ich koteryi, temu nie daliby prawa miejskiego u siebie. Tym prostym sposobem zabezpieczeni byli od konkurencyi z zewnątrz, bo, nie będąc obywatelem tego miasta, nie wolno tam było otworzyć warsztatu. Mało się uczyli, niewiele pracowali, ale za to pili, bodaj czy jeszcze nie bardziéj od szlachty.

Bardzo pouczającém byłoby poznać zmiany kolejne statutów cechowych, jeżeli je w jakiém rzemiośle wyjątkowo zmieniano. Właśnie cech krawiecki w Kętach nadał sobie nowe statuty w r. 1642, a piekarski w r. 1697 — ale, niestety, nie wiemy, co i jak zmieniono! Dokumentów tych p. Heck nie podaje. O piekarskich statutach zapewnia, że są równobrzmiące z dawniejszemi z r. 1593 „prócz niewiel-

[1]) U krawców, kto płacił, był tylko rok czeladnikiem.

kiego dodatku". Ależ właśnie o ten dodatek chodzi, bo on spowodował nowe wydanie statutu! „Niewielki dodatek" należało bezwarunkowo ogłosić! Co do krawieckich nowych statutów, popełnia p. Heck błąd zasadniczy, bo nawet tego wcale nie mówi, czy różnią się od poprzednich, czy nie różnią.

Sukiennicy kęccy obwarowani byli dwoma znacznemi przywilejami. Już od r. 1559 odbywał się co rok jeden osobny jarmark wyłącznie dla sukienników, na którym obcym kupcom nie wolno było sprzedawać grubszego sukna, tańszego, niż pięć groszy łokieć, jakie właśnie wyrabiano w Kętach. Po kilkudziesięciu latach sukiennicy, zamiast się wzmódz i stanąć do konkurencyi, nowego potrzebują przywileju! Dochodzi do tego, że sami utrzymują się w znacznéj części ze sprzedaży obcego sukna, które nabywają hurtem na jarmarku w Kętach; żeby zaś zapewnić sobie ten zysk wyprosili przywilej w r. 1644, pozwalający obcym kupcom sprzedawać sukno w Kętach tylko na bele lub postawy; prawo sprzedawania na łokcie miało odtąd przysługiwać tylko kęckim mieszczanom. W ten to sposób jedynie zdołali wegetować dalej sukiennicy w Kętach; widzimy, jak sztucznie był ich byt podtrzymywany.

W innych miastach księstw Oświęcimskiego i Zatorskiego działo się pewnie nie lepiéj, nie gorzéj, jak w Kętach. Do statutów brano sobie wzory ze statutów oświęcimskich, wszystkie one były obmyślane na jedną modłę i pomiędzy statutami równoczesnemi różnic ważniejszych nie było. Oparłem się na statutach kęckich, bo oświecimskie „wzory" nie dochowały się. W Wadowicach sukiennicy otrzymali młyn do wałkowania sukna, t. z. folusz, od Stefana Batorego. Folusz ten stał na gruntach miejskich na rzece Choczence. Nie bardzo przyjemnie jest dowiedzieć się, że w r. 1752 na tém samém miejscu stoi nie folusz, ale młyn zwykły do mielenia! Mieszczaństwo staje się coraz bardziéj rolniczém, przemysł rękodzielniczy ustępuje też miejsca rolniczemu; w r. 1754 wyrobiono sobie pozwolenie na stawianie młynów o trzech kamieniach wzdłuż rzeki Skawy. A Wadowice były niegdyś bardziéj przemysłowém miastem od Kęt; za dowód uważać można istniejące tam t. z. wolnice, t. j. prawo wolnego przywozu przedmiotów żywności. Jeżeli miasto samo o to się starało, ażeby okoliczni mieszkańcy mieli prawo wolnéj sprzedaży wiktuałów w Wadowicach, prawo wolnéj sprzedaży bydła, a nareszcie wolnéj sprzedaży mięsa w każdą niedzielę, widocznie w mieście tém piekarze i rzeźnicy byli podrzędnemi figurami, bez znaczenia i wpływu na władze miejskie, widocznie te wcale nie przemysłowe rzemiosła stały tam na drugim planie.

Zator otrzymał prawo magdeburskie dopiéro w r. 1569 podczas sejmu lubelskiego i odrazu trzy jarmarki. Dochód z targowego miał służyć na utrzymanie i naprawianie rur wodociągowych, miasto bowiem nie miało dobréj wody do picia i musiało ją z okolicy sprowadzać. Miasto to w gorszych daleko znajdowało się warunkach niż Wadowice i Kęty (nie mówiąc już o Oświęcimiu, który miał tak szczęśliwe położenie). Najstarszy przechowany dokument zatorski poucza nas, że ludność trudniła się rybołóstwem; jest to zajęcie ludności ubogiéj, a przytém zarobek ten był zawsze narażony na wszelkiego rodzaju wyzyskiwania. Rybołóstwo fatalizmem jakimś związane jest niemal z pojęciem ubóstwa i dopiéro w najnowszych czasach można mieć z rybactwa większy zarobek. Rzeka Skawa była widać rybniejsza, niż dziś (co zresztą odnosi się do wszystkich naszych miast podgórskich), a nadto mieli zatorscy rybacy cztery sadzawki. W XVI-tym wieku pod polskiemi rządami miasto się podniosło. Otrzymawszy prawo magdeburskie, uwolnili się mieszczanie od różnych ciężarów prawa książęcego śląskiego i pozyskali wszystkie swobody, zagwarantowane dla zajęć mieszczańskich w prawie niemieckiém. Odtąd też nie naznaczał już urząd wojewodziński krakowski cen dla wyrobów zatorskich rzemieślników, a otworzyło się nowe źródło zarobku w prawie wyszynku trunków na własny rachunek. Główny artykuł karczmarski stanowi miód i wino w dwóch gatunkach: małmazya i muszkatelowe. Piwo warzono zwyczajne, a marcowe („*vulgo* marzec“) dopiéro od r. 1569. Wypas bydła nie był tu nigdy znaczny, a zmniejszał się widać coraz bardziéj, skoro pastwiska miejskie całe zamieniono na sadzawki [1]), których liczba doszła do r. 1569 do jedenastu! Nastały tedy i dla rybactwa lepsze czasy. Ciekawe są imiona tych sadzawek: Przekopny, (staw) Palczewski, Stary, Przesdziek, Pośredni, Dąbrowny, Głowacz, Sirotek, Tomicki, Górski, Chobotek. Jak dziś ulice, tak wtenczas Zatorscy nazywali sadzawki od imion znakomitych osób! Sadzawki Tomickiego i Górskiego są niezbitym dowodem, że mężowie ci protegowali Zator. Oni to pewnie wyrobili mu te wszystkie przywileje, oni zasłonili przed zdzierstwem urzędu wojewodzińskiego i obronili przed krzywdami, doznawanemi od niższych władz. W odnośnych dokumentach powiedziano wyraźnie, że urzędnicy królewscy mieszczan krzywdzili, a w téj niezwykłéj *sui generis* klauzuli można upatrywać wskazówkę, że urzędników tych chciano upokorzyć i zapewne ich ukarano. Zwyczajna historya... kapral bije szeregowca, a generał go broni.

[1]) „Ubi pascua antehac habebant“. Dokumentów № 37.

Pomimo protekcyi Tomickiego, miasto nigdy się do większego dobrobytu nie podniosło. Gmina obciążoną była przytém jeszcze na schyłku XVI w. długami dawnych książąt zatorskich, zabezpieczonemi na dochodach miejskich. Z rzemiosł były tu cechy: piekarski, rzeźniczy i kuśnierski; ten ostatni był tylko w tém mieście z całego księstwa oświęcimskiego i zatorskiego. Z końcem XVII-tego wieku były już trzy jarmarki do roku, ale na niewiele się zdały. Rozwój produkcyi znać tylko pod jednym względem: mianowicie w r. 1661 powstaje browar miejski.

O największém dziś mieście w tamtych stronach, Białéj, mamy z dokumentów pierwszą wiadomość w r. 1659. Biała była naówczas wsią królewską, przynależną do starostwa lipnickiego; osadnicy jéj trudnili się już wtenczas przeważnie nie rolnictwem, lecz rzemiosłami. Przy odbywaniu lustracyi nałożono na Białą znaczny podatek w kwocie 310 zł. samego podymnego, co świadczy, że wieś była rozległa i dobrze zabudowana. Kwota ta nie dolegała bynajmniéj mieszkańcom, a niesumienni poborcy ściągali znacznie więcéj, aż nareszcie ludność Białéj trafiła jakoś do ucha królewskiego, kiedy król Michał Wiśniowiecki przebywał w Krakowie (1669) i uzyskała sprawiedliwość. Miastem została Biała dopiéro w r. 1723, kiedy starostą lipnickim był Rybiński, wojewoda chełmiński. Nie otrzymała jednak wszystkich swobód miejskich odrazu; z nowych domów miano opłacać czynsz staroście lipnickiemu, a propinacya tylko do niego miała należéć. Szczęściem było dla Białéj, że po Rybińskim nastąpił na starostwie lipnickiém wszechmożny Brühl. On nadał nowemu miastu różne swobody, które August III potwierdził. Powstają cechy: szewcki, kowalski, piekarski i rzeźniczy; statuty ich są wszystkie spisane wyłącznie po polsku; za Stanisława Augusta przybywa cech karczmarski i piwowarski, a wreszcie organizuje się kongregacya kupiecka i spisują statuty także po polsku. W chwili przejścia pod władzę rakuską była tedy Biała czysto polskiém miastem.

Szkoda, że p. Heck nie przytoczył ani jednego statutu cechowego z Białéj; mamy zato statut kongregacyi kupieckiéj, która wymagała od swoich uczniów siedmioletniego terminowania.

Biała była polskiém miastem dopóty, póki w Austryi nie przyznano żydom zrazu pewnych praw, a potém zupełnego równouprawnienia. Ustawy polskiéj kongregacyi kupieckiéj przypuszczały dysydentów na równi z katolikami do stanu kupieckiego, ale wykluczały stanowczo żydów.

Trzeba na tém skończyć; nie miałem zamiaru wyzyskać źródeł ogłoszonych przez p. Hecka, ale tylko wskazać, jakiego one są rodzaju, i dać próbkę ich treści w jednym kierunku. Głównie zaś chodziło mi o okazanie doniosłości podobnych wydawnictw, bo uchodzą one ciągle jeszcze za t. z. niewdzięczne pole pracy. Jestto przesąd, który zwalczać należy wszelkiemi siłami. Zawiniła wiele pod tym względem krytyka, która te „drobne wydawnictwa“ lubi pomijać milczeniem. Jakież z tego płyną skutki?

Nasza krytyka ma to do siebie, że zwykła zajmować się rzeczami albo bardzo wielkiemi, albo bardzo małemi, znakomitemi, albo lichotami. Dużo chwalić, albo dużo ganić — oto dwie ostateczności. Łatwo jest poznać się na wybitnych zaletach i wybitnych wadach, ale chcąc ocenić dzieło średniéj miary (a takie są niemal wszystkie), trzeba samemu umiéć jeszcze coś więcéj, niż krytykować; jeżeli się tylko to umié, robi się zwykle z dzieła średniego znakomite, albo téż przemilcza się je. Niemal cała średnia warstwa naszéj naukowéj literatury przechodzi niepostrzeżona przez publiczność.

Praca p. Hecka należy właśnie do téj średniéj warstwy, ale wśród niéj odznacza się przymiotem nieocenionym: inicyatywy i śmiałém przerwaniem zapartych dotychczas szranek. Jestto pierwszy przykład zbierania źródeł systematycznie, według pewnego planu, przez historyka osiadłego na prowincyi, przez profesora gimnazyalnego [1]). Ludzie ci uważali sami siebie za straconych dla nauki, twierdząc, że na prowincyi nie ma co myśléć o nauce. Obecnie p. Heck udowodnił, że to nieprawda. Są na prowincyi pewne trudności niemal niepokonalne, ale dotyczą one prac konstrukcyjnych, którym i tak niekażdy oddać się zamierza; każdy jednak chętnie zbiéra różne „*curiosa*“ — otóż gdyby chociażby z prostéj ciekawości pp. historycy na prowincyi zechcieli według zasad umiejętnych przeglądać okoliczne „szpargały“, moglibyśmy się za wzorem p. Hecka spodziéwać w Galicyi takich wydawnictw:

---

[1]) W r. 1890 wyszła w Przemyślu broszurka nauczyciela tamtejszego gimnazyum, Józefa Zagrodzkiego p. t. „Kilka słów o dawniejszych dziejach Przemyśla z powodu 500-tnéj rocznicy nadania mu prawa magdeburskiego“. Autor przyrzekł na końcu podać w najbliższym czasie szczegóły organizacyi miejskiéj Przemyśla i dalszego rozwoju miasta po r. 1389. Byłoby to nader pożądaném.

W sprawozdaniu gimnazyum w Stryju za rok 1890, jest praca p. Juliusza Hecka (autor omawianéj tu książki ma imię Waleryan) p. t. „Lustracya starostwa lwowskiego z r. 1570“, ale rzecz ta wydana jest bez należytéj znajomości metody.

Archiwa miejskie i kościelne dawnéj ziemi Sanockiéj.
Źródła lokalne królewszczyzny samborskiéj.
Archiwum klasztorne w Starym Sączu.
Zbiór aktów odnoszących się do przeszłości Tarnowa.
Archiwa parafialne dyecezyi przemyskiéj i t. p.

Ileż na tém polu zdziałać można! Szereg takich publikacyi wytworzyłby niewzruszoną podstawę do historyi Podgórza Karpackiego i Rusi Czerwonéj. Niestety, wydawnictwa takie należą do rzadkości. Mamy dotychczas w Galicyi tylko pięć: Kodeks Mogilski, Wielicki, pracę prof. Ulanowskiego O założeniu i uposażeniu klasztoru w Staniątkach, monografie Przemyśla prof. Lewickiego i niniejsze wydawnictwo prof. Hecka. Wielkie wydawnictwo prof. Liskego: „Akta grodzkie i ziemskie“ wymaga koniecznie uzupełnienia przez takie pokłosia, dokonywane w wschodniéj Galicyi, a tam dotychczas nie ma ani jednego.

Książka p. Hecka stanie się może zadatkiem, że do téj pracy wyruszą nowe siły, leżące dotyczas, z nielicznemi nader wyjątkami, odłogiem. Wszak dokonał czegoś z pożytkiem dla nauki i z chlubą dla siebie, siedząc w tak obskurnéj mieścinie, jak Wadowice, objeżdżając inne miasta pobliskie w czasie wakacyi.

Książka dzieli się na trzy części. W pierwszéj jest wiadomość o dokumentach i rękopisach w każdém z miast z osobna, przyczém podano chronologiczne regesta dokumentów. Druga zawiéra w sobie w całości ważniejsze dokumenta, w liczbie 40. W trzeciéj części jest chronologiczny wykaz wszystkich dochowanych w obrębie księstw dokumentów w liczbie 83. Podział książki bardzo dobry, obliczony i na informacyę archiwalną i na oryentacyę przy korzystaniu z niéj. Dokumenta wydane według prawideł sztuki wydawniczéj, z opisaniem zewnętrznéj strony oryginałów i *in extenso*. Znać na każdym kroku rękę świadomą dobrze swego zadania. Szkoda, że okoliczności nie pozwoliły autorowi podać nam w całości jeszcze więcéj dokumentów, zwłaszcza nowych statutów cechowych z wieku XVIII.

Zarzucić mógłbym jedną tylko rzecz, że w wykazie chronologicznym na końcu treść transumptów podawano przy dacie transumowania; byłoby praktyczniéj czynić to przy dacie pierwotnego dokumentu, dodając: „w transumpcie z roku...“ W ten sposób czytelnik wiedziałby od razu, że znajdzie tu źródło z r. 1391, 1430, 1493*bis*, 1510, 1524, którychto dat na pierwszy rzut oka nie znajduje, chociaż

w rzeczywistości są dokumenta z tych lat pochodzące, jakkolwiek w późniejszym transumpcie.

Pozostają jeszcze księgi radzieckie, akta magistratów i urzędów ławniczych i t. p., o których p. Heck podaje nam na razie tylko krótkie wiadomości. Obyśmy doczekali się jak najprędzéj wydania ekscerptów z tych ksiąg! Tymczasem wdzięczni za to, co jest, przyklaśnijmy zasłudze wydawcy, a nauce życzmy, aby wśród nauczycieli historyi w gimnazyum miała więcéj takich miłośników.

Dr. Feliks Koneczny.





WYDAWNICTWA DLA LUDU.



1. Pogadanki o niebie i ziemi. Spolszczył H. W., w wydaniu drugiém uzupełnił M. B., z 20-ma rysunkami. Warszawa, 1891 r.

W dziewięciu pogadankach, zawartych w książeczce o 86 stronicach, autor wyłożył w sposób przystępny i dla maluczkich zrozumiały zasady budowy wszechświata i nauki astronomii.

2. Co robić, ażeby być zdrowym i długo żyć? napisał Józef Zielczak. Warszawa, 1889 r.

Jest-to wykład hygieny elementarnéj, jaką znać powinien każdy gospodarz i każda gospodyni we wsi, aby zachować swoje i rodziny zdrowie: autor, nie poprzestając na podaniu przepisów hygieny, niestety tak lekceważonych nietylko przez lud ciemny i nieświadomy, ale i przez inteligencyę wiejską, wskazuje środki samopomocy, jakich jąć się winna gromada i gmina, aby zapewnić sobie pomoc wykwalifikowanego lekarza w każdéj potrzebie.

3. Co robić, gdy kto zachoruje? napisał Józef Zielczak. Wydanie trzecie. Warszawa, 1891 r.

Jest-to dopełnienie powyższéj książeczki, w którém znajdujemy wskazówki niesienia pomocy w nagłych wypadkach przed przybyciem lekarza, a więc przy otruciach, porażeniu słonecznėm, przy ratowaniu uduszonych, zaczadzonych, utopionych, zmarzniętych, rażonych piorunem i t. d. Wobec powszechnéj niezaradności w takich razach, lub też skwapliwości w niesieniu rzekoméj pomocy w sposób zupełnie nie racyonalny, książeczka ta zasługuje na jak największe rozpowszechnienie.

4. O tém, co to jest ospa, co trzeba robić, aby się od ospy uchronić. Napisał doktór A. P. Popularna historya

szczepienia krowianki i praktyczne wskazówki, jak się zaopatrywać w dobrą limfę do szczepienia.

5. O wściekliznie. Czy można zabezpieczyć od wścieklizny ludzi pokąsanych przez psy wściekłe? Napisała K. B. Warszawa, 1891 r.

Autorka, zalecając zwykłe środki ostrożności, używane w razie wypadku pokąsania przez wściekłe zwierzę, gorąco zaleca metodę Pasteur'a szczepienia jadu wścieklizny zmodyfikowanéj, stosowaną z tak wybitnym skutkiem w Warszawie przez d-ra O. Bujwida, popierając to cyframi. Jakkolwiek nauka w tym przedmiocie nie wypowiedziała jeszcze ostatniego słowa, to jednak dodatnie rezultaty dotąd otrzymywane powinny uspokoić każdego, któregoby spotkał nieszczęśliwy wypadek. Autorka słusznie zbija zakorzenione mniemanie, że wścieklizna powstaje u psów samodzielnie, bez zakażenia, wskutek wielkich upałów i t. d. Myli się jednak, twierdząc, że mlécz pacierzowy i mózg wściekłych zwierząt, wprowadzone do żołądka innych zwierząt, mogą u nich wywołać wściekliznę. Tą drogą wprowadzony do organizmu zarazek nie powoduje choroby.

W instytucie weterynaryjnym w Warszawie dwa koty były przez sześć miesięcy zrzędu karmione wyłącznie mleczem pacierzowym i mózgiem wściekłych królików i pozostały zupełnie zdrowemi.

6. Ratowanie bydlęcia odętego opisał K. Dulęba. Warszawa, 1890 r. Tutaj wskazane są przyczyny tego niebezpiecznego objawu i różne środki zaradcze, z których ostatni, przebicie ściany rozdętego pierwszego oddziału żołądka przeżuwaczy (żwacza, *rumen*) za pomocą t. zw. troakaru czyli trójgrańca, o ile jest najskuteczniejszy, o tyle nie jest tak niewinny i w użyciu bezpieczny, za jaki go autor podaje. Lepszą byłaby pompa żołądkowa, za któréj pomocą można rozpierające żwacz gazy wypompować i na zewnątrz wydalić lepiéj, niż przez ranę w ścianie żołądka, która nie zawsze łatwo daje się zagoić, zwłaszcza przy zaniedbaném odrażeniu (dezynfekcyi) narzędzia i opatrunku.

7. Nasi wrogowie i przyjaciele wśród ptaków. Prace dwóch naszych nie dawno zgasłych ornitologów, prof. Wł. Taczanowskiego i Kazimierza hr. Wodzickiego złożyły się na treść téj arcy-pożytecznéj książeczki. O szkodliwości lub pożyteczności ptaków dla rolnictwa, sadownictwa i ogrodnictwa, panują wśród ludu, a nawet w klasie oświeceńszéj, najopaczniejsze nieraz zdania. Mylne te pojęcia prostuje wyżéj wspomniania książeczka i przynieść może wielki pożytek.

8. Maszyny parowe i koleje żelazne opisał W. Ol-

szewski (M. Brzeziński), wydanie drugie, z obrazkami. Warszawa, 1890 r. Książeczka ta zawiera barwny opis wynalezienia i udoskonalenia machiny parowéj, oraz zastosowania jéj jako motoru na drogach żelaznych, ze wskazaniem korzyści płynących z tego ułatwienia komunikacyi, dzisiaj, ze względu na czas i koszta, dostępnego dla wszystkich. Udatny wizerunek Jerzego Stephensena, dobrze wykonane drzeworyty i mapka dróg żelaznych w Królestwie Polskiém dopełniają całości.

9. Tanie a dobre narzędzia rolnicze dla włościan opisał K. Dulęba, rolnik. Warszawa, 1890 r.

Autor wylicza w swéj książeczce najwięcéj rozpowszechnione, a do potrzeb włościańskiego gospodarstwa najlepiéj się nadające narzędzia, jak pługi wrzesińskie i linowskie (Cichowskiego), brony szkockie z żelaznemi zębami w drewnianéj ramie, obsypniki, spulchniacze (ekstyrpatory, czyli grubery, wybornie zastępujące odwieczne radło, wałki pierścieniowe żelazne i drewniane nabite kołkami, wreszcie machiny, jak małe ręczne sieczkarnie, młynki do czyszczenia zboża i młockarnię ręczną. Co do téj ostatniéj, różnimy się w zdaniu z autorem. Młockarnia ręczna za mało jest produkcyjną i w porównaniu z młocką cepami, nie daje oszczędności; praca przy obracaniu korbą, przy znacznym stosunkowo oporze, lżejsza na pozór od bicia cepami, w rzeczywistości jednak jest więcéj nużącą, przytém dość wysoki koszt machiny (85 rubli) czyni ją dla gospodarstw włościańskich mniéj dostępną. Zaniedbanie się zaś w jéj utrzymywaniu i regularném smarowaniu, łatwo spowodować może zepsucie, co ją uczyni na czas dłuższy nieużyteczną i wymagać będzie dodatkowych kosztów na reparacye.

10. Uprawa pszenicy na gruntach gliniastych, wilgotnych, przez Szymona Gryffa, rolnika. Warszawa, 1891.

Każdy gospodarz, posiadający grunta zdatne pod zasiew pszenicy i mający dosyć nawozu, z pewnością ją będzie uprawiać i zadanie to spełni należycie, nie żałując pracy na wyniszczenie perzu, owego uprzykrzonego wroga zasiewów. Rady w książeczce zawarte są niewątpliwie dobre, ale nie przedstawiają dla gospodarza nic takiego, coby mu nie było dobrze znaném. Autor lekceważy bronowanie pszenicy na wiosnę, chociaż ta czynność, poparta przez takie powagi, jak A. Thaer i M. de Dombasle, uważaną jest za niezbędną, byle była wykonaną wtedy, gdy już rola na wiosnę obeschnie, i jak najenergiczniéj, ostremi żelaznemi bronami. Mniejszą już ma doniosłość przycinanie, czyli zżynanie przed rozwinięciem się kłosów zbyt bujnie rosnącéj, a więc choréj pszenicy. Jest-to w części skutecznym, ale

zawsze tylko półśrodkiem, co też autor w pracy swojéj zaznaczył. Co do pielenia, na które autor słusznie kładzie nacisk, bywa ono w zwykłych warunkach koniecznem, ale zmudna ta robota znacznie podnosi koszta uprawy. Pielenie tyleż kosztuje, co i żniwo.

11. Błogosławiona roślina łubin. Jego uprawa i pożytek dla gospodarstw włościańskich, napisał M. Dobrski.

Takich książeczek co najwięcéj! Gdzież bowiem, wśród rzeszy małych i drobnych posiadłości ziemskich, znajdziemy gospodarstwa dostatnio uposażone w łąki i pastwiska, tak, aby równowaga pomiędzy wydajnością, któréj od ziemi żądamy, a jéj zasilaniem, jakiego się od nas domaga, była choć w przybliżeniu zachowaną? Z pewnością można twierdzić, że prawie nigdzie. Gospodarstwo rabunkowe, w całém tego słowa znaczeniu, prowadzi się i na łanach dworskich i na niwce małorolnego gospodarza. Następstwem tego są coraz słabsze plony, coraz częstsze nieurodzaje. Zaradzić temu w pewnéj części mogłaby uprawa t. zw. ulepszająca, w któréj łubin niepoślednią, a nawet pierwszorzędną odgrywa rolę. W rzędzie innych, również dobroczynnych, roślin stają obok niego: koniczyna, serradella, wyka i w szczególnych razach, przy większym nieco obszarze gruntu przeważnie wapiennego, esparcetta. Oczekujemy niecierpliwie monografii, dotyczących tych cennych roślin.

12. Nauka rachunków dla samouków. Napisał Stefan Różański. Wydanie drugie. Warszawa, 1889.

Książeczka ta zawiera wykład czterech działań arytmetycznych z liczbami całkowitemi, objaśniony licznemi praktycznemi zadaniami.

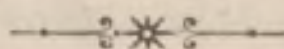
Taką jest wiązanka książeczek, którą mamy w ręku. Dziękujemy autorom i wydawcom za *już*, a prosimy o *jeszcze!*

Stanisław Rewieński.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



Władysław Smoleński. Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII. Studya historyczne. Kraków i Petersburg 1891 r. ss. II i 424, 8-o).

Historya ruchu umysłowego, którego początki sięgają wieku XVI, a którego dalszy postęp zaznaczył się w drugiéj połowie XVIII wieku pamiętnym przewrotem, doczekała się już w zachodniém piśmiennictwie nader licznych, jeżeli nie zupełnie jeszcze wyczerpujących opracowań. Inaczéj u nas; i z tego względu tém większa wdzięczność należy się p. Smoleńskiemu za podjęte przezeń „łamanie pierwszych lodów“ w tym kierunku. Ruch, o którym mowa, ogarnął, jak wiadomo, całość dziejowego rozwoju europejskiéj cywilizacyi naszéj, sięgając od pojęć do obyczajów, od trybów myślenia do form samych społecznego i politycznego bytu. Nie pokusił się p. Smoleński o objęcie tak rozległego obszaru. I słusznie. Badaniom jego, ograniczonym do „przekształcenia pojęć filozoficznych“, towarzyszącego innym spółczesnym rewolucyjnym wstrząśnieniom, nastręczyło się i tak pole dość szerokie.

Autor udowodnił w tym zakresie gruntowną znajomość przedmiotu i bardzo obfity zapas przyswojonych sobie źródeł historycznych. Od bibliotek i archiwów publicznych do zbiorów prywatnych nawet udając się, zgromadził nietylko jedną z pierwszych, ale bardzo pokaźną już wiązankę faktów obrazujących odnośną fazę naszéj przeszłości. Nie bez przyjemnego uczucia spotkaliśmy się, w powtórzonych wielekroć cytatach, z zapodzianem w odległéj nadniemeńskiéj okolicy „Archiwum Roskiem“, w którego uprzystępnieniu dla badaczy a nawet ocaleniu od zagłady mieliśmy niegdyś udział.

Pozyskanemi w ten sposób danemi posługując się, uprzytomnił nam p. Smoleński, w jasném a miejscami jaskrawém oświetleniu, hi-

storyczną fizyognomię umysłowości naszéj najpierw w dobie nienaruszonego jeszcze panowania teologicznéj umysłowéj hegemonii, czyli tak nazwanéj przezeń (może niezupełnie trafnie), „reakcyi katolickiéj“, późniéj w pierwszém zaraniu nadsyłanych z zachodu i prześwitających na naszym widnokręgu promieni nowego światła „filozofii *recentiorum*“, i daléj, z kolei, śród nadchodzącego łamania się antagonistycznych prądów, objawów sceptycyzmu religijnego i reakcyjnego fanatyzmu. Sprawa gnieżdżącego się i u nas wolnego mularstwa, którą obszerniéj opracował ks. Załęski w niedawno wydanéj książce, a którą pierwéj już omawiał w sposób pouczający ks. Deschamps w ustępie dzieła swojego p. t. „*Les sociétés secrètes de la Société*“ (Paryż, 1876, 3 t., 8-o, wyd. V), zajęła go mimochodem. Dłużéj zaś zatrzymały go, jak należało: sprawa dysydencka i sprawa sekularyzacyi szkół, które obie tak wybitną odegrały rolę w spółczesném ważeniu się nietylko umysłowych naszych nakłonień, ale ogólno-społecznych losów naszych, i tak wielkim ciężarem zawisły na szali.

W zużytkowaniu bogatego materyału przez się zebranego zastosował p. Smoleński metodę analityczną, zalecaną znacznéj liczbie dzisiejszych historyków przez mistrzowski przykład Taine'a; z tą jednak różnicą, że drobiazgowa analiza autora „Początków Francyi spółczesnéj“ nietylko prowadzi do syntezy, ale towarzyszy jéj raczéj w odwrotnym stosunku. Wiadomo, z jaką obfitością i stanowczością indywidualnych poglądów i założeń wystąpił francuski historyk, do stwierdzenia których tylko służy, pod jego piórem, nagromadzona obfitość dokumentowych danych. Inaczéj p. Smoleński. Dokumentowe dane, przezeń nam dostarczone, przedstawiają się same, po większéj części, i mają obowiązek przemawiania same za siebie. Osobistość umysłowa autora zdradza się zaledwie w wyborze ustawionych faktów i w ich ugrupowaniu. Zresztą posuwa p. Smoleński wstrzemięźliwość swoją pod tym względem, aż do abnegacyi. Domyślać się zapewne możemy, że, kiedy opowiada on nam, w jaki sposób, za dni teologicznego panowania nad pojęciami szlachty naszéj, „miłosierdzie boskie ujmować się dawało winem lub wódką“ (s. 10) myśl jego nie sympatyzuje z temi przejawami religijnego obskurantyzmu, ale wypada nam uciekać się do domysłu.

Metoda taka ma swoje dodatnie, ale także i swoje ujemne strony. Właściwie mówiąc, z dwóch zadań historyka, z których pierwsze polega na wyborze materyału, drugie na opracowaniu tegoż, to jest właśnie na przeprowadzeniu syntezy, uchyla ona jedno. W téj formie, w któréj do rąk naszych dochodzi, książka p. Smoleńskiego stanowi właściwie tylko dopiéro materyał historyczny, bardzo

cenny, ale poniekąd surowy. I wynikają stąd dla przeciętnego czytelnika rozmaite niedogodności. Ta naprzykład, że nie zawsze znajdzie on możność uchwycenia historycznego związku między dwoma przedstawionemi mu luzem faktami, a nawet poprostu wytłómaczenia sobie ich synchronicznego spółistnienia w historyi. Zdarzyć się bowiem może, iż dwa te fakta przeciwić się będą sobie z pozoru. I zdarza się to właśnie w książce p. Smoleńskiego. Na ss. 137—174, autor ilustruje jaskrawo objawy rozkrzewiającego się u nas sceptycyzmu religijnego: „Publicyści skarżą się jednogłośnie na niereligijność społeczeństwa“... „Szerzy się ateizm i deizm“... „Zobojętnienie religijne sięga aż do życia praktycznego“... „Ostyga zapał do budowy kościołów i koronacyi obrazów“... „Biskup Sołtyk daje w piątki obiady publiczne mięsne“... (s. 158). Aliści, kartek parę przewróciwszy, spotykamy się z tém samém, bezbożném społeczeństwem, które, pod wodzą tego samego wolnomyślnego biskupa, staje ławą przy kościele katolickim i jego przywilejach—przeciwko dysydentom! Autor nadmienia wprawdzie, że „pierwiastek polityczny grał niewątpliwie rolę ważną w powikłaném paśmie téj sprawy,... spychając z drogi prawidłowéj proces kształtowania się w narodzie poczuć tolerancyjnych“ (s. 238). Ale wyjaśnienie to, pobocznie uczynione, nie wystarcza chyba. Tém bardziéj, że nie jest wyczerpującém. Wpływ czysto-politycznych czynników w przecięciu mieczem gordyjskiego węzła sprawy, o któréj mowa, i w samém jego nawiązaniu, nie daje się zapewne zaprzeczyć.

Ale, oprócz polityki, są tutaj w grze i czynniki inne. Bo i oprócz czysto umysłowych odruchów wielkiego zachodniego rozmętu spółczesnego, nurtują społeczeństwo nasze inne prądy. W dwóch kierunkach odbywał się, tam na zachodzie już od XVI wieku, pochód krytyczno-opozycyjnych dążeń, stawiając na porządku dziennym zagadnienia odmiennéj, choć pokrewnéj natury: filozoficzno-polityczne z jednéj, socyalno-ekonomiczne z drugiéj strony. I duch, który wiał z tych różnych, choć równolegle rysujących się kierunków, nie był jednostajnie wolterowskim duchem tolerancyi — jak tó staraliśmy się wykazać sami (w książce w roku 1890 ogłoszonéj ss. 314—424). Nie z tém hasłem zgłaszała się popularna i u nas owego czasu, popularniejsza nawet od innych, doktryna Russa, wyhodowana w murach Genewy, zaprawiona partykularyzmem zaściankowego życia municypalnego i fanatyzmem protestantyzmu. Z rozmaitemi temi żywiołami rachować się musi historyk téj epoki; choć żaden zapewne pochlebiać sobie nie może, iżby ogarnąć je potrafił wszystkie i uwydatnić należycie, wykazując dynamiczną wartość każdego z nich w tym równole-

głoboku sił, którego wypadkową stała się nowoczesna kultura europejskich ludów.

Niemniéj przeto godziwą jest rzeczą, dla każdego poświęcającego pracę swoją tym badaniom, a nawet pożądaną z jego strony, jak sądzimy, pokusić się bodaj o tego rodzaju wymiarowy pogląd względem rejestrowanych przezeń zjawisk. Inaczéj, przy prostém ryczałtowém zestawieniu poszczególnych faktów, zdarzyć się może znowu, iż ten sam fakt inne miejsce w jednéj, inne w drugiéj książce zajmując, innego tém samém i wręcz przeciwnego nabierze znaczenia. Zdarzyć się to może nawet w jednéj i téj saméj książce, jak tego uczy nas sam p. Smoleński:

„W r. 1785 podziwiany dla pięknego wykształcenia za granicą młody Henryk Niemirycz, podczas odpustu w miasteczku Krupcu, przystąpiwszy bez spowiedzi do komunii, wziął do rąk hostyę, z żartami i szyderstwy pokazywał ją obecnym“. Szczegół ten, na s. 146 książki p. Smoleńskiego przytoczony, ilustruje tam spółczesne nadwerężenie przekonań religijnych śród naszego społeczeństwa. Aliści na s. 375 dowiadujemy się, że ten sam „Henryk Niemirycz, za publiczne sprofanowanie hostyi w kościele krupickim, byłby przez szlachtę rozsiekany szablami, gdyby korzystając z tumultu, nie umknął“. I tu całe to zajście służy znowu autorowi do uwydatnienia zatwardziałości tego samego społeczeństwa w przywiązaniu do dawnych pojęć, wierzeń, narowów i zabobonów, i jego nieczułości „wobec wolnomyślnych haseł wieku oświeconego“.

Jeszcze jedna uwaga co do metody autora. Skłania go ona do częstego posługiwania się cytatami i cudzysłowami. Naszém zdaniem za częstego. Są pojedyńcze rozdziały, w których tekst oryginalny ogranicza się do kilkunastu wierszy. Czyni to najpierw czytanie książki nader nużącém, a zużytkowanie jéj wprost nawet, jak sądzimy, niedostępném dla ogółu czytelników. I powtarzamy: studya historyczne w tę formę ujęte, są raczéj w oczach naszych studyami do historyi niż właściwemi pracami historycznemi. Powtóre, jeżeli zdobywamy tą drogą cenny przyczynek oryginalnych świadectw dostarczonych nam przez autora, tedy tracimy autora samego, jego myśl, jego indywidualność duchową, odbicie się obrazowanych przezeń faktów w zewnętrznêm zwierciedle jego pojęcia, to jest właśnie to, czego bylibyśmy najwięcéj ciekawi. Tém bardziéj, że to co nam pokazuje autor z tych rzeczy, a pokazuje nam niezmiernie mało, każe nam wnosić, iż nie zyskujemy na zamianie. Tu i owdzie, z pojedyńczych, skąpo wymierzonych i jakby ułamkowych zwrotów, w których autor daje nam dostęp do owego zazdrośnie ukrywanego

wnętrza, wychodzi na jaw pogląd trzeźwy, umiarkowany i wytrawny. Najczęściéj jednak nie ujawnia się dość wyraźnie; pozostaje za mgłą. Zamglone jest np. wyobrażenie autora o roli naszego duchowieństwa zakonnego, któremu budzić każe, na s. 33 i następ., nowy ruch umysłowy, rozwijający się u nas około połowy XVIII stulecia, zaznaczywszy na s. 33 i następ. reakcyjne stanowisko tegoż samego duchowieństwa wobec pierwszych początków tego samego ruchu! Chybaż tedy budziło ono ruch, o którym mowa, jak myśliwy budzi zająca, strzelając do niego. Może i tak myślał autor, ale nie powiedział nam tego.

Najwyraźniéj, najśmieléj i z niespodzianą nawet drastycznością ujawnia się myśl autora w samym nagłówku, umieszczonym na okładce książki. Nie powiemy, aby ujawniała się tam najtrafniéj. Frazes o „wierzeniach-dzieciach nieświadomości, które niedługo przeżywają swoją matkę“ jest tylko frazesem, przeciwko filozoficznéj wartości którego przemawia cała historya umysłowego rozwoju naszego. W chwili, w któréj piszemy, leży na naszém biurku cały stos dzieł świéżo wydanych, napisanych, po części przynajmniéj, przez ludzi niepospolitego umysłu i niezmiernie rozległéj wiedzy, a poświęconych, w duchu bynajmniéj nie sceptycznym, hermetyce, astrologii i innym naukom tego rodzaju, które w pojęciu p. Smoleńskiego, mają prawdopodobnie z „dziećmi nieświadomości“ związek najbliższego pokrewieństwa. Że zamilczymy już o innych spółczesnych nam przejawach tego samego umysłowego kierunku. Nieświadomość jest może matką wierzeń, ale kto wié, czy nie siostrą także nieodrodną biednéj naszéj ludzkości. Jeżeli zaś o przeżycie chodzi, nie wiadomo także, która z sióstr przeżyje drugą. Aforyzm nagłówkowy pana Smoleńskiego brzmi zbyt optymistycznie — lub zbyt pesymistycznie, jak się komu podoba.

K. Waliszewski.

„Dzieje literatury powszechnéj z ilustracyami.“ Tom III. „Dzieje literat. nowożytnéj“. Okres pierwszy: Czasy humanizmu i reformacyi. Część druga: V. „Literatura angielska“ przez Feliksa Jezierskiego; VI. „Literatura niemiecka w XVI i XVII-ym w.“ przez d-ra Alberta Zippera: VII. „Literatury słowiańskie w wieku XVI-ym i XVII-ym“ przez Bronisława Grabowskiego. Warszawa, S. Lewental, 1891 roku.

Z części pierwszéj wymienionego powyżéj tomu, zawierającéj historyę odrodzenia literatury u ludów romańskich, zdawaliśmy przed rokiem sprawę w „Ateneum“. Wydana obecnie część druga, traktująca o piśmiennictwie narodów germańskich i słowiańskich, uzu-

pełnia i zamyka obraz pierwszego okresu dziejów literatury nowożytnéj.

Opracowaniem najciekawszego momentu téj niezwykłéj epoki, zwanego „renesansem angielskim“, zajął się zasłużony tłómacz i znawca piśmiennictwa, Feliks Jezierski. Autor miał na tém polu wielu poprzedników. Imponująca postać Szekspira, otoczona licznym zastępem pokrewnych duchów, nęciła niejednego wybitnego krytyka i historyka. A każdy z nich starał się, nietylko przedstawić, ale zarazem i wytłómaczyć ten ruch umysłowy, tak jednolity wewnętrznie, pomimo nadzwyczajnego bogactwa i barwności objawów zewnętrznych. Mnóstwo potężnych, wyrobionych i oryginalnych zupełnie indywidualności artystycznych, rozwijających się najswobodniéj w świecie, a mimo to podobnych do siebie, pod pewnemi względami, niby dzieci jednéj matki — oto bardzo luźna, ale zarazem najprostsza formuła, jaką można określić epokę odrodzenia literackiego w Anglii. Skąd się atoli owe indywidualności wzięły i dlaczego taką, a nie inną podążyły drogą?

Wpływy historyczne i polityczne w części zaledwie tłómaczą to zjawisko. Dla dokładniejszego wyjaśnienia należało wprowadzić do rachunku czynnik uzupełniający, a mianowicie: rasę, w któréj te wszystkie cuda istniały jakoby oddawna *in potentia*. Naród angielski jest, jak wiadomo, zlewem rasy celtyckiéj z germańską, zabarwionym lekką domieszką żywiołu galijskiego, przyniesionego przez zfrancuziałych najezdzców normandzkich, którzy, aczkolwiek nie znaczni liczbą, zajmowali przecież najwybitniejsze i najbardziéj wpływowe stanowiska w społeczeństwie. Któraż z tych ras najtrwalsze na cywilizacyi angielskiéj wyryła piętno?

H. Taine, a za nim wielu, bardzo wielu innych badaczów, przyznało pierwszeństwo anglo-sasom, czyli rasie germańskiéj. W I-ym tomie swego pomnikowego dzieła o literaturze angielskiéj, znakomity krytyk francuski powiada wyraźnie: „W każdym razie rasa pozostała saską. Jeżeli dawny duch poetycki zginął po zaborze, to tak, jak rzeka, co niknie z powierzchni, ale płynie pod ziemią. Wyjdzie on na jaw po pięciu wiekach!“ (str. 71). W inném miejscu znowu, rozbierając odrodzenie, autor mówi: „*La renaissance anglaise est la renaissance du génie saxon*“ (I, 266). Przeciwko podobnemu zapatrywaniu się na tę epokę, p. Jezierski — nie polemizując zresztą z Taine'm specyalnie — występuje bardzo ostro, twierdząc, że nie było to bynajmniéj zmartwychwstanie pierwiastku anglo-saskiego, tylko rozkwit dojrzewającéj narodowości, „u k s z t a ł t o w a n é j w p r a w d z i e z p l e m i o n, a l e w y o d r ę b n i o n é j j u ż p o n a d p l e m i o n a.“ Zbiór

zaś cech charakterystycznych, wyróżniających ducha téj nowéj narodowości, nazywa autor z cudzoziemska—insularnością (coby można od biédy oddać po polsku przez „wyspiarstwo“), mniemając, że przy formowaniu się typów plemiennych główną rolę odgrywa natura samego kraju, czyli ów przemożny „fatalizm gruntu“, który łamie i zobojętnia wszystkie żywioły napływowe, zmuszając je do przybrania miejscowéj barwy.

„Insularność“ angielska nie jest bynajmniéj, jak chce Taine i jego szkoła, żywiołem nawskroś germańskim. Dowodzi tego, zdaniem autora, przedewszystkiém fakt, że „kierunek myśli angielskiéj, zwłaszcza w chwilach jéj dojrzewania, odbywał się na drodze wręcz przeciwnéj wszystkiemu, co germańskie.“ P. Jezierski, krępowany szczupłością miejsca, nie rozwija i nie uzasadnia szczegółowo swego twierdzenia, poprzestając na podaniu kilku wybitniejszych rysów; nikt atoli nie ośmieli się odmówić jego poglądom znacznéj słuszności, zwłaszcza że i główny rzecznik teoryi przeciwnéj, H. Taine, w kilku miejscach swéj słynnéj pracy wygłasza zdania, przemawiające pośrednio na korzyść hypotezy autora polskiego. Tak np. w rozdziale o Millu (Tom V, str. 416) zaznacza on wyraźnie różnicę, zachodzącą pomiędzy praktycznym duchem angielskim a spekulatywnym niemieckim; stawiając pośrodku tych biegunowo przeciwnych żywiołów geniusz francuski, „który rozszerzył w wieku XVIII-ym idee angielskie, a w wieku XIX-ym może określić ściśléj (*préciser*) mgliste idee niemieckie.“ A przecież w żyłach Niemców więcéj bez porównania płynie czystéj krwi germańskiéj, aniżeli w żyłach Anglików! Tęż samę zasadniczą niezgodność dostrzega Taine, porównywając arcygermańskiego „Fausta“ goetowskiego (*âme du poete dans la tête du docteur!*) z byronowskim „Manfredem“, mającym przedstawiać uduchowiony typ Anglika. Słowem, hypoteza przewagi pierwiastku teutońskiego w umysłowości angielskiéj posiada słabe strony, których nawet mistrzowskie pióro Taine'a pokryć nie zdołało. Szkoda tylko, że p. Jezierski nie wykazał dokładniéj różnic pomiędzy Eddą i poezyą anglo-saską z jednéj, a płodami duchowemi odrodzenia z drugiéj strony, i nie skruszył tym sposobem najważniejszego ogniwa, wiążącego przeszłość pra-historyczną z epoką nowożytną. Dopóki to nie będzie zrobione, idea nieprzerwanéj ciągłości i jednolitości rozwoju piśmiennictwa angielskiego, poparta dobranemi szczęśliwie analogiami, nie przestanie wywierać uroku na umysł ludzki, spragniony zawsze i szukający wszędzie — syntezy!

Po krótkim, ale bogatym w treść wstępie, przechodzi autor do właściwych dziejów piśmiennictwa i, scharakteryzowawszy umiejętnie

epokę chwilowego zastoju, w jaki zapadła poezya angielska po śmierci Chaucer'a, wita w „makarach" szkockich pierwsze promyki zorzy odrodzenia.

W Anglii zabłysła ona późniéj, niż na południu Europy, świeciła za to niezwykle potężnie i pięknie. Wśród pozornéj jałowości i martwoty „przygotowywały się zarody wspaniałego rozkwitu, a zmysł twórczy, przycichły na chwilę, pracował we wnętrzu, nabierając siły do rozpędu."

Olbrzymi geniusz Szekspira, w którym odrodzenie angielskie dosięgło swojego zenitu, przyćmił wszystkich współtowarzyszów i współzawodników, jak jasność słońca przyćmiewa wszystkie inne blaski. Wśród tych przygaszonych świateł i światełek jednak znajdowały się gwiazdy pierwszéj wielkości. Taki liryk i epik, jak Spencer, przyniósłby zaszczyt każdemu piśmiennictwu, dramaty zaś Marlowe'a, Ben-Jonsona, Beaumonta, Fletchera, Massingera i Webstera mogłyby śmiało walczyć o lepsze z arcydziełami każdego prawie narodu, z wyjątkiem jednéj może Hiszpanii, mogącéj im przeciwstawić utwory Lope de Vegi i Calderona. Na szczególniejszą uwagę zasługują Marlowe i Ben-Jonson. O pierwszym z nich nie waha się autor powiedzieć (str. 104): „wkrótce widzimy go na wysokości najznakomitszego dramaturga wieku XVI-go tak, że tylko śmierć przedwczesna przerwała twórczy wątek tego geniuszu i—ocaliła sławę Szekspira." Z dzieł tego poety p. Jezierski słusznie zupełnie stawia na pierwszym planie „Fausta", którego kilka interesujących ustępów przytacza w przekładzie. Niemniéj ciekawym jednak jest „Żyd Maltański", którego główny bohatér, Barabasz, dostarczył niewątpliwie wielu rysów do szekspirowskiego Shylocka. Rzecz prosta, że autor nie mógł na kilku stronicach zawrzéć wszystkiego, coby się dało powiedzieć o Marlowie, zwłaszcza że, wobec braku przekładów jego tragedyi na język polski, trzebaby każdy sąd popierać pochłaniającemi miejsce cytatami.

Teżsame względy nie pozwoliły p. Jezierskiemu rozpisać się szerzéj o drugim rywalu, a zarazem teoretycznym przeciwniku Szekspira—„rzadkim Ben-Jonsonie." Autor poprzestał na bardzo dobréj charakterystyce ogólnéj, oraz na podaniu wyjątków z mistrzowskiéj komedyi „Volpone" i tragedyi „Sejanus." Inne niezmiernie ciekawe utwory, zwłaszcza dwie przepyszne komedye „Humorów" oraz „Milcząca kobiéta", zostały z konieczności ocenione w kilku wierszach. A szkoda, bo w tych trzech dziełach, do których możnaby jeszcze dołączyć „Alchemika", znajduje się mnóstwo nadzwyczaj znamiennych typów, uplastyczniających rozliczne wady i śmiesznotki społeczeństwa

angielskiego w owéj epoce. Ben-Jonson bowiem, zagorzały klasyk na punkcie formy, był często wielkim realistą w treści i wprowadził do swoich dzieł komicznych wiele bardzo szczegółów, wziętych prosto z życia, z szynku, ulicy, budy jarmarcznéj i t. p. W komedyach Szekspira więcéj jest bez porównania myśli, dowcipu, fantazyi i poezyi, u Ben-Jonsona przeważa satyra, oparta na obserwacyi życia. Jedynie niektóre typy z „Kumoszek Windsorskich" dadzą się porównać z zabawnemi figurami starego Bena, kreślącego z upodobaniem eleganckich dworaków, wynajdujących codzień nowe zaklęcia i mówiących „eufuistycznym" językiem Lyly'ego, oraz dziwacznych oryginałów, czyli t. zw. „humorystów", poddających się ślepo swoim upodobaniom i kaprysom.

Przekład kilku komedyi Ben-Jonsona, oraz tragedyi Marlowe'a byłby u nas bardzo pożądany, posiadają one bowiem, prócz historycznéj, i rzeczywistą a wysoką wartość literacką, ze wszech miar więc zasługują na bliższe poznanie.

Oryginalne i oparte na źródłowych badaniach, studyum swoje nad epoką odrodzenia zamyka p. Jezierski przeglądem prozy, któréj głównym przedstawicielem był genialny Franciszek Bakon. Filozofa tego nietylko lubiano zestawiać i porównywać z twórcą „Hamleta", ale nawet przypisywano mu ukryte autorstwo dramatów szekspirowskich. Naiwna ta hypoteza nie wytrzymuje, zdaniem p. J., poważnéj krytyki.

Nie tak wdzięczne, o wiele za to łatwiejsze zadanie miał dr. Zipper, który opracował w niniejszym tomie dzieje literatury niemieckiéj w XVI-ym i XVII-ym wieku.

Jeżeli odrodzenie literatury angielskiéj dałoby się porównać do dziewiczego lasu zwrotnikowego, o dzikiéj, wybujałéj roślinności, to odpowiedni okres piśmiennictwa niemieckiego sprawia wrażenie suchéj, piaszczystéj pustyni. Wobec braku wybitnych pisarzów i utworów, autor nie potrzebował łamać sobie głowy nad zawikłanemi zjawiskami, ani téż wyszukiwać nowych formuł i kluczów, służących do wyjaśnienia tego, lub owego psychologiczno-literackiego problematu. To téż zwyczajny sprawozdawczy ton—z po za którego zresztą przegląda gruntowna znajomość rzeczy—wcale tutaj nie razi, odpowiada bowiem naturze opisywanych przedmiotów. Trudno przecie oprawiać krzemienie w złoto! Pośród tych krzemieni jednak znajdował się jeden brylant niepośledniéj wody, i dla niego należało zrobić wyjątek! Osobistość Marcina Lutra zasługiwała na szersze i głębsze opracowanie, a chociaż autor musiał się zapewne rachować z miejscem, to dodanie kilku stroniczek nie wyrządziłoby chyba wydawnictwu wielkiéj

krzywdy. Pan Zipper rozbiera tylko c z y s t o l i t e r a c k ą działalność twórcy współczesnego języka niemieckiego, odsyłając czytelnika po szczegóły życiowe i psychologiczne do historyi. Pochwalić tego nie możemy. Dzisiejsza krytyka jest *par excellence* biograficzną, nawet wtedy, kiedy analizuje utwory literatów, dla których pióro stanowiło alfę i omegę działalności. O ileż ważniejszym jest obraz losów i charakteru człowieka, który nietylko pisał, ale i działał, wpływając czynami swojemi, więcéj jeszcze, aniżeli pismami, na rozwój i kierunek piśmiennictwa ojczystego.

Jeżeli, ściśle biorąc, nie można Lutra uważać za rodzica reformacyi, to był on bezwątpienia jéj opiekunem i wychowawcą i odcisnął na tym ruchu umysłowym bardzo wyraźne znamię swojego osobistego charakteru. Głęboka religijność, oraz dużo uczucia, rozsądku, nauki i energii—z jednéj, a wielka ciasnota umysłu, spora doza pedanteryi, uporu, kłótliwości i rubaszności z drugiéj strony,—wszystkie te zalety i wady duchowe reformatora odbiły się na współczesnéj literaturze niemieckiéj, nadając jéj specyalny teologiczno-polemiczno-dydaktyczny nastrój i koloryt, któryby nazwać można „charakterem pastorskim.“ Rzeczywiście, większość pisarzów niemieckich, nietylko w w. XVI-ym, ale i w późniejszych wiekach, należała, lub wyszła ze stanu duchownego, dla którego reformator wiary był i pozostał życiowym, oraz obyczajowym wzorem. Wogóle i sam literacki typ „pastora“, odgrywający tak często poważną, lub komiczną rolę w wielu poematach i romansach niemieckich, pochodzi w prostéj linii od Lutra, którego żywot, zaczęty burzliwie, zakończył się pierwszą „rodzinną idyllą pastoratu.“ Zarówno „Poczciwy proboszcz z Grünau“ Vossa, jak i zabawny zbieracz omyłek drukarskich, Quintus Fixlein Jean-Paula, zawierają w sobie cząsteczkę poetyczno-filisterskiéj duszy byłego wittenberskiego mnicha.

Najlepsze źródło barw, nadających się do odmalowania charakteru tego niezwykłego, pomimo swéj połowiczności, człowieka, znaleść można w jego korespondencyi, oraz w przepysznych „Rozmowach przy stole“ [1]), z których Michelet (*Mémoires de Luther*) tak cudownie fizyognomię duchową reformatora odtworzył, a o których dr. Zipper nie wspomina wcale.

W sylwetkach innych, mniéj wybitnych pisarzy, nie czuć tak bardzo braku psychologicznego żywiołu. Wrzaskliwy i cyniczny

[1]) Dr. Martin Luthers Tischreden oder Colloquia, so er in vielen Jahren mit gelehrten Leuten, fremden Gästen und seinen Tischgesellen geführt. I-a Edyc., 1566.

Murner, dowcipny Fischhart, sympatyczny i utalentowany Hans Sachs, pracowity Brandt, rysują się dość dobrze w wyobraźni czytelnika, pomimo że autor prawie wcale nie ilustrował swego opowiadania cytatami. Już nie tak wyraziście, a nawet bardzo blado wyszedł odważny i ruchliwy rycerz, poeta Ulrich von Hutten.

Ckliwy i ubogi wiek XVII-ty, jego gadatliwi poeci i romansopisarze, oraz przesadne towarzystwa językowe, naśladujące niezgrabnie florencką akademię *„della Crusca“*—wszystko to zostało opisaném i scharakteryzowaném zupełnie przyzwoicie.

Literatury słowiańskie, t. j. chorwacką w Dalmacyi i Dubrowniku, oraz w Chorwacyi właściwéj i Slawonii, jakotéż czeską i ruską w XVI i XVII wieku, opracował bardzo sumiennie znany slawista p. Bronisław Grabowski.

Interesującym niezwykle jest rozdział, poświęcony literaturze chorwackiéj, tak mało znanéj, a tak bogatéj i ciekawéj, zwłaszcza dla Polaków, których wojny i zwycięstwa odbijały się nieraz gromkiém echem w poezyi chorwackiéj. Głównym wrogiem słowiańszczyzny południowéj była Turcya, która niejednokrotnie poczuła w owych czasach na swoim karku ostrze polskiego oręża. Każdy taki wypadek dziejowy budził niesłychany entuzyazm w pokrewnych nam nietylko językiem, ale i wiarą Chorwatach, i wywoływał cały szereg pieśni i poematów, tchnących nadzwyczajną sympatyą i uwielbieniem dla „obrońców chrystyanizmu, a wrogów Mahometa.“

Dodatnim, czyli właściwym bohatérem wspaniałéj epopei Gundulicza p. t. „Osman“ jest królewicz, późniejszy król Władysław IV Waza, którego poeta chorwacki, niezbyt zgodnie z prawdą historyczną, uważa za główną sprężynę bitwy i zwycięstwa pod Chocimem.

Drugi, późniejszy nieco pisarz, Piotr Kanawelicz napisał po odsieczy Wiednia „Pieśń Janowi Sobieskiemu, królowi polskiemu, sławnemu pogromcy Turków, obronicielowi Wiednia.“ Rękopism téj pieśni z dedykacyą poety i z odpowiedzią króla znajduje się w bibliotece wilanowskiéj, skąd p. Grabowski wydobył także niedrukowaną dotąd drugą pracę Kanawelicza, poświęconą Sobieskiemu, z któréj wyjątki przytacza w przekładzie.

Bardzo dobrze zrobił p. Grabowski, podkładając pod obraz literatury szerokie tło dziejowe. Historya Chorwatów prawie wcale nie jest znana, każdy więc czytelnik będzie wdzięczny autorowi za podanie tego mnóstwa nowych zupełnie, a zarazem godnych uwagi szczegółów. Na specyalne wyróżnienie zasługuje opis losów i ustroju rzeczypospolitéj Dubrownickiéj (Raguzy), o któréj u nas dotąd chyba tylko z tłómaczenia fantastycznego romansu Jokaya („Trzy głowy marmurowe“) można się było czegoś dowiedzieć.

Praca p. Grabowskiego, niezależnie już od jéj wartości wewnętrznéj, powinna wzbudzić zajęcie, choćby przez to samo, że jest prawie unikatem w literaturze naszéj, lichéj książczyny p. Wiktora Czajewskiego bowiem nie podobna zaliczyć do poważnego dorobku piśmienniczego.

Kończąc na têm niniejszą notatkę, pozwolimy sobie wyrazić zdziwienie z powodu, że w omawianéj przez nas części tomu III-go (str. 415) „Dziejów literatury powszechnéj z ilustracyami“ — nie ma ani jednéj ilustracyi! A przecież była tam mowa o wielu, bardzo wielu osobistościach, godnych sportretowania. W poprzednich tomach podawano wizerunki nawet podrzędnych pisarzów, a tutaj pominięto takiego Szekspira, Ben Jonsona, Lutra i całą masę innych znakomitości! *Ignacy Matuszewski.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *H. Andersen.* **Bajki i opowiadania.** Spolszczył ***. Ozdobione licznemi drzeworytami w tekście (Warszawa, T. Paprocki, 1892, str. 373). — Nie jest-to książka, ściśle rzecz biorąc, dla dzieci i młodzieży przeznaczona, ale oddawna już do tego wszędzie, szczególniéj w Niemczech, stosowana. Służy ona do rozbudzenia fantazyi i nadania jéj pewnego szlachetnego kierunku, ażeby za jéj pośrednictwem niektóre nauki moralne i niektóre uczucia głębiéj wszczepić w umysły i serca młodociane. Może ona wprawdzie zamącić niekiedy pojęcia naukowe, ponieważ autor, pełen humoru i skłonny do robienia czytelnikom niespodzianek, bardzo dowolnie postępuje ze wszystkiemi przedmiotami i zjawiskami przyrody, obdarzając je przymiotami i właściwościami, jakie mu w danym razie okazują się potrzebnemi. Ponieważ jednak z góry jesteśmy uprzedzeni, że mamy do czynienia z fantazyą tylko, szkody rozumowe nie mogą być wielkie, ani niebezpieczne. Myśli głębsze, zawarte w fantazyach Andersena, nie łatwo młodzież ująć potrafi, jak np. w „Słowiku“, albo „Cieniu“, ponieważ i dla starszych przedstawiają one niemało trudności. Są téż między baśniami Andersena takie, które w wydawnictwie dla młodzieży wypuścić należało, że wymienię np. „Wojciecha i Wojtka“, gdzie przebiegłość łączy się z oszukaństwem i bezlitosném względem bliźniego, chociaż złego, usposobieniem. Zbyt téż często stosunki miłosne są głównym tematem opowiadań, a chociaż w nich nie ma nic obrażającego poczucie wstydliwości, silne zajmowanie takiemi przedmiotami umysłu młodocianego nie może się uważać za rzecz zdrową. Jedna

z baśni p. t. „Ogród rajski“ w treści zasadniczéj oparta jest na tym samym wątku, jaki posłużył w przeszłém stuleciu Drużbackiéj do osnucia „Fabuły o książęciu Adolfie, dziedzicu Roksolanii.“ W tłómaczeniu znajdujemy usterki zwykłe w naszych przekładach, wynikające z zaniedbania w składni. — Przy téj sposobności wspomnieć należy, że wydawca „Bajek i opowiadań“ Andersena ogłosił w r. b. systematyczny „Katalog książek polskich, obejmujący wychowanie domowe“ (str. 87), doprowadzony aż do r. 1891-go. Nie jest zupełnie wyczerpujący, ale zawiera wszystkie te wydawnictwa (około 4,000), jakie w księgarniach warszawskich nabyć można. Jest-to bardzo cenna wskazówka bibliograficzna dla wszystkich, co się sprawą wychowania zajmują, i wzbogaca zasób tak nielicznych u nas katalogów specyalnych.

— W „Bibliotece dla młodzieży“, wydawanéj nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa, wyszły świeżo dwie książki. Jedna z nich, napisana przez znanego pedagoga i beletrystę, p. Adolfa Dygasińskiego, p. n. **Podróże młodzieńca czyli Robinson polski** dla młodzieży“ (z 6-ma rycinami Stanisława Wolskiego, str. 215), przedstawia starania, zawody, prace i walki czwartoklasisty Pawła Glinowskiego, który po śmierci ojca, wobec bardzo szczupłego majątku, a licznéj rodziny, wyrzeka się dalszéj nauki i w zawodzie stolarza pragnie znaleść środki utrzymania i pożytecznéj działalności. Nie nadzwyczajności więc jakieś, ale rzeczywiste, choć pełne urozmaicenia stosunki, albo stoją mu na drodze i dalszy pochód wstrzymują, albo też mu do wytrwania dopomagają. Chcąc dać bohaterowi swemu sposobność do wielostronnego wyrobienia uczuć społecznych oraz zahartować jego wolę, więcéj mu p. Dygasiński nasuwa przeszkód niż pomocy, tak, że biedakowi każe przez półtora miesiąca nosić katarynkę po Warszawie, ale w końcu dozwala mu osiągnąć cel pragnień i otworzyć wraz z kolegami zakład stolarski. Zalety wykonania tego pomysłu są niepospolite, może tylko niekiedy zbyt oschłym jest dydaktyzm rozmów. Druga książka jest to skrócone i zastosowane do potrzeb pedagogicznych rozgłośne dzieło Jonatana Swifta: **Podróże Guliwera** (z 8 rycinami, str. 264). Oddawna już służy ono we wszystkich językach głównie jako rzecz przemawiająca do wyobraźni młodéj, lubującéj się w karykaturze, a więc albo w nadzwyczajnéj małości Liliputów albo w nadzwyczajnéj wielkości Brobdignaków. Dojmująca satyra na uczucia i postępki ludzkie, na urojenia ich i mrzonki odsłoni się czytelnikom młodym kiedyś dopiero, kiedy będą mogli własnemi doświadczeniami i rozmyślaniem zmierzyć gorycz lekkiego niby

opowiadania Swifta. Nowe opracowanie dość jest staranne, lubo pod względem językowym mogło być poprawniejsze. W użyciu przypadków oraz przysłówka *więcéj* w zdaniach przeczących, tak jak zresztą w wielu innych wydawnictwach spółczesnych, znajdują się i tu również omyłki domagające się sprostowania przy dalszych edycyach.

= **Na wsi.** Powieść dla młodocianego wieku przez *Ludwika Niemojowskiego* (z rycinami, Warszawa, 1892, str. 176). Jest to utwór pisany według staréj metody, polegającéj na tém, żeby jaknajwięcéj wprowadzić do opowiadania morałów wyraźnie wypowiedzianych, nie bardzo zważając na naturalny bieg wypadków i rozwój charakterów dziecinnych. Autor obiera sobie za temat średnio zamożną, urzędniczą rodzinę warszawską, któréj dzieci nigdy do czasu rozpoczęcia powieści na wsi nie były, i postanawia przeprowadzić w ciągu wakacyi szereg sytuacyi, mających na celu pokazanie różnych stron życia wiejskiego oraz oddziaływanie na złe przywyknienia dzieci. Przeciwko samemu pomysłowi nic mieć nie można; wykonanie jego atoli szwankuje w wielu ważnych punktach. Mniejsza o to, że autor posługuje się anegdotami i powiastkami już dawno znanemi, bo w pedagogice nie może iść tyle o oryginalność, ile o odpowiedniość środków wychowawczych, ale gdy p. N. nie umie utrzymać skali swojego wykładu, raz przemawiając jak do bardzo małych i zgoła nierozwiniętych wychowańców, a drugi raz częstując ich frazeologią do ich pojęcia zupełnie nie zastosowaną, gdy raz pewne osóbki czyni bardzo naiwnemi, dziwiącemi się rzeczom najprostszym, a drugi raz każe im wypowiadać mówki, którychby się sam nie powstydził, gdy nie zadawalnia się naukami, jakie dać mogą wypadki życia rzeczywistego, lecz je sztucznie przygotowuje, gdy wreszcie w kwestyach objaśnień naukowych (o maszynie parowéj, o błędnych ognikach) okazuje nieudolność pedagogiczną: to już są wady, których lekceważyć niepodobna. Niektóre sceny, jak np. wstępna, lub ze sroką, ukaranie zarozumiałości Stefana, postępek Azora, odwaga Józia, są żywo obrobione, ale i w nich także wytknąć musimy sztuczność, konwencyonalność staréj szkoły beletrystów pedagogicznych, nie umiejących przemawiać do wyobraźni, lecz tylko do rozsądku, nie posługujących się mową właściwą rozmaitym stopniom wykształcenia, lecz jednostajną książkową, jaką sam autor zwykł się posługiwać. Można z téj powiastki korzystać jak z wypisów, wybierając niektóre rozdziały i opuszczając z nich rzeczy, które dla pewnego wieku wychowańca nie są zrozumiale wyłożone. Korekta pod względem pisowni jest bardzo zaniedbana.

— *Zofia Kowerska.* **Rózia.** Powieść. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1891. Osoby mające w téj powieści główne role, t. j. sama Rózia, brat jéj Mieczysław i narzeczony Władysław Rażyński robią wrażenie raczéj lunatyków bezwiednie niemal snujących się po świecie niż żywych i zdolnych do czynu ludzi. Najlepiéj utrzymaną w tonie, ale nieskończenie przykre wrażenie wywierającą postacią jest Mieczysław, jeden z tych niepraktycznych ideologów pobudzanych gorączką działalności, bez przygotowania i umiejętności pracy, łudzący siebie i drugich nieprawdopodobnemi rezultatami, a niemający odwagi zajrzeć w oczy rzeczywistości. Człowiek o złotém sercu a słabéj głowie, doprowadza do ruiny siebie i siostrę, która tak własną schedę jak i świeżo odziedziczony po bogatéj ciotce majątek oddaje z niedołężną trochę i nieopatrzną dobrocią bratu, pomimo że o powodzeniu jego rzekomo świetnych gospodarskich planów nawet marzyć już nie może, że idealna ta istota, którą autorka nieco mglistemi nakreśliła barwami, zbiera w zamian za swą ofiarność i dobroć bez granic, same piołuny niewdzięczności ludzkiéj. Brat uwierzywszy jakiejś nikczemnéj plotce, odwraca się od niéj, bratowa — zimna, zazdrosna Zenona — nie mogąc niczego się już od niéj spodziewać, wprost dom jéj wymawia; a na dobitkę i narzeczony zrywa zamierzone małżeństwo, usprawiedliwiając się kilku sofizmatami na temat miłości zamierającéj w niedość pięknych ramach i t. d. Biedna Rózia, doprowadzona do zupełnego niedostatku opuszczona przez wszystkich, szuka ratunku w pracy; przenosi się do Warszawy, a że posiada niezmierny talent muzykalny, żyje przeto z udzielanych lekcyi gry na fortepianie. — Zgnębioną przeciwnościami nagradza ostatecznie p. Kowerska, hojnie miłością ludzką. Wszyscy którzy się do Rózi zbliżają, kochają się w niéj na zabój. Najprzód więc chory, chudy student Łosicki, daléj milionowy przemysłowiec Feierkraft, przedstawiony przez autorkę jako typ chciwca i samoluba, który jednak nie waha się zaraz po drugiém widzeniu się z Rózią, błagać nbogą nauczycielkę o oddanie mu ręki. Jednym z konkurentów jest téż znakomity i bogaty doktór Malicki, z którym zapoznała się Rózia podczas choroby. — Jego to robi autorka opatrznością, wynagradzającą cnotliwe życie biednéj sieroty; Malicki żeni się z Rózią, dając jéj wszystko, czego kobieta zapragnąć może, bo miłość rozumnego człowieka, wysokie stanowisko i ogromny majątek. Ten dzielny doktór a trochę orginał to najwięcéj pociągająca postać w całéj powieści. Rózia, choć widocznie wyposażona bezwzględną sympatyą autorki, razi zupełnym brakiem prawdy psychologicznéj; jest ona raczéj istotą z mgły i brzasku utkaną niż rzeczywistym, realnym człowiekiem. Jéj doskonałość przygnębia wprost zwykłego śmiertelnika, a niezmierna do-

broć — robi raczéj wrażenie bierności. Pełną rażących sprzeczności jest postać pierwszego narzeczonego Rózi — Rażyńskiego. W początkowych scenach przedstawia go autorka jako człowieka świadomego wybornie swych celów i pragnień, zacnego, rozumnego, filozoficznie wykształconego. W dalszym rozwoju akcyi, przetwarza się on na najpospolitszego łowcę posagowego i bałamuta, a słabość charakteru robi go niemal nikczemnikiem. Metamorfoza ta tak nagle następuje, i tak powierzchownie jest traktowana, że czytelnik grube musi mieć wątpliwości co do jéj prawdopodobieństwa. Do ujemnych również stron powieści należy niesłychanie wolne tempo, w jakiém się akcya rozwija; brak tego nerwu dramatycznego, co uwagę natęża i pobudza. Zasłużona autorka cennego dzieła „O wychowaniu" — i bardzo sympatycznéj powieści p. t. „Cudzoziemiec" drukowanéj przed kilku jeszcze laty, wolała snać tym razem popuścić wodze imaginacyi i stworzyć szereg idealnych ludzi w idealnym obrazku, niż przepuścić szlachetne swe marzenia i intencye przez filtr analizy psychologicznéj i prawdy życiowéj, z którą dzisiejsi powieściopisarze tak ściśle rachować się muszą. — Powieść pani Kowerskiéj odznacza się bardzo pięknym, czystym i wytwornym jęcykiem. *Nit.*

— **O rozwoju życia i jego główniejszych przejawach,** napisał *W. Stodółkiewicz.* Warszawa, 1891. Nasz ogół myślący, oraz nieliczna rzesza piszących znajduje się pod niewątpliwym, prawie że wszechwładnym wpływem teoryi ewolucyjnéj. A jednak, pominąwszy pojawiające się od czasu do czasu artykuły popularne i jedną, bardzo niekrytyczną, pracę niedawno zmarłego prof. Szokalskiego, nie okazano u nas chęci i zdolności do samodzielnych badań w kierunku téj teoryi. Niniejsze dzieło stanowi wyjątek pod tym względem; jest ono podwójnie oryginalne: dla swego pochodzenia i dla treści. Cały wszechświat, zdaniem autora, jest wypełniony eterem, t. j. materyą nader subtelną, prawdopodobnie nieważką, zlaną razem z siłą tak, że ta stanowi jéj przymiot. Wskutek szczególniejszego układu drgań, eter w pewnych miejscach uległ skupieniu, tworząc atomy materyi kosmicznéj, z któréj następnie powstały mgławice, słońca, księżyce, jako skutki ciągłego zgęszczania materyi i ruchu nieustającego. Wszelkie t. zw. siły fizyczne i chemiczne powstały również z drgań eteru, w połączeniu z ruchami cząsteczek materyi. W dalszym ciągu eter i cząsteczki materyi nieorganicznéj uległy silniejszemu przyciąganiu, dając początek materyi ożywionéj. Pierwsze organizmy składały się z jednéj komórki, a następnie z kilku. W czasie wzrostu organizmu coraz nowsze cząstki eteru wprowadzone są w składowe

atomy materyi; tym sposobem organizm rośnie nietylko wskutek przyjmowania pokarmów, ale także z przyczyny dzielności życiowéj, czyli pewnéj siły, z którą organizm asymiluje cząstki eteru. Czynnikami rozwoju, oprócz pierwiastku indywidualnego, którym był eter związany z każdą cząstką organizmu, były jeszcze: dobór naturalny i walka o pożywienie, a następnie i o potrzeby płciowe. Są one niemożliwe bez udziału czucia. Autor nie zdaje sobie sprawy z natury logicznéj swego założenia. Zdaje mu się, iż wychodzi z założenia, będącego „faktem niezaprzeczonym, stwierdzonym przez naukę“; tymczasem jest ono w mniemaniu fizyków i chemików tylko hypotezą, do tego stopnia, że tacy badacze, jak Euler i Grove, uważali ją nawet za zbyteczną i wprost niepotrzebną. Albo więc autor swoim sposobem wyrażania się wprowadza w błąd czytelnika niewtajemniczonego, albo... miał na myśli zgoła inny eter. Przypisując zaś eterowi tajemniczą własność „zlania się z siłą“, tém samem powraca on do zarzuconego oddawna poglądu na stosunek materyi i siły, przedstawia bowiem „siłę“, która jest przecież tylko abstrakcyą, jako „byt“, a nawet każe domyślać się, iż mogłaby istnieć jako byt niezależny. Następnie autor, pod widocznym wpływem hypotezy mgławic, stosuje ją do rozwoju świata z eteru. Niewątpliwie, wskutek skupienia cząsteczek, materya z jednego stanu może przechodzić w drugi; zawsze jednak cząsteczki same się nie zmieniają, nie nabywają żadnych własności zasadniczych, którychby już przedtem nie posiadały. Ale czy może materya ważka, kosmiczna powstać z nieważkiéj, która zdaje się nawet nie być materyą, czytamy bowiem wcale niedwuznaczne zdanie, że z „eteru prawdopodobnie wyszło pierwsze pragnienie materyalnego bytu“ (17), a jak zobaczymy daléj, autor go „duchem“, „wielkim rozumem wszechświata“ nazywa. Oczywiście, przestajemy tu już mieć do czynienia z eterem fizyków i chemików. Wynika stąd, że cała kosmogonia autora, o ile się opiéra na jego założeniu, powinna być stanowczo odrzucona, bo się żadną miarą z eteru wyprowadzić nie da. To samo się tyczy i powstawania materyi organicznéj, oraz poglądów na wzrost organizmów. Na wyróżnienie zasługuje „wstęp“, w którym podnosi się „czucie“ do godności niezbędnego warunku rozwoju, szkoda tylko, że autor kwestyę tak ważną i ciekawą traktuje w sposób surowy i niefilozoficzny. Na tle tak wątpliwéj, a czasami wprost niedorzecznéj hypotezy autor rozbiéra duchowe życie człowieka. Zgodnie z fizyologią przyjmuje, że „zawsze pewne objawy fizyologiczne towarzyszą wszelkim procesom myślowym“ (44), i słusznie zaznacza, iż „tajemniczem jest jednak to, jakim sposobem prąd mechaniczny wywołuje za sobą myśl“. Oto rozwiązanie téj zagadki

tajemniczéj. Powstawanie w nas myśli przypisywać można działaniu i obecności w organizmie materyi dynamicznéj, czyli eteru... Eter jest pierwszą przyczyną wszelkiego istnienia, jest wielkim rozumem wszechświata. Eter wypełnia całą niezmierną przestrzeń i znajduje się w zespoleniu z organizmem człowieka, stanowiąc w nim pierwiastek duchowy, czyli to, co nazywamy duchem. Im bardziéj wydoskonalony jest jakikolwiek organizm, tém powinowactwo ducha w nim jest mocniejsze“... Gdy się zestawia psychologię autora z jego kosmogonią, dochodzi się do wniosku, że świat materyalny powstał ze skupienia atomów duchowych, a co za tém idzie, że „duch, wielki rozum wszechświata“ jest bytem materyalnym, przynajmniéj rozciągłym, jeżeli będziemy uważali rozciągłość za ostateczny atrybut zasadniczy materyi. Granica między światem materyalnym i duchowym zostaje w ten sposób zniesioną zupełnie, a raczéj wszystko jest duchem. Tymczasem autor ciągle mówi o związku ducha z organizmem. Teraz zachodzi pytanie, czy obecność i działanie w nas eteru może objaśniać powstawanie myśli z prądu mechanicznego? Naszém zdaniem, twierdzenie to absolutnie nic nie tłómaczy, jeżeli przyjmiemy zasadniczą różnicę między materyą i eterem czyli duchem; bo że duch oddziaływa na ciało, wątpliwości nie ulega, cały rdzeń kwestyi polega na tém, jak oddziaływa? Z chwilą znów, gdy przyjmujemy identyczność materyi i eteru, twierdzenie autora staje się wprost sądem analitycznym, tożsamością.

Są jednak w tém dziele ustępy, zawierające treść i zdrową i dobrze wyłożoną, np. wstęp, rozdziały: „Młodzieńczość człowieka“, „Rozwój życia społecznego“ i „Główniejsze objawy rozwoju narodów europejskich“. Jeżeli można je z pożytkiem czytać, to jedynie dlatego, że albo nic albo mało mają wspólnego z metafizyką autora, ale téż za to treść ich jest dobrze znana każdemu przeciętnemu czytelnikowi. Do oryginalnych stron książki należy między innemi próba klasyfikacyi uczuć. Autor je dzieli na trzy kategorye, „stosownie do tego, które z trzech objawów życia: przemiana materyi, odruchy, lub myśli, powołane są najistotniéj do działania przy ich wywiązywaniu się“ (49). „Zakończenie“ jest śliczną, bardzo poetycznie i zarazem dowcipnie pomyślaną fantazyą na temat: „co się dzieje z duchem człowieczym po śmierci?“

Do jakiéj kategoryi dzieł należy zaliczyć niniejszą książkę? Naszém zdaniem, stanowczo do metafizycznych, i to w ujemném znaczeniu tego słowa. Z całości i przedmowy widać, że autor chciał stworzyć coś na wzór „systematu filozofii syntetycznéj“ Spencera, naturalnie w bardzo drobnéj stosunkowo miniaturze, a wypadło coś

w rodzaju Figuiera „Nazajutrz po śmierci“: ta sama fantastyczność myśli, to samo podszywanie się pod nauki ścisłe, a w gruncie rozbrat z niemi, nareszcie cel ten sam: dowiedzenie nieśmiertelności duszy. Próba jest dość oryginalna, samodzielna, ale też w najwyższym stopniu fantastyczna, i nie dziw, albowiem teorya i krytyka poznania naszego autora jest wręcz odwrotną stroną tego co znamy pod tą nazwą. Przyjmuje np. za pewnik, iż „zewnątrz naszéj jaźni istnieją niezależne od nas gromady atomów składających ciało materyalne“ (42), a przecież się nie znalazł dotychczas filozof, któryby potrafił tego pewnika dowieść, i jak wiadomo, są tacy, co zupełnie negują istnienie świata materyalnego w sobie. Charakterystyczne jest jednak to, że pewnik ten zostaje wyprowadzony (ale tylko za pomocą słów!) z twierdzenia czysto hypotetycznego, jakoby wszelkie ruchy cząsteczkowe rozmaitych ciał udzielały się naszym nerwom.

A. Grosglik.

— *Theod. Varnbüler.* **Der Organismus der Allvernunft.** Prag und Leipzig, Freitag und Tempsky, 1891, str. XII + 679. Jest-to próba filozoficznego uzasadnienia religii i przytém religii chrześciańskiéj. Wśród chaosu zwątpień i sprzeczności czujemy potrzebę religii; ale jak znaleść drogę do niéj, skoro naiwną wiarę utraciliśmy? Można ją odszukać, ale przy pomocy rozumu i nie łatwo da się to uskutecznić. Varnbüler sądzi, iż rozwiązał to zagadnienie. Punktem wyjścia jego jest zagadnienie faustowskie: „O konieczności odkupienia (?) (*Erlösung*), o czém już wątpić zaczęto, stanowi to, że przy całéj naszéj niedoskonałości, któréj świadomi jesteśmy, posiadamy jednak duchowo doskonały rozum, podnoszący roszczenia, sięgające daleko po za wszelkie możliwe cele życia ludzkiego; roszczeniom tym równie mało zadość uczynić o własnych siłach możemy, jak wyciągnąć sami siebie za włosy z błota.“ — Założenie to o doskonałości rozumu, oddźwięk wielkiego prądu oświaty, stanowi główną podstawę teoryi poznania autora. Wiara w bezgraniczną potęgę rozumu zmusza go do ujemnego stanowiska wobec Kanta, poglądy, którego usiłował już zwalczyć w jednéin z poprzednich dzieł. Występuje on ostro przeciw dążności filozofa królewieckiego zakreślenia granic myśli i obraża go widok antynomii i paralogizmów, na które, według myśli Kanta, umysł ludzki jest bez nadziei skazany. To też gani on bezwzględnie pojęcie rzeczy w sobie w wyrazach: „rzecz w sobie jest niedorzeczną i niemożliwą“, a wystawia jako pewnik zasadniczy prawdziwość rozumu. Obok tego przyjmuje on jednostajność świadomości ludzkiéj; świadomości pojedyńczych osobników różnią się między sobą tak, jak

perspektywy krajobrazu, widzianego z rozmaitych stanowisk. To założenie jednostajności świadomości, przypominającéj z daleka harmonią przedustaloną Leibnitza, jest wynikiem metafizyki autora, podstawę któréj stanowi idealizm panteistyczny. „Wszystko jest tylko pewnym stosunkiem, procesem wewnątrz jedynego organizmu, któryby się w niwecz obrócił, gdyby mu odjęto najmniejszy z jego składników, ale który uszkodzić chociażby w najmniejszém jest rzeczą niemożliwą“. — W metodzie autora widzimy również ślady wpływu Leibnitza; jego ideę symbolicznego przedstawienia pojęć filozoficznych, tak jak symbolizujemy wielkości matematyczne, ideę, która dziś stała się podstawą licznych prób stworzenia logiki symbolicznéj, stosuje Varnbüler, przedstawiając graficzny symbol organizmu wszechmyśli. W ostatnim rozdziale porusza autor i zagadnienia praktyczne, dotyczące kościoła i stosunku jego do państwa. *Wł. K.*

— Zwracamy uwagę na wydane w ubiegłym 1891 roku przez uczonego chorwackiego, d-ra P. Matkowicza (w ks. CL wydaw. „Rada jugoslavenske Akademie znanosti i umjetnosti“), — jako ustęp rozleglejszéj pracy pod tyt. „Putowanja po Balkanskom poluotoku XVI wieku“ — „Dwa putopisa poljskich poslanstwa u Carigrad: E. Otwinowskoga od god. 1557 i Andrije Taranowskoga komornika od god. 1569.“ Nie, żebyśmy przywiązywali za wielkie znaczenie do samych tych, znanych dobrze w dziale naszego podróżopisarstwa, z oddalonych czasów, lecz zbyt skromnych naprawdę i suchych dzienniczków. Lecz, że autor, który zamierzył rozjaśnić stosunki geo- i etno-graficzne półwyspu Bałkańskiego w XVI w., zwróciwszy się słusznie i ku źródłom polskim, umiał je w tak bogate i tak wyczerpujące komentarze zaopatrzyć, że, śmiało rzec można, wyręczył tu w grubszéj pracy przyszłego w pośród nas pracownika;—pracownika, któryby wziął sobie za zadanie zebrać i zestawić wszystko, co nasi przodkowie wiedzieli o muzułmańskim wschodzie; czy téż, co niemniéj ważne, zbadać głębiéj i roztoczyć w bardziéj plastycznym obrazie stosunki Rzpltéj z Portą Ottomańską, w epoce najgroźniéjszéj światu chrześciańskiemu jéj potęgi, któréj srożenie się posłowie polscy, jak i Otwinowski i Taranowski, zażegnywać właśnie musieli. Opis samych ich wypraw znajdzie zainteresowany (choćby) w wyd. przez J. Kraszewskiego zbiorze pod tyt. „Podróże i poselstwa polskie do Turcyi.“ Kraków, 1860 r. Innéj i one teraz nabierają wagi przy oświetleniu d-ra Matkowicza. *A. J.*

— Nakładem redakcyi Przeglądu Technicznego, rozpoczęty został druk książki pod tytułem. **„Bibliografia polska techniczno-przemysłowa”** przez *Feliksa Kucharzewskiego.* Praca ta obejmuje spisy chronologiczne książek i ważniejszych artykułów czasopism, we wszystkich gałęziach techniki przemysłu, doprowadzone do końca 1874 r. a uzupełnione wykazami alfabetycznemi czasopism oraz autorów i tłumaczów. Przegląd Techniczny, wychodzący od początku 1875 r. zawiera nieprzerwany szereg najważniejszych przynajmniéj wskazówek bibliograficznych w zakresie techniki i przemysłu. Wiadomości podobnych z czasów dawniejszych szukać wypada z trudem w bibliografii ogólnéj Estreichera, niektórych bibliografiach specyalnych i wreszcie w kompletach czasopism, już to technicznych już ogólnéj treści. Zebranie jaknajdokładniejsze tych wiadomości i przedstawienie ich w formie ułatwiającéj poszukiwania, było celem pracy pana *F. K.*, która z jednéj strony oddać może usługi naszym technikom i przemysłowcom a z drugiéj utworzy materyał do dziejów piśmiennictwa naszego w tym zakresie. Dzieło składa się z działów następujących: 1. Miary, wagi, monety, tablice liczbowe; 2. Geometrya stosowana, rysunek techniczny; 3. Mechanika, machiny parowe, ustroje mechaniczne; 4) Machiny i narzędzia rolnicze, młyny; 5. Jedwabnictwo, pszelnictwo, wełnictwo; 6. Leśnictwo, uprawa roślin przemysłowych; 7. Górnictwo, hutnictwo, wyroby z metali; 8. Materyały budowlane; 9. Budownictwo i rzemiosła budowlane; 10. Budowa dróg, mostów, Inżynierya miejska; 11. Drogi żelazne; 12. Hydrotechnika; 13. Fizyka przemysłowa; 14. Wojskowość, pyrotechnika; 15. Technologia i rzemiosła; 16. Przemysł chemiczny, technologia domowa i leśna; 17. Cukrownictwo; 18. Gorzelnictwo, piwowarstwo; 19. Pokarmy, napoje; 20. Ekonomia przemysłowa, wystawy. 21. Szkoły, muzea, bibliografia, biografia i t. d. Wykaz alfabetyczny czasopism polskich, obejmujących artykuły wymienione w Biliografii. Spis alfabetyczny autorów i tłumaczy. Całość obejmuje około 40 arkuszy druku in 4°. Wychodzić będzie w zeszytach pięcioarkuszowych (cena zesz. 40 kop.)

— Z początkiem roku bież. wychodzić zaczął **„Tygodnik kolejowy i ekonomiczny“** pod redakcyą p. *Stanisłowa Woyzbuna,* wydawany przez p. *Andrzeja Rahozę.* Badanie ekonomicznych środków życia ma być jego zadaniem. Prospekt zapewnia, że czytelnik znajdzie w „Tygodniku” wszystko, co w téj dziedzinie pracy społecznej zawodowego przemysłowca, kupca i w ogóle inteligentnego człowieka obchodzić może. Szeroki program, pozwoli redakcyi poruszać w artykułach wstępnych wszystkie kwestje ekonomiczne, będące na dobie

a w korespondencjach z kraju, Cesarstwa i zagranicy, obok informacyi o warunkach ekonomicznych danéj miejscowości, podawać praktyczne wskazówki co do zbytu towarów naszych na rynkach obcych, oraz szczegółowe wiadomości, jakie produkta mogą być z korzyścią dla handlu i przemysłu naszego sprowadzane do kraju. — W dziale praktycznym mieścić się będą rozporządzenia rządowe, dotyczące: akcyzy, opłat celnych, ustawy fabrycznéj, oraz wszelkie przepisy, odnoszące się do handlu i przemysłu; daléj wszystkie przepisy, dotyczące kolei żelaznych, oraz rozporządzenia, wydawane przez same zarządy kolejowe, o ile przepisy te obchodzić mogą ogół publiczności, mającéj stosunki z drogami żelaznemi; nadto sprawozdania giełdowe i targowe oraz wiadomości o licytacyach i dostawach ogłaszanych przez instytucye rządowe, miejskie i prywatne. Nadto znajdą tu miejsce wszystkie taryfy kolejowe w komunikacjach miejscowych i bezpośrednich. (Prenumerata roczna wynosi w Warszawie rs. 4, na prowincyi rs. 5).

— Po raz drugi ukazuje się **Kalendarz księgarsko-literacki**, wydawany nakładem G. Centnerszwera, zawierający wiele usystematyzowanych wiadomości bibliograficznych, a między innemi „Katalog książek polskich, wydanych od 1-go lipca 1890 roku do 1-go października 1891 r.“, — oraz informacye co do księgarni, drukarni, odlewni czcionek, bibliotek, zbiorów naukowych i czytelni.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rok ubiegły. — Alarm o Towarzystwo gorzelnicze. — Jubileusz Keniga. — Ś. p. Tatarkiewicz.

Jeżeli lata podzielić można na powszednie i wydatne to rok ubiegły należał do powszednich. Mamy tu na myśli szeroki horyzont europejski, na którym nic bardzo nadzwyczajnego się nie pokazało. Nawet „nowa era“ w Niemczech, zapowiedziana mowami, manifestami i konferencyami w wielkim stylu nie oznaczyła się w roku ubiegłym wielką inicyatywą, a draperya, którą się z początku okryła, opada powoli, ustępując miejsca codziennéj choć przyzwoitéj szacie. Głośne hasło Wilhelma II: „całą parą naprzód“ zniknęło przed systematycznym biegiem maszyny państwowéj. I rzecz to naturalna: normalnym stanem jednostek, ludów i państw nie może być gorączka. „Nową erą“ i jéj autorem interesujemy się wprawdzie wszyscy, lecz nadzwyczajnych czynów przestaliśmy się od niéj spodziewać, bo wiemy, że w świecie nowoczesnym co raz mniéj będzie miejsca na nadzwyczajności, a koniecznemi prawami rozwoju regulowany bieg rzeczy opiera się wstrząśnieniom.

Europa cieszyła się w tym roku ubiegłym — jak się mówi w stylu urzędowym — dobrodziejstwami pokoju. Dochodziły nas tylko echa rewolucyi i wojen domowych w rzeczachpospolitych południowo-amerykańskich oraz mniéj obojętne rzezie chrześcian w Chinach.

Śmierć zabrała z widowni politycznéj takich działaczów, jak Parnell i Windhorst, oraz wielu wycofanych już z życia czynnego pozornych lub istotnych znakomitości, jak Boulanger, ks. Hieronim Bonaparte, Moltke, cesarz brazylijski, i t. d.

W ogóle rok ubiegły był rokiem niepewności.

W ostatnich tygodniach ubiegłego roku smutną i dżdżystą jednostajność widnokręgu jesiennego ożywiały przez czas jakiś jedna wyprawa i głośny spór. Tą wyprawą była przejażdżka dziennikarzów i artystów warszawskich do Żelazowéj Woli, miejsca urodzenia Szopena, a tym sporem były odkrycia, a następnie polemiki o czynności warszawskiego Towarzystwa oczyszczania spirytusu. Niewinna przejażdżka do Żelazowéj Woli stała się głośną przez to, że właściciel wsi zażądał za domek, który zamierzono obrócić na skład pamiątek po Szopenie aż 5 tysięcy rubli. List właściciela Żelazowéj Woli do Komitetu Towarzystwa muzycznego, niedawno w „Kur. Warszawskim" ogłoszony, a oznajmiający skłonność do traktowania z wymienioną instytucyą, o postawienie posągu, nasuwa zapytanie, czy szyderstwa, któremi przez długi czas prażono p. Pawłowskiego były usprawiedliwione? Dotychczasowy przebieg téj sprawy innego rezultatu nad obfitość rozmaitego kalibru konceptów, do p. Pawłowskiego adresowanych, nie miał; boć nawet inicyatywa uczczenia Szopena wyszła nie od muzyków lub literatów warszawskich, lecz od mieszkańca Petersburga. Może rok przyszły coś pozytywnego dla kultu Szopena przyniesie, bo takie sprawy, jak wiemy z praktyki, ciągną się u nas przez lata.

Spór zaś co do czynności i rezultatów czynności Towarzystwa akcyjnego oczyszczania i sprzedaży spirytusu trwa dotąd w gazetach.

Towarzystwo to zawiązało się w grudniu 1886 r. Zadaniem jego było uporządkować handel okowitą, wyswobodzić właścicieli gorzelni z pod przewagi kilku monopolistów; w tym téż celu założyło własną fabrykę oczyszczania spirytusu, i rozwinęło handel własnemi produktami. W pierwszych dwóch latach czynności Towarzystwa były pomyślne, w trzecim okazały się straty. Powstały one podobno głównie z wysokich zaliczeń, przepadających u dłużników niewypłacalnych.

Nie będziemy tu opowiadali szczegółowo historyi tego Towarzystwa, sporów pomiędzy dyrektorami, zarządem i komisyą rewizyjną, dość, że Towarzystwo w ciągu lat kilku, zamiast zysków, podobno strat ma 73 tysiące rubli. I cała sprawa jak widzimy, czysto handlowa, nie zawierająca w istocie swéj żadnych czynników, któreby ją uznać nakazywały za ważny wypadek publiczny, jakim się stała w ostatnich tygodniach ubiegłego roku, byłaby pochowaną w książkach i w protokółach komisyi rewizyjnéj, gdyby nie elaborat niejakiego pana A. Z. dołączony do gazet, który zarzucał komisyi rewizyjnéj niepotrzebne robienie alarmu. Wtedy wystąpił z odpowiedzią p. Tur-

ski, były dyrektor handlowy Towarzystwa. Odpowiedź jego zawierała w sobie poważne zarzuty przeciwko poprzedniemu dyrektorowi p. Radziszewskiemu i odtąd warszawskie Towarzystwo wódczane, nazwiska jego prezesów i dyrektorów zaczęły pojawiać się na szpaltach naszych tygodników i dzienników, w wielkich artykułach wstępnych, w polemicznych listach oskarżających i oskarżanych, a nawet ktoś zaprojektował plebiscyt obywatelski dla zdjęcia cienia podejrzenia z prezesa zarządu.

Prasa nasza z rzadką gorliwością zajęła się losami Towarzystwa gorzelniczego. Jedni w niepowodzeniu spółki dopatrzyli się stanowczego braku uzdolnienia ekonomicznego w klasie ziemiańskiéj; drudzy zadrżeli nad zgorszeniem publiczném; w plastycznym stylu innych jeszcze, sprawa ta, zaprawiona asafetydą, wylała się na ulicę, płynąc rynsztokami jaskrawego skandalu.

I dlaczego to wszystko? Czy Towarzystwo wódczane było zebraniem stanów, którym powierzono losy zbiorowe? a zarząd jego był ministeryum, które zdradziło ogół? To tylko spółka akcyjna, która czy źle pilnując swoich interesów, czy darząc zaufaniem nieodpowiednio dobrane osoby, straciła pewną sumę tysięcy rubli; i jeżeli, nauczona doświadczeniem, rządzić się będzie lepiéj, to może je odzyskać. Jeżeli prawdą jest, że niewłaściwie układano bilanse i ukrywano deficyt, to fakty takie, aczkolwiek smutne, nie są nowe w historyi handlu. Jeżeli czyniono to, korzystając z nieopatrzności nazwisk o historyczném brzmieniu, to nieopatrztość ta nie teraz dopiéro została odkrytą.

Po co więc ten wielki hałas? Czy Hannibal stanął *ante portas?* Te wszystkie pociski wyrzucone zostały *nota bene* na ślepo, ginęły gdzieś w próżni, nie trafiając do celu, bo dotychczas obiektywnie nie stwierdzono, kto i ile jest winien.

Nie chodzi tu bynajmniéj o rozpowszechnioną u nas zasadę, że nie należy prać brudów publicznie, bo jest to zasada albo hipokrytów, albo ograniczonych, lecz o to, że w sądzeniu téj sprawy nie zachowano miary. Bo jeśli gromy krytyki i zgrozy wyrzucono z powodu Towarzystwa gorzelniczego, to cóż zostanie dla sprawy, na istotne potępienie lub oburzenie publiczne zasługującéj? Temperatury już wyżéj podnieść nie będzie można; zabraknie superlatywów i definicyi, stan określających, a publiczność, gdyby nie miała swego kryteryum, przestałaby odróżniać rzeczy małe od dużych, bo do takiéj konsekwencyi mogłoby doprowadzić podnoszenie do poziomu wielkich spraw publicznych takiéj pospolitéj afery, jak bilanse spółki wódczanéj.

Można przecież zdać sobie sprawę z zakresu kompetencyi i interwencyi prasy. Do téj kompetencyi, należą interesy publiczne. ca-

łego ogółu lub pewnéj warstwy jego dotyczące; spraw prywatnych bronić prasa powinna wtedy, kiedy widzi stronę słabszą, pokrzywdzoną przez mocniejszą. W obecnym wypadku interesy ogólne naruszone nie zostały; jeżeli zaś zarząd źle prowadził interesa akcyonaryuszów Towarzystwa, albo jeden z dyrektorów został oczerniony lub pokrzywdzony przez drugiego, to są to strony równouprawnione, praw swoich świadome, i dla ich dochodzenia drogi posiadające.

Bo jakiż z podobnéj gorliwości dziennikarskiéj płynąć może pożytek? Czy prasa nasza chce objąć dyrektywę i prowadzić kontrolę czynności wszystkich prywatnych spółek akcyjnych, a więc zbożowych, gazowych, cukrowniczych, leśnych, finansowych i t. d.? Jeżeli te spółki nie oszukują publiczności, albo nie krzywdzą swoich pracowników, to w prywatnych swoich czynnościach, zatargach i nieporozumieniach niech sobie same szukają ratunku. Chyba w państwie przemysłowém przyszłości taka kontrola byłaby możliwą; dziś procedura ta prawdopodobnie ustalić się nie zdoła; a gdyby się nawet ustaliła, to innych skutków nad alarmowanie uwagi publicznéj sprawami dla niéj obojętnemi i wielkiego zamieszania pojęć o zakresie interwencyi prasy miećby nie mogła.

Powtórzyć zresztą jeszcze dla uniknięcia możliwego nieporozumienia trzeba, że nie chodzi tu o zasadę jawności, bo jawność jest przecież najlepszą jeszcze rękojmią sprawności każdego przedsiębiorstwa, lecz o możliwe oznaczenie, w istniejących warunkach, granicy między sferą interesów publicznych i prywatnych, oraz zbyteczne rozdymanie ostatnich do rozmiarów pierwszych. Metoda podobna z taktycznego stanowiska zwłaszcza jest złą.

Nareszcie w sprawie powyższéj fachowcy techniczni i handlowi lepiéj mogli ogół lub interesowanych objaśnić, niż publicyści. Pierwsi o produkcyi, oczyszczania i handlu okowitą, o przyczynach niepowodzenia Towarzystwa więcéj i lepiéj mogli powiedzieć, niż drudzy, awansując sprawę na wielki interes publiczny.

W ostatnich dniach ubiegłego roku, święcono obchód półwiekowéj pracy dziennikarskiéj Józefa Keniga. Pięćdziesiąt lat pracy jest w każdym zawodzie cyfrą poważną. Pięćdziesiąt lat pracy publicystycznéj — to obserwowanie kiku pokoleń, to przetrwanie kilku prądów społecznych i umysłowych.

Liczba lat, sama przez się, zasługą naturalnie wcale nie jest, bo starzejemy się wszyscy, dzisiejsze pokolenie zwłaszcza szybciéj od poprzedniego. Pół wieku jednak pracy sumiennéj, którą Kenig, jako publicysta, wykonywał, jest zupełnym tytułem do uznania ogółu.

Kenig, w dwu głównie uprawianych kierunkach, to jest w krytyce teatralnéj i publicystyce celuje sumiennością i trafnością zdania. Mógłby tu ktoś zauważyć, że jest on wzorem publicysty z całym szeregiem zastrzeżeń, przy każdéj kombinacyi, opinii lub sądu obwaruje się takim parkanem zastrzeżeń, że wytknąć mu pomyłkę trudno, a z dziesięciu postawionych hypotez jedna się sprawdzi. Rozsądny czytelnik przełoży jednak taki sumienny i ostrożny wykład nad ryzykowny zapęd.

Pisząc o sprawach zagranicznych Kenig zawsze przytacza źródło, z którego czerpie, nie macha papierową szablicą, na wszystkie strony, lecz ostrożnie motywuje swe sądy; nie podaje zdań cudzych za swoje, język jego i styl odznacza się niezwykłemi zaletami, bo Kenig posiada zalety starszéj szkoły dziennikarskiéj, w któréj żyły tradycye literackie. W młodszéj generacyi dziennikarskiéj te tradycye bardzo upadają; ktoś trafnie niedawno zauważył, że chociaż u nas wszystkich piszących nazywają literatami, to właściwie między tymi ostatnimi, a znaczną liczbą dziennikarzów, nic wspólnego, oprócz papieru i atramentu, nie ma.

A że w swoim czasie Kenig był istotnym pionierem rozwoju dziennikarskiego na naszym gruncie, że rozwinął samodzielną krytykę teatralną i wprowadził artykuły wstępne, że się nigdy nie zacieśniał w kółku pewnych upodobań chwilowych, lecz wchłaniał rozważnie prądy myśli nowożytnéj i umiał z nich wyciągnąć dla czytelników karm pożyteczną; — więc w obec ogółu i w obec prasy stanął w półwiekowy swój jubileusz z cechą rzetelnéj zasługi.

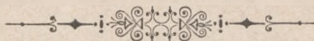
Jubileusz trzydziestoletniéj pracy na scenie Wincentego Rapackiego uczczono także porankiem w teatrze. O wielkim talencie jubilata tak wiemy wszyscy, że nic nowego na tém miejscu powiedzieć by nie można. Żyją w nim wszystkie piękne tradycye z najlepszéj epoki naszéj sceny. „Echo teatralne“ poświęciło Rapackiemu numer specyalny.

Z tego teatru ubył Tatarkiewicz. Określić go można było dwoma wyrazami: świetny aktor. Zmarły nie był artystą w klasyczném znaczeniu, nie ożywiał tragicznych tragedyi wielkich poetów nie porywał widzów namiętną grą i potężną dykcyą. Posiadał za to w bardzo rozległéj skali inteligentny i subtelny zmysł odtwarzania postaci współczesnych. W dramatach i komedyach, zwłaszcza repertuaru francuskiego, Tatarkiewicz błyszczał swą grą żywą, nerwową i delikatną. W tym zakresie został obdarzony tak wielką intuicyą psychologiczną, jak może żaden z jego kolegów.

Realistyczna poezya w teatrze takich właśnie potrzebuje wykonawców. Odtwarzanie konkretnych postaci ze współczesności, zwłaszcza typów wyższych, wymaga téj dykcyi subtelnéj w nieskończonéj rozmaitości i modyfikacyi tonów, tak, ażeby każdy odcień pojęcia lub uczucia — właściwym wyrażony został; wymaga téj nerwowéj inteligencyi, drgającéj całą gammą wzruszeń wewnętrznych, słowem, wymaga tego temperamentu psychologicznego, głębokiego wewnątrz, jasnego i plastycznego nazewnątrz.

Taki właśnie żywy i subtelny temperament, na scenie, wsparty techniczną znajomością sztuki aktorskiéj, posiadał Tatarkiewicz. Wszystkiemi zaletami swéj organizacyi zabłysnął po raz ostatni w „Przeszkodzie“ Daudeta. Wielu z nas zawdzięcza mu dużo chwil przyjemnych i szlachetnych.

B. Lut.



NEKROLOGIA.

† **Aleksander Chodźko,** ostatni już z najstarszych przyjaciół Mickiewicza, który mu świetną przepowiadał przyszłość, był synem Jana Chodźki znanego w piśmiennictwie jako Jana ze Świsłoczy, a bratem stryjecznym Ignacego Chodźki, autora „Obrazów litewskich.“ Urodził się w r. 1804 w Krzywicach w gub. mińskiéj. Studya uniwersyteckie odbył w Wilnie, gdzie uczestnicząc w ruchu romantycznym, obrabiał naprzód pieśni ludowe białoruskie, a potem tworzył ballady i legendy na tle wyobrażeń i podań ludu osnute. Jedna z nich p. n. „Maliny“ natchnęła późniéj Słowackiemu pierwszy pomysł do tragedyi o Balladynie. Utwory swoje pomieszczał w „Tygodniku Wileńskim“ i w „Dziejach dobroczynności krajowéj i zagranicznéj.“ Kształcił się następnie w szkole języków wschodnich w Petersburgu i w duchu poezyi oryentalnéj napisał najobszerniejszy swój poemat p. n. „Derar“ ogniście malujący uniesienie miłości. Zbiór swoich „Poezyj“ wydał w Petersburgu 1829 r. (powtórnie wydane w Poznaniu, 1833). Otrzymawszy następnie posadę urzędową, jako konsul ruski, w Persyi, przebywał tam lat kilkanaście i oddał się specyalnie badaniu nowszéj literatury perskiéj. Odtąd występował już jako uczony oryentalista, piszący przeważnie po angielsku i francusku. Pierwsza jego praca naukowa wydana w Londynie r. 1842 nosi tytuł:

„*Specimens of the popular poetry of Persia as found in the adventures and improvisations of Karroglou the bandit, minstrel of Northern Persia and in the songs of the people inhabiting the shores of the Caspian see.*" Praca ta znalazła duży rozgłos i częściowo, mianowicie co dotyczyło przygód bandyty-poety Karroglu, została przetłomaczona na język francuski i niemiecki (1843). Następnie Chodźko, prócz opisu Gilanu: „*Le Ghilan ou le marais caspien,*" wydał (1852) po francusku „Gramatykę perszczyzny nowożytnéj" wraz ze wzorami pisma i stylu w korespondencyi dyplomatycznéj i zwykłéj, oraz praktyczny podręcznik rozmów tureckich („*Le drogman turc*" 1850). Dawszy się następnie poznać jako slawista („*De la littérature sacrée chez les Slaves*") powołany został w r. 1857 na katedrę literatur słowiańskich w kolegium francuskiém i stanowisko to zajmował aż do r. 1884. Wydał wówczas dzieł parę i dużo rozpraw dotyczących wykładanego przez się przedmiotu. Ważniejsze są: „*Légendes slaves du moyen âge* 1169 — 1237. *Les Némania, vies de Saint-Simon et de Saint Sabba*" (Paryż, 1859); „*Une renaissance littéraire en Bohême. Les poètes modernes*" (1861); „*Contes des paysans et des pâtres slaves*" (1864); „*Grammaire paléoslave suivie des textes paléoslaves tirés pour la plupart des manuscrits de la Bibliothèque Impériale de Paris el du Psautier de Bologne*" (1869); „*Les chants historiques de l'Ukraïne et les chansons de Latyches des bords de la Dvina occidentale*" (1879). Mimo jednak tego zajęcia się słowiańszczyzną, nie porzucał bynajmniéj Chodźko prac swoich na polu literatury wschodniéj a mianowicie perskiéj. Pisał po francusku o teatrze perskim spółczesnym; przetłomaczył na polski i wydrukował w r. 1859 utwór powieściowy perski p. n. „Padyszach i czterech derwiszów," a w r. 1878 ogłosił: „*Théâtre persan, choix des téaziés ou drames traduits pour la première fois du persan.*" O téj ostatniéj pracy Ateneum w artykule p. Juliana Adolfa Święcickiego podało szczegółowe w swoim czasie sprawozdanie. Wreszcie wspomniéć należy, że Chodźko ułożył: „Dokładny słownik angielsko-polski i polsko-angielski według Johnsona, Webstera, Wakera, Flemming-Tibiusa i innych" (Berlin, 1874, str. 536). Wysłużywszy emeryturę jako profesor kolegium francuskiego, pozostał Chodźko nadal w Paryżu, z ostatnich lat jego życia nie mamy drukowanych śladów jego działalności. Uznania różnych akademij, które go do grona swego zaliczały, a w téj liczbie i akademii krakowskiéj, wymownie świadczyło o jego zasługach naukowych, gdy jako uczestnik ruchu romantycznego budził już tylko wspomnienie. Zmarł 27 grudnia r. z.

† **Emilian Broniewski,** naczelnik kancelaryi oddziału banku państwa w Warszawie, zmarł w d. 4 grudnia r. z. mając lat 51. Był

on autorem kilku rozprawek historycznych, oraz „Tablic graficznych do dziejów Europy,“ których wyszło dotychczas 5 zeszytów (1883—1890), przedstawiających historyę Europy do wieku XIV-go włącznie.

† **Apolinary Pietkiewicz,** znany autor „Meteorologii“ ułożonéj według dzieł Kämtza i Schmidta a wydanéj w r. 1872 (str. 600), spółpracownik „Pamiętnika fizyograficznego“ i „Wszechświata,“ dobry agronom, zmarł w majątku swoim Mule w pow. święciańskim 16 listopada r. z.

† **Antoni Podczaski,** urodzony w Płockiem r. 1849, odebrawszy staranne wykształcenie, oddał się pracy na roli i dopiéro pod koniec życia uległszy nieuleczalnéj chorobie i ociemniawszy, poczuł w sobie talent twórczy i dyktował wiersze ulotne i całe obrazki; wyszły one w Warszawie r. 1886 p. n. „Oleodruki,“ (pod pseudonimem Litawora) i obudziły żywe zajęcie. Zmarł 11 grudnia r. z. w Warszawie.

† **Leon Sygietyński,** ur. 1822 w Lublinie po ukończeniu nauk oddawał się gospodarstwu wiejskiemu, potem wszedł w koła literackie i teatralne w Warszawie i był jednym z najczynniejszych spółpracowników „Gazety Teatralnéj“ wydawanéj 1843 przez Kiesewettera, tłomaczył mnóstwo libret do oper, kilka komedyi, powieści Ancelota, Bulwera, Dumasa (Muszkieterowie), Souliégo („Pamiętniki dyabła“). Redagował „Korespondenta rolniczego“ wychodzącego przy „Gazecie Warszawskiéj,“ a od r. 1871 do 1879 wydawał „Tygodnik rolniczy.“ Ogłosił w Warszawie „Rocznik ziemiański na r. 1874 podług najlepszych źródeł zebrany“. Przeniósłszy się do Łodzi, lat kilkanaście tam przebył i tam umarł 16 grudnia r. z.

† **Włodzimierz Stebelski,** ur. 31 sierpnia 1848 r. w Magierowie w Galicyi, wykształcenie uniwersyteckie odebrał w Wiedniu i we Lwowie, w r. 1871 był nauczycielem gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie, przytém pisywał wiersze i nowelle poczynając od r. 1870. W roku 1884 drukował kilka nowel w „Kraju,“ a w roku 1886 przybył do Warszawy, wezwany na członka redakcyi „Kuryera Codziennego.“ Pomieszczał swe artykuły iskrzące się nieraz dowcipem i żywością wyobraźni tak w Kuryerze jak i w „Tygodniku ilustrowanym.“ W ostatnich czasach był kierownikiem literackim „Kolców.“ Zbyt nieopatrznie szafował siłami i wyczerpywał się ciągłém podbudzaniem nerwów. Zmarł samobójczo 23 grudnia r. z.

† **Kazimierz Łuniewski** ur. 1844 po ukończeniu nauk gimnazyalnych wstąpił na wydział prawny Szkoły Głównéj, ale nie ukończywszy

jéj oddał się pracy dziennikarskiéj pod kierunkiem Wacława Szymanowskiego w „Kuryerze Warszawskim.“ Pomieszczał tu gładko i ładnie pisane feljetony, sprawozdania z prelekcyj, książek, teatru, zabarwiając je często wycieczkami przeciw „młodéj prasie.“ Dłuższe nowelki pomieszczał w „Echu,“ dzienniku wydawanym w Warszawie przez Zygmunta Sarneckiego. Tłómaczył téż sztuki dla teatru. Przed kilkunastu laty opuścił Warszawę i przeniósł się w Kaliskie, gdzie otrzymał posadę w sądownictwie. Umarł w Stawiszynie w końcu grudnia r. z.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Декабря 1891 г. — Druk Jana Cotty.